

W siedlisku Tom 3

MAŁGORZATA

STAROSTA

*I gustach
się nie
dyskutuje*

Komedia kryminalna

MAŁGORZATA

STAROSTA

O gustach
się nie
dyskutuje



Redakcja

Barbara Kaszubowska

Korekta

Robert Ratajczak

Grafika na okładce

Agnieszka Śliwka

© Copyright by Małgorzata Starosta

© Copyright by Wydawnictwo „Vectra”

Projekt okładki

Natalia Jargieło

Skład i łamanie

Natalia Jargieło

Druk i oprawa

WZDZ Drukarnia Lega, Opole

ISBN 978-83-67334-24-2

Wydawca

Wydawnictwo „Vectra”

Czerwionka-Leszczyzny 2021

www.arw-vectra.pl

ebub-eLJot

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Od tego się zaczęło

A później było jeszcze lepiej

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

ROZDZIAŁ 36

ROZDZIAŁ 37

ROZDZIAŁ 38

ROZDZIAŁ 39

ROZDZIAŁ 40

ROZDZIAŁ 41

ROZDZIAŁ 42

ROZDZIAŁ 43

EPILOG

OD AUTORKI

PRZEPISY

Przypisy

Od tego się zaczęło

„W siedlisku”, tom 1.: *Szczęśliwy los*

autor: Danuta Chodkowska

zredagowała: Małgorzata Starosta

Alicję Adamczyk, Barbarę Bilską, Julię Jędrzejak i Lilianę Laskowską połączyła w szkole przyjaźń tak silna, że tuż przed maturą zamarzyły o wspólnej przyszłości – a miało nią być otworenie pensjonatu, który będą razem prowadziły w niedalekiej, oczywiście, przyszłości.

Marne dziesięć lat później, dzięki przedsiębiorczości Alutki, funduszowi na odchamianie oraz datom swych urodzin, przyjaciółki stały się posiadaczkami niebagatelnej sumy jednego miliona stu siedemdziesięciu tysięcy złotych (z groszami). Cztery dziewczyny składające się na milionerkę chwyciły życie za rogi i w sposób niemalże uczciwy nabyły drogą kupna siedlisko we wsi Babibór Podlaski – wsi nie byle jakiej, bo szcycącej się posiadaniem przez mieszkańców genu wspólnego z Mickiewiczem.

Niedługo dane im było nacieszyć się ekskluzywną nieruchomością. Tuż po załatwieniu formalności na znajdującej się w dobrodziejstwie inwentarza sofie zastały Kornelię, była właścicielkę uroczego siedliska, zabiłą na śmierć, o czym świadczył nóż wystający z jej piersi.

Starszy aspirant Szelest i reszta mieszkańców wsi, a zwłaszcza sołtysowa Malwina Maślankiewicz, z miejsca uznali „obce” za zbrodniarki. No bo kto mógł to zrobić, jeśli nie one, skoro nikogo innego tam nie było?

We wsi wrzało. Atmosferę podkreślał dziennikarz Karol Książek, postać tyleż ciekawa, co tajemnicza. Oliwy do ognia dołało odnalezienie zwłok pośrednika biorącego udział w sprzedaży siedliska, a na domiar złego wynik sekcji zwłok Kornelii zaskoczył wszystkich – starsza pani nie zginęła od ciosów nożem, lecz została otruta lekiem na nadciśnienie.

Sołtysowa, zdenerwowana tym, że jakaś swolocz robi masakrę we wsi, którą ona (!) rządzi, zdecydowała się na rozmowę z babką męża, Marleną

Maślankiewicz, dawną szeptuchą.

Gdy już się wydawało, że sprawa jest nie do rozwiązania, prokurator Pieprzyca przypomniał historię sprzed lat. Siostra Kornelii, Karolina, była w niechcianej ciąży; urodziła syna i kilka dni po porodzie znikła. Dzieckiem musiał zająć się ojciec, którym był osiemnastoletni Polikarp Piasecki, a pomogły mu Kornelia i Marlena. Wszystko szczęśliwie się ułożyło, lata mijaly. Niespodzianie do Kornelii przyszła paczka z zagranicy, z herbatą, a w niej zdjęcie i list od dalekiej kuzynki. Krewna opowiedziała w nim o szczęśliwym życiu i śmierci Karoliny na obczyźnie, fotografia zaś przedstawiała siostrę Kornelii z mężem, córką i kilkuletnim wnukiem. Równolegle amerykański wnuk zmarłej Karoliny – Karol Książek – dowiedział się o żyjącej w Polsce siostrze babki i postanowił ją odszukać.

Ostatecznie śmierć Kornelii uznano za skutek zatrucia bez udziału osób trzecich, a cztery przyjaciółki zdecydowały się na realizację przedmaturalnego marzenia, czyli otwarcie pensjonatu Szczęśliwy Los – skoro siedlisko było ich, a wieś chciała, by zostały.

I tylko Szelest, ku wielkiej ucieście współpracowników, nie mógł uwierzyć, że przyszłe babiborzanki naprawdę nazywają się Alicja Adamczyk, Barbara Bilaska, Julia Jędrzejak i Lilianna Laskowska, gdyż – jak głosi legenda... A nie, o tym już trzeba przeczytać.

A później było jeszcze lepiej

„W siedlisku”, tom 2.: *Miłość i inne klątwy*

autor: Danuta Chodkowska

zredagowała: Małgorzata Starosta

W sklepie Szymczakowej pojawiła się obca – dziewczyna w zielonej kurtce, z kapturem na głowie, skryta i małomówna. Sebastian Sierżant wyszedł na spacer i zauważył w przejeżdżającym samochodzie jasnowłosą nimfę w zielonym kapturze – choć nie był pewien czy to wyobraźnia nie płata mu figła... Ala także tak pomyślała, gdy ujrzała w siedlisku swoją kuzynkę Olę Morwę, która przyjechała do Babiboru bez uprzedzenia. I bez manier, należy dodać, więc bardzo szybko narobiła sobie we wsi wrogów. Malwina zdecydowała, że poprosi o pomoc Marlenę, by wstrętne dziewczuszyko ukarać, ale żeby przy okazji dziewczynom z siedliska nie zaszkodzić...

Na domiar złego jakiś obcy zaczął kobiety we wsi straszyć, kilka zgłosiło, że widziały upióra.

Na zebranie w oborze Maślankiewiczów, a właściwie na ostatnią próbę tegorocznego spektaklu *Dziadów*, stawilo się tylu ludzi, że zabrakło krzeseł. Szymczakowa opowiadała o osobie nazwanej Zielonym Kapturkiem i jej napaści na Sandrę. Z miejsca rozbrzmiały głosy o wypędzeniu monstrum ze wsi, a nawet wywiezieniu do lasu. Ksiądz Antoni zażądał wysłuchania drugiej strony, a z tyłu rozległ się głos recytujący stosowny fragment... *Balladyny*. Dziewczyna w zielonym płaszczu oznajmiła, że przyszła, bo jest to zebranie mieszkańców, a ona do nich należy; nazywa się Rita Roszak i jest cioteczną wnuczką i jedyną spadkobierczynią Olgi Olszewskiej. Biedny Sebastian Sierżant, który rozpoznał w niej nimfę z samochodu i był pod wielkim wrażeniem jej urody, zakochał się na mur-beton. Omówiono także zniknięcie Karola Książka, podejrzanego o spłodzenie dziecka Natalii Nadworskiej i tchórzliwe wzięcie nóg za pas.

Wspomniany upiór, w którego nikt specjalnie nie uwierzył, wdarł się do

sklepu Szymczakowej, gdy liczyła utarg, narobił bałaganu, ale uciekł na dźwięk wyjącego alarmu.

Ala planowała złożenie wizyty Ricie Roszak, żeby jej było miło, z własnoręcznie wykonaną babką ziemniaczaną w prezencie. Tadeusz Tarnacki akurat pojawił się z listem, a Sebastian Sierzant wpadł pod pozorem sprawdzania bezpieczeństwa i przypomnienia o zamykaniu drzwi.

Dziady świętowano na rozstaju dróg, wieczerzając przy stołach ustawionych w podkowę, przy płonących ogniskach, które miały oświetlać drogę przodkom i odstraszać demony. Nie brakowało tradycyjnych potraw, okowity i ziołowej herbaty przygotowanej przez Marlenę Maślankiewicz, babkę sołtysa – z racji wieku mistrzyni dzisiejszej ceremonii. Jak to zwykle bywa, bez awantur się nie obeszło. Gdy w powietrzu zawisła groźba bijatyki, powiał wiatr porywający kapelusze i przewracający butelki, co z miejsca uspokoiło kłócących się, gdyż musieli ratować spadające ze stołów naczynia. Nieliczni tylko zauważyli na wierzbie zjawę, z którą Marlena próbowała rozmawiać, lecz nagły dźwięk świątynnych dzwonów spłoszył wszystkich i zjawa znikła.

W tym samym czasie obaj duchowni – przyjaźniący się ze sobą proboszcz i batuszka – szli na rozstaje. Niedaleko chatki Olszewskiej zobaczyli leżącego na łące człowieka. Gdy sprawdzili, że nieszczęsna młoda kobieta nie żyje, pobiegli do swoich kościołów bić w dzwony, te, które wystraszyły zjawę na wierzbie. Martwą dziewczyną okazała się Aleksandra Morwa, a do jej zabicia przyznała się Rita Roszak.

O poranku na posterunku stały się Ala z przyjaciółkami, Marlena i Malwina Maślankiewiczowe oraz pani Szymczakowa – wszystkie twierdziły, że śmierć Aleksandry Morwy to ich sprawka, a Rita jest niewinna.

W trakcie przesłuchania do prokuratora zadzwonił jego serdeczny przyjaciel i jednocześnie kuzyn księdza Antoniego, Henryk Grabski. Poprosił, by Patrycjusz sprawdził, dlaczego Antoni nie odbiera telefonu. Przeczucia Grabskiego okazały się słuszne – duchowny został zamordowany.

Tymczasem nikt nie wierzył w winę Rity Roszak, za to posterunkowi byli już pewni, że dziewczyna musiała znać Aleks. W dodatku z plebanii

zniknęły zwłoki Antoniego. A może wcale ich tam nie było?

Ala zastanawiała się, jak działać, od czego zacząć, a Lilka zaproponowała zajrzenie do laptopa Morwy. Wśród szpargałów na podłodze Marlana znalazła wycinek gazety z artykułem o Oldze Olszewskiej. Na domiar złego hasłem do komputera Morwy było „Rita Roszak” – a więc musiały się znać.

Rita w końcu zgodziła się powiedzieć, co wie i czego się domyśliła, poczynając od bardzo dawna: od rzucenia klątwy na jej rodzinę. W odnalezieniu prawdy pomagał jej Karol Książek, który przypadkiem dowiedział się o klątwie ciążyącej nad rodziną Olszewskich. Zaciekawiony szukał ludzi z tej rodziny i tak trafił na Ritę, a w końcu dotarł do listu z klątwą.

Tymczasem Basia z lektury artykułu Morwy dowiedziała się, że gwiazdą spektaklu *Balladyna* była Sonia Iwaszuk. Po spektaklu jubileuszowym aktorka zeszła ze sceny i nikt jej więcej nie zobaczył. Zaraz wygooglały zdjęcie Soni i wtedy zamurowało je dokumentnie. Tajemnice posypały się z rękawa, a było o czym mówić.

O miłości pewnego żołnierza do grającej Alinę Marzeny Baryczko. O śmierci Aliny, która utopiła się w Bzurze, bo przypadkiem wpadła do wody, a nie umiała pływać. O szaleństwie żołnierza, który uznał, że to Sonia, czyli Balladyna, jest winna śmierci jego Aliny, i próbował ją zabić. Uciekła przed nim aż do Babiboru, ale trafił tu za nią przez nieostrożność i głupotę Aleksandry Morwy, która drążąc temat, pchała się wszędzie, dużo pytała i sama sporo mówiła. A zginęła, bo była tak bardzo podobna do niej – morderca się pomylił ...

Szelest, zupełnym przypadkiem, zabłąkał się do centrali. Zapalił światło i zobaczył w pomieszczeniu śpiącego, czarno odzianego człowieka. Ostrożnie podszedł, walnął go latarką i w ten sposób unieszkodliwił upiora. I kiedy wydawało się, że w Babiborze powrócił status quo, do domu Maślankiewiczów zapukał Szelest i aresztował Malwinę pod zarzutem zamordowania Moniki Melskiej i pierwszego męża, Augusta Arciszewskiego.

O gustach
się nie
dyskutuje

ROZDZIAŁ 1

Malwina Maślankiewicz zmrużyła oczy i przyglądała się obdrapanym ścianom.

– Tu zaszpachlować, tam pomalować, a to okno... – mruknęła pod nosem, po czym cmoknęła z niezadowoleniem. – Staszek! Staszeeeeek! – wrzasnęła nagle.

Starszy aspirant Stanisław Szelest defiladowym krokiem wmaszerował do piwnicy, w której znajdował się areszt.

– Czego się drze? – syknął.

– Firanki potrzebuję – odparła Malwina, zupełnie niezrażona oschłym tonem policjanta.

– I czego jeszcze jaśnie pani sobie życzy? Może osobnej toalety?

– Przydałaby się. Mało to higieniczne spać przy klozecie.

– A w dupie ci się nie poprzewracało?! – ryknął Szelest.

Malwina nawet nie drgnęła. Ba! Ani jeden włos na jej głowie się nie poruszył. Przymknęła oczy, wzięła dwa głębokie wdechy i wycedziła tonem, od którego bolały nawet paznokcie:

– Jeśli tobie się wydaje, że twoje żalosne metody zastraszenia na mnie działają, to jesteś w wielkim błędzie. Chociaż nie – dodała po chwili. – Działają. Irytują mnie w stopniu, jakiego twój ptasi mózdzek nie potrafi pojąć. I zanim znów rozewrzesz ten swój dziób, to zważ, że robienie sobie wroga w sołtysowej Maślankiewicz nie jest rozsądne.

– Grozisz mi? – zarechotał chuderlawy mężczyzna o wyjątkowo nieprzyjemnej dla oka powierzchowności.

Sama jego fizys z miejsca budziła niechęć. Nawet odzywać się nie musiał, a gdy się odezwał, to było tylko gorzej.

– Tylko ostrzegam. Głupi jednak jesteś i nic się na błędach nie uczysz. – Sołtysowa pokręciła głową w wyrazie niedowierzania. – Poczekaj, aż stąd wyjdę.

Starszy aspirant Szelest prychnął dziko, aż jego wąsy, przypominające słomę skrzyżowaną ze szczecią, podskoczyły.

– Już ty prędko, Malwina, gwiazd i słońca nie zobaczysz – rzucił zjadliwie, jak tylko wredne do szpiku kości istoty potrafią. – Na miejscu Mietka rozglądałbym się za nową żoną. Tej przynajmniej nie zaciukasz.

Po tych słowach w Malwinę Maślankiewicz jakby złe wstąpiło. Jej rubinowe loki się zjeżyły, co sprawiło, że głowa sołtysowej powiększyła się dwukrotnie, w oczach pojawiły się iskry, a szczęka się zacisnęła, aż chrupnęło.

– Jakem Malwina Anna Maślankiewicz, obiecuję ci, klnąc się na wszystkich bogów, że gdy tylko opuszczę te mury, zemszczę się na tobie za te słowa – wycedziła głosem, którego nie powstydziliby się rozsierdzony Rokita. – I uwierz mi, człowieku małej wiary, że wróżba Marleny to będzie małe piwo przy tym, czego ja ci nawarzę.

Stanisław Szelest bynajmniej nie był człowiekiem małej wiary, właściwie to określenie miało go jedynie zabóść. Każdy, kto znał starszego aspiranta, doskonale wiedział, iż jego wiarę należałoby określić mianem okolicznościowej, co należy rozumieć jako „posiadającą ścisły i nierozzerwalny związek z okolicznościami”. Spróbujmy wytłumaczyć ów fenomen, posiłkując się przykładem prostym i klarownym, odpowiednim dla osób pokroju Szelesta. Za dnia, zwłaszcza słonecznego, nie było szans na przekonanie go do istnienia demonów, bóstw i wszelkiej maści sił wyższych. Jego pogląd na świat istot ponadnaturalnych diametralnie się jednak zmieniał wraz z nastaniem nocy. Sam do lasu po ciemnicy? A w życiu! Jeszcze by go Leszy ucapił albo jakieś inne czarty. Zresztą nie trzeba wcale go do boru wysyłać, nawet w obejściu bał się cokolwiek robić po zapadnięciu zmroku. I nie daj Bóg, żeby mu w zimie opału zabrakło! Będzie siedział w zimnicy, ale nosa za próg nie wyściubi.

We wróżby, czary, gusła i inne głupoty też nie wierzył, chyba że akurat czarny kot przebiegł mu przez drogę, lustro się potłukło, zobaczył kominiarza na rowerze, ptak narobił mu na ramię, krowa sąsiada przestała dawać mleko, kogut zapał parzystą liczbę razy, kromka chleba spadła masłem na dół... No, różnie bywało, ale przeważnie nie wierzył. Dlatego też nie przejął się zbyt wywróżonym mu onegdaj przez babiborską szeptuchę Marlenę Maślankiewicz kresem. Kto inteligentny wzięłby na serio bredzenie szalonej nimfomanki, która wykończyła więcej mężów, niż Szelest potrafił spamiętać? Tym bardziej nie wzięł sobie do serca słów

Malwiny. Czuł natomiast pęczniejące w nim szczęście na myśl o utarciu nosa zarozumiałej sołtysowej. Fantazjował nawet o tym, jak do jego galowego munduru zostanie przypięty order za zasługi... Nie, nie! Za SZCZEGÓLNE zasługi dla lokalnej społeczności polegające na ujęciu seryjnej morderczynie. Teoria, że do serii potrzeba co najmniej trzech ofiar, jakoś do niego nie przemawiała, postanowił więc ją ignorować i uparcie imaginował sobie ów order dyndający na jego chuderlawej piersi, którą od tej pory będzie wypinał z zaangażowaniem.

Skoro nie przelękła go wizja starej Maślankiewiczowej, dlaczego miałaby go przerazić niedorzeczna pogróżka Malwiny? Prychnął głośno, postukał się chudym paluchem w czoło, po czym z przesadną ostentacją wymaszerował z kazamatów.

Posterunkowy Sebastian Sierżant, podsłuchujący zza węgła, czmychnął co sił w długiśnych nogach i dopadł biurka na chwilę przed tym, jak rozanielona twarz Szelesta pojawiła się z powrotem. Ową twarz z wyjątkową uwagą obserwowała posterunkowa Agnieszka Antkowiak. Kiedy starszy aspirant minął podwładnych, nie zwracając na nich uwagi, dziewczyna wymieniła z Sierżantem porozumiewawcze spojrzenia.

„Ani myśli ustąpić, osioł” – zdawał się mówić wzrok Sebastiana.

„Głupich nie sieją” – odpowiadały mu bystre oczy Agnieszki.

Chłopak uniósł kącik ust, co stanowiło grymas najbliższy uśmiechowi, jaki posterunkowa Antkowiak widziała u niego od kilku tygodni. Rudowłosy dryblas miał bowiem nie lada kłopot, a tenże zatruwał jego pogodną z natury duszę.

Złamane serce to największe z nieszczęść, jakich może doświadczyć człowiek, myślała ze smutkiem posterunkowa, obserwując wzdychającego i coraz bardziej zamykającego się w sobie przyjaciela. Była także przekonana, że zaczerwienione oczy rudzielca nie były – jak on sam starał się jej wmówić – skutkiem wyłącznie niewyspania. Sebek z całą pewnością uronił niejedną łzę z powodu swojej nieodwzajemnionej miłości.

Agnieszka, obdarzona naturą o wiele mniej melancholijną niż Sierżant, czasem rozmyślała nad istotą tego wielkiego uczucia, choć do tej pory nie zdarzyło jej się nikogo nim obdarzyć. Może była niezdolna do pokochania? A może jeszcze nie spotkała osoby, która obudziłaby w niej prawdziwy żar? Chwilami wydawało jej się, że te osławione motyle w brzuchu budzą się

przy Liliannie Laskowskiej, szybko jednak owo zaskakujące uczucie mijało. Nigdy też nie pozwoliła sobie na najmniejszy gest, który mógłby zdradzić jej sympatię dla dziewczyny. To nie wypadło funkcjonariuszce policji.

Szelest, jak na złość, nie zamierzał opuścić posterunku. Sterczał przy oknie i z tym swoim durnowatym uśmiechem miał w głowie jakieś przemyślenia. Z pewnością nie było to nic miłego ani mądrego, bo wyraz idiotycznego rozanielenia nie zniknął z jego niesympatycznej twarzy. Stałby tak pewnie do końca służby, gdyby nie Malwina Maślankiewicz, niemająca najmniejszego zamiaru dać mu spokoju. Znow zaczęła się wydzierać, jakby ją torturowano, a wchodzący w coraz wyższe rejestry głos sołtysowej doprowadzał do szału wszystkich, włącznie z osobistą kuzynką Malwiny, panią Różą, pełniącą obowiązki recepcjonistki.

Świadomie czy nie, Maślankiewiczowa wyświadczyła przysługę Sebastianowi Sierżantowi i Agnieszce Antkowiak. Szelest bowiem, nie mogąc dłużej znieść sopranu lokatorki aresztu, wdział podszyte kożuchem palto, wcisnął na głowę uszankę i wyszedł bez słowa; przecież przed podwładnymi nie musiał się tłumaczyć.

Gdy tylko ciężkie drzwi z hukiem zatrzasnęły się za samozwańcym komendantem, posterunkowi wypuścili powietrze z płuc i westchnęli z ulgą.

– Pójdę do niej – jęknął Sebastian i podniósł się z krzesła. Jego pałakowate nogi chrupnęły w kolanach.

– Czasem mam wrażenie, że ona doskonale wie, co robi. Jakby celowo doprowadzała Szelesta do wściekłości – oznajmiła Antkowiak w zamyśleniu.

– Malwina niczego nie robi bez powodu – odezwała się pani Róża, ucinając tym samym dalsze domysły, choć tematu nie rozwinęła.

Sebastian Sierżant wzruszył ramionami i z grobową miną udał się do piwnicy, w której znajdował się areszt.

Antkowiak zapatrzyła się na gałąź miotaną silnymi podmuchami wiatru. Zastanawiała się, czy rąbnie w końcu w okno posterunku, czy może znow cud jakiś uchroni je przed katastrofą. Konar, całkowicie łysy, wyglądał tak, jakby już całkiem poddał się siłom natury i nie stawiał oporu pędowi mroźnego powietrza. Nie! Nie był jednak całkiem łysy! Na maleńkiej gałązce posterunkowa dostrzegła ostatni listek, uczepiony jakąś

niezrozumiałą siłą woli. Nagle ów ostatni symbol jesieni się oderwał, jakby szarpnięty niewidzialną ręką, i poszybował w stronę puszczy, tuż nad głową starszego aspiranta Szelesta, którego nogi niosły w kierunku siedliska. Listek unosił się wraz z kolejnymi falami wietrzyska i leciał, leciał, leciał – a my z dwojga złego postanowiliśmy towarzyszyć właśnie jemu.

ROZDZIAŁ 2

Są w puszczy miejsca, do których żadnemu człowiekowi nie udało się dotrzeć, a gdyby zbliżył się do nich za bardzo, los jego znalazłby się w rękach mocy, o jakich Szelestowi nawet się nie śniło.

Jak mówi legenda – a my legendom wierzymy bezgranicznie – w głębokiej kniei, strzeżona przed wzrokiem niepowołanych i otoczona kamiennym kręgiem, stoi chatka. Niepozorna, porośnięta mchem, podtrzymywana korzeniami drzew pamiętających czasy cofającego się lodowca, z odrobinę zapadniętym trzyspadowym dachem, w którym starą dziurę upatrzyły sobie na gniazdo płochliwe derkacze. Nad chatką zaś opiekuńcze ramiona rozpościera wierzba – tak leciwa i rosła, że gdybyśmy chcieli ustalić jej wiek, zajęłoby nam to znaczną część tej opowieści. Chroniona przed ludźmi gęstym puszczańskim drzewostanem, przed mrozem mchem i gałęziami, a przed wiatrem korzeniami silnymi jak Świętowit, chatka od wieków skrywa swoje tajemnice.

Sledząc niespokojny lot ostatniego jesiennego listka z buka rosnącego przy babiborskim posterunku, nieświadomego pasażerów na gapę, dotarliśmy do kniei. Mijamy wierzbę i przez uchylone okienko wpadamy do chatki, po czym miękko lądujemy w ciepłej dłoni.

– Zobacz, kochany, ostatni jesienny liść – odezwała się dźwięcznie Ksantypa, a jej kruczoczarne włosy opadały gładką taflą na plecy.

Siedzący przy piecu mężczyzna ani drgnął.

– Słyszałeś? – zapytała ponagłająco, choć więcej w tym pytaniu znac było czułości niż zniecierpliwienia.

– Mhm – mruknął, unosząc leniwie jedną powiekę. – Dni coraz krótsze.

Czarownica spojrzała na męża z przyganą i zrobiła kwaśną minę.

– Tak mówisz, jakbyś wcale się nie cieszył, że za chwilę znów ją zobaczysz – zagaiła głosem słodkim niczym agrest na początku czerwca.

Rokita poruszył się nieznacznie.

– Kogo, serdeńko?

Ksantypa z jednej strony nie miała zamiaru kłócić się z mężem, z drugiej zaś... Cóż, byłoby to wbrew jej naturze, żeby choć trochę go nie

zdenerwować.

– Już nie udawaj, nie udawaj. Dobrze wiem, że stęskniłeś się za Marzanną – mruknęła, a imię bogini wymówiła z wyraźną niechęcią.

Nawet jeśli Rokitę słowa małżonki dotknęły, nie pokazał tego po sobie w najmniejszym stopniu. Z pozbawioną wyrazu twarzą rozmyślał nad stanem świata. Miał pełną świadomość, że dyskusja z wiedźmą mogłaby jedynie popsuć przyjemnie zapowiadający się wieczór.

Tymczasem czarownica przyglądała się listkowi leżącemu spokojnie na jej dłoni zakończonej palcami długimi jak u pianistki. Po chwili jęła z czułością głaskać delikatną powierzchnię listeczka, jakby było to żywe stworzenie. W istocie dla Ksantypy ów organ stanowił nie tylko nierozzerwalną część drzewa, ale także swoisty przekaźnik informacji. Nie bez powodu wszak słowa „list” i „liść” są do siebie tak podobne.

– Powiedz, maleńki – szeptała, jakby mówiła do dziecka – jakie wieści mi przynosisz? Czy wszystko dobrze? Co słychać w Babiborze?

Listek drgnął jak kot pieszczony przez kochającego właściciela, a Ksantypa zamknęła swoje czarne, przypominające węgle oczy i nasłuchiwała. Im zaś dłużej słuchała, tym bardziej jej gładkie czoło przywodziło na myśl udekorowane ripplemarkami dno jeziora. W końcu listek zwinął się w kłębek, po chwili zajął niebieskożółtym płomieniem i zniknął, jak gdyby nigdy go nie było.

Wiedźma otworzyła oczy, dmuchnęła na wnętrze dłoni, po czym spojrzała surowym wzrokiem na męża. A ten, mimo zamkniętych powiek, wyczuł nastrój małżonki i wyprostował się.

– Co się dzieje, serdeńko? – zapytał z napięciem w swoim głębokim głosie.

– Jeszcze nic – odparła w zamyśleniu. – Czuję jednak, że coś nadchodzi. Coś mrocznego, okrutnego i bardzo, bardzo niedobrego.

– Ach... – westchnął Rokita.

Złe przeczucia Ksantypy oznaczały jedno – i tego jej małżonek obawiał się nade wszystko: znów trzeba będzie się zaangażować.

– Mam się szykować?

– Niedługo, skarbie, jeszcze nie teraz – odrzekła cicho. – Tym razem jednak się nie wygłupiaj i nie przybieraj tej idiotycznej rogatej formy, bardzo cię proszę.

Prośba (choć wypowiedziana tonem pełnym przekonania, raczej wydała się nakazem) wcale nie ucieszyła Rokity. Bawiło go straszenie ludzi pod postacią, którą sami dla niego wymyślili. Nikt już zdawał się nie pamiętać, że był roslým, przystojnym mężczyzną, synem Borany i Borowiła, Bogiem Żywiołów, Panem Gajów, Królem-Carem Pszczół. O wiele łatwiej było bowiem wyobrażać sobie, że jako demoniczny, rogaty czart zamieszkuje wierzbowe dziuple i całymi dniami rozmyśla o fortelach i psikusach. Z upływem wieków nawet mu się ta rola spodobała, a kopyta i ogon, które od czasu do czasu sobie fundował, dodawały szczypty średniowiecznej pikanterii.

– Dobrze – zgodził się po chwili – ale pod warunkiem, że będę mógł dokuczyć Szelestowi.

Ksantypa parsknęła mimowolnie i utkwiała w mężu pełne miłości spojrzenie.

– Zgoda, ale tylko troszeczkę – oznajmiła. – Tak w sam raz.

ROZDZIAŁ 3

Lodowaty wicher wył coraz głośniej, a jego ostre podmuchy nie pozostawiały wątpliwości co do tego, że zbliża się zima. Na domiar złego starszy aspirant Szelest kierował się na północ, czyli wiatr dziwnym zrządzeniem losu dmuchał mu w oczy – jak zwykle zresztą. Pewnie gdyby zamierzał odwiedzić Nadworskich, zaczęłoby wiać skądinąd...

Kiedy mijał wierzbę strzegącą rozwidlenia, zdało mu się, że z wnętrza dziupli łypnęło na niego oko. Wyjątkowo nieprzyjemne, aż go ciarki przeszły. Przyśpieszył kroku, wmawiając sobie, że wyobraźnia płata mu figle, co przecież nie jest niczym dziwnym, kiedy wietrzyśko za wszelką cenę chce wyrwać z ziemi wszystko, co stanie na jego drodze. Mimo temperatury bliskiej zeru Szelest spocił się i zgrzał, bo tak szybko przebierał nogami, żeby żadne licho go nie dogoniło. Ani się obejrzał, jak dotarł do siedliska, zupełnie bezwiednie ustanawiając nowy rekord wsi w kategorii marszobiegu.

Przyprawiające o skręty kiszek i trwałe uszkodzenie narządu słuchu skrzywienie bramki sprawiło Szelestowi niewysłowioną radość i przyniosło ulgę. Teraz był bezpieczny. Tutaj nic mu nie groziło, chyba że przyszłoby mu do głowy wypicie doprawionej trucizną nalewki Kornelii, ale na to szanse były nikłe, zważywszy na to, że Kornelia nie żyła, a nowe właścicielki siedliska nie pałały chęcią podtrzymywania tradycji zaopatrywania babiborzan w napoje wyskokowe.

Policjant zamknął za sobą furtkę, wypuścił powietrze z płuc, poluzował szalik i ruszył chrzęszczącą alejką ku domowi, z którego komina unosiła się smużka dymu. Dym ów pachniał żywicznym drewnem, co oznaczało, że dziewczęta rozpałyły w kominku. A to z kolei znaczyło, że przyjmowały gości, na co starszy aspirant liczył. Miał bowiem do przekazania radosne wieści. Dla siebie radosne, dla właścicielek siedliska niekoniecznie.

Drzwi do domu, zgodnie z panującym tutaj zwyczajem, nie były zamknięte, Szelest nacisnął więc klamkę i wszedł jak do siebie, trafiając w sam środek ożywionej dyskusji.

– Jeśli pan Zdzisiu będzie miał choćby jeden dzień więcej spóźnienia, nie mamy szans na skończenie roboty przed świętami – lamentowała czarnowłosa Basia Bilka, klikając zawzięcie myszką podłączoną do laptopa. – Już jesteśmy grubo po terminie.

– Zdzisiu na zdrowiu niedomaga – oznajmiła Sabina Szymczak, właścicielka lokalnego sklepu.

– Może jakby rzadziej dodawał sobie animuszu Duchem Puszczy, toby mu zdrowie tak nie szwankowało – skwitowała cierpko Lilka, platynowa blondynka strzygąca się niezmiennie na Lindę Evangelistę z lat dziewięćdziesiątych.

– Od początku mówiłam, że powinnyśmy to zrobić same. – Śliczna jak laleczka Julka wyduła usta, kręcąc na palcu złoty pukiel.

– Masz na myśli twojego Karola? – docięła jej Lilka. – Jakby chciał pomóc, to siedziałby tu dniami i nocami, a jakoś nie widzę, żeby się do tego palił.

– Bo on się pali wieczorami, ale do czego innego – mruknęła filigranowa Alicja, wyraźnie nie w sosie.

– Ale z was jędze – odgryzła się Julka. – Posterunkowy też miał nam pomagać i ten twój Piotr.

Na dźwięk imienia sąsiada, lekarza i prawnika w jednej osobie Basia oderwała wzrok od ekranu komputera. Właściwie powinna się obrazić, gdyż Piotr Piasecki wcale nie był „jej”, ale czuła taką rezygnację i rozgoryczenie, że na dąsy nie miała siły. Zresztą słowa Julki zawierały sporo prawdy – tak Sebastian Sierżant, jak i Piotr Piasecki obiecywali pomóc przy remoncie siedliska, a tymczasem jeden i drugi nagle przestali zaglądać.

– Sebkowi inne rzeczy teraz w głowie – stanął w obronie rudowłosego dryblasza Tadeusz Tarnacki, miejscowy listonosz.

– Szkoda chłopaka – poparła go Szymczakowa, kiwając głową z politowaniem.

– Nie on pierwszy i nie ostatni zakochał się bez wzajemności – odparowała Lilka z zaskakującą wściekłością. – To nie nowotwór, można z tym żyć.

– Właściwie miłość i nowotwór mają ze sobą sporo wspólnego: jedno i drugie niszczy człowieka od środka. – Teresa Tarnacka wyglądała, jakby

latami czekała na wypowiedzenie tych słów.

Mało kto wiedział cokolwiek na temat miłosnych doświadczeń siostry listonosza, była ona bowiem z natury osobą skrytą i niewylewną, a o wiele bardziej niż o sobie wołała rozmawiać o sprawach innych ludzi. Można było mieć pewność tylko co do tego, że cierpiała na koszarne lumbago.

– Ja tam od początku mówiłam, że z tej mąki chleba nie będzie – wyznała z satysfakcją Sabina Szymczak. – Mógł się nie brać za obcą, bo z tego to tylko nieszczęścia.

– Ekhm – chrząknęła Alicja z przyganą – my też jesteśmy obce, pani Sabinko, a jakoś pani nie narzeka.

– A jakie wy obce?! – Szymczakowa wytrzeszczyła oczy na miedzianowłosą artystkę. – Ja to już nawet nie pamiętam, jak to było przed wami. Ale ta Rita...

– Sonia – poprawiła ją Julka. – Rita była ksywą.

– Jak zwał, tak zwał, ani jedno, ani drugie imię mi się nie podoba – zachnęła się sklepikarka. – Nie dość, że trzyma się z daleka, Słowackiego czyta, to jeszcze chłopakowi serce złamała i do niczego on się teraz nie nadaje. Może gdyby Malwina wyszła...

– Ahaaaa!!! – wydarł się Szelest, siedzący dotąd cicho niczym przycajony tygrys i czekający na właściwy moment do ataku.

Liczył na to, że jego okrzyk wywoła co najmniej lekki przestрах wśród zgromadzonych, marzył zaś o gwałtownych podskokach i grymasach przerażenia na twarzach. Tymczasem spotkał go srogi zawód.

– Niech się pan nie wydziera jak jakaś dusza potępiona, przecież wiemy, że pan nas podsłuchuje – wycedziła Lilka tonem tak lodowatym, że z powodzeniem mógłby rozsadzać zamki w drzwiach.

– Dałbyś już sobie spokój, Staszek, z tymi dziecinnymi durnotami – zrugła policjanta Szymczakowa. – Taki z ciebie włamywacz jak z krowiej rzyci puzon.

Nienachalnie urodziwa twarz Szelesta pokryła się purpurą, przez co płowe wąsy wydawały się niemal złociste. Unosiły się przy tym z nadmierną szybkością, brakowało tylko, żeby buchnęła spod nich para i wydobył się gwizd.

– Jakbym zechciał, tobyście mnie nie zauważyli – odparł po chwili z istic papieską godnością. – Wcale się nie włamywałem, tylko przeszkadzać

nie chciałem, skoro tu takie poważne bałaki¹.

– Myślałby kto... – szepnęła Teresa Tarnacka i przewróciła oczami.

– Zdaje się, że chciał pan coś powiedzieć? – zwróciła się do policjanta Basia. – Chyba że to „ahaaa” miało zastąpić zwyczajowe „dzień dobry”.

Wciąż czerwony jak burak Szelest musiał pogodzić się z chwilowym fiaskiem, jednak nie takim przeciwnościom już stawiał czoła. Jedna przegrana bitwa z całą pewnością nie mogła popsuć mu humoru, zwłaszcza w obliczu informacji, z którymi przybył.

– Coś mnie w gardle czuchrało², odchrząknąć musiałem – wyjaśnił z kamienną twarzą. – Dobrze się złożyło, że o Maślankiewiczowej rozmawialiście, bo ja właśnie w tej sprawie.

Siedem par oczu spojrzało na niego z nagłą ciekawością, w czterech dodatkowo pojawiła się podejrzliwość. Basia, Ala, Lilka i Julka wiedziały, że bez asa w rękawie Szelest nie zjawiłby się w siedlisku. To z kolei oznaczało kiepskie wieści.

– No, niech pan mówi, bo zaraz pana to szczęście wewnętrzne rozsadzi – syknęła Lilka.

– Nie wypuścicie jej? – domyśliła się Alutka i serce jej się ścisnęło na myśl o biednej sołtysowej.

– Ano nie wypuścimy – odparł policjant, wypinając pierś jak kogut. – Posiedzi sobie jeszcze długo, możliwe że i ćwiarteczkę.

Ten wymiar kary był raczej pobożnym życzeniem Stanisława, jednak wierzył on głęboko w to, że jedni ludzie wygrywają miliony w totolotka, a on, ponieważ hazardu nie uprawia, wygra swoje szczęście w postaci skazania niecierpianej sołtysowej z artykułu sto czterdziestego ósmego.

– Znaleźliście dowody? – zaniepokoiła się Szymczakowa.

Ona odczucia miała ambiwalentne. Z jednej strony nie życzyła źle Malwinie Maślankiewicz, z drugiej zaś świadomość, że w Babiborze, pod jej nosem, żyła prawdziwa morderczyni, wydawała się szczególnie ekscytująca.

– Jesteśmy na dobrej drodze – odparł Szelest, maskując buńczuczną miną fakt, że jak dotąd gonili w piętke. – Prokurator wydał zgodę na zbadanie ciała Augusta Arciszewskiego.

Czekał na możliwość wypowiedzenia tych słów całe cztery tygodnie. I jego cierpliwość (powiedzmy, że cierpliwość) w końcu została

wynagrodzona.

Twarze zgromadzonych poblady. Ekshumacja zwłok była nie lada wydarzeniem i jeśli prokurator, z natury niechętny pomysłom Szelesta, w końcu wydał na nią zgodę, należało założyć, że sprawa jest poważna.

– O ja ciebie... – szepnęła Alutka, odzyskawszy głos.

Szelest się wyszczerzył, przez co wyglądał, jakby go coś silnie rozboleło.

– Z grobu go wyciągniecie? – nie dowierzała Teresa Tarnacka. – I z trumny?

– A jak inaczej mielibyśmy go zbadać, pani Tarnacka? Mentalnie?

– Rozumiem, że pan także zamierza brać udział w badaniu, panie aspirancie – rzuciła zimno Julka, deprecjonując przy okazji rangę policjanta. – Czy może mówi pan „my”, przypisując sobie ponownie zasługi ludzi faktycznie wykonujących pracę?

Nic nie było w stanie zepsuć dzisiaj znakomitego humoru Szelesta: ani złośliwe przytyki, ani wyraźna niechęć w zachowaniu właściciela siedliska. Zamierzał triumfować tak długo, jak się da.

– Nic więcej w tej sprawie nie powiem, tajemnica śledztwa – odparował z uśmiechem, po czym odwrócił się na pięcie i opuścił dom.

Pozostawieni z wyrazami oszołomienia na twarzach reprezentanci babiborskiej elity przez chwilę milczeli, trawiąc hiobowe wieści i zastanawiając się, co mogło spowodować zmianę decyzji Patrycjusza Pieprzycy, który był ostatnim człowiekiem na ziemi skłonny przychylić się do absurdalnych pomysłów Szelesta.

– Nie ma wyjścia – zawyrokowała w końcu Basia. – Trzeba zaprosić prokuratora i wyciągnąć z niego jak najwięcej informacji.

Sześć głów poruszyło się zgodnie w górę i w dół.

– Może Piotr też by coś powiedział? – zastanawiała się Tarnacka, zerkając niepewnie na Basię.

– Można spróbować – stwierdziła czarnowłosa dziewczyna. – Książek także mógłby coś wywęszyć, w końcu jest dziennikarzem.

– I pan posterunkowy – poparła pomysł Alicja.

– To może przy okazji, jak już ich tu wszystkich będziemy miały, przypomnimy o złożonej nam obietnicy? – zasugerowała Lilka.

Do Bożego Narodzenia pozostawały trzy tygodnie. Plany otwarcia pensjonatu dawno już zostały odłożone na bliżej nieokreśloną przyszłość,

ale na niektóre sprawy dziewczęta nie miały najmniejszego wpływu. Tak jak na pana Zdzisia, który czwarty tydzień kończył stolarkę, a efektów jego pracy jak nie było, tak nie ma, i nie zapowiadało się, że szybko będą. Tymczasem, ku wielkiej rozpaczy właścicielek siedliska i radości mieszkańców Babiboru, rodzice dziewcząt postanowili spędzić święta na Podlasiu. I rzecz jasna, siedlisko kupione za szczęśliwy los miało być najwłaściwszym miejscem do celebrowania wigilijnej wieczerzy. Przecież rodziców nie wyrzuca... Nie zamierzały też narażać ich życia, gdyby schody miały się zapaść albo sufit posypać. Tak źle i tak niedobrze. A czasu coraz mniej.

– Dobra, nie ma na co czekać – zdecydowała Lilka. – Jutro widzimy ich tu wszystkich na obiedzie. A jeśli będą się wykręcać, zagrozimy, że ich otrujemy.

– To może lepiej powiemy, że już ich otrułyśmy, i odmówimy podania odtrutki? – zasugerowała Alutka.

– Może być – zgodziła się Lila.

Pomysł został zaaprobowany przez wszystkich obecnych, więc po wypiciu herbaty Tarnaccy i Szymczakowa oddalili się pośpiesznie do swoich domów, szczególnie że na zewnątrz zapadał zmrok. Po niedawnej przygodzie z upiorem oraz ze świadomością, iż gdyby jednak Malwina nie była morderczynią, to prawdziwy złoczyńca wciąż znajduje się na wolności, woleli nie kusić losu. Wraz z zachodem słońca Babibór zamierał. Wrócono także do zamykania na noc drzwi w myśl porzekadła: „Strzeżonego Pan Bóg strzeże”, zwłaszcza że od śmierci Antoniego Pana Boga tymczasowo reprezentował proboszcz z Białowieży, a robił to na pół gwizdka.

ROZDZIAŁ 4

Posterunkowy Sebastian Sierżant przysunął sobie krzesło pod celę i usiadł z głośnym westchnięciem. To samo zrobiła Malwina Maślankiewicz po drugiej stronie krat.

– Poszedł? – zapytała zaskakująco czułym tonem.

– Uhm.

– Może go coś rozjedzie albo jakieś zwierzę porwie.

– Możemy mieć nadzieję, ale wie pani, co mówią o nadziei.

– Oj, Sebek, a coś ty taki nudny³?

Rudzielec wzruszył ramionami i wyprostował swoje nienaturalnie długie nogi.

– Życie, pani Maślankiewiczowa, życie... – odparł cicho.

– A co ty, chłopaku wiesz o życiu? – parsknęła sołtysowa. – Tyle co w książkach przeczytasz, a to przecież wcale nie jest prawda.

Posterunkowy otworzył usta, żeby zaprotestować, ale przyszło mu do głowy o wiele lepsze rozwiązanie. Sięgnął do kieszeni marynarki, z której wyjął nieco sfatygowany egzemplarz książki, otworzył ją na stronie sto sześćdziesiątej szóstej, odchrząknął i zaczął czytać:

– „Krzysiek niezbyt dobrze czuł się w kościołach. Był klasycznym Polakiem, czyli *niewierzącym praktykującym*. Wigilia? Proszę bardzo, karpia zje, prezent da i przyjmie, nakrycie dla niechcianego gościa też się znajdzie, upchnięte gdzieś na boku, ale jest. Sianko i opłatek – najlepiej, jeśli były dołączone do świątecznego wydania lokalnej gazety. Wielkanoc? Jajeczka, koszyczek i rozmodlona mina, potem trzy dni żarcia i wódeczki. Wesela i pogrzeby? Obowiązkowo. Czasem z rozpędu do kościoła w niedzielę albo jak jest jakiś interes do Boga, na przykład sesja się zbliża, albo dostanie się guza mózgu, śmiertelnego ze wszech miar. Jak trwoga, to do Boga, i jak mawiają Amerykanie: w okopach nie ma ateistów”⁴. I co pani na to, pani Maślankiewiczowa? Nieprawda?

Malwina zmarszczyła nos i postukała się różowym paznokciem w jego czubek. Właściwie to paznokieć też był różowy tylko na czubku, gdyż Szelest uważał, że aceton w zmywaczu mógłby posłużyć Malwinie za

narzędzie zbrodni.

– Co to? – zapytała.

– *Znachor* – poinformował rudzielec. – Spodobałby się pani, gdyby komendant pozwalał pani czytać kryminały.

– Och, do diabła ciężkiego! – wściekła się sołtysowa. – Szelest i jego postępujące zidiocenie! Przynieś mi tu papier i długopis, będę pisać petycje!

– A do kogo? – zainteresował się Sierżant.

– Do wszystkich. Zrobisz tuzin kopii i rozeszlesz, gdzie trzeba. Do wojewody, do komendanta wojewódzkiego, do papieża!

– Do prezydenta, premiera i ministra sprawiedliwości – podpowiedział uczynnie.

– Nie, do nich nie, oni czytać ze zrozumieniem nie potrafią – zastrzegła Malwina. – Wiem! Do tego kuzyna księdza Antoniego, łebski z niego facet!

Posterunkowy musiał przyznać rację pani Maślankiewicz. Henryk Grabski rzeczywiście był łebski, a w dodatku miał zaskakujące znajomości. Plotki głosiły, że niegdyś zajmował się szpiegostwem, w co Malwina nie chciała uwierzyć, bo w głowie jej się nie mieściło, że taki miły i przystojny człowiek mógłby się parać pracą agenta.

Sierżant z niechęcią podniósł się z krzesła i ruszył do biura po artykuły piśmiennicze. Zanim zniknął, usłyszał jeszcze:

– I przynieś mi telefon, muszę zadzwonić do Miecia, stęskniłam się.

*

Posterunkowa Antkowiak od kilku dni się zastanawiała, jak mogłaby pomóc przyjacielowi. Ten biedny Sebek zupełnie stracił chęci do życia i marniał w oczach z dnia na dzień. Może gdyby Szelest nie zachowywał się jak... Szelest i włączył Sierżanta do toczącego się śledztwa, chłopak miałby na czym skupić uwagę. O tym, w jak kiepskiej kondycji znajduje się dryblas z płomiennorudą czupryną, świadczyło już nawet to, że od wielu dni nie zajrzał do siedliska. A przecież Alutka testowała wszystkie przepisy Sabiny Szymczak, więc Sebastian mógł się najeść jak bąk, nie wydając ani grosza. Swoją drogą, konstatowała Antkowiak, czy ona ostatnio widziała, żeby Sebek cokolwiek jadł? Nawet kanapek z domu, zdaje się, nie przynosił. Oj, źle się działo z posterunkowym Sierżantem, źle bardzo.

– Co tym razem? – zagadnęła kolegę, gdy jego strzelista sylwetka pojawiła się w drzwiach.

– Za mężem się stęskniła – odparł Sebastian.

– Mogła poprzedniego nie mordować – skomentowała pani Róża. – Albo przynajmniej mądrzej to zrobić.

Agnieszka Antkowiak rzuciła przelotne spojrzenie na Sierżanta, po czym obróciła się na fotelu o sto osiemdziesiąt stopni.

– Czyli jak? – zapytała recepcjonistkę.

– Jak, jak... Normalnie! Każdy człowiek wie, że bez ciała nie ma zbrodni, a jak nie ma zbrodni, to nie ma ciurmy⁵, prawda?

– Niby prawda – zgodził się ostrożnie Sierżant. – A pani jak by to zrobiła? Znaczy: żeby było bez ciała?

Pani Róża odsunęła się nieco od biurka, wyłożyła na nie nogi, skrzyżowała ręce na piersiach i przybrała pozę mędrca.

– Po pierwsze: trzeba znaleźć odpowiednie miejsce w ogrodzie – zaczęła.

– W ogrodzie? – zdumiała się Antkowiak. – Przecież to od razu da się zauważyć.

– Tylko wtedy, gdy robi to partacz – odparła Róża. – Trawę usuwa się osobno, żeby po wszystkim przykryć wykop, a po podlaniu wodą z nawozem ślad po odcięciu trawy zniknie w ciągu kilku dni.

Sierżant, zaintrygowany ekspercką wiedzą kuzynki Malwiny Maślankiewicz, przycupnął na brzegu biurka Antkowiak.

– A ten wykop? – zachęcił recepcjonistkę do dalszych wskazówek.

– Wykop jak wykop, kopiesz dziurę w ziemi, dwa, może dwa i pół metra głębokości, ale trzeba pamiętać, żeby dookoła wykopu ułożyć folię budowlaną, minimum typ dwieście, i tę wykopywaną ziemię rzucać na folię. Tylko warstwa ziemi nie może przekraczać dwudziestu centymetrów, żeby trawa się zbyt nie wygniotła i nie został odcisk.

Posterunkowa Antkowiak zaczynała żałować, że nie ma pod ręką dyktafonu, a komórka jej się rozładowała. Znała panią Różę całe swoje życie, ale nigdy do głowy jej nie przyszło, że ta niepozorna kobieta będzie ją szkolić z organizowania miejsca ukrycia zwłok. No, no...

– Po wrzuceniu ciała – ciągnęła tonem eksperta kobieta – całość wykopu nakrywamy folią, podlewamy benzyną, żeby zmylić psy szkolone do

wywężania trupa, zsypujemy ziemię z folii okalającej dziurę, nakładamy odciętą trawę, skrapiamy wodą, najlepiej zraszaczem, żeby nam się berbelucha nie zrobiła, grabimy miękkimi grabiami i gotowe.

– Wszystko fajnie – stwierdził oszołomiony Sierżant – ale zniknięcie ciała jakoś też trzeba by wytłumaczyć.

Pani Róża spojrzała na niego z wyraźnym politowaniem.

– Aleś ty, Sebek, durny – parsknęła. – Najlepiej to zrobić przed wakacjami, roztrąbić dookoła, że się z małżonkiem wyjeżdża, wyjechać naprawdę, zmienić tożsamość, zamieszkać w obcym kraju i po zawodach.

– No widzisz, duraku? – zaszydziła Antkowiak. – Takie to proste. A Malwina Maślankiewicz nie dość, że nie wyjechała, to jeszcze ciało zostawiła, żeby prawo Archimedesza udowadniało naocznie.

– Ja tam nie wiem, czy to na pewno ona... – zafrasował się posterunkowy. – Jakoś mi się nie widzi, żeby ona Augusta chciała mordować. Melska to co innego...

– A ja wam mówię, że to jedno i to samo – oznajmiła pani Róża. – Jeden chciał ją kantem puścić, a druga chciała jej Mietka zabrać.

– Jak to: kantem? – podłapał Sierżant, którego Szelest do akt sprawy nie dopuszczał.

Róża wzruszyła ramionami.

– Tyle wiem, że chciał Malwinę zostawić, ale po co albo dla kogo, to już wy musicie od niej wyciągnąć. – Recepcjonistka zdjęła nogi z biurka, bo jej się blat dotkliwie w łydkę wbijał, zerknęła do lusterka stojącego obok kuwetki z dokumentami i łypnęła groźnie na posterunkowego. – Jakbyście chcieli znać moje zdanie, to dużo więcej w tym temacie może wiedzieć Marlena. Ale na pewno Szelestowi nie powie.

– A nam? – zapytali równocześnie policjanci.

– Zależy, co jej dacie w zamian – odparła z typową dla siebie szczerością. – Ale jeśli powiecie, że to może uwolnić jej wnuka od znienawidzonej żony, to pewnie wyśpiewa wszystko jak na spowiedzi. A właśnie! – przypomniała sobie za sprawą skojarzenia. – Czy już coś wiadomo w sprawie księdza?

Posterunkowi pokręcili głowami. Niczego w tej kwestii nie wiedzieli, a poza tym mało się nowym duszpasterzem interesowali. Jakoś im to było wszystko jedno, kogo przysłał, bo nikt Antoniego nie mógł zastąpić – nawet

pop tak mówił, a pod nieobecność księdza katolickiego jego właśnie, batuszkę Mikołaja, społeczeństwo uznawało za prawą rękę papieża. Co to za różnica, jakiego wyznania jest kapłan, skoro Pan Bóg jest jeden, a w dodatku wszędzie?

Chwilę ciszy przerwały nagle okrzyki dolatujące z piwnicy, przypominające Sierżantowi, po co właściwie wrócił do góry. Zerwał się jak oparzony, wyciągnął z drukarki kilka kartek, chwycił długopis i słuchawkę telefonu bezprzewodowego, po czym niemal biegiem rzucił się do aresztu.

Malwina z wyraźną dezaprobatą przyjęła łupy i przez chwilę zastanawiała się, co zrobić najpierw, w końcu jednak zwyciężyła miłość do męża. Usiadła na pryczy, oparła się o zimną ścianę i wybrała numer. Po kilku sekundach odezwała się głosem tak słodkim, że posterunkowemu, który już zajął strategiczną pozycję na krześle, na myśl przyszły dojrzałe morwy. Nie cierpiał ich mdlącego zapachu, skrzywił się więc okropnie i postanowił wyłączyć słuch. Oczywiście z marnym skutkiem.

– No cześć, moje słoneczko, sensie mojego życia, najcudowniejszy z cudów tego świata – zaszczębiotała Malwina do słuchawki. – Ach, tak za tobą tęsknię, mój Miociusku, nawet sobie nie wyobrażasz...

Sebastian przewrócił oczami i skrzywił się jeszcze bardziej, choć wydawało się, że już wcześniej osiągnął apogeum.

– Nie, wszystko w porządku – odpowiedziała Maślankiewiczowa po chwili ciszy. – Tylko ten ułomny Staszek nie rozumie, że kobieta dla komfortu psychicznego potrzebuje firanki w oknie. I poduszki, żeby móc się do niej w nocy przytulić, kiedy tęsknota doskwiera najmocniej.

W tonie sołtysowej brzmiało tyle żalu, że Sebastianowi ścisnęło się serce. Zerknął przez ramię i zdębiał. Malwina szelmowsko się uśmiechała, zawijając rubinowy kosmyk wokół palca wskazującego. A to diabolic!

Sierżant szybko się odwrócił, ostentacyjnie szurnął krzesłem i wrócił do lektury *Znachora*, kręcąc głową z niedowierzaniem. Mimo że akcja książki bardzo go wciągnęła, po kilku minutach musiał przerwać, słysząc pełne niedowierzania okrzyki Maślankiewiczowej.

– Jak to: obcy?! Jakim prawem? I może jeszcze Mickiewicza potępia?!

Sebastian znów podsunął krzesło pod same kraty i wlepił w sołtysową uważne spojrzenie. Ona tymczasem z każdą sekundą coraz bardziej przypominała gradową chmurę.

– Ja się absolutnie nie zgadzam, żeby ktoś decydował za mnie! Za nas, znaczy, ale za mnie też!!! – sapała już niemal do słuchawki, jakby za moment miała ją pogryźć. – Co?! Że ja nie mam praw? Ty się lepiej weź za bronienie mojego imienia, Mieczysławie Maślankiewicz, bo jak tylko stąd wyjdę, to zamienię twoje życie w piekło!!!

Na jego miejscu postarałbym się, żebyś prędko nie wyszła, pomyślał posterunkowy. Szybko jednak się zreflektował, że w tym przypadku nieszczęście sołtysa będzie jego szczęściem, więc pomodlił się w duchu o rychłe uwolnienie Malwiny.

– Chyba że ty też mi nie wierzysz? – syczała kobieta do telefonu. – Bo jeśli tak jest, to nie chcę cię znać i żądam natychmiastowego rozwodu. Albo lepiej unieważnienia małżeństwa! Po co? A po to, żeby móc przed Bogiem wziąć ślub z kimś, kto mi będzie wierzył! – Wcisnęła pulchnym kciukiem guzik z czerwoną słuchawką i zmarszczyła czoło. – Słyszałeś go, Sebek? – warknęła do policjanta. – On ma czelność mnie pytać, czy ja na pewno nie zamordowałam tej wywłoki! Ja! Brzydziłabym się ją tknąć, tfu!

– No wie pani... – bąknął Sierżant bez przekonania. – Nikt inny nie miał motywu.

– A jaki ja niby miałam?! – ryknęła oburzona Malwina.

Sebastian otworzył usta, żeby wygłosić mądrość o głównych motywach kierujących zbrodniarzami, jednak nie zdążył.

– A dajcie mi spokój – westchnęła Maślankiewiczowa i złapała się za czoło. – Od tego wszystkiego zaraz globusu dostanę.

Posterunkowy się poderwał, jakby krzesło oparzyło go w kościste siedzenie, i przyłgnął do krat.

– O matko, mogę coś dla pani zrobić? Żeby tego globusu jednak nie było? Cokolwiek?!

Malwina zerknęła na niego spod zakrywającej czoło dłoni.

– Cokolwiek? – upewniła się.

– Wszystko, co dopuszcza prawo – doprecyzował.

– W takim razie poślij po Marlenę.

Pomarańczowe brwi podjechały pod linię włosów, a szczeka posterunkowego opadła niemal do obojczyków.

– Po panią Marlenę? Serio? To jest pani remedium na migrenę?

– Nie bądź głupi, Sebek – prychnęła sołtysowa. – To jest moje alibi.

ROZDZIAŁ 5

Prokurator Patrycjusz Pieprzyca coraz częściej myślał o przejściu na emeryturę. Wiek miał już odpowiedni, pieniędzy dorobił się wystarczających, mógłby sprzedać mieszkanie w Hajnówce i wyjechać do ciepłych krajów, gdzie dożyłby swoich dni, czytając książki, na które dotychczas nie miał czasu. Wiedział doskonale, że na jego miejsce ostrzą sobie zęby co najmniej trzej młodzi, nieźle rokujący prokuratorzy, więc nie pozostawiłby urzędu bez opieki, a może świeża krew wniosłaby coś do skostniałego systemu. Chociaż to ostatnie było mało prawdopodobne, bo każdy, kto wsiąkał w struktury aparatu sprawiedliwości, szybko nabierał najgorszych nawyków i w okamgnieniu stapał się z resztą tej zepsutej sitwy. Jak w korporacji, tylko gorzej: pieniądze mniejsze, prestiż żaden, a możliwości rozwoju wręcz ujemne. Nawet kursów języków obcych firma nie gwarantowała, o owocowych wtorkach nie wspominając.

Większość ludzi na jego pozycji, z jego doświadczeniem i przebiegiem kariery z pewnością już dawno by się wypaliła. On nie czuł wypalenia, umysł miał ostry jak gilotyna, która niegdyś skróciła Marię Antoninę o głowę, wciąż wierzył w sprawiedliwość, w prawo nieco mniej, był znakomitym sędzią charakterów i nawet mu się chciało. Miał misję. A jednak z jakiegoś powodu od niedawna chodziło mu po głowie spokojne życie emeryta.

Dochodzenie w sprawie zabójstwa Moniki Melskiej ciągnęło się niemiłosiernie, nie było żadnych śladów, które w jakikolwiek sposób mogłyby wskazać na sprawcę. Ot, czysta robota. Tylko ten cymbał Szelest się uparł, że udowodni winę Maślankiewiczowej. Patrycjuszowi Pieprzycy nawet nie chciało się z nim dyskutować. Zgadzał się na wszystko dla świętego spokoju, doskonale wiedząc, że starszy aspirant udowodni tylko jedno: własną głupotę. Przymykał więc oko na kolejne niedorzeczne teorie, na przeszukiwanie domów, stodół, garaży, nawet jeziora w siedlisku. Co prawda Malwina wciąż pozostawała w areszcie, ale krzywda jej się tam nie działa, a przynajmniej nie narazi się na samosąd, który z całą pewnością

miałby miejsce. Tak, dzięki jej pobytowi w ciurmie sumienie zbiorowe będzie czyste, nikt na niej psów nie będzie wieszał, a przecież posiłki jej dowożą z restauracji, wygody ma jak w hotelu (z toaletą jedynie nic się nie dało zrobić, ale dzięki temu zachowali pozory, jakby sołtysowa faktycznie była podejrzana).

Jednak było coś, co prokuratora Pieprzycę martwiło. Dopóki nie wspomniał o tym jego przyjaciel, Henryk Grabski, nawet mu do głowy nie przyszło, żeby brać winę Malwiny na serio. „Przy jednym morderstwie szuka się motywu, przy dwóch – związku pomiędzy ofiarami, przy trzech szuka się seryjnego mordercy, który nie ma motywu, a ofiary nie mają ze sobą bezpośrednich związków”. Henryk wypowiedział owo zdanie, gdy Pieprzyca relacjonował mu ostatnie wydarzenia w Babiborze. Rzecz jasna, na razie nie było mowy o dwóch morderstwach, oficjalnie śmierć Augusta Arciszewskiego zakwalifikowano jako wypadek. Nikomu zresztą nie zaświtało, żeby potraktować ją inaczej. Wziął chłop i się utopił we własnej wannie, zdarza się.

Ale gdyby... gdyby odwrócić tę prawidłowość i zacząć od tego, że mamy dwie powiązane ze sobą ofiary? Wówczas teoria Szelesta nabiera sensu. Sęk w tym, żeby teorię udowodnić. Oczywiście, że to problem niewydarzonego komendanta, ale owa misja, którą prokurator Pieprzyca nieustannie czuł w każdej komórce swojego ciała, wciąż nie dawała o sobie zapomnieć.

A może jednak emerytura?

Rozważania przy śniadaniu przerwał ostry dźwięk telefonu. Patrycjusz niechętnie sięgnął po wibrujący aparat i skrzywił się z niesmakiem na widok numeru telefonu Powiatowej Inspekcji Sanitarno-Epidemiologicznej w Hajnówce. Miał nadzieję, że dłużej to potrwa.

– Pieprzyca – rzucił do słuchawki. Słuchał przez chwilę, kręcąc głową z rezygnacją. – Rozumiem, dziękuję. – Znów chwilę posłuchał, po czym zapewnił: – Nie ma takiej konieczności, wszystko załatwię z księdzem.

Rozłączywszy się, odłożył telefon na stół i splótł dłonie pod brodą. Cholera jasna wzięłaby Szelesta i tę jego całą idiotyczną wendetę na Maślankiewiczowej! Dopiero będzie wydarzenie we wsi! Kto to widział, żeby zwłoki z grobu w poświęconej ziemi wyciągać?!

Prokurator westchnął głośno i sięgnął po kubek z przestygniętą kawą.

Nie lubił, gdy była zimna, traciła wtedy cały swój aromat. Dokończył nadgryzioną kanapkę, opłukał talerz i wylał resztkę kofeinowego naparu do zlewu. Co robić? Jako nadrzędny organ musiał dołożyć wszelkich starań, aby „sprawca przestępstwa został wykryty i pociągnięty do odpowiedzialności karnej, a osoba niewinna nie poniosła tej odpowiedzialności”⁶.

Ubrał się, nie zapominając o cieplejszej bieliźnie, jako że zamrożone kałuże nie pozostawiały złudzeń co do panującej na zewnątrz temperatury, i wyruszył do Babiboru.

Zanim pojechał na plebanię batuszki Mikołaja, postanowił wstąpić do Piotra Piaseckiego. Jego samochód stał zaparkowany przed domem, a to oznaczało, że właściciel znajduje się na miejscu. Lekarz i doktor prawa w jednej osobie otworzył drzwi w flanelowej piżamie, którą musiał zakładać, będąc już ledwo przytomnym, górę bowiem zapiął od pierwszego guzika, ale trzeciej dziurki, wskutek czego wystawał mu pępek. Pieprzycy jednak to nie przeszkadzało, doskonale rozumiał, jak czuje się człowiek po nocnym dyżurze w pracy. Bez słowa wszedł do środka, nie czekając nawet na zaproszenie ziewającego gospodarza, zdjął buty, powiesił płaszcz na wieszaku i pomaszerował prosto do kuchni.

– A gdzie masz kawę? – zapytał z niedowierzaniem, kiedy w szafce znalazł jedynie pustą puszkę z napisem „Coffee”.

– Yyy, chyba się skończyła. – Gospodarz wciąż nie wyglądał na obudzonego.

– No nie, jak można żyć bez kawy?

– W pracy piję... – wyznał przeproszającym tonem Piasecki. – W siedlisku na pewno mają.

– W żadnym siedlisku! – zaprotestował prokurator tak stanowczo, że resztki snu opadły z powiek lekarza.

– A to ci niespodzianka. Znów coś wywinęły?

– Oby nie! Właśnie dlatego zamierzam ich unikać, żeby w nic się nie wmieszały – wyjaśnił Patrycjusz. – Wystarczy nam ten cyrk, jaki zgotował Szelest.

– Ech, ten Szelest... – westchnął ciężko Piotr i pokręcił głową. – Widziałem, że zgodziłeś się na ekshumację. Nie mogłeś jeszcze trochę pozwlekać? Tak do połowy kwietnia⁷?

– Słuchaj, Piotrek. – Pieprzyca zniżył głos i usiadł na krześle, a Piasecki zajął drugie, naprzeciwno. – Ja sam nie wiem, co mam o tym myśleć, bo im więcej myślę, tym bardziej mi się wydaje, że Szelest może mieć rację.

– Ty... dobrze się czujesz?

– Możliwe, że już mi całkiem odbija, ale zacząłem się zastanawiać, czy aby dwie śmierci wokół Malwiny Maślankiewicz to przypadkiem nie za dużo jak na zbieg okoliczności.

– Hmm... – Piasecki zamyślił się głęboko, szukając najbardziej dyplomatycznej odpowiedzi. – Jako lekarz potrafię dostrzec w tym rozumowaniu sens. Ale jako obrońca Malwiny... Cóż, jedyne, co przychodzi mi do głowy, to: rób wszystko, żeby pozbyć się wątpliwości i działaj zgodnie ze swoim sumieniem.

– Skoro już przy sumieniu jesteśmy, to zmierzam do Mikołaja. Jedziesz ze mną?

Piasecki spojrział na swoją piżamę, dopiero teraz zauważając, że jest krzywo zapięta, i zrobił minę niczym bezradne dziecko.

– Wybacz, ale nie jestem gotowy na odwiedziny, zamierzałem dziś poczytać, sam rozumiesz...

– Jasne, rozumiem – przytaknął Pieprzyca. – W takim razie jadę, może Mikołaj będzie miał kawę.

Gospodarz uśmiechnął się przepraszająco i odprowadził prokuratora do drzwi. Odczekał, aż przyjaciel włoży buty i płaszcz, po czym pożegnał go skinieniem głowy. Ostry podmuch wiatru niemal wyszarpnął mu drzwi z ręki. Na szczęście obeszło się bez tragedii i po chwili usłyszał odgłos uruchamianego silnika.

Niespodziewane odwiedziny prokuratora wyrwały go bez pardonu z objęć Morfeusza, lecz teraz był już całkiem rozbudzony, choć jeszcze nie czuł się gotowy na powrót do świata Jakuba Kani. Wciąż zapominał powiedzieć Sierżantowi, że poleczone przez niego książki Macieja Siembiedy okazały się strzałem w dziesiątkę i zadowoliły wysublimowany gust czytelniczy Piaseckiego. Z tego też względu nie lubił czytać ich na raty i z ogromną przyjemnością myślał o dniu wolnym, kiedy będzie mógł bez reszty zanurzyć się w historii.

No i proszę, dzień wolny nadszedł nawet szybciej, niż Piotr tego oczekiwał, lecz życie znów stanęło mu na drodze do zrealizowania

przyziemnej fantazji o leżeniu z nosem w książce. Teraz będzie rozmyślał o słowach Patrycjusza, w kółko analizował zeznania Malwiny Maślankiewicz i bez końca wałkował zebrane dotąd ustalenia. Diabli nadali Szelesta i jego idiotyczny upór!

A do tego kofeina mu wyszła... I jak tu myśleć bez kubka mocnej i słodkiej kawy? Nie było rady: znów musiał zdać się na gościnność sąsiadek, a tak długo wzbraniał się przed zaglądnaniem do siedliska! No ale nic to, będzie twardy, nie puści pary z gęby, choćby Basia patrzyła na niego tymi wielkimi oczami do uśmiechniętej śmierci. Nic nie powie, ani słoweczka!

Narzucił na siebie płaszcz, związał go mocno paskiem, na nogi włożył gumofilce i z zawziętą miną ruszył do sąsiedniego domu, z którego wnętrza już przy płocie dolatywały go dźwięki poranka.

ROZDZIAŁ 6

Rokita poczekał, aż jego żona zaśnie, przejrzał się w lustrze, z zadowoleniem stwierdził, że wciąż jest niedorzecznie przystojny, po czym na palcach wymknął się z chatki. Pozostawił na jej straży wiekową wierzbę, a drzewo natychmiast szczelnie otuliło dom gałęziami, wykonując rozkaz swego opiekuna niczym doskonale wytresowane zwierzę.

W puszczy dawno już zapadła noc czarna i gęsta jak atrament, runo zniknęło pod grubą warstwą mgły, a ptaki zasnęły, ukołysane pohukiwaniem sów. Ciemno było choć oko wykol. Żaden normalny człowiek nie odważyłby się zrobić ani kroku – tyle że Rokita nie był człowiekiem. Ani też nie był normalny. Nawet jak na boga.

Śmiałym i zbyt szybkim jak na zwykłego śmiertelnika krokiem, sprawnie lawirując między gęsto rosnącymi drzewami i krzewami, dotarł do skraju puszczy i zatrzymał się na chwilę. Była to granica jego świata, w którym czuł się najpewniej, gdzie znał grubość każdego konaru i kształt każdej gałęzi. Tu również mógł być sobą – bogiem, władcą, nie-człowiekiem o urodzie tak olśniewającej, że ludzkie oko nie było w stanie jej docenić. Wystarczył jednak jeden krok, żeby musiał zaakceptować obce reguły, bo w świecie ludzi Rokita nieustannie czuł się jak gość.

Mimo wrodzonej skłonności do buntu zastosował się do prośby żony; przybrał postać człowieka o rysach tak nijakich, że nikt nie byłby w stanie ich zapamiętać. Jedyne oczy zostały nienaturalnie błyszczące, a tęczówki kolorem przypominały płynne złoto. Włosy, zwykle układające się w miękkie fale, teraz skręciły się w kędziory, przez co wydawały się dużo krótsze. Nie wiedzieć czemu jego ubiór do złudzenia przypominał ten, jaki chłopcy nosili na obrazach Hieronima Boscha, jakby Rokita zupełnie nie zauważył, że od tamtej pory minęły dwa millennia.

Między puszcza a wsią znajdowały się jedynie ziemie należące do kościołów. Bóg szanował te miejsca, zwłaszcza że zajmowały teren niegdyś poświęcony innym bóstwom, między innymi jemu i jego rodzinie. Rokita lubił także zachodzić na cmentarz, gdzie wciąż można było wyczuć

obecność dawnych i dawniejszych przodków. Kilka razy się zdarzyło, że jakaś babuleńka, najpewniej cierpiąca na bezsenność zwiastującą rychłe pożegnanie się z życiem, dostrzegła go, gdy spacerował między grobami i szeptał stare zaklęcia czy inwokacje. Nie przejmował się tym jednak, skoro rzadko kiedy wyglądał dwa razy tak samo. Nawet jeśli ktoś by go zapamiętał, nie przybierał już powtórnie tej postaci, gdy znów przyszła mu ochota na zajrzenie do Babiboru.

Tym razem niemal natychmiast poczuł, że coś jest inaczej niż zazwyczaj. Początkowo nie potrafił sprecyzować źródła tej inności; otaczała go i podgryzała, nie dając się ująć w słowa. Dopiero po chwili, gdy mijał plebanię parafii katolickiej, zrozumiał, że panuje tutaj absolutna ciemność, jakby wieś wymarła albo pogrążyła się w średniowiecznej ćmie. Na wspomnienie ciemnych czasów Rokitę przeszły dreszcze. Za nic nie chciałby wrócić do tych barbarzyńskich, okrutnych, pełnych nienawiści i obrzydliwości lat, kiedy wszelka inność traktowana była jak wcielenie zła, a ono, rzecz jasna, pochodziło prosto z piekła.

Dlaczego we wsi nie świeciło się żadne światło? Dlaczego drzwi kościoła były zamknięte? Jakim cudem z komina domu należącego do plebanii nie unosił się dym? Co tu się, do Swaroga, wyprawiało?

Coraz bardziej zaniepokojony Rokita przemknął przez Babibór, dotarł do wierzby rosnącej na rozstaju dróg i przytulił ją jak dawno niewidzianą przyjaciółkę, którą w istocie była. Drzewo poruszyło się delikatnie, jakby czuły dotyk opiekuna sprawił mu przyjemność, a zwisające gałązki musnęły policzek mężczyzny.

– Mów, moja słodka, opowiadaj, co tu się wydarzyło. Czego byłaś świadkiem, kochana?

Gałązki się rozhuśtały – najpierw wolno, delikatnie, z czasem coraz szybciej i mocniej, jakby wierzba faktycznie zdawała relację, poddając się narastającym emocjom. Pod koniec opowieści witki smagały Rokitę z intensywnością kobiety machającej rękami we wzburzeniu.

– Takie to historie... – zadumał się bóg. – Niech no tylko Ksantypa się dowie. I ten ksiądz, no, no... Ciekawe, czy nowy też będzie wyrozumiały jak Antoni, bo jeśli nie, to... brrr! – Otrząsnął się na samą myśl, co będzie, jeśli nowy duszpasterz okaże się nietolerancyjny. – Ech, zobaczymy, moja słodka, zobaczymy. Tylko tej Malwiny szkoda, bo przecież ona bogom

ducha winna.

Jeszcze raz objął pień wierzby, czule, po ojcowsku, pogłaskał kilka gałązek i szepnął wprost w otwór dziupli:

– Miej oczy i uszy otwarte. Niebawem znów cię odwiedzę, a tymczasem pilnuj naszego serca.

Drzewo potrząsnęło gałęziami i lekko się skłoniło. Chwilę później po tajemniczym mężczyźnie o twarzy pozbawionej jakichkolwiek rysów w Babiborze nie było już śladu.

ROZDZIAŁ 7

Prokurator Pieprzyca zaparkował samochód za ogrodzeniem i wszedł na teren plebanii pełnym determinacji krokiem. Determinacja zaś dotyczyła przede wszystkim kawy: gdyby okazało się, że batuszka akurat odstawił kofeinę albo, dajmy na to, popsuł mu się młynek, Patrycjusz był gotów rozgryzać ziarna i popijać je wrzątkiem.

Mimo że w Babiborze nie zwykło się pukać do drzwi, z jakiegoś powodu zasada ta nie miała zastosowania na plebanii – tak jednej, jak i drugiej. Aktualnie tylko jednej, prawosławnej, bo od śmierci Antoniego nikt nie zaglądał do domu proboszcza katolickiego, wszak nowego księdza jeszcze nie było. Dom wciąż stał, tyle że właściwie przestał istnieć w zbiorowej świadomości wiernych.

Patrycjusz mimowolnie zerknął w stronę probostwa i przypomniał sobie ze wstydem powód, dla którego stare, zabytkowe wręcz drzwi wyglądały jak po zderzeniu z taranem. Dwumetrowy i wyjątkowo barczysty prokurator wcale nie miał zamiaru wyważać ich razem z futryną, ale zbutwiałe drewno bez oporu poddało się naporowi jego ramion. Niestety, nawet to nie zdołało uratować życia jego przyjacielowi.

Batuszka Mikołaj musiał zauważyć nadejście gościa, gdyż przywitał go w progu uprzejmym uśmiechem. Obserwował mężczyznę spod krzaczastych brwi, trafnie domyślając się źródła smutku na twarzy przybysza.

– Szczęść Boże – rzucił, równocześnie wykonując zapraszający gest. – Spodziewałem się ciebie.

– Czyli mogę liczyć na kawę? – ucieszył się Pieprzyca.

– Jakżeby inaczej? Wchodź, przyjacielu, Melania właśnie przygotowuje hreczuszki.

Co prawda Patrycjusz zjadł w domu kanapkę, ale na myśl o racuszkach z domowym twarogiem matuszki Melanii poczuł przypływ apetytu. Zresztą – kto by nie poczuł? Ledwo przekroczył próg, a jego nozdrza podrażnił zapach słodkiego ciasta i ślinianki uruchomiły mu się na dobre. Nawet o

kawie przestał fantazjować, tak bardzo zapragnął skosztować tych boskich placuszków.

Melania stała przy kuchni, podśpiewując coś pod nosem. Jak zwykle o tej porze jej włosy wciąż były nawinięte na wałki, a nocną koszulę przepasała fartuchem, który wcześniej musiał mieć jednolity ciemnozielony kolor, a teraz cały był w mące.

– Dzień dobry, pani Melanio – odezwał się Pieprzyca, starając się nie wystraszyć pogrążonej we własnych myślach kobiety.

– O wszelki duch! – Matuszka odwróciła się raptownie, natychmiast jednak jej usta rozciągnęły się w przyjaznym uśmiechu. – Pan prokurator, jaka miła niespodzianka. Niech pan siada, zaraz Kola dostawi dla pana nakrycie.

Patrycjusz odwzajemnił uśmiech i z lekkim onieśmieniem zajął wolne krzesło. Po chwili pod jego nosem stanął talerz, obok niego pojawiły się sztucce, a batuszka zapytał o mleko do kawy.

– Nie, nie, bez dodatków, na diecie jestem – odpowiedział prokurator.

– Jak to: na diecie? – oburzyła się Melania. – I placków nie zje?!

– Zje, zje, duszko – uspokoił ją pop. – Przecież wszyscy wiedzą, że od twoich placków się nie tyje.

Matuszka spojrzała na męża nieufnie, taksując wzrokiem jego odrobinę zbyt zaokrąglony brzuch. Ostatecznie głośno cmoknęła, wzruszyła ramionami i przewróciła trzy racuchy zarumienioną stroną do góry.

– Chyba się domyślam, co cię sprowadza – oznajmił półgłosem Mikołaj, stawiając przed gościem kubek z kawą. – Wciąż nic nie wiadomo?

– Niewiele – potwierdził prokurator. – Mam wrażenie, że gonimy w piętke.

– Szelest wciąż się upiera?

W odpowiedzi Pieprzyca przewrócił oczami i skrzywił się, jakby jego nozdrza zaatakowała nieprzyjemna woń.

– A czego ty się spodziewasz, Kola? – wtrąciła się Melania. – Jakbyś Staszka nie znał. Jak już się czegoś uczepi, to nie popuści. Taki typ...

– Ale przecież nie może bez końca przetrzymywać niewinnej kobiety! – uniósł się kapłan. – A jak nie ma dowodów winy, znaczy, że jest niewinna. Mam rację, Patrycjuszu?

Matuszka wyłączyła gaz pod patelnią, wyjęła ostatnie trzy racuchy do

miski i postawiła ją na stole. Pieprzyca oblizal się jak wygłodniały pies.

– I masz, i nie masz – odpowiedział, przelękając ślinę. – Nie ma żadnego dowodu na to, że Malwina Maślankiewicz miała jakkolwiek udział w otruciu Moniki Melskiej. Jeśli jednak się okaże, że August również został otruty...

– O mój Panie Boże! – jęknęła Melania.

– To... możliwe? – zaniepokoił się pop. – Można to sprawdzić po tylu latach?

– Można, o ile użyto trucizny, która pozostaje w organizmie. Większość toksyn odkłada się w narządach, niektóre we włosach i w kościach.

– Czyli to już pewne? Będziecie go ekshumować? – W głosie księdza brzmiał smutek.

– Zgadza się, nie miałem wyjścia. A ponieważ to ty jesteś tymczasowym zarządcą cmentarza...

Mikołaj zrobił taką minę, jakby coś go nagle zabolalo.

– Nie żebym narzekał, bo mnie wszystko jedno, ilu ludzi mam na mszy, ale wina⁸ zaczęło mi ubywać w niepokojącym tempie... – mruknął.

– Niestety w tej kwestii nie mam żadnej władzy, ale mogę spróbować podpytać u biskupa – zaoferował prokurator, z coraz większą poządlnością zerkając w kierunku miski.

Melania uchwyciła jego spojrzenie.

– Niech pan nakłada, póki gorące – zachęciła gościa. – A ty, Kola, katolikom nalewkę dawaj, co im to za różnica? Wiśnióweczka w tym roku wyszła lekka i mało słodka, nada się.

Mikołaj po krótkim namyśle uznał sugestię małżonki za godną rozważenia, choć zdecydowanie wolałby, żeby jednak obsadzono kogoś na stanowisku proboszcza sąsiedniej parafii. Nieodżałowanego Antoniego z pewnością nie uda się zastąpić, ale może ten nowy też będzie lubił grać w szachy? I od czasu do czasu w karty?

Ośmielony zachętą matuszki Pieprzyca zajął się konsumpcją niebiańskich racuchów, ochoczo popijając każdy kęs gorącą i mocną kawą, a tymczasem małżonkowie, jakby potrzebowali do tego audytorium, zanurzili się w dyskusji.

– Kto by tę Monikę mógł ukatrupić i za co? – zastanawiał się Mikołaj, głaszcząc szorstki podbródek. Postanowił nie golić się przez jakiś czas, żeby

sprawdzić, czy uda mu się wyhodować brodę.

– Kilka osób by się znalazło, do najmiłszych to ona nie należała – odparła Melania.

– Co masz na myśli, duszko?

– A choćby to, jak potraktowała Natalię – parsknęła matuszka, wyraźnie rozeźlona. – Już nie pamiętasz, jak jej dokuczała, że tylko głupia pozwoliłaby sobie zmajstrować bajstruka⁹, i to jeszcze temu brynzłowi¹⁰.

– A bo to nieprawda jest? – zaoponował małżonek z zaskakującą swadą. – Głupie to dziewczuszyko jak szpuk¹¹ i jeszcze ojcom na głowę ambaras¹² przynosi.

– No i stało się, Kola, to się już nie odstanie, a dzieciak potrzebuje familię mieć. Nie każdy matkę może mieć mądrą.

– Ale głupia matka i ojciec łachudra to już nieszczęście, jak się patrzy – bąknął w odpowiedzi batuszka. – Zostawmy te rodzinne sprawy, o Melskiej mieliśmy rozmawiać.

– Gdybym nie znała Malwiny lepiej, tobym się mogła z Szelestem zgodzić. Krwi jej ta Monika napsuła, Mietka próbowała urobić, wszystkie baby o tym gadały.

– A Mietek to co? Rozumu swojego nie ma? Przecież on nadomnik¹³, zostawiłby wszystko dla jakiejś podfruwajki?

– Czy ja mówię, że by zostawił, Kola? Powtarzam tylko, co słyszę od ludzi. A skoro ja słyszałam, to i Maślankiewiczowa na pewno też. A tak po prawdzie, to nigdy nie wiadomo, co facetowi do głowy strzeli.

Mikołaj spojrział na żonę z dezaprobatą. Po chwili musiał jednak uznać, że może trochę racji w słowach Melanii było, w końcu nie takie rzeczy już widział. Mietek od Malwiny sporo młodszy, kobiety się za nim oglądają, może mu coś odbiło i faktycznie z tą Moniką kombinował?

– I ty naprawdę myślisz, że Malwina mogłaby z zazdrości... zabić? – Po raz pierwszy ta myśl w głowie batuszki nabrała sensu, choć wciąż uznawał ją za absolutnie nieprawdopodobną.

– Przecież mówię, że nie myślę. Nie Malwina. Może ona wydaje się groźna, ale serce ma jak gołębica i prędzej by jaki urok na Melską rzuciła, żeby jej się pojawiły pryszczki na odwłoku albo żeby zgrubła jak jaka reszelucha¹⁴. A z martwej to jaki pożytek? Nie dość, że z niej sztydzić nie można, to jeszcze Malwina wcale małżeństwa nie uratowała.

Pieprzycy przysłuchiwał się rozmowie wdzięczny za to, że nie z jego inicjatywy te wszystkie plotki pojawiły się na tapecie, ostatecznie zdanie Melanii dało mu jednak sporo do myślenia.

– A jak to było z Augustem i Malwiną? – zapytał niby od niechcenia. – Podobno tamto małżeństwo też kryzys przeżywało.

Melania podparła brodę na zwiniętych dłoniach i zmrużyła oczy.

– Arciszewski to była badzina¹⁵ – oznajmiła z powagą. – Ileż ta Anka¹⁶ się przez niego napłakała, nawykliwała i wstydu najadła. Chodziły we wsi słuchy, że bajstruków narobił, ale wszystkich się wyparł.

– Chciała go zostawić? – dociekał prokurator.

– Chcieć to może i chciała, ale za każdym razem jak swołocz z domu wyrzuciła, to on zaraz na kolanach do niej wracał i o przebaczenie błagał.

– I ona mu wybaczała? – zdumiał się Patrycjusz, któremu Malwina Maślankiewicz z wybaczeniem akurat najmniej się kojarzyła.

– Ano wybaczała, jak dobra chrześcijanka – odpowiedział pop. – A potem zachorował, to już głowy do bab nie miał, a Malwina z nim jak z jajkiem się obchodziła.

Patrycjusz jak przez mgłę przypominał sobie, że słyszał coś o ciężkiej chorobie Arciszewskiego, ale wtedy jakoś nieszczególnie interesował się sprawami innych, bo swoich miał na głowie aż nadto. Wystarczyła mu własna niewierna żona, o innych wiarołomnych małżonkach nie chciał wiedzieć.

– Pamiętacie, na co chorował? – Patrycjusz sięgnął po kolejnego racucha, składając sobie solenną obietnicę, że do końca dnia niczego już nie zje.

Melania i Mikołaj zgodnie pokręcili głowami.

– Piasecki powinien pamiętać – przypomniał sobie batiuszka. – On go leczył aż do śmierci.

– No i Marlena – dodała Melania.

– Marlena Maślankiewicz? – zdumiał się prokurator.

– Dlaczego to pana Patrycjusza dziwi? Jak trwoga, to do Boga, a jak Bóg milczy, to szeptucha na ratunek.

– Zdaje się, że to właśnie wtedy Mietek poznał Ankę, Malwinę znaczy – dodał w zamyśleniu Kola. – Taka mu szajba odbiła, jakby się blekotu najadł, i łąził za nią bez ustanku. Aż głupio było patrzeć.

O szajbie Maślankiewicza Patrycjusz z całą pewnością wcześniej nie słyszał, toteż ta informacja mocno go zaskoczyła. Pogratulował sobie pomysłu odwiedzenia kapłana, zawsze to łatwiej dowiedzieć się czegoś nieoficjalną drogą.

Dopił kawę, podziękował za sute śniadanie i szykował się do powrotu do Hajnówki. W ostatniej chwili przypomniał sobie o głównym powodzie swojej wizyty i z miną wyrażającą swój stosunek do niniejszego oznajmił:

– Pismo w sprawie ekshumacji powinni dzisiaj nadać, więc za tydzień je dostaniecie, chyba że Tarnackiemu znów nie będzie się chciało z jednym listem jechać. Termin wyznaczyli za dwa tygodnie i dwa dni, więc bądź gotów, Mikołaju.

Batuszka skinął głową, choć i jemu ten pomysł wyraźnie się nie podobał. Niestety, w tych sprawach niewiele miał do powiedzenia, mógł jedynie z pokorą przyjmować decyzje świeckich władz. Jak mus, to mus, i Panie Boże nie pomoże.

Najedzony jak bąk Patrycjusz ruszył w drogę powrotną, jednak w trakcie podróży zmienił zdanie i postanowił zajechać do Białegostoku. Miał kilka pytań do patologa, a przy okazji chciał sprawdzić pewną kwestię, na której trop naprowadziły go słowa Melanii.

ROZDZIAŁ 8

Posterunkowy Sierżant zapukał do drzwi i poczuł znajomy uścisk w sercu. Ostatni raz stał w tym miejscu, kiedy chciał zasięgnąć porady, która ostatecznie na nic się zdała.

– Niech wejdzie – rozległ się chropowaty głos Marleny. – Tylko buciory niech wytrze porządnie.

Sebastian wytarł dokładnie buty w ścierkę rozłożoną przed progiem. Nacisnął klamkę i wstrzymał oddech.

Wewnątrz jak zwykle panowały egipskie ciemności. Posterunkowy ostrożnie postawił nogę w ciasnym przedpokoiku, lewą ręką wymacał ścianę i zamknął drzwi. Z poprzednich wizyt zapamiętał, że od pokoju dzieli go pięć kroków. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć... O cholerka, coś tu się nie zgadza!

– Przemeblowanie zrobiłam – oznajmił głos Marleny.

Policjant wyraźnie wychwycił w nim złośliwe zadowolenie.

– Może pani odsłonić okno? – poprosił, nie ruszając się z miejsca.

Kto wie, co miał przed sobą. Może zaraz zderzyłyby się z szafą?

– Może, może – westchnęła staruszka, wyraźnie niezadowolona.

Musiała jednak być bardzo ciekawa powodu wizyty posterunkowego, skoro zgodziła się skrócić jego męczarnię. Czarna jak smoła ściana naprzeciwko Sebastiana przesunęła się w lewo, odkrywając wielkie okno, przez które do wnętrza wpłynęło światło.

– Wybiera się pani dokądś? – spytał, zauważywszy wielką walizę stojącą pod jego nogami.

Gdyby zrobił ten piąty krok, niechybnie rymśnąłby jak długi i pewnie wybił sobie zęby.

– A nie po to przypadkiem przyjechałeś? – odpowiedziała z miną wyrażającą poczucie wyższości.

– Skąd...? – zaczął, ale szybko się zorientował, że to pytanie jest bez sensu. Marlena zawsze wszystko wiedziała, jakby wszędzie miała swoich szpiegów. – No tak, po to właśnie. Pani Malwina po panią posłała.

– Ostatnie życzenie? – zakpiła staruszka. – Czy może z księdzem mnie pomyliła?

Sebastian wzruszył chudymi ramionami.

– Twierdzi, że jest pani jej alibi.

Marlena zastygła, a jej twarz, pomarszczona jak skórka upieczonego jabłka, przybrała wyraz wielkiego zdziwienia.

– JA jestem jej czym? – wycodziła głosem zarezerwowanym do przywoływania najgroźniejszych demonów.

– Niech pani do mnie nie strzela oczami, ja tylko powtarzam słowa podejrzanej.

– Już ja jej dam alibi! W piąty jej pójdzie i te czerwone loki się rozprostują – utyskiwała staruszka. – Chwytaj sakwojaż, Sebek, i jedziemy. Zaraz śniegiem sypnie.

O ile chwytanie sakwojażu posterunkowy rozumiał, tak zapowiedź opadów śniegu wydała mu się cokolwiek dziwna, skoro właśnie przez okno w najlepsze wpadały promienie słońca. Był jednak człowiekiem uważającym się za dość inteligentnego, może nawet nieco powyżej przeciętnej, co sprawiało, że zwykle wiedział, kiedy trzymać język za zębami. Z wysiłkiem niemalże ponadludzkim dźwignął wielgachny kufer, oczywiście bez kółek, po czym sapiąc i stękając, ledwo dotaszczył go do windy, a po zjechaniu na parter (całe jedno piętro) ostatkiem sił dopadł samochodu. Postanowił – i zamierzał danego sobie słowa dotrzymać! – że jego noga nigdy już w tym domu opieki dla osób starszych nie postanie, a na pewno nie za życia seniorki Maślankiewiczowej. Same z tego wynikały kłopoty.

Marlena już na niego czekała i wyglądała na zniecierpliwioną.

– Ty to chyba po znajomości do policji się dostałeś? Bo egzaminu ze sprawności nie zdałbyś bez dwóch zdań – gderała złośliwie, kiedy biedny posterunkowy przeżywał stan przedzawałowy, a pot lał się z niego wiadrami.

– Co... pani... tam... upchnęła...? – wydukał, z trudem łapiąc oddech. – Ciężkie... cholerstwo... jakby... trup.

– Ty już sprawami szeptuchy się nie interesuj, Sebek. Jakby mi nie było potrzebne, tobym nie brała. Trupów nie przechowuję, bo mają tendencję do śmierdzenia.

Sierżant uwierzył na słowo, jednak nie sprawiło to wcale, że nagle kłabzdron Marleny stał się lżejszy. Na myśl o konieczności dźwignięcia go i włożenia do bagażnika poczuł mdłości.

– No, nie stój tak, mówiłam przecież, że zaraz zaczniesz padać śnieg. Ładuj i ruszajmy – ponagliła go.

Ależ proszę bardzo, bagażnik może otworzyć, wystarczy jedno „pik, pik” i gotowe. Ciekawe tylko, jak ma umieścić w nim ważący trzy tony kufer jaśnie pani!

Rozejrzał się w poszukiwaniu potencjalnego pomocnika, jednak jak na złość ulica była pusta. Piknął pilotem, kłapa się uniosła. Sebastian z miną cierpiętnika schylił się, żeby podnieść sakwojaż. I wtedy stały się dwie rzeczy: na czubku jego nosa wylądowała śnieżynka, a Marlena doskoczyła do pakunku z gracją gazeli, uniosła go bez żadnego wysiłku i umieściła w bagażniku.

Odrętwiały ze zdumienia Sierżant zamrugał kilka razy, pewien, że to mu się przywidziało. Ale nie. Kłabzdron leżał w samochodzie, a z nieba sypał śnieg.

Marlena usiadła już na miejscu pasażera i trzasnęła drzwiami tak mocno, że posterunkowy otrząsnął się z szoku. Zamknął bagażnik, usiadł za kierownicą i bez słowa ruszył w stronę Babiboru. Co chwilę zerkał nieśmiało na staruszkę, jakby się spodziewał, że zamieni się w Thora albo innego supermocarza. Ona jednak nie zwracała na niego uwagi. Zamknęła oczy i nuciła coś po nosie czy może szeptała, co o wiele bardziej pasowałoby do jej zawodu.

Tymczasem śnieg padał coraz gęstszy i nie zapowiadało się, że szybko przestanie. Gdy dojechali do wsi, ziemię i ogołoczone z liści drzewa pokrywała centymetrowa warstwa puchu.

Sierżant się ucieszył, gdy Marlena oświadczyła, że najpierw chce odwiedzić Malwinę, a dopiero później pojedzie do domu Maślankiewiczów. Niech Mietek walczy teraz z kłabzdronem. Sebek nie przewidział jedynie, że napatoczy się na swojego pryncypała, który na widok Marleny zamienił się w szeleszczący wściek.

– A ta co tu robi?! – wrzasnął starszy aspirant i oparł dłonie na biodrach, co miało w jego mniemaniu dodać mu punktów do groźności.

– Pani Malwina poprosiła... – zaczął posterunkowy, ale skończyć mu się

nie udało.

– A od kiedy to, łachudro jedna, przestępcy dyktują warunki? Jakby tak poprosiła, żeby ją wypuścić, to też byś jej posłuchał?!

Sierżant poczuł, że dłonie same zaciskają mu się w pięści. Zawładnęło nim pragnienie przydzwonienia pokurczowi uważającemu się za komendanta prosto w ten jego wielki i garbaty nochal, pod którym furkotały wąsy.

Marlena Maślankiewicz stała z boku i przyglądała się czerwieniejącej twarzy Szelesta niemal z obrzydzeniem. Dezaprobata byłaby tu bowiem określeniem zbyt delikatnym.

– Oj, Staszek, Staszek, ty jednak nigdy rozumu nie nabierzesz – odezwała się spokojnie. – Możliwe, że trochę w tym mojej winy. Upuściłam cię o jeden raz za dużo, kiedy byłeś niemowlęciem, i nieszczęście gotowe.

Posterunkowa Antkowiak prychnęła znad biurka, ale natychmiast schowała się za monitorem. Pani Róża chichotała pod nosem, posterunkowy Sierżant wyteżał całą silną wolę, żeby nie wybuchnąć śmiechem. A Szelest... Niewiele było osób, które potrafiły wyprowadzić go z równowagi do tego stopnia, żeby go zatkało. Marlena Maślankiewicz zaliczała się właśnie do tego elitarnego grona i nieraz sięgała po wstydlive fakty z jego przeszłości. Na nieszczęście Stanisława jego świętej pamięci matka upatrzyła sobie tę złośliwą szeptuchę na najbliższą przyjaciółkę i nie tylko mówiła jej o wszystkim, ale niemalże włączyła ją do życia swojego jedynaka.

Purpurowy aż po skalp starszy aspirant przez chwilę wyglądał, jakby się zapowietrzył, jednak udało mu się nie pęknąć. Posłał Marlenie spojrzenie, którego nie powstydziliby się najgroźniejsza kobra, zacisnął szczękę, po czym odwrócił się na pięcie z takim impetem, że aż gumoleum zapiszczało, i odmaszerował do swojej pieczary. Trzasnął drzwiami z zaskakującą siłą. Dopiero wtedy rozległy się głośne chichoty.

– On panią kiedyś zakatrupi – oznajmiła Róża z rozmarzeniem na twarzy.

– E tam, pies, który głośno szczeka, zazwyczaj nie gryzie – odparła Marlena. – O, jakie ładne kwiaty!

Na biurku pani Róży panował rozgardiasz, w którym jedynie bystre oko zielarki potrafiło wyłowić mikroskopijną doniczkę. Wyrastała z niej roślina

pokryta gęstymi, fioletowymi kwiatuśkami. Staruszka zbliżyła się, żeby je obejrzeć, a rozanielona Róża trajkotała. Antkowiak wróciła do swojej roboty, a Sierżant postanowił zejść do aresztu. Malwina na niego czekała, a z pewnością słyszała krzyki Szelesta, choć stare mury posterunku były grube.

– Gdzie Marlina? – rzuciła sołtysowa z niecierpliwością i niepokojem równocześnie, gdy się pojawił.

– Wącha kwiatki.

Kobieta pobladła i złapała się za serce.

– C-co? Jak to? Jak to się stało? – pytała przerażona.

Sebastian, zupełnie nieświadom, jak mógł zostać odebrany jego lakoniczny komunikat, spojrzał na Malwinę ze zdziwieniem.

– A bo ja wiem? Spodobały jej się i poszła wąchać. Co w tym takiego...? Aaaaa! – zorientował się nagle. – Pani myślała, że ona kitę odwaliła? Niestety, aż tyle szczęścia nie mamy.

– O święty borze galijski, jakiego szczęścia? Sebek, przecież bez niej to ja tu szczenę, jak dwa razy dwa jest cztery!

– To ciekawe, co pani mówi, pani Maślankiewiczowa, bo odniosłem wrażenie, że ona wcale nie chce być pani alibi.

– Ty nie wierz we wszystko, co ta wiedźma mówi – pouczyła rudzielca sołtysowa. – Kłamać nie będzie, a jak powie prawdę, to mi się przysłuży.

Na schodach rozległy się kroki i po chwili Marlina Maślankiewicz stanęła naprzeciwko żony swojego wnuka. Dzieliły je kraty, dwadzieścia centymetrów wzrostu i całe pokolenie.

– No popatrz, Malwinko, jaka ta karma mściwa – zakpiła staruszka. – Raz na szczycie, raz na dnie.

– Może babcia przestać bredzić? Na jakim dnie? Przecież zaraz mnie stąd wypuszczą.

– A ja zupełnie co innego słyszałam – wypaliła seniorka.

Nawet Sierżant spojrzał na nią z zaskoczeniem, bo on nic na ten temat nie wiedział, a Szelest trzymał go z dala od tej sprawy.

– Co? Jak to? – W głosie Malwiny pojawiła się panika.

– Twojego męża będą ekshumować.

Posterunkowy wytrzeszczył oczy, a broda pokryta rzadkim zarostem w

kolorze miedzi niemal wylądowała mu na piersiach.

– Nie zmyśla pani tego? – upewnił się.

– A czy ja bym taki idiotyzm mogła zmyślić? Nawet po śmierci nie dadzą człowiekowi odpocząć. Jakby to, że Malwina go zabiła, mogło cokolwiek dla niego zmienić.

– Ja nikogo nie zabiłam! – załkała sołtysowa. – Niech babcia nawet tak nie mówi, przecież to jest obrzydliwa kalumnia!

– Okaże się, drogie dziecko – zbyła ją Marlena. – Jeśli znajdą ślady trucizny, to zapomnij o Mietku. Daj mu rozwód i niech sobie szuka porządnej żony.

– Ja tu babcię na pomoc wezwałam, a nie po to, żeby mi gwoździe do trumny wbijała. Babcia jest pierwsza w kolejce do drewnianej skrzyneczki.

– I niby jak ja miałabym ci pomóc? – zapytała staruszka, puszczając złośliwą uwagę mimo uszu.

Malwina przysunęła się do krat i wskazała głową na Sierżanta.

– Lepiej, żeby poza babcią nikt tego nie słyszał – wyszeptała z naciskiem.

Nestorka rodu Maślankiewiczów zmrużyła oczy i przez chwilę się zastanawiała. W końcu cmoknęła głośno i odprawiła zawiedzionego posterunkowego. Gdy kroki chłopaka ucichły, przeszła Malwinę zaskakująco ostrym spojrzeniem.

– No, gadaj – ponagliła ją. – Co takiego może cię uratować?

Malwina zbliżyła usta do krat i zaczęła szeptać prosto do ucha staruszki. Gdy skończyła, Marlena wyglądała, jakby trafił ją piorun.

– Oszalałaś! – jęknęła, trzymając się za serce. – Masz rację, twoje miejsce nie jest w więzieniu. Ciebie trzeba zamknąć w pokoju bez klamek.

– Niech babcia nie przesadza. Co najgorszego może się stać?

– Boję się nawet myśleć o tym, co byłoby najgorsze. Mogłabym na przykład umrzeć.

– I tak umiera babcia od lat, więc może potrzeba jakiegoś katalizatora. A ja mam przed sobą jeszcze długie życie. Nie sądzi babcia, że warto się poświęcić?

Marlena wcale nie wyglądała na przekonaną, za to można było odnieść wrażenie, że faktycznie zbliżyła się do światelka w tunelu. Była niezdrowo blada, jej oczy, zwykle bystre i błyszczące, nagle zrobiły się matowe, a białe

jak papier usta zacisnęły się w wąską linię.

– Przemyślę to – rzuciła po chwili. – Tak czy owak, musimy poczekać, aż go z grobu wyjmą i złożą z powrotem.

Malwina skinęła głową ni to w podzięcie, ni na znak zrozumienia. Była przekonana, że staruszka się ugnie, w końcu chodziło również o honor jej wnuka, a nie było na świecie nikogo, kto cieszyłby się tak wielką miłością Marleny jak sołtys. Uda się. Musi. Jeszcze tylko chwila.

Kiedy po babci Mieczysława nie było już śladu, sołtysowa napiła się wody, po czym po raz tysięczny wrzasnęła:

– Staszek!!! Staaaaaaszeeeeeeek!!! Co z moją firanką?!

ROZDZIAŁ 9

— **A**niech moich wrogów przeczyści! Któż to sobie o nas przypomniał?!

Piotr Piasecki zatrzymał się gwałtownie w półotwartych drzwiach. Na najniższym stopniu schodów stała Lilka i patrzyła na niego z mieszaniną zaskoczenia, przygany i wesołości.

– Co? Kto? – Alutka wypadła z kuchni zaintrygowana przedziwnym powitaniem. – O, pan Piotr! Jaka miła niespodzianka!

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. – Piasecki uśmiechnął się nieśmiało.

– Skądże znowu! – zapewniła go natychmiast gościnna artystka. – Niech się pan rozplaszczy i wchodzi, właśnie szykujemy śniadanie.

Lekarz przysiadł na katafalku, czyli dwuosobowej sofie nazwanej tak z powodu znalezienia na niej zwłok Kornelii Konarskiej, zdjął gumofilce i rozwiązał pasek od płaszcza. Wtedy się zorientował, że pod płaszczem ma jedynie piżamę, i poczuł się odrobinę nieswojo.

– Ja tak właściwie to po kawę przyszedłem – wyjaśnił z zakłopotaniem. – Ubiór mam raczej niewyjściowy...

– Oj, niech pan nie przesadza, toż tu sami swoi. My też w piżamach – uspokoiła go Lilka.

– No, skoro to paniom nie przeszkadza...

Zdjął płaszcz, poprawił źle zapięte guziki, żeby przynajmniej pępkiem nie świecić, i na bosaka dołączył do towarzystwa krzątającego się w kuchni. Zdało mu się, że śliczna buzia czarnowłosej Basi pokryła się rumieńcem na widok jego rozciągniętych flanelowych galotów, kobieta szybko jednak się odwróciła i zajęła krojeniem pomidorów.

Julka, wyglądająca nawet o poranku jak gwiazda amerykańskich przebojów kinowych, siedziała przy dębowym stole wyraźnie naburmuszona.

– Dzień dobry, pani Julio. Wszystko w porządku? – zagaił Piasecki, przycupnąwszy na pierwszym z brzegu krześle.

– Bardzo dobrze. Znakomicie. Re-we-la-cyj-nie! – Wymawiając każdą

syłabę, uderzała przypominającym tasak nożem w ogórka. – Le-piej być nie mo-że!

– Julka, nie wyżywaj się na jedzeniu. Nie jego wina, że twój kochaś jest farfoclem – zrugła ją Lilka. – Jak zepsujesz deskę, to ci Alutka przyłoży w splot słoneczny.

– Hej! To moja ulubiona deska od Artura! – Alicja rzuciła się do stołu, żeby uratować pamiętkę.

– Bardzo śmieszne, ha, ha – warknęła Julka pozbawiona narzędzia do wyżycia się. – Może pan mi wytłumaczy, panie Piotrze, w końcu jest pan mężczyzną, dlaczego faceci to takie łązy?

Zaskoczony nieoczekiwanym zwrotem akcji lekarz na moment znieruchomiał, a następnie przesunął wzrokiem po czterech wyjątkowo urodziwych twarzach. Musiał się zgodzić z posterunkowym Sierżantem, że właścicielki siedliska wniosły do Babiboru nie tylko sporo świeżości i energii, ale także piękno, którego zaczynało tutaj przed ich przeprowadzką brakować.

– Eeee, no, bardzo trudne pytanie, pani Julio – usiłował się wykręcić, choć wyszło mu mało dyplomatycznie.

– Ale pan błysnął – stwierdziła kwaśno Lilka. – Jak latarka na ostatkach baterii...

– Kiedy ja naprawdę uważam, że to jest trudne pytanie – bronił się lekarz – na które w dodatku nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Każdy z nas jest inny, nawet jeśli wszyscy jesteście farfocłami.

– Nie wszyscy, nie wszyscy! – zaoponowała Alicja, wymachując wielkim santoku, którym siekała szczypiorek. – Mój Artur jest porządnym facetem i nigdy krzywdy mi nie zrobił.

– Każda reguła ma wyjątki – zauważyła Basia. – Z całą pewnością nie tylko Artur jest porządny, jednak większość to patafiany.

– Otóż to – potwierdziła Julka. – Jakby mieli jakiś defekt DNA.

– Niektórzy z całą pewnością go mają, wystarczy spojrzeć na Szelesta – zakpiła Lilka.

Nawet Piasecki uniósł kącik ust, choć przecież powinien stanąć w obronie swojej płci.

– Czy dobrze się domyślam, że Karol coś przeszkrobał? – postanowił zmienić temat, licząc na to, że w ten sposób uda mu się uniknąć

odpowiedzi na pytanie.

– Oczywiście, mój drogi Sherlocku – warknęła Julka. – Chyba że pan także uzna za normalne zachowanie to, że po kilku tygodniach nieustającego kontaktu ktoś nagle milknie? I szukaj wiatru w polu.

– Znów zniknął? – zaniepokoił się jedyny krewny wspomnianego Karola Książka.

– Nie, siedzi w domu, ale telefonu nie odbiera, nie oddzwania, nie pisze.

– Może jest chory? – zasugerował Piotr, jak na lekarza przystało.

– Ta, jasne, chory na bycie facetem – zawyrokowała zgryźliwie Lilka.

– A nie może pani po prostu do niego pójść i zapytać, co się dzieje? – Piasecki czuł, że zaczyna brakować mu argumentów i pomysłów. Diabli nadali tego Karola, kiedy on jedynie chciał napić się kawy!

Julka przewróciła wielkimi jak spodki i błękitnymi jak letnie niebo oczami, oparła oba łokcie na stole i spojrzała prosto na Piotra. Biedulek musiał przełknąć ślinę, bo pod wpływem pełnego wściekłości wzroku dziewczyny zaschło mu w gardle.

– Myśli pan, że ja tu sobie siedzę i labidzę bez powodu? – wycedziła. – Że nie byłam u niego, nie martwiłam się, nie umierałam ze strachu, że coś się łądzie jednej stało? Bo wie pan, w moim świecie, gdy człowiek nagle, bez żadnego powodu, milknie, to znaczy, że albo coś mu się stało, albo nie zapłacił rachunku za telefon i mu go zablokowali.

– Czyli pani była... – Nic innego nie przyszło Piotrowi do głowy, choć to też nie brzmiało zbyt mądrze.

– Oczywiście, że byłam! Leciałam tam na skrzydłach, zalewając się łzami na myśl, że on, biedulek, leży bez tchu albo w kałuży swoich wymiocin...

– Fajka! – Alicja otrząsnęła się niemal teatralnie. – Nie bądź obrzydliwa, Jula.

– Obrzydliwe to jest to, co robiłaś ostatnio z przepisu pani Szymczakowej – odgryzła się. – No więc leciałam na ratunek, z duszą na ramieniu, a ten cymbał, niech pan sobie wyobrazi, otworzył mi drzwi w poplamionym dresie, wcinając pizzę, i zdziwiony zapytał mnie, czy coś się stało. ON MNIE ZAPYTAŁ! Pan rozumie?

– Tak jakby... Trochę...

– No to jest pan zdecydowanie bardziej pojętny niż ja, bo ja nie

rozumiem ni w ząb. – Julka odchyliła się ostentacyjnie i skrzyżowała ręce na piersiach. – Proszę, niech mnie pan oświeci.

– A mógłbym najpierw dostać kawy?

Alutka pacnęła się w czoło, wszak źle to świadczyło o jej gościnności, kiedy gość musiał się upominać o kawę, i wstawiła wodę w czajniku. Zapomniała o tym, pochłonięta dyskusją na temat męskiego wybrakowania.

– Kawa zaraz będzie, niech pan mówi – ponagliła go Julka, która ani myślała wypuścić biednego doktora z rąk.

Szkoda, że akurat na niego trafiło, bo to całkiem miły facet, ale skoro już się napatoczył, to niech na coś się przyda.

– Wie pani, mam takie podejrzenie – zaczął niepewnie – że Karol to nie jest typ nadający się do stałych związków. To raczej wolny duch. I być może poczuł się... stłamszony? Albo po prostu potrzebował czasu dla siebie? – domniemywał.

Julka trzepotała długimi rękami, nie dowierzając w to, co słyszała. Ona niby miała stłamsić Książka? Przecież to on latał za nią, jakby się blekotu nażarł, on codziennie przynosił kwiaty (z jej ogródka, ale liczą się intencje), on gotował (bo ona przecież nie potrafi), woził ją na spacer, nawet do kina zabrał. A teraz niby co? Sam te obiady będzie jadł? I na spacer sam łaził? Bo potrzebuje czasu dla siebie? Nagle też zaczęła się zastanawiać, jak to się stało, że ona, Julia Jędrzejczak, zatwardziała singielka, zwolenniczka seksu bez zobowiązań, niewierząca w miłość do grobowej deski, nienawidząca reguł i odrzucająca wszelkie przejawy zniewolenia, dała się tak omamić jakiemuś wioskowemu pismakowi. Żeby ona biegała ze łzami w oczach i nie spała po nocach, bo jakiś farfocel nie odpowiada na jej wiadomości?!

– O matko, czy ja to wszystko pomyślałam na głos? – zapytała z przerażeniem, zauważywszy miny pozostałych.

– Na to wygląda, Jules – potwierdziła Lilka ze współczuciem. – Nieźle ci zaszedł za skórę...

– Raczej do serca – poprawiła ją Ala.

– Biedactwo... – Basia przytuliła przyjaciółkę z matczyną troskliwością. Właściwie to dość często czuła się jak matka przy tej dziewczynie o umyśle podlotka.

– Przykro mi, że musiał pan słuchać, jak się wywnętrzam – zwróciła się

do Piaseckiego Julka.

– Ależ niepotrzebnie, doskonale panią rozumiem. Ja też kiedyś byłem nieszczęśliwie zakochany – wyznał.

Alicja postawiła przed nim kubek niebiańsko pachnącej kawy, co wprawiło go w błogi nastrój i zachęciło do szczerych zwierzeń.

– Co prawda moja sytuacja była inna, bo udało mi się ożenić z tą dziewczyną, ale z perspektywy czasu uważam to za swój największy błąd. O wiele lepiej, żeby taka relacja się zakończyła, zanim zrujnuje komuś życie.

Z tą smutną konstatacją zgadzały się wszystkie, najenergiczniej zaś głową kiwała Basia, której także nie udało się uniknąć fatalnej w skutkach pomyłki. Poważna atmosfera zawisła nad siedliskiem, jakby dopasowała się do panującej za oknem aury.

– A skoro już jesteśmy przy nieszczęśliwej miłości i błędach, to może zdradziłby nam pan co nieco na temat miłościwie nam panującej sołtysowej? – Lilka jako pierwsza otrząsnęła się ze stuporu i poruszyła ten intrygujący wszystkich mieszkańców Babiboru temat.

– Wolalbym nie...

– No niech pan nie będzie taki, przecież my nikomu nie powiemy! – zapewniła go Alutka.

– I przynajmniej będziemy wiedziały, kiedy pan Tarnacki albo pani Szymczakowa będą zmyślać – dodała Julka.

– Drogie panie, nie naciskajcie, przecież wiecie, że wiąże mnie tajemnica. – Piasecki był już pewien, że zaraz wszystko z niego wyciągną. Już ledwo trzymał się tej ostatniej deski ratunku.

– Proszę, Piotrze, sprawi mi pan wielką przyjemność – odezwała się Basia głosem głębokim, aksamitnym i powodującym, że lekarz poczuł niezwykle przyjemne mrowienie na karku.

I deska pękła. Z głuchym trzaskiem, sypiąc wióry.

– Co ja z wami mam... – mruknął Piasecki i zaczął opowiadać.

*

Ciało Moniki Melskiej znaleziono nad ranem. Zaniepokojona brakiem kontaktu przyjaciółka Moniki przyjechała do niej przed pracą, a ponieważ miała klucz, weszła do pogrążonego w mroku domu i od razu poczuła

niepokój. Zanim zajrzała do łazienki, zaalarmowała policję. Oczywiście Szelest nic sobie nie zrobił z przecucia kobiety, dopiero wysłana fotografia przedstawiająca opuchnięte ciało Melskiej uruchomiła działania.

Wezwany na miejsce prokurator Pieprzyca był skłonny uznać śmierć za nieszczęśliwy wypadek, musiał jednak zmienić zdanie po uzyskaniu wyników autopsji. Patolog nie miał żadnych wątpliwości, że Monika nie utonąła, lecz zdążyła wcześniej umrzeć.

– Otruta – zawyrokował medyk. – Umarła w męczarniach.

Beznamiętny ton, jakim zostały wypowiedziane te słowa, zmroził Patrycjusza, który nigdy nie zapominał, że mają do czynienia z ciałem człowieka i męczarnie z całą pewnością nie były przyjemnym zakończeniem jego doczesnej egzystencji.

– Czym dokładnie? – zapytał prokurator, spodziewając się, że zmarła przypadkiem najadła się wilczych jagód albo połknęła wybielacz do tkanin.

– Akonityną. W dużym stężeniu.

Pieprzyca znał się na roślinach jak kura na pieprzu, więc hasło „akonityna” mówiło mu tyle, co współczesny slang młodzieżowy. Patrzył na lekarza ze zniecierpliwieniem.

– Doksztalciłbyś się, kolego – zrugął go patolog. – Akonityna to alkaloid występujący w tojadzie. Nazywana jest też roślinnym arszenikiem. Piekielnie silna trucizna i, niestety, bardzo łatwo dostępna.

– Jak została przyjęta?

– Doustnie, prawdopodobnie w postaci płynnej. Akonityna trudno rozpuszcza się w wodzie, więc stawiałbym na roztwór z alkoholem.

– Mogła go wypić bez świadomości, że to trucizna? – dociekał prokurator.

– Ta substancja nie ma zapachu, więc jest to jak najbardziej możliwe.

– A wybrać go na narzędzie śmierci? – zastanawiał się dalej Patrycjusz.

– Nie sądzę, żeby sama sobie przyrządziła trującą nalewkę, są łatwiejsze sposoby na samobójstwo i z całą pewnością o wiele bardziej... humanitarne.

Tego właśnie Pieprzyca obawiał się najbardziej. Jakby mało miał dotąd problemów; ledwo zamknął jedną sprawę, która kosztowała go sporo nerwów, a tu kolejna wyrosła na jej miejsce, jak głowa hydry. Nie to jednak było najgorsze. Największym zaskoczeniem okazało się to, co odkryli w

domu Moniki Melskiej.

Dopiero w trakcie szczegółowego przeszukania miejsca znalezienia zwłok prowadzący postępowanie, w tym Patrycjusz, uzmysłowili sobie, jak niewiele wiedzieli o denatce. Spokojna, inteligentna, znakomita prawniczka, ale co poza tym? Od lat było wiadomo, że nigdy nie przestała kochać Mieczysława Maślankiewicza, że nienawidziła Malwiny, jak tylko można kogoś nienawidzić, a mimo to wydawała się żyć z tym brzemieniem i znosić je z godnością. Uczestniczyła w zebraniach rady gminnej, pracowała z największym zaangażowaniem, udzielała się społecznie. Ten obraz runął jak domek z kart w chwili, gdy policja przekroczyła próg jej domu.

– Kto, u diabła, maluje ściany mieszkania na czarno? – zapytał jeden z techników, wyrażając na głos myśli wszystkich pozostałych.

– Wampir – odparł Szelest. – Albo wariat.

– Wampir to chyba mieszkałby w piwnicy – zaryzykował technik.

– E tam, wystarczy zasłaniać okna za dnia – zaprotestował inny, ubrany w biały kombinezon.

– Możecie przestać pleść duby smalone? – zirytował się Patrycjusz. – Skupcie się na szukaniu śladów osób trzecich, zamiast dyskutować o zabobonach.

– Jest pan pewien? – zapytał Szelest tonem ociekającym satysfakcją. Nie znosił Pieprzycy i nie mógł doczekać się momentu, w którym udowodni mu swoją wyższość. – Zdaje się, że Melska nie uważała tego za zabobony. Sami zobaczcie.

Prokurator wraz z technikami weszli do pokoju, który ponad wszelką wątpliwość nie służył do przyjmowania gości. Ściany tego pomieszczenia także pomalowane były na czarno, tak samo jak sufit. Z metalowych karniszy zawieszonych nad oknami spływały ciężkie, czarne zasłony. Ale nie to było najdziwniejsze...

Pod jedyną pozbawioną okien ścianą stał ołtarz. Z całą pewnością nim był, co mógł stwierdzić nawet największy laik, wskazywały na to bowiem jednoznacznie umieszczone na nim podobizny bóstw i kojarzone z magią atrybuty: ususzone zioła, świece, amulety z naturalnych kamieni, niewielki żeliwny kocioł i coś, czego policjanci nie byli w stanie rozpoznać, ale ostatecznie okazało się różdżką czarownicy. Tak przynajmniej mówiła

Marlena Maślankiewicz.

– Fiu, fiu... A to niespodzianka – ocenił jeden z techników. – Nawet nie wiedzieliśmy, że mamy między sobą prawdziwą wiedźmę.

Pieprzyca rozglądał się po pokoju coraz bardziej zaintrygowany. Pod dwoma ścianami znajdowały się uginające się niemal pod ciężarem książek, słoje i pojemników regały. W słojach znajdowały się różnokolorowe roztwory, a w nich zioła, kwiaty i kryształki. Wśród książek dominowały herbarze i zielniki, nie brakowało także współczesnej literatury poświęconej magii, słowiańskim bóstwom i demonom, znalazły się również tytuły takie jak *Słowiańska wiedźma*, *Księga zaklęć i czarów*, *Księga eliksirów*, wiele wydanych było w obcych językach: angielskim, hiszpańskim, niemieckim, czeskim, serbskim i po łacinie. Wielkość księgozbioru Patrycjusz Pieprzyca ocenił na jakieś dwa tysiące sztuk, co było wynikiem imponującym.

– I co pan o tym sądzi, prokuratorze? – zagadnął go technik.

– Szczerze mówiąc, jestem pod wrażeniem. Musiała je zbierać latami. Niektóre wyglądają na bardzo stare, pewnie trudno dostępne.

– W naszej bibliotece na pewno by ich nie znalazła – oznajmił Szelest z dumą. – Bluźnierstwo i świętokradztwo!

Pieprzyca zdjął z półki *Księgę eliksirów* i przekartkował.

– Rzeczywiście, jestem pewien, że Pan Bóg obraziłby się za przepis na magiczny napój nasenny, w którego skład wchodzi zioła używane w kuchni każdego z nas – zakpił. – A może uzdrawiający rosół Furiego to świętokradztwo?

Technicy prychnęli głośno, za co policjant spiorunował ich wzrokiem.

– Czarostwo jest domeną pogan – odwarknął. – My, ludzie cywilizowani, bogobojni i wykształceni, nie szukamy pomocy u żadnych szemranych sił.

– Oczywiście, że nie – zgodził się Patrycjusz. – My wolimy szeptuchy, prawda, aspirancie?

Znokautowany Szelest zagryzł cisnące mu się na usta słowa powszechnie używane za nienadające się do publikacji w literaturze, a o jego wściekłości świadczył ruszający się wąs.

Pieprzyca zdawał się jednak nie zwracać na niego uwagi. Po raz kolejny omiół spojrzeniem księgozbiór i miał ruszyć w stronę ołtarzyka, gdy jego uwagę przykuł grzbiet książki zupełnie niepasujący do pozostałych, wśród

których został ustawiony. Prokurator zdołał już się zorientować, że Monika Melska uporządkowała swoją kolekcję według konkretnego systemu, a ta jedna, nieposiadająca tytułu publikacja wydawała się niemal zagubiona. Ostrożnie wyjął wciśnięty tom i poprosił technika o rękawiczki.

Nie była to książka sensu stricte, raczej pamiętnik czy może dziennik, z pewnością jednak bardzo stary – niemal się rozpadał. Wiele kartek było luźnych, kilka naderwanych, a niektóre wręcz się odbarwiły. Atrament wyblakł, choć wciąż dało się odczytać większość słów. Kształt liter nie pozostawiał wątpliwości co do wykształcenia autora memuaru – była to osoba nauczona starannej kaligrafii, dbająca o detale i pisząca z niezwykle starannością.

– Zabezpieczcie to, proszę – rzucił Pieprzyca do techników. – Zdejmijcie odciski z każdej rzeczy znajdującej się na ołtarzu i zabierzcie wszystkie słoiki do laboratorium. Każdy jeden ma zostać przebadany pod kątem obecności akonityny.

Mężczyźni ubrani w uniformy skinęli głowami i pobiegli do samochodu, bo na miejscu nie mieli tyłu torebek na dowody do spakowania kolekcji Melskiej. Szelest nie wiedział, co ze sobą zrobić, więc wyszedł z pokoju, gdy tylko Pieprzyca odwrócił się w drugą stronę, i ruszył obejrzeć pozostałe pomieszczenia. Tymczasem prokurator przeglądał kolejne książki, a przy jednej wydał z siebie głośny gwizd.

– O proszę, proszę! – mruknął pod nosem ni to z zachwytem, ni z zaskoczeniem.

– Co pan znalazł? – Szelest natychmiast zmaterializował się u jego boku.

– Ciekawa rzecz, aspirancie – odparł w zadumie prokurator. – Poznaje pan ten exlibris?

Stanisław Szelest może nie wiedział, kto napisał *Ciemności kryją ziemię*, nie pamiętał wzoru chemicznego soli kuchennej, ale potrafił rozpoznać symbol, który od wielu lat widział na etykietach i stronach tytułowych książek znamienitego rodu bartników.

– A niech mnie pokrzywa popieści. Arciszewski! – wykrzyknął niemal z radością.

– Wygląda na to, że pani Melska nie była pierwszą osobą interesującą się magią w Babiborze – skonstatował Patrycjusz, a Szelest natychmiast wydał wyrok:

– I dziwnym trafem nie pierwszą ofiarą podejrzanego wypadku...

*

– Chce pan powiedzieć, że szeleszczący wściek uznał panią Maślankiewiczową za morderczynię, ponieważ w domu Melskiej znaleziono książkę należącą do Augusta Arciszewskiego? – Lilka wybałuszyła oczy, nie mogąc uwierzyć w bzdurę, którą właśnie usłyszała.

– Po przejrzaniu księgozbioru okazało się, że tych książek z exlibrisem Arciszewskich było tam ponad sto – doprecyzował Piasecki. – Ale tak, w skrócie można tak to podsumować.

– Nie wierzę, że pan Patrycjusz się na to zgodził, wszak to absurd! – Alicja trzymała się za głowę i kręciła nią energicznie w wyrazie niedowierzania i wzburzenia.

– Właściwie nie miał wyjścia. Kiedy Szelest ubłagał stryja, by ten przekonał sędziego, że Malwina miała motyw do zabicia Melskiej, a przy okazji dziwnym trafem okoliczności śmierci Moniki przypominały te sprzed lat... No, same panie rozumieją...

– I co teraz? – Basia patrzyła na Piotra z prawdziwym lękiem. O Malwinę się bała, bo ani przez chwilę nie uwierzyła, że sołtysowa może być winna.

– No właśnie teraz robi się jeszcze gorzej – wyznał lekarz. Przełknął ostatni łyk kawy i z wdzięcznością przyjął kanapkę, którą Alutka z pietyzmem ułożyła na jego talerzu. – Patrycjusz wydał zgodę na ekshumowanie zwłok Augusta, a jeśli okaże się, że i w jego organizmie znajdą się ślady trucizny, to... – zawiesił głos. I jemu z trudem przychodziło pogodzenie się z możliwością, że jego klientka może zostać uznana za winną.

– No pięknie – skwitowała Julka. – Zaczynam się czuć jak w Twin Peaks. Ale niech się pan nie martwi, na pewno niczego nie znajdą, a ten cymbał Szelest znowu wyjdzie na wioskowego głupka i może w końcu go odwołają ze stanowiska. Przydałby się tu jakiś prawdziwy policjant-detektyw. O, taki jak twój tata, Basiu.

Piasecki z zaskoczeniem spojrzał na kobietę. Nigdy wcześniej nie słyszał o tym, że jej ojciec był policjantem. Zresztą, nigdy nie mieli okazji do rozmowy na tak osobiste tematy. Niewiele w zasadzie wiedział o swoich

sąsiadkach.

– Drugiego takiego jak mój tata to ze świecą szukać – stwierdziła czarnowłosa Basia. – Ale od dawna jest na emeryturze.

– Emerytura nie sprawia, że ludziom wygasają talenty – zauważyła Lilka.

– No właśnie – poparła ją filigranowa Alutka. – Kto wie, może pan Herman rozwiąże tę zagadkę i utrże nosa gnuśnemu Szelestowi?

– Miejmy nadzieję, że wszystko się wyjaśni, zanim moi rodzice się tu zjawią – odparła Basia. – Pamiętajcie, że przywożą ze sobą Tomka.

Do świąt pozostawały zaledwie cztery tygodnie. Oczywiście było możliwe, że sprawa tajemniczego zabójstwa Moniki Melskiej wyjaśni się do tego czasu, a jednak ziarno niepokoju zostało zasiane.

Piasecki dopił kawę, podziękował za gościnę i wyraził wielką radość ze spotkania, choć nie udało mu się utrzymać języka za zębami.

– Hola, hola! – zatrzymała go Julka, gdy już zmierzał w stronę katafalku po płaszcz. – Nie tak szybko, panie sąsiedzie! Obiecał pan pomóc przy remoncie, pora dotrzymać słowa!

– Właśnie, właśnie – zawtórowała jej Alicja. – Pojutrze widzę tu pana na obiedzie i wówczas ustalamy plan robót.

– Robót? – zląkł się Piasecki, wyobrażając sobie, że będzie musiał po pas w śniegu malować framugi okienne.

– Trzeba poskręcać meble, dokończyć malowanie ścian i sufitów w sypialniach gościnnych – odrzekła Basia.

– A, malować to mogę! – ucieszył się lekarz i prawnik w jednej osobie. – Nie ma sprawy.

Uspokojony wrócił do domu, gdzie oddał się konsumowaniu literatury, korzystając z reszty wolnego dnia. Nie wiedzieć czemu policjant, który prowadził książkowe śledztwo, miał w jego wyobraźni intensywnie zielone oczy i burzę czarnych włosów na głowie.

ROZDZIAŁ 10

Biały puch sypał z nieba, jakby zamierzał ukryć świat przed wzrokiem niepożądanych. Wystarczyło kilka godzin, żeby krajobraz zamienił się w śnieżną pustynię, gdzieniegdzie przetykaną okrytymi puszystą kołderką drzewami i kominami domów, z których unosiły się smugi dymu. Jak co roku pierwszy śnieg zwiastował nadejście Marzanny, a wraz z nim zaczynało odliczanie do Szczodrych Godów.

Nie inaczej działo się także w Babiborze, choć w zaistniałych okolicznościach święta Bożego Narodzenia nie zawładnęły w pełni umysłami babiborzan. Były jeszcze dwa inne tematy znajdujące się na ustach mieszkańców wsi. Jeden niespodziewanie, choć bardzo oczekiwanie, wysunął się na prowadzenie.

– Ksiądz, ksiądz, nowy ksiąaaaądz! – krzyczał Tadeusz Tarnacki. – Wszyscy do centrali!

Brakowało jedynie, żeby tarabanił wielkim dzwonkiem albo wygrywał hejnał z wieży. Tyle że wieży w Babiborze nie było – nie licząc dzwonnicy kościelnej, która zamilkła wraz ze śmiercią Antoniego.

Centrala, czyli dawna obora należąca niegdyś do Augusta Arciszewskiego, a po jego śmierci wchodząca w skład majątku Maślankiewiczów, zaczęła się raptownie zaludniać. Z każdej strony przez zasy py nadchodzili babiborzanie, rozemocjonowani, jakby miał wydarzyć się co najmniej cud.

– Co tu się wyprawia? – Mieczysław Maślankiewicz wpadł zdyszany, a za nim do centrali weszła Marlina, niewykazująca żadnych śladów zmęczenia.

– Księża mamy, panie sołtysie! – oznajmił podekscytowany listonosz. – Jutro ma się wprowadzić!

– No to chyba dobrze, panie Tarnacki? – syknął poirytowany włodarz. – Tyle się najęczeniście, że księża nie ma, to w końcu będziecie zadowoleni.

– A tego co ugryzło? – zapytała szeptem Szymczakowa, pochylając się do ucha Marleny.

– Co się pani dziwi, pani Sabino? Jakby pani małżonka za morderstwo posadzili, raczej też nie epatowałyby pani miłością do bliźnich.

– Mojego mogliby posadzić, byleby tylko uratował mi córkę przed małżeństwem z tym bajdełą¹⁷ – oznajmiła Nina Nadworska.

O przyszłym mężu Natalii Nadworskiej Szymczakowa musiała mieć podobne zdanie, zupełnie bowiem nie oburzyły jej słowa matki dziewczyny, a wręcz zgodziła się z nimi, kiwając głową ze smutkiem.

W przeciwieństwie do naburmuszonego Mieczysława Maślankiewicza wiadomość o znalezieniu proboszcza ucieszyła zgromadzonych w centrali, zwłaszcza że nie wyobrażali sobie, żeby można było nie celebrować najważniejszego święta katolickiego (choć oczywiście zdarzali się i tacy, którzy wciąż uznawali wyższość Wielkanocy nad Bożym Narodzeniem) we własnej parafii i z księdzem, którym nie trzeba się dzielić z inną gromadą wiernych. Zwykle porządek spotkań rady wiejskiej regulowała Malwina Maślankiewicz, ale jej, rzecz jasna, aktualnie nie było, wobec czego panował niejaki chaos. Mieczysław nie miał sił ani ochoty, żeby przewodniczyć czemukolwiek, a poza tym w nosie miał nowego księdza. Wraz z aresztowaniem ukochanej małżonki stracił wiarę we wszystkie świętości i zastanawiał się nawet nad wystąpieniem z Kościoła, chociaż wciąż jeszcze się wahał. Może jednak zdarzy się jakiś cud, który oczyści sołtysową z zarzutów, a jemu przywróci sens życia? Z całą pewnością owym cudem nie będzie żaden kapłan, chyba że byłby to ksiądz-detektyw, a na to liczyć raczej nie mógł.

Opuścił centralę, pozostawiając w niej swoją babkę i zasypujący Tarnackiego gradem pytań kwiat babiborskiej ziemi.

Zniknięcie Maślankiewicza zauważyła jedynie Marlena i postanowiła wykorzystać niepowtarzalną okazję. Wdrapała się na ułożoną z europalet scenę, obniżyła mikrofon dopasowany wysokością do wzrostu Malwiny i wyrecytowała:

Zbrodnia to niesłychana,

Pani zabija pana.

Zabiwszy grzebie w gaju,

Na łączce przy ruczaju (...)¹⁸

W oborze zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Zgromadzeni mieszkańcy, porażeni zarówno donośnym głosem Marleny, jak i treścią usłyszanego

fragmentu, wpatrywali się w niewzruszoną twarz staruszki.

– To dla przykucia uwagi, niczego nie sugeruję, ale też bym się nie zdziwiła, gdyby wieszcz wywieszczył – wyjaśniła bezceremonialnie. – A teraz skoro już jesteście cicho, to może pan Tarnacki zechce nam przekazać, czego udało mu się dowiedzieć. Potem będzie czas na pytania. I nie wszyscy naraz, będę wyznaczać.

Odstąpiła od mikrofonu i wlepiała wzrok w listonosza, który niespecjalnie chętnie garnął się na scenę, czemu zresztą nie sposób się dziwić. Tadeusz Tarnacki doskonale czuł się w roli cichego (tak mu się wydawało) informatora, zwłaszcza gdy w razie nieprzewidzianego przecieku mógł wszystkiego się wyprzeć. Wystąpienia przed zgromadzeniem wiejskim raczej się nie wyprze... Ponaglany zniecierpliwionym wzrokiem babiborzan i dochodzącymi z różnych stron szeptami sygnalizującymi, że niektórym marzną siedzenia, a innym buty przemokły, powlókł się na podwyższenie i stanął przy gwizdniętej onegdaj z innego kościoła mównicy.

– No to tak... – zaczął drżącym głosem. – Jak już mówiłem, mamy nowego księdza proboszcza, znaczy: jutro będziemy mieli.

– Jak się nazywa? – krzyknął ktoś z głębi obory.

– Cicho tam! Mówiłam, że wyznaczę, to wyznaczę! – zrugwała niesubordynowanego obywatela Marlenu.

– Pani Malwina to by pewnie pokrywkami rąbnęła – skomentowała Julka, przypomniawszy sobie ogłuszające narzędzie terroru stosowane w sytuacjach kryzysowych przez młodszą Maślankiewiczową.

– O rany, jak to dobrze, że jej tu teraz nie ma – westchnęła z wyraźną ulgą Alicja na wspomnienie demonicznego dźwięku.

– Mogę odpowiedzieć, pani Marleno? – Tarnacki obrócił się przez ramię i z obawą spoglądał na starą szeptuchę.

– Zezwalam – zgodziła się łaskawie.

– Ksiądz nazywa się Radosław Robak.

Można by pomyśleć, że ujawnione personalia kapłana powinny wywołać w mieszkańcach Babiboru wielką radość: po pierwsze, pasował do reszty pod względem inicjałów, po drugie, nazwisko nosił odpowiednio, żeby nauczać wiary ludzi spokrewnionych z mistrzem Adamem. Tymczasem reakcja zgromadzonych była zgoła odmienna.

– Radosław?! – zawołała ze skrzywioną miną Nina Nadworska. – Jakies takie to imię... no nie wiem, nieładnie brzmi.

– Ksiądz Robak był oszustem! – zagrzemiał Szczepan Szymczak, mąż Sabiny.

– A ty jesteś cymbałem od Jankiela – zrugęła go małżonka. – On musiał się ukrywać, brynzlu¹⁹ jeden.

Zachęcenii sprzeczką Szymczaków i uwagą Niny Nadworskiej pozostali uczestnicy zgromadzenia wiejskiego zaczęli się przekrzykiwać, wykazując na zmianę poparcie dla postawy Jacka Soplicy i niechęć dla nowego księdza. Takiego obrotu spraw niemal nikt nie był w stanie przewidzieć.

Niemal – była bowiem w tym zmarzniętym i rozkrzyczanym tłumie jedna osoba, która się spodziewała, że nazwisko nowego proboszcza wzbudzi emocje, choć zdecydowanie obstawiała inny powód. Okazało się jednak, że nikt z babiborzan nie zapamiętał z historii swojej ojcowizny postaci, która zapisała się w niej szkarłatnymi literami. Oczywiście ów Radosław wcale nie musiał być z tą personą spokrewniony, zbiegi okoliczności przecież się zdarzają, choć z wiekiem i nabywanym doświadczeniem człowiek coraz mniej jest skłonny, żeby w nie wierzyć. A człowiekowi, o którym mowa, tak wieku, jak i doświadczenia nie brakowało.

Batuszka Mikołaj przyglądał się zamieszaniu, które w myślach nazywał bezhołowiem, ściągnąwszy brwi. Na jego zwykle łagodnym obliczu teraz można było dojrzeć głęboką zadumę i lęk podszyty nieufnością. Przeczucie, przebłysk intuicji czy może boska iskra kazały mu z miejsca znieubić przyszedłego proboszcza.

– Co z tobą, Kola? – Melania szturchnęła męża w bok. – Nie cieszysz się? Nalewkę oszczędzimy.

– A jakoś mi tak dziwnie – odparł szczerze. W całym ponad pięćdziesięcioletnim pożyciu ani razu nie okłamał żony. – Odkąd mi dziekan przekazał nowinę, nie mogę pozbyć się złych myśli. Pamiętasz, duszko...?

Nie zdołał dokończyć pytania, bo dotychczasowy gwar zamienił się w regularną awanturę, choć nikt już nie pamiętał, od czego się zaczęło.

Marlena długo znosiła te haniebne pyskówki, w końcu jednak i jej skończyła się cierpliwość. Przystąpiła do mównicy, zdjęła mikrofon ze

stojaka i ryknęła wprost do niego, przekrzykując nawet piski wywołane sprzężeniem:

– Ciiiiiiiszaaaaaa, chamy!

Trzeba przyznać, że głos miała jak dzwon, pokrywki Malwiny się nie umywały.

Chwilę trwało, zanim ściany centrali przestały drzeć, a ludności wrócił słuch. Odzyskiwanie zdolności mówienia zajęło im znacznie dłużej.

– Zebranie zostaje zakończone ze względu na zakłócanie porządku publicznego! – grzmiała babcia sołtysa, z naturalną swobodą odnajdując się w roli przywódczyni. – Księdza jutro sobie obejrzymy, a po mszy możecie wymieniać uwagi do woli. Byle cicho.

Istniało spore prawdopodobieństwo, że faktycznie omawianie spostrzeżeń przebiegnie w ciszy, wszystkim bowiem zdrętwiały żuchwy, a języki dziwnie zeszywniały. Możliwe, że temu na górze nie spodobało się plotkowanie o proboszczu, kiedy jeszcze nie widziało się go na oczy, i w ten sposób postanowił ukarać hałastrę. Rozeszli się bez słowa, zamykając za sobą drzwi domów na klucz. Oczywiście na wypadek, gdyby to jednak nie Malwina była morderczynią, którą to myśl zdążyła w ich głowach zasiać Sabina Szymczak.

Właścicielki siedliska przedzierały się przez zasy, jak zwykle posługując się skrótem prowadzącym obok domu zamieszkiwanego przez Sonię Iwaszuk. Nie widziały dziewczyny na zebraniu, ale mogła wyjść wcześniej i zniknąć w chatce, nim one do niej dotarły. Z całą pewnością teraz była w domu, o czym świadczyły rozświetlone okna.

– Może byśmy do niej zajrzały? – zaproponowała nieśmiało Alutka.

– A po co? – Lilka chciała jak najszybciej znaleźć się u siebie, przed kominkiem i z wiadrem gorącej herbaty w dłoni.

– A jeśli czegoś jej potrzeba? Przecież ona nie ma tu nikogo bliskiego – nie ustępowała troskliwa Ala.

– Na swoją własną prośbę – fuknęła Julka. – Gdyby nie odrzuciła pana posterunkowego, toby żyła jak pączek w maśle.

– Zgadzam się z Alą – oznajmiła Basia. – Powinnyśmy być w tej sprawie neutralne.

– Bądźmy więc neutralne i udajmy się do siedliska – skwitowała Lilka. – Mnie jest zimno i chciałabym jak najszybciej znaleźć się w posiadaniu

kubka z herbatą.

– A skąd wiesz, czy Sonia akurat nie leży chora i nie ma kto jej herbaty podać? – upierała się Alutka.

Mimo że jej postura odpowiadała bardziej szóstoklasistce, hart ducha miała większy niż dzielni wojownicy spod Termopil. Trzy pozostałe z kwartetu składającego się na milionerkę wiedziały już, że zostały pokonane. Lilianna stęknęła niczym galernik, Julka przywołała na oblicze minę obrażonej księżniczki, a Basia właściwie była zadowolona, choć bez szczególnego powodu.

Alicja dziarskim krokiem ruszyła w stronę ganku, a reszta podążyła za nią z nieco mniejszym entuzjazmem. Dopiero gdy wszystkie cztery pary przemoczonych butów znalazły się pod drzwiami domku należącego niegdyś do Olgi Olszewskiej, a obecnie jej jedynej żyjącej krewnej, Soni Iwaszuk, miedzianowłosa artystka zapukała. Nawet gdyby we wsi nie panowała panika związana z grasującym potencjalnym seryjnym mordercą, niedawne obywatelki Łodzi nie odważyłyby się wejść do cudzego domu bez pukania, choć zupełnie im nie przeszkadzało, gdy ktoś w ten sposób wchodził do nich.

– Otwarte! – Usłyszały natychmiast.

Przeszły przez próg z lekką dozą nieśmiałości, jak przystało na osoby odwiedzające kogoś, kogo znały jedynie powierzchownie. Zdziwiły się, nie widząc gospodyni w zasięgu wzroku – ani w kuchni, ani w części jadalnej po lewej stronie – ale grzecznie zdjęły obuwie, ustawiły je równiutko w niewielkim wiatrołapie i gęsiego ruszyły do salonu.

Na sporych rozmiarów narożniku w części wypoczynkowej pomieszczenia leżała okutana pierzyną Sonia. Oczy miała zamknięte, oddech ciężki, a na jej czole perlily się kropelki potu. Z wysiłkiem uniosła powiekę i drgnęła.

– Ach, to panie? – zapytała słabym głosem. – Spodziewałam się Karola.

Julka poczuła, jak zalewa ją tsunami wściekłości, i w pierwszym odruchu chciała rzucić się do oczu biednej Soni, ale powstrzymał ją stanowczy uścisk Lilki.

– Karola, powiada pani? – wycedził sobowtór Lindy Evangelisty, a jad kapął jej po brodzie, niemal wypalając dziury w parkiecie. – Pan Książek ostatnio zdaje się unikać kontaktów społecznych.

– Och, naprawdę? – zdumiała się Sonia.

Oczywiście mogła udawać, w końcu była wykształconą i doświadczoną aktorką dramatyczną, jednak coś w jej oczach kazało wierzyć, że tym razem jest szczerą.

– Naprawdę, bardzo trudno jest się z nim skontaktować, a obiecał nam pomóc w remoncie siedliska – potwierdziła Alutka. W jej głosie nie było ani krztyny jadu, za to całkiem sporo troski.

– Ojej, bardzo mi przykro. To pewnie przez tę nową szefową w redakcji – wyjaśniała Iwaszuk. – Podobno straszliwa z niej hetera i wciąż nic jej się nie podoba.

– Ale pani na niego czeka, czyli jednak dla kogoś znajduje trochę czasu – bąknęła Julia, coraz bardziej oburzona tym, że ktoś, w dodatku płci żeńskiej, wie więcej na temat jej faceta niż ona sama.

– Pani Julio, ja... – zafrapowała się aktorka, jednak miłująca sprawiedliwość Alicja weszła jej w słowo:

– Wstydz się, Julka! To nie jest wina pani Soni, że pan Książek zachowuje się jak... no, pan Książek. Jak się pani czuje, kochana? – zwróciła się z troską do aktorki i podeszła bliżej.

Dopiero teraz było widać wyraźnie, że skóra Soni jest niezwykle blada, policzki rozognione, usta spierzchnięte i w ogóle cud jakiś, że dziewczyna jeszcze oddycha.

– Ach, dziękuję, pani Alutko. Nie lubię narzekać, ale naprawdę rozłożyło mnie to choróbsko. Mówiąc szczerze, jeszcze nigdy nie chorowałam tak długo i intensywnie, z reguły też nie gorączkuję. A tymczasem leżę bez sił już ponad tydzień.

– Jak to dobrze, że zdecydowałyśmy się do pani wstąpić! – Basia ruszyła w stronę kuchni z zamiarem nastawienia wody na herbatę. Zajrzała też do lodówki, żeby sprawdzić, czy znajdzie składniki do przyrządzenia posiłku. – Może herbata z wkładką pozwoli pozbyć się gorączki?

Propozycja spotkała się z jednogłośnie aprobatą, wobec czego należało znaleźć jeszcze wkładkę. Gdzie ta Sonia może trzymać alkohol? Jak w większości domów, przy kuchni powinna znajdować się spiżarka, czasem rozmiarami przewyższająca główne pomieszczenie. Basia obmacała ścianę za każdą z szafek, ale nie znalazła żadnych drzwiczek.

– Pani Soniu, gdzie pani trzyma przetwory? – zapytała, gotowa pogodzić

się z myślą, że oto znalazła się w jedynym domu w Babiborze, gdzie nie dotarły miody Arciszewskich, przetwory i pikle Szymczakowej, a co najgorsze: nalewki Kornelii Konarskiej.

– Obawiam się, że mam jedynie kupny dżem truskawkowy i resztkę jakiegoś wina – wyznała przeprasającym tonem aktorka.

Dziwne. Nawet ksiądz Antoni trzymał zapasy nalewek i likierów, o znakomitych ogóreczkach Sabiny Szymczak nie wspominając. To była niemal świętość, wyznacznik tożsamości, czynnik pogłębiający relacje międzyludzkie. Olga Olszewska uważana była za wiedźmę i kilka osób źle jej życzyło, ale przecież byli inni – posiadający otwarte umysły, tolerancyjni, inteligentni i światli. Niemożliwe, żeby Kornelia nie przynosiła jej nalewek, a skoro tak, to gdzieś one musiały być składowane!

Przekonana o prawidłowości swojego rozumowania Basia postanowiła odsunąć wszystkie meble, za którymi mogły skrywać się drzwi do przetworowego eldorado. Piernikówka Kornelii była teraz wyjątkowo potrzebna, a więc należy ją znaleźć, i basta!

Wykluczywszy wszystkie ściany za szafkami, upewniwszy się, że za lodówką – ciężką jak grzmot! – też nie ma drzwi do Narni, stanęła na środku kuchni z rękami skrzyżowanymi na piersiach, zmarszczyła brew i zaczęła tupać, jak zwykle robić w chwilach głębokiego namysłu. Tupała i tupała, a im dłużej uderzała odzianą w ciepłą skarpetkę stópką w podłogę niewielkiej kuchni, tym bardziej jej się wydawało, że podłoga za każdym razem wydaje inny dźwięk. Na lewo trochę bardziej głuchy, na prawo jakby z echem, wyżej w ogóle niczego nie było słychać. W końcu do niej dotarło.

– Pani Soniu, czy ten dom ma piwnicę? – zapytała, gapiąc się w jeden punkt pod nogami.

– To możliwe, ale nie mam pojęcia, jak do niej wejść.

– A ma pani może łom?

Zaskoczenie, jakie odmalowało się na twarzach pozostałych dziewcząt, wliczając do tego grona ledwo żywą Sonię Iwaszuk, nie zdążyło zamienić się w grad pytań. Drzwi do domu skrzypnęły, a po chwili na środku salonu pojawił się Karol Książek. Najpierw zauważył Basię, pochyloną w dziwacznej pozie nad podłogą, a tknięty przebłyskiem intelektu domyślił się, że pewnie reszta właściolek siedliska musi być w zasięgu wzroku.

One wszystko, no prawie, robiły razem, jak syjamskie czworaczki.

– Dzień dobry paniom – bąknął, starając się nie widzieć pałających nienawiścią oczu Julki. – Przyszły panie do Soni? To bardzo miłe, postawa obywatelska godna najwyższych pochwał.

– My też się cieszymy, że pan się zjawił – odparowała Basia. – Potrzebuję pańskiej pomocy.

Książek zerknął na aktorkę, lecz ta jedynie przewróciła oczami. Na Lilkę i Alutkę nie zerkał, bo też wcale nie musiał – doskonale czuł na sobie wszystkie klątwy, którymi przyjaciółki właśnie obrzucały go w myślach.

– A co pani kombinuje? – zwrócił się do Basi, z ulgą oddalając się z zasięgu wzroku trzech bazyliżeków.

– Jeśli dobrze wykombinowałam, tu jest wejście do piwnicy. O, niech pan posłucha, jak inaczej skrzypi.

Karol posłuchał i zgodził się z wnioskiem Basi – stanowczo inaczej tam skrzypiało, a gdy się odpowiednio intensywnie wpatrywało w deski, to można było dostrzec, że są dosztukowane. Problem polegał na tym, że niewiele mogli z tą wiedzą zrobić bez właściwych narzędzi.

– To ja może skoczę do domu i poszukam łomu... – zaproponował Książek, a jego radiowy głos, od którego kobietom rozluźniały się wszystkie stawy, nawet te, o których istnieniu nie miały pojęcia, zabrzmiał jak błaganie.

Zanim którakolwiek z kobiet się spostrzegła, jego już nie było.

– Kto się założy, że szybko nie wróci? – mruknęła Lilka, a pozostałe pokiwały głową.

Ewidentnie obecność właściolek siedliska pokrzyżowała plany Karola Książka, który wykorzystał nadarzącą się okazję do pryśnięcia.

– Trudno, poradzimy sobie bez niego – oznajmiła Basia z dumą. – Jakbyśmy miały liczyć na facetów, to do dziś siedziłybyśmy na drzewach i iskały dzieci.

– Możemy zawsze poprosić o pomoc pana posterunkowego – rzuciła Julka niby od niechcienia, a tak naprawdę miała być to szpila wbita biednej Soni.

Zabolało. Dziewczyna nieznacznie się skrzywiła, ale nie odezwała się słowem.

– W żadnym wypadku! – zaprotestowała Alutka. – On unika nas, to my

unikamy jego. Niech wiedzą, podle samce, że kobiety są samowystarczalne. Bierzcie największe noże i usuniemy te deski. A potem się zobaczy.

Bez większych protestów Lilka i Julka ruszyły na poszukiwanie ostrzy, a następnie zabrały się za podważanie dosztukowanego fragmentu podłogi. Woda na herbatę zdążyła wystygnać, ale jak miało się okazać, stękanie, parskanie, jęczenie i nadmierne używanie słów powszechnie uznawanych za podwórkową łacinę przyniosło efekty i wynagrodziło trudy.

Tam, gdzie powinna znajdować się betonowa wylewka, oczom czterech kobiet ukazała się metalowa pokrywa – odrobinę nadzarta zębem czasu i nieco bardziej zębem rdzy. Wspólnymi siłami dziewczęta ją podniosły, odkrywając wejście do ziejącej czernią dziury.

– Latarka! – zaordynowała Basia, upocona jak nieboskie stworzenie.

– W szafce w wiatrołapie! – odkrzyknęła Sonia.

Jej także udzieliła się ekscytacja i z niecierpliwością czekała na efekty dekonstrukcji kuchennej podłogi.

Alicja wyskoczyła jak z procy, znalazła latarkę natychmiast po otwarciu rzeczony szafki i wróciła do kuchni, rozświetlając ją jak latarnia morska. To była dobra latarka, należało przyznać.

– Tu dawaj, Alutka, pionowo świeć, niech ja obejrzę sobie tę dziurę porządnie. – Basia wisiała głową nad otworem, nogami podpierając się o drzwiczki szafki, w której Sonia trzymała miski i talerze.

Snop światła rzucany pod kątem prostym uwidoczniał najpierw dno, znajdujące się co najmniej trzy metry poniżej otworu w podłodze, a następnie odkrywał przed zdumionymi oczami dziewcząt kolejne sekrety.

– Pani Soniu, czy pani ciotka interesowała się czarami? – zapytała drżącym głosem Lilka.

– Chodziły takie plotki – odparła chora.

– W każdej plotce jest ziarno prawdy, a w tej mamy cały sklep zielarski... – skwitowała Julia. – Chce pani zobaczyć? Zrobimy fotkę. – Pstryknęła kilka zdjęć i podeszła z telefonem do łóżka chorej. – Niech pani patrzy. Tu stoją nalewki Kornelii. – Powiększyła obraz, żeby Iwaszuk mogła się przyjrzeć. – A tu... To wygląda na całkiem okazałą bibliotekę, jak pani myśli?

Sonia niczego nie myślała. Aktualnie była w tak wielkim szoku, że odebrało jej zdolność mówienia i racjonalnego myślenia. Mimo że zdjęcia

były niewyraźne, udało się na nich dostrzec zastawione książkami regały, półki ze słojami i szklanymi naczyniami, bukiety zasuszonych ziół i butelki wypełnione płynami o odcieniach bursztynu.

– Przynajmniej znalazłyście piernikówkę – zażartowała w końcu. – Możemy napić się herbaty.

– Jest jeden problem – mruknęła Julka. – Nie mamy drabiny...

O ile bez łomu mogły się obyć, o tyle bez drabiny już nie było szans. W dodatku musiała to być bardzo długa drabina, gdyż pomieszczenie znajdowało się głęboko pod ziemią.

– Mamy, mamy! – zawołała Alicja, przypominając sobie, że w składziku zwanym pieszczotliwie pierdolnikiem widziała kiedyś długą metalową drabinę. Już chciała pomknąć do siedliska, kiedy zdała sobie sprawę, że raczej sama klabzdronu nie udźwignie. – Nie wierzę, że to mówię, ale przydałby nam się jednak mężczyzna...

Na Książka nie miały co liczyć, posterunkowy również odpadał, pan Tarnacki z kobylastą drabiną mógłby sobie nie poradzić, sołtysa nie wypadało pytać, zwłaszcza po dzisiejszym wybuchu, zatem zostawał...

– Och, dobrze – westchnęła Basia. – Poproszę Piotra.

– Niech pani zadzwoni z domowego telefonu – poradziła wciąż wstrząśnięta Sonia. – Będzie szybciej.

Rada była rozsądna, więc po krótkim wahaniu Basia zatelefonowała do Piaseckiego, który natychmiast wyraził gotowość niesienia pomocy, nawet szczególnie się nie dziwiąc oryginalnej prośbie sąsiadki. Być może w nudniejszych miejscach sąsiedzi pożyczali od siebie cukier czy mleko, w Babiborze tymczasem przynoszono sobie trzymetrowe drabiny.

– Tylko niech się pan pośpieszy, bo chcemy się napić herbaty – pożegnała się z Piaseckim Basia.

I nawet te słowa nie wywarły wrażenia na lekarzu. Zdziwił się dopiero za kilka chwil.

ROZDZIAŁ 11

Patrycjusz nie lubił mieć racji wtedy, gdy bardzo nie chciał jej mieć, więc słowa zaprzyjaźnionego patologa sprawiły mu wielką przykrość.

– Powtórzyłem toksykologię Moniki, żeby sprawdzić, czy może nie podtruwała się regularnie, ale nie: jednorazowy strzał i *arrivederci, Roma*. Na domiar złego odmiana tojadu w ogródku Maślankiewiczów idealnie pasuje do tej znalezionej w tkankach Melskiej.

- To jeszcze nie jest przesądający dowód... – zaryzykował prokurator.
- Czasami więcej nie potrzeba.

Pieprzyca musiał się z tym zgodzić, choć co do zasady on starał się nie mieć wątpliwości, gdy skazywał kogoś na najwyższy wymiar kary. Jednak było tajemnicą poliszynela, że więzienia pełne są ludzi, których wina wcale nie była aż tak oczywista, a anonimowe groby na cmentarzach komunalnych kryły doczesne szczątki skazanych na śmierć przypadkowych ofiar systemu.

– Słuchaj, czy ty może pamiętasz, dlaczego nie zlecono sekcji Arciszewskiego? – zagadnął prokurator kolegę. To pytanie nie dawało mu spokoju.

– Nie mam pojęcia, ale możemy zajrzeć do papierów – przyznał patolog.
– Coś mi się kojarzy, że prokurator w ostatniej chwili odwołał decyzję.

Pieprzyca nie pamiętał zupełnie sprawy Arciszewskiego. W tamtym czasie pracował w całkiem innej części Polski, a śmierć Augusta, przez całe życie borykającego się z chorobliwą otyłością, nie wzbudziła wówczas jego podejrzeń. Teraz sytuacja nieco się zmieniła i fakt, że nie sprawdzono, dlaczego mężczyzna utonął w wannie, wydawał mu się co najmniej niepokojący.

– Hmm – zasępił się. – Coraz mniej mi się podoba to wszystko. Daleki jestem od snucia teorii spiskowych, ale ewidentnie coś tu zostało spartaczone. Albo to haniebne zaniedbanie, albo...

– Miejmy nadzieję, że mamy do czynienia z błędem ludzkim – podsumował patolog, przysiadając na krześle. – Nie wiem, czy Anka

Arciszewska miałaoby taką władzę, żeby naciskać na wymiar sprawiedliwości. Dopiero po ślubie z Maślankiewiczem stała się ważna.

– Kto prowadził tę sprawę? – zapytał Pieprzyca.

Już zwęszył trop. Jeśli doszło do nadużyć, on, Patrycjusz, z pewnością dogrzebie się do tego. I nie odpuści, choćby miał sięgnąć po pomoc samego Rokity. O ile, rzecz jasna, Rokita istnieje.

Patolog przymknął oczy i potarł czoło. Cieszył się sławą osoby o niemal ejdetycznej pamięci. Złośliwi żartowali nawet, że jego mózg przypomina ogromny katalog biblioteczny, w którym każda szufladka opisana jest właściwym indeksem i wystarczy, aby patolog użył poprawnego skojarzenia, a mógł odtworzyć każde zapamiętane wydarzenie.

– To był początek lata – zaczął snuć opowieść. – Dostałem powiadomienie, że przywiozą pływaczka, i nawet się ucieszyłem. Chciałem na koniec roku akademickiego zafundować studentom trochę rozrywki, a taka okazja nie zdarza się często, jak zapewne wiesz.

Patrycjusz pokiwał głową – istotnie, nieczęsto bywało, żeby przyszli lekarze mieli sposobność obejrzenia napuchniętych zwłok. Co innego w sezonie wakacyjnym: wówczas nie było tygodnia, żeby jakiś podchmielony rybak nie wpadł do rzeki albo imprezująca młodzież zapomniała o zasadach bezpieczeństwa.

– Kto stwierdził zgon? – spytał rzeczowo prokurator, już całkowicie wszedłszy w rolę śledczego.

– Piotrek Piasecki, on zresztą był lekarzem Arciszewskiego.

– Pamiętasz może, kto znalazł ciało? Zapewne Malwina? – zgadywał.

– A tu cię zdziwię, bo to na pewno nie była Malwina – odparł zagadkowym tonem patolog. – O ile mnie pamięć nie myli, Anki w ogóle nie było wtedy w Babiborze, zdaje się, że odwiedzała jakąś krewną w Łomży. Odkrycia dokonała Sylwia Sierżant.

Pieprzyca uniósł brwi tak wysoko, że niemal zniknęły pod strzechą siwych włosów.

– Sylwia Sierżant? Jesteś pewien?

– O ile mnie pamięć nie myli – powtórzył odrobinę urażony lekarz, bo przecież wiadomo, że jego pamięć nigdy nie myliła. – Ona znalazła ciało, a chwilę później na miejscu zjawił się Szymon Sierżant, ówczesny sołtys, i Piasecki, wezwany przez Szelesta.

– Popatrz, popatrz – zadumał się Patrycjusz. – Zupełnie zapomniałem, że dziadek naszego dzielnego posterunkowego piastował tę zaszczytną funkcję. Wygląda na to, że będę musiał się rozmówić z piękną Sylwią, tak na wszelki wypadek.

– Nie sądzę, żeby udało ci się cokolwiek z niej wyciągnąć, ale spróbować możesz. A, już wiem! Prokurator nazywał się Maciej Wernicki, tyle że z nim już nie pogadasz. Umarł zaraz po Arciszewskim.

– Nic nie szkodzi, przejrzę akta – odparł Pieprzyca w zamyśleniu. – Dlaczego w ogóle nie kojarzę tego nazwiska? Przecież to nie było aż tak dawno temu.

Patolog rozłożył ręce. Tego już nie miał prawa pamiętać, w głowie kolegi nie siedział. Nagle jednak coś mu się przypomniało.

– Wernicki był stary, odkąd pamiętam, mniej więcej w wieku Marleny Maślankiewiczowej. Nie jestem pewien, czy przypadkiem przez chwilę nie był nawet jej mężem...

– Żartujesz? – Tym razem zdumienie sprawiło, że prokurator stracił typowy dla niego stoicki spokój. – Kolejna osoba zamieszana w tę sprawę miałaby związki z Maślankiewiczami? To już z całą pewnością byłby zbyt duży zbieg okoliczności.

Medyk wzruszył ramionami i podniósł się z krzesła. Pomógł, na ile mógł, nic więcej nie wiedział.

Pieprzyca podziękował koledze i wyszedł z prosektorium, lecz szpitala nie zamierzał jeszcze opuszczać. Piasecki miał dzień wolny, jednak nic nie stało na przeszkodzie, żeby prokurator przejrzał dokumentację medyczną. Chciał mieć absolutną pewność, że nic w tej sprawie już go nie zaskoczy, a dotychczasowe niespodzianki wyczerpały limit na jedno dochodzenie. Zwłaszcza że wciąż nie było wiadomo, jak ugryźć problem potencjalnego czarostwa Moniki Melskiej. Patrycjusz najchętniej spuściłby na to zagadnienie zasłonę milczenia, uznając dziwaczne, choć wcale nie tak znów nieprawdopodobne hobby zmarłej za zupełnie irrelevantną kwestię, a jednak pojawienie się w jej domu książek należących wcześniej do Augusta Arciszewskiego mogło – choć wcale nie musiało – zmienić postać rzeczy. Czy może to także należało przypisać zbiegowi okoliczności? Na wskroś racjonalny umysł prokuratora zawzięcie bronił się przed przyjęciem takiego rozwiązania, uznawał bowiem, że to, co ludzie zwykli

przypisywać przypadkowi, najczęściej było wynikiem wielu wcześniejszych działań, jak choćby słynnego rozlania oleju przez Annuszkę, żeby zbyt daleko nie szukać.

Przeglądając liczne odpisy dotyczące hospitalizacji Augusta Arciszewskiego, Pieprzyca upewnił się w przekonaniu, że mężczyzna, poza oczywistymi skutkami nadmiernej otyłości, cierpiał także na chorobę nerwową. Mimo pogarszającego się samopoczucia konsekwentnie odmawiał przyjęcia farmakoterapii, na którą z nie mniejszą konsekwencją naciskał psychiatra. Dopiero gdy Malwina – wtedy jeszcze Anna – zalewając się łzami, wezwała lekarza do „stradającego rozum starego knura”, podjęto decyzję o umieszczeniu Arciszewskiego w Choroszczy. Opuścił szpital po czterech tygodniach i kontynuował leczenie w warunkach domowych.

Reasumując: niewiele ta wiedza wносиła do sprawy. Żadnych leków grożących otruciem wskutek przedawkowania, żadnych prób samobójczych. Podobnie jak w wypadku Melskiej, śmierć mężczyzny nastąpiła nagle i nieoczekiwanie. Ślepy zaulek, przynajmniej do czasu zbadania zwłok Arciszewskiego, ale o tym Patrycjusz starał się nie myśleć. Już sama idea wydobywania doczesnych resztek z grobu sprawiała, że lubił swoją pracę dużo mniej.

Tak czy inaczej, sytuacja nie wyglądała zbyt różowo, szczególnie dla Malwiny Maślankiewicz, której nienawiść do byłej narzeczonej Mietka była powszechnie znana, a sama nienawistnica nie kryła się ze swoimi uczuciami. Łatwo więc było uwierzyć, że w końcu cierpliwość jej się skończyła i Malwina postanowiła pozbyć się rywalki. Patrycjusz także byłby w stanie przyjąć ten scenariusz, choć jako jedyny zdawał się dostrzegać jego najistotniejsze niedociągnięcie: Monika Melska nigdy z własnej woli nie napiłaby się niczego, co podałyby jej Malwina. Jakim więc sposobem sołtysowa miałaby przekonać ją do przyjęcia trucizny?

Głowiąc się nad tym zagadnieniem, które na własne potrzeby nazywał „nierozstrzygalnikiem”, Patrycjusz wrócił do mieszkania, gdzie czekała na niego nagrana na pocście głosowej rewelacja dotycząca przyjazdu nowego księdza do Babiboru. Tadeusz Tarnacki o nikim nie zapominał, zwłaszcza w tak ważnych sprawach jak nowy członek ich niewielkiej społeczności. I choć Pieprzyca nie był szczególnie religijny, postanowił zjawić się na

pierwszej mszy z czystej ciekawości. Ta zmiana to powiew świeżości, a nowi księża zwykle mają dużo więcej zapału do pisania porywających kazań.

Jak się miało niebawem okazać, co do tego ostatniego Patrycjusz rzeczywiście miał rację.

ROZDZIAŁ 12

Podczas gdy właścicielki siedliska dokonywały epokowego odkrycia pod podłogą domu Soni Iwaszuk, posterunkowy Sebastian Sierżant włóczył się bez celu po wsi, co rusz przeklinając producenta obuwia. Nie dość, że buciory przemakały na czubkach, to jeszcze podeszwa wcale nie izolowała od mokrego śniegu. Jednym słowem: beznadzieja.

Beznadzieja panowała także w duszy Sebastiana, choć właściwie bliżej jej było do bezdennej rozpacz. Jakby ktoś kawałek po kawałku rozdzierał go od środka. Bez znieczulenia i stanowczo niedelikatnie.

Kilka razy zabłądził w pobliże siedliska, ale w ostatniej chwili rezygnował z otwarcia skrzypiącej bramki. Nie chciał smęcić i psuć atmosfery, a w dodatku obiecał pomóc przy remoncie, na co aktualnie nie miał zupełnie sił. W zdrowym ciele – zdrowy duch, a jego duch był chory, zatem ciało także musiało niedomagać.

Ostatecznie podjął decyzję o powrocie do domu, lecz nie chciało mu się cofać, więc skręcił na łąkę, obok chatki Soni. Zupełnie niecelowo, bez dwóch zdań. Im bardziej zbliżał się do kamiennej budowli, tym żwawiej ruszał nogami, serce biło mu szybciej, cieplej mu się zrobiło i nawet przemoczone buty nie przeszkadzały mu już tak bardzo. Może akurat dziewczyna wyjdzie wyrzucić śmieci? Albo wyjrzy przez okno, wyczuwając jego obecność?

Nagle serce omal mu nie wyskoczyło z piersi, kiedy drzwi otworzyły się z impetem i ze środka wypadł... Karol Książek. Rozejrzał się we wszystkie strony, niczym złoczyńca opuszczający miejsce zbrodni, i ruszył biegiem w stronę swojego domu.

Posterunkowy bezwiednie zacisnął pięści, a jego blada twarz przybrała barwę purpury.

– Oż ty, łajdaku przeklęty! – syknął, spoglądając za oddalającym się dziennikarzem. – Już ci pani Julia nie wystarczy i musisz się za cudze kobiety brać?

Rozwścieczony do granic policjant całkiem zapomniał, że obiecał matce

powrót do domu przed zmrokiem, i ruszył przed siebie, nie zastanawiając się nad destynacją. Zdziwił się dopiero, gdy się zorientował, że wyrosły przed nim drzwi domostwa Maślankiewiczów.

Zapukał. I jeszcze raz. A potem rąbnął zwinętą dłonią, aż echo poszło.

Po chwili z wnętrza usłyszał dwa głosy – jeden niewątpliwie męski, drugi niewątpliwie damski – wymieniające ostro brzmiące słowa.

– Panie Maślankiewicz, to ja! – zawołał. – Trochę tu zimno, więc za długo nie wystoję!

– To niech idzie, po co w ogóle przyłaził? – Głos nie należał do Mieczysława, ale nawet jego dźwięk ucieszył posterunkowego.

– Pani Marleno, a ładnie to tak bliźniego na mrozie zostawiać?

Zamek zazgrzytał i drzwi się uchyliły. Przez niewielką szparę Sebastian dostrzegł bladą i zmęczoną twarz sołtysa, a z poziomu pół metra niżej świdrowały go oczy Marleny.

– Czego chce? – syknęła staruszka.

– Babciu! – Mieczysław otworzył szerzej drzwi i delikatnie przesunął staruszkę na bok. – Co pana sprowadza, posterunkowy? Stało się coś?

– Co? Nie, nic się nie stało – odrzekł rudzielec. – Na pewno nic z Karolem Książkiem.

Maślankiewicz uniósł brwi, ale raczej nie miał ochoty drażnić tematu, za to jego babka przyjrzała się przybyszowi z większą uwagą.

– Proszę, niech pan wchodzi, bo ziąb straszliwy. – Sołtys odsunął się od progu i przepuścił Sierżanta.

Sebastian nie dał się długo prosić – dwoma susami znalazł się w przedpokoju. Otuliły go ciepło i przyjemna mieszanka zapachów gotującego się jedzenia, ziół i tego, co w tej chwili zajęło wszystkie myśli chłopaka: herbaty z miodem. Stękając jak potępieniec, zdjął przemoczone kajdany²⁰, powiesił płaszcz na wieszaku i poczłapał do kuchni, w której chwilę wcześniej zniknął Mieczysław Maślankiewicz. Marlena pilnowała policjanta jak cień.

– Co tam z tym Książkiem się wydarzyło, Sebek? – zagaiła go słodkim głosikiem.

– Nic, przecież mówiłem.

– Nie chcesz, to nie gadaj – nabzdyczyła się staruszka. – Tylko nie przychodź do mnie później po pomoc.

Sierżant miał już odpyskować coś na temat pomocy, ale ugryzł się w język. Nie chciało mu się zresztą go strzepić, wciąż czuł wściekłość i krew mu się burzyła na wspomnienie czmychającego z domku Soni Karola. Może herbata da mu choć odrobinę ukojenia.

Sołtys siedział przy stole; łokcie oparł o blat i podparł brodę na pięściach. Spoglądał przez okno, a na jego przystojnej twarzy gościł wyraz melancholii.

– Dobrze się pan czuje? – zatroskał się posterunkowy.

– Mhm, znakomicie – odparł jakimś dziwnym głosem Mieczysław.

– W życiu bym nie powiedział... Pił pan kompocik z maku?

Maślankiewicz łypnął na niego spod zmarszczonych brwi, ale zaraz przeniósł pełen podejrzliwości wzrok na babkę. Marlena udawała, że tego nie zauważa.

– Kompociku nie mam, herbaty ci zrobię – oznajmiła ze stoickim spokojem. – Mogę dorzucić ziółek na poprawę samopoczucia, żeby cię tak nie dręczyło to, co cię nie dręczy.

– Żadnych ziółek! – zastrzegł policjant. – Jeszcze tego brakowało, żebym znowu miał zwidy.

Babcia Maślankiewiczowa pokręciła głową z wyraźną dezaprobatą i poszła zaparzyć świeżą herbatę. Co to się na tym świecie wyprawia, że ziółek odmawiają? Kiedyś kolejki się do niej ustawiały!

– A może naleweczki? – zaproponował nieśmiało Mietek. – Jeśli nie wydoi pan całej flachy, to i zwidów nie powinno być.

Naleweczka? Właściwie... czemu nie! Rudzielec skwapliwie pokiwał głową, a jego sympatyczna twarz nieco się rozpozodziła. Maślankiewicz otrząsnął się z marazmu, z zaskakującą werwą podniósł się z krzesła i zanurkował w przepastnym kredensie. Po chwili przed zaskoczonym posterunkowym pyszniły się butle wypełnione kolorowymi płynami.

– Orzechówka, cytrynówka, jałowcówka, porzeczkowa, wiśniowa, z dzikiej róży, z moreli – wymieniał jednym tchem sołtys. – Którą sobie pan życzy?

Wybór był trudny, więc posterunkowy zaproponował, żeby popróbować po łyżku, a potem się zdecyduje. Maślankiewicz zdawał się popierać ten plan. Marlena bez słowa ustawiła na środku stołu trzy kieliszki z rżniętego szkła, za chwilę obok nich pojawił się dzbanek

parzącej się herbaty i wyczarowany nie wiadomo skąd placek ze śliwkami.

– No to popróbujmy, czy aby nie mdłe – zarządziła, wlewając po kilka kropel żółtawego płynu do kieliszków. – Niech się darzy!

Posterunkowy powtórzył toast, a Mieczysław mruknął coś pod nosem. Zanim podjęto decyzję w kwestii wyboru najsmaczniejszej trucizny, obaj mężczyźni nabrali kolorów, a ich morale zdecydowanie się poprawiło.

– Moja Malwinka najbardziej lubi porzeczkową – oznajmił ni stąd, ni zowąd Mietek.

– Bardzo smaczna, ale róża jeszcze smaczniejsza – wyznał Sierżant.

– A może by tak przeszmulgować buteleczkę do aresztu? – rozmyślał Maślankiewicz, ignorując słowa policjanta. – Zimno jej tam musi być i straszno. Szelest się nad nią znęca, ani poduszki, ani firanki...

Posterunkowy z trudem powstrzymał się od prychnięcia na myśl o genialnej grze aktorskiej sołtysowej. Oj tak, biedna, uciśniona Malwina...

– I co tam pani ustaliła, pani Marleno? Będzie to alibi czy nie? – Naprowadzony przez słowa sołtysa Sebastian przypomniał sobie, po co właściwie przywiózł babkę Mietka do Babiboru.

– Alibi? – zdumiał się szczerze Maślankiewicz. – Jakie alibi? Dla kogo to alibi?

Marlena nie wyglądała na zadowoloną z przywołania tego tematu, jednak nie z takimi kłopotami już sobie w życiu radziła. Starczy powiedzieć, że miała ośmiu mężów, co samo przez się świadczyło o sile jej charakteru.

– To sprawa pomiędzy mną a twoją żoną – odrzekła z godnością angielskiej królowej. – Ubzdurała sobie, że mogę udowodnić jej niewinność, co jest niezbitym potwierdzeniem jej postępującego szaleństwa.

Mieczysław gwałtownie podniósł się z krzesła, jakby oparzyło go w siedzenie.

– Mów, kobieto! – ryknął i wycelował palec w chudą pierś babki. – Jeśli znasz okoliczności mogące oczyścić moją ukochaną z zarzutów, przemów teraz lub zamilknij na wieki!

Babka Maślankiewiczowa nie wyglądała na poruszoną nagłym wybuchem wnuka, może jedynie wydała się odrobinę zniesmaczona.

– Formułki ci się, dziecko, pomerdały – skwitowała kwaśno.

– Do diabła z formułkami! Niech babcia ratuje Malwinę!

– Uspokój się, Mieciu, bo od nadmiaru emocji grozi impotencja.

– Naprawdę? – zaniepokoił się posterunkowy, który przecież ostatnimi czasy emocji miał po kokardy.

– A po co miałabym kłamać? Arciszewski też mi nie wierzył, a potem błagał, żebym mu ziółka parzyła i uroki odczyniała.

Na wspomnienie pierwszego męża Malwiny Mietek wzdrygnął się lekko. Nie żywił do faceta osobistych uraz czy niechęci, ale też nieszczęśliwie go lubił. Jednocześnie był mu wdzięczny za rychłe opuszczenie ziemskiego padołu, bo dzięki temu on, nieopierzony młokos, mógł zdobyć taką kobietę jak Anka Arciszewska, do której wzdychał na długo przed śmiercią bartnika.

– To mówi babcia, że August... zaniemógł? – zapytał z jadowitą satysfakcją. – Może gdyby wcześniej nie latał za babami jak wściekły pies, toby na starość go nie dopadło.

– A ciebie co interesuje, za kim on latał? A może to twoja sprawka, Mieciu, co? Urok na Augusta rzuciłeś, żeby mu żonę odbić?

– Ja? Urok?! A to dopiero historia! – zaśmiał się wesoło Mietek i goliął cały kieliszek nalewki porzeczkowej. – Nie wiem, czy babcia pamięta, że ja pomagałem te ziółka dobierać i za głowę trzymałem, jak rzygał w krzakach. A jak ze szpitala wyszedł, to go odwiedzałem i sprawdzałem, czy mu się nie pogarsza.

– Pamiętam, bardzo dobrze pamiętam – odbiła piłeczkę Marlenu. – Tylko pewności nie mam co do tego, czy ty do Augusta, czy do Anki tak chętnie chodziłeś.

Posterunkowy popijał nalewkę i z przyjemnością przysłuchiwał się wymianie zdań. W czasie, gdy Arciszewski poważnie chorował, on był zaledwie młodzieniaszkiem, którego nie interesowały sprawy dorosłych. Teraz to zupełnie co innego, zwłaszcza że Szelest niczego mu nie mówił.

– Niech babcia nie będzie śmieszna, ja wtedy zaręczony byłem – usiłował bronić się sołtys. – Poza tym umierającemu człowiekowi świństw się nie robi, każdy głupi to wie.

– Ano właśnie, Mieciu, skoro już przy tej twojej narzeczonej jesteśmy... – Marlenu wyglądała na bardzo zadowoloną z kierunku, jaki obrała dyskusja. – Jesteś pewien, że Malwina nie przyłożyła ręki do jej śmierci?

Mnie to się wydaje mało prawdopodobne, ale co ja tam mogę wiedzieć. Może Monika faktycznie chciała cię odkraść?

Sebastian Sierzant obawiał się, że Maślankiewicz zaraz wybuchnie albo imploduje. Nic takiego na szczęście się nie wydarzyło.

– Bardzo chcę wierzyć, że to niemożliwe – odrzekł ze smutkiem. – Ale po tym, jak groziła, że się jej pozbędzie, jeśli ja tego nie zrobię...

Zapadła niezręczna cisza. Zarówno Marlena, jak i Sebastian poczuli przypływ współczucia dla zakochanego sołtysa, którego serce musiały rozdierać skrajne emocje. Niestety, żadne z nich nie wiedziało, jak mu pomóc.

– Napijmy się jeszcze – zaproponował posterunkowy. – Poradziliśmy sobie z upiorem, klątwą, to i z tym sobie poradzimy. A jutro możemy się pomodlić w intencji znalezienia winowajcy.

Kieliszki napełniały się i opróżniały w zaskakującym tempie, a humory z każdym kolejnym wydawały się łagodnieć. Nim za oknem zapadł zmrok, co stało się niepostrzeżenie, rozmowy wróciły do przyjemnych tematów, a na pierwszy plan wysunęło się nadchodzące Boże Narodzenie. Zapowiedziane otwarcie pensjonatu w siedlisku budziło wiele emocji i wszyscy troje z ekscytacją czekali na przybycie rodzin łodzianek.

– Zdecydowałam się, zrobię to – oznajmiła nagle Marlena.

– Że niby co? – Mieczysław był już dobrze ululany i głupkowaty uśmiezek nie schodził z jego twarzy.

– Pomogę Malwinie. A przynajmniej spróbuję, niech zna moją dobroć.

Mietek rzucił się babce na szyję i szlochał jak mały chłopiec. Sierzantowi także zrobiło się ciepło na sercu, choć nie miał pojęcia, na czym owa pomoc szeptuchy miałyby polegać. Kiedy miał o to zapytać, odezwała się komórka w jego kieszeni.

– O kurczaki, to mama – mruknął, spoglądając na ekran. – Muszę już iść, chyba się zasiedziałem.

Mimo protestów Maślankiewicza, któremu nie w smak było kończenie imprezy, Sierzant opuścił dom sołtysa i w pośpiechu ruszył do siebie, spodziewając się bury. Jego matka, osoba z natury łagodna i serdeczna, potrafiła okazywać niezadowolenie, a jemu akurat było to potrzebne jak dziura w moście. Wbrew obawom policjanta Sylwia Sierzant przywitała go pełnym ulgi uśmiechem i posłała do łóżka, żeby się wyspał przed wielkim

dniem.

– A cóż w nim takiego wielkiego? – zdziwił się rudzielec.

– No wiesz? Nie jesteś ciekaw nowego księdza?

– Jakoś nieszczególnie – odparł, ziewając. – Ksiądz jak ksiądz, od Antoniego lepszy nie będzie, byleby nie był gorszy.

– Mam przeczucie, że go pokochamy – stwierdziła z przekonaniem piękna Sylwia i zasłoniła okno. Wydawało jej się, że w oddali dostrzegła parę oczu wpatrującą się w nią z zaskakującą intensywnością. – Znikaj, maro – szepnęła i przeżegnała się trzykrotnie.

Oczy jeszcze przez chwilę patrzyły w kierunku zasłoniętych okien i dopiero gdy w domku Sierżantów zgasły wszystkie światła, one także zniknęły – choć niezupełnie. Efemeryczna postać, do której należały te dwa rozżarzone węgle, cofnęła się w głąb boru i ruszyła ku swej chatce. Jej czarne, długie włosy okrywały ją niczym peleryna. Delikatne kroki nie pozostawiały śladów na śnieżnym dywanie, jakby postać nic nie ważyła. Otulała ją mgła, pachnąca ziołami i drewnem z ogniska. Na pięknej twarzy czarownicy malował się smutek. Nie mogła pozbyć się przeczucia, że zło zostało obudzone, a Babiborowi grozi nieszczęście. Szeptaly o tym drzewa, pohukiwały sowy, uśpione krzewy mruzczały przez sen. Na pozór spokojną noc przepełniała złowieszcza atmosfera.

– Boję się, Rokito – szepnęła do męża, gdy powitał ją w progu ukrytej chatki. – Boję się, że to się powtórzy.

Rokita objął ją z całej siły, a ona ułożyła głowę w zagłębieniu jego szyi. Czuł, że jej serce tłucze się jak szalone. Poglaskał ją czule po policzku i ucałował w czubek głowy.

– Ja także się boję, maleńka – odparł cicho – ale i tym razem sobie poradzimy.

Stali tak wtuleni w siebie aż do świtu, a wraz z jego nadejściem powoli zaczęli się zmieniać. Gdy w kościele rozdzwoniły się dzwony wzywające na pierwszą mszę, dostojny gawron i złotooki myszołów zajęły najlepsze miejsca – na parapecie okna znajdującego się tuż nad amboną.

ROZDZIAŁ 13

Mimo wielu podjętych prób o nowym proboszczu niewiele udało się powiedzieć – kuria milczała, znajomi księży wzruszali ramionami albo rozkładali ręce. Nikt o Radosławie Robaku wcześniej nie słyszał. Batuszka Mikołaj obdzwonił wszystkich znajomych z seminarium, lecz i to nie przyniosło rezultatów. Jakby ów duchowny wyrósł spod ziemi albo spadł z nieba. Tym niecierpliwiej więc czekano na pierwszą mszę, żeby obejrzeć tajemniczego jegomościa i wyrobić sobie zdanie na temat jego pobożności. Będzie wyrozumiały czy raczej surowy? Tolerancyjny czy konserwatywny? Sympatyczny czy burkliwy? Niski czy wysoki, przystojny czy szpetny, blondyn czy brunet?

Z uwagi na tak duże zainteresowanie personą księdza nie zaskoczyła nas frekwencja w kościele, który tyłu wiernych ostatni raz gościł bodaj na ślubie Maślankiewiczów. Niewielka świątynia dosłownie pękała w szwach, a echo prowadzonych szeptem rozmów odbijało się od sklepienia.

W pierwszych ławkach zasiedli oficjele: Mieczysław Maślankiewicz z babką, Sabina i Szczepan Szymczakowie z synem i synową, Norbert i Nina Nadworscy, nieprzyznający się do ciężarnej córki, która zajęła jedną z ostatnich ławek, Teresa i Tadeusz Tarnaccy, Piotr Piasecki, Patrycjusz Pieprzyca, batuszka z matuszką, Sylwia Sierżant z synem, pięcioosobowa rodzina Antkowiaków, co odrobinę przeszkadzało siedzącym za nimi, posterunkowa bowiem mierzyła ponad metr osiemdziesiąt, a była najniższą z rodu. Właścicielki siedliska trzymały się raczej tylnych rzędów, brakowało natomiast Karola Książka i Soni Iwaszuk, ale jej raczej nikt się nie spodziewał. Jakiegokolwiek wychodzenia z domu i spod koca zabronił jej *expressis verbis* Piotr Piasecki, kiedy ze zgrozą zmierzył dziewczynie temperaturę, przywiózłszy trzymetrową drabinę do zbadania dziury pod kuchnią.

Mniej więcej na dziesięć minut przed rozpoczęciem nabożeństwa z zakrystii wypadł Maciejka Mielnicki, podbiegł do ołtarza, wcisnął coś pod sięgający podłogi obrus, pomachał do rodziców i prysnął z powrotem. Jego matka, Marysia, poczuła wzruszenie na widok chłopca w śnieżnobiałej

komży, a siedzące obok sąsiadki gratulowały jej pobożnego syna. Nie mamy pewności, czy rzeczywiście chodziło o pobożność, czy zwyczajnie dziesięciolatkowi się nudziło, a służenie do mszy to jednak plus pięćset punktów do estymy we wsi. Grunt, że Mielnicka była zadowolona, a kumy z fałszywymi uśmiechami przyklejonymi do twarzy przeżuwały zawiść.

W końcu rozbrzmiały dzwony. Ich czysty dźwięk najpierw przstraszył, a następnie ukoił nerwy zgromadzonych parafian. Wydawało się, że normalność wraca. Jeszcze tylko niech ten cały Robak okaże się prawdziwym pasterzem dusz.

O wszyscy święci i błogosławieni! A niech go!

W akompaniamencie donośnego śpiewu organisty w prezbiterium pojawiła się strzelista postać. Dłonie miała złączone opuszkami palców, wzrok skupiony, twarz spokojną i pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu. Duchowny uklonił się przed tabernakulum. Maciejka podążał za nim jak cień i ostatecznie stanął z tyłu, tuż przy krześle celebransa. Kapłan odczekał, aż organista przestanie zawodzić, pomilczał przez chwilę, wymruczał jakieś inkantacje, złożył ukłon – tym razem przed ołtarzem – po czym podniósł roziskrzony wzrok i powoli, dokładnie zlustrował wnętrze nawy. Gdy tylko spojrzenie księdza padło na którąś niewiastę, ta natychmiast oblewała się purpurą.

– Jezusie, Maryjo i Józefie Święty, czy pani to widzi? – Sabina Szymczak wyglądała, jakby zaraz miała dostać ataku padaczki. Zrobiło jej się gorąco, aż musiała rozpiąć odświętne karakuły.

– Widzę, ale nie wiem, czy mi się to nie wyobraza – odszepnęła wpatrzona w proboszcza Nadworska.

Istotnie, można było odnieść wrażenie, że w babiborskim kościółku doszło do objawienia. Objawienie zaś wyglądało jak skrzyżowanie Henry’ego Cavilla, Johnny’ego Deppa i Toma Hardy’ego, miało metr dziewięćdziesiąt wzrostu, kości policzkowe tak ostre, że można było się o nie skaleczyć, dołek w brodzie, wielkie granatowe oczy, wąski i prosty nos, fale Dunaju zamiast włosów, a gdy otworzyło usta z najpiękniejszym łukiem kupidyna, jaki kiedykolwiek wyszedł z ludzkiego DNA, żeńska część wiernych niemal zemdląła.

Siedzące na końcu nawy Ala, Basia, Lilka i Julka, choć nie widziały tak wyraźnie jak Sabina Szymczakowa i Nina Nadworska, także poczuły się

wstrząśnięte wyglądem następcy Antoniego.

Jeszcze większym zaskoczeniem okazały się słowa płynące z ust kapłana niczym strumień aksamitu.

– Bracia i siostry – rozbrzmiało i aż zatrzęsło ścianami kościoła. – Dziś pozwalam sobie odwrócić kolejność nabożeństwa, bo wiem, jak bardzo jesteście ciekawi, kogo nasz Pan namaścił na swojego sługę po śmierci kochanego przez was Antoniego. Odmówmy modlitwę za jego duszę i przejdźmy do sedna.

Można by się spodziewać protestów, a co najmniej oburzenia, jednak wierni ani myśleli przeciwstawiać się woli ewidentnego wysłannika niebios. Parafianki gotowe były się założyć, że pod sutanną skrywa on wielkie, białe skrzydła, dzięki którym zleciał wprost z Królestwa Niebieskiego.

Gdy ksiądz rozłożył ręce, zamknął oczy i zaintonował modlitwę, istotnie wyglądał jak wysłany prosto z nieba, w czym z całą pewnością pomogły padające prosto na niego promienie słońca. Wpadały zresztą przez to samo okno, na którym przycupnęła dziwaczna para ptaków i przyglądała się nowemu kapłanowi w wyjątkowym skupieniu.

Nie mniej uważnie każdy ruch młodego proboszcza śledził batuszka Mikołaj. Na widok nieprzyzwoicie pięknego księdza, uprzedzony do niego już na wstępie, nabral niechęci tak ogromnej, że po raz pierwszy w życiu miał ochotę wpisać czyjeś nazwisko na czarną listę i uznać go za wroga. Dlaczego? Tego Kola powiedzieć nie potrafił, ale czuł we wnętrzościach, że ksiądz Robak oznacza kłopoty. Najgorsze jednak dopiero miało się wydarzyć.

Piękny jak z obrazka duchowny przeżegnał się z pietyzmem, po czym ruszył w stronę ambony. Ostrożnie stawiając każdy krok, wszedł po krętych schodach, stanął tuż przy barierce i niemal jak kapitan frachtowca rozejrzał się po morzu głów. W końcu odchrząknął i rozpoczął najdziwniejsze kazanie, z jakim przyszło się zmierzyć bogobojnym mieszkańcom Babiboru Podlaskiego.

– Bracia i siostry, nic w naszym życiu nie jest dziełem przypadku, wszak przypadek uznać należy za plan Szatana. Dlatego też z całego serca wierzę, że musiało dojść do naszego spotkania, albowiem wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że między wami zamieszkało zło.

Ostatnie słowa odbiły się dźwięcznym echem i na chwilę zawisły nad oszołomionymi słuchaczami. Taki też musiał być zamiar kaznodziei, odczekał bowiem, aż znów zapadnie cisza, zanim podjął dalszą przemowę:

– Nie można mieć wątpliwości, że śmierć brata Antoniego była elementem Bożego planu, a jego ziemską rolę i posługę dobiegła końca. Coś bowiem musi się skończyć, żeby zwolnić miejsce czemuś innemu. – Kapłan zrobił kolejną teatralną pauzę i omiół wzrokiem stłoczonych w ławkach ludzi. Jego spojrzenie nabrało ostrości, rysy stężały, a na ustach zaigrał dziwny, pozbawiony wesołości uśmiech. – Bracia i siostry, umiłowani w Panu, błąd strachu padł na was, a sami sobie go na głowy sprowadziliście! – zagrzemiał niczym trąba pod murami Jerycha. – Tak, wy: i ty, sołtysie Maślankiewicz, i ty, Norbercie Nadworski, i ty doktorze Piasecki! Wszyscy jesteście winni grzechu zaniechania.

Zapadła cisza, od której wszystkim zrobiło się zimno. Szymczakowa zapięła karakulę i postawiła kołnierz. Słowa księdza, a przede wszystkim ton, jakim zostały wypowiedziane, zwiastowały coś, czego nikt nie chciał słyszeć. Robak jednak dopiero zaczynał, a popłoch wiernych dodawał mu energii.

– Wiele chorób toczy wasz babiborski organizm, wiele grzechów zostało przez was popełnionych, ale dziś zajmijmy się jednym. Powiedział Pan: „Guślarz nie będzie żył”²¹, a „kto złoży ofiarę bogom a nie samemu Jahwe, będzie wyklęty”²².

Przyzwyczajeni do współczesnego przekładu Biblii Tysiąclecia babiborzanie zamarli. Książd utkwiał płonące czystą nienawiścią spojrzenie w Marlenie Maślankiewicz i ciągnął swój wywód:

– Nic tak bowiem nie niszczy wiary, nic tak nie kęsa jej czystości jak zaraza nazywana zabobonem. Czymże bowiem innym jest wiara w zabobony aniżeli rakiem, gangreną toczącą zdrowe dotychczas ciało? A jak pozbyć się gangreny z gnijącej kończyny? Uciąć. Tak, bracia i siostry, uciąć i zniszczyć ogniem, żeby nie został po niej nawet ślad!

Tym razem zamiast ciszy odpowiedziały mu dziesiątki stłumionych wdechów. Na twarzach wiernych pojawił się wyraz przerażenia, pierwotnego strachu, który kazał im zacisnąć zęby i na moment zapanować nad biciem serc.

– Pan Bóg mówi do nas: „Bądźcie mi wierni, a ja was poprowadzę

właściwą drogą”. A co na to zabobony? Nie przechodźcie pod drabiną, zawróćcie, gdy zobaczycie czarnego kota, spluńcie trzy razy przez lewe ramię, to was ominie nieszczęście – grzmiał kapłan jak natchniony, ciskając gromami z oczu. – Każdy dzień jest stworzony przez Boga, ale zabobon krzyczy, że trzynasty dzień miesiąca jest pechowy. Pan Bóg zawsze wie, kim będziecie, jeszcze zanim opuścicie łono matki, a tymczasem wy nie siadacie na rogu, żeby nie zostać starymi pannami. Drodzy bracia i siostry! Ileż by jeszcze można wymienić tych zabobonów o pogrzebach, kominiarzach, czerwonych różach i siadaniu po zawróceniu do domu, przedwczesnych burzach i butach wykładanych na stół. Jak sobie z tego żartujemy, to pół biedy. Ale nie można zabobonów brać na serio. Nie można wierzyć i Bogu, i zabobonom. A nade wszystko: nie wolno wam plugawić siebie i swojej wiary gusłami! Pan bowiem nakazał: „Nie pozwolisz mieszkać ze swym ludem nikomu, kto para się zabobonem i zaklinaniem”²³. „Nie będziecie wróżyć ani czarami się zajmować”²⁴. „Nie zwracajcie się do wywoływaczy duchów, ani do przepowiadaczy; nie radźcie się ich, abyście nie byli przez nich splugawieni”²⁵.

Ostatnie słowo poniosło się głośnym echem i poszybowało pod sklepieniem świątyni, po czym przylgnęło do niego jak dym, którego niczym nie da się już usunąć.

Marlena Maślankiewicz poczuła, że w gardle jej zaschło, jakby przebywała na pustyni. Miała ochotę podnieść się z ławki i ostentacyjnie opuścić kościół, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Bynajmniej nie ze strachu, lecz ze złości, wzburzenia, z przeżytego szoku. Krew się w niej zagotowała, a wnętrzności wywinęły ze dwa pełne salta. Jak on śmiał?! Jak ten siusiumajtek mógł mieć czelność twierdzić, że ona kogokolwiek splugawiła?! Bo nie ulegało wątpliwości, że o niej mówił, wierząc ją tymi wściekłymi oczami. I jeszcze zasłaniał się Słowem Bożym! A gdyby Pan Bóg nie chciał, toby jej przecież nie obdarował mocami. Chyba że ten... Robak i na to ma jakieś obrzydliwe wyjaśnienie.

Kaznodzieja ponapawał się przez chwilę skutkami zasianego terroru, po czym przystąpił do kolejnego etapu swojego planu. Musiał długo przygotowywać to swoje inauguracyjne exposé, bo nawet się nie zająknął.

– Jakby już sam zabobon nie był wystarczającym bluźnierstwem, na które Antoni przymykał oko, to jeszcze wy, bracia i siostry, ludzie wierzący,

bogobojni i prawi, pozwoliliście, by między wami zamieszkało zło w swej najgorszej postaci... – Teraz głos księdza brzmiał niemal współczująco, zupełnie nie licując z treścią wypowiedzianych słów. Ton jego był zaś tak beznamiętny, a zarazem niemalże bezlitosny, że mroził płyny komórkowe skuteczniej niż ciekły azot.

I na tym Robak poprzestał. Zawiesił niedokończoną myśl, jakby oczekiwał, że jej puenta wybrzmi w głowach oszołomionych słuchaczy i skłoni ich do tego, by każdy z nich uświadomił sobie swój wielki grzech.

Tymczasem w wytrzeszczonych oczach mieszkańców Babiboru widać było jedynie bezgraniczną pustkę i pozostawione bez odpowiedzi pytanie: kto tu oszalał?

Gdybyśmy chcieli pokusić się o odpowiedź, stawialibyśmy na księdza, którego rozżarzony wzrok, ściągnięte brwi, rozpalone policzki i głęboka poprzeczna zmarszczka na czole nadawały wygląd nawet nie szaleńca, ale opętanego. Jak się okazało, on to samo myślał o ludziach, do których przemawiał.

– „Potrafią przewidywać przyszłość i znają różne tajemnice, a te wszystkie zdolności wynikają z nauki, którą pobierają wprost od Szatana” – wyrecytował ksiądz Robak. – „Swoimi czarami prowokują u ludzi zarówno miłość, jak i nienawiść. Posiadają zdolność zabicia zarówno zwierzęcia, jak i człowieka uderzeniem pioruna, kobiety doprowadzają do poronień, a w łóżu małżeńskim umieją zasiać oziębłość uczuciową. Potrafią tylko sobie znanym sposobem dzieci w łonach matek uśmiercać, samym spojrzeniem ludzi i było sobie podporządkować, nawet o śmierć o śmierć przyprawić, a dzieci swoje diabłu ofiarowują”²⁶. – Kapłan znów spojrzał prosto w oczy Marleny Maślankiewicz, a następnie przesunął wzrokiem po twarzach siedzących obok niej osób.

Wszyscy, jak jeden mąż, wyglądali, jakby właśnie zostali uderzeni rzeźnym piorunem, który sprowadzić siłą woli potrafia...

– Czarownice! – ryknął proboszcz, aż kazalnica się zatrzęsa. – I wpuściliście je między siebie. A kto wie, ilu z was z tych piekielnych mocy korzystało!

Tego już było za dużo. Sabina Szymczak gotowa była paść na podłogę w udawanym ataku epilepsji, byle tylko przerwać tę męczarnię. Marlena Maślankiewicz myślała jedynie o tym, żeby opuścić mury kościoła i

zachować przy tym resztki godności osobistej, której usiłował ją pozbawić nawiedzony klecha. Teresa Tarnacka wciąż nie dowierzała, że nie wyobraziła sobie tych bredni, co już jej się kilka razy zdarzyło, gdy przysnęła w trakcie kazania Antoniego. Batuszka Mikołaj zorientował się nagle, że zaciska pięści z taką siłą, że odbiły mu się półksiężycy od paznokci na poduszkach wewnątrz dłoni. Patrycjusz Pieprzyca siedział z rozdziawionymi ustami i mrugał tak intensywnie, że przez chwilę zupełnie nic nie widział, i żałował, że nie potrafi tego samego zrobić z uszami. Reszta wiernych, oniemiała i osłupiała, gapiała się na tabernakulum, jakby pytali: „Czy Ty to słyszysz, Boże?”.

Nagle coś zaszurało, a zaraz potem zafurkotało. Wszyscy zebrani podnieśli głowy i spojrzeli na gawrona i myszołowa, które rozpostarły skrzydła i jęły tłuc nimi w powietrze. Następnie dwa wielkie i wyraźnie wściekłe ptaki oderwały się od kościelnego parapetu i zapikowały nad głową księdza. Robak pisnął jak przerażone dziecko i zbiegł z ambony do zakrystii, zasłaniając głowę rękami. Ktoś się zaśmiał, ktoś krzyknął: „Dobrze mu tak!”, jakaś kobieta załkała.

Ptaki okrążyły ambonę i wyleciały z kościoła przez okno. Czarny jak atramentowa noc gawron upuścił pióro wprost na kolana batuszki Mikołaja.

– Historia kołem się toczy... – szepnął pop, chowając piórko do kieszeni płaszcza. – Niech Pan Bóg ma nas w opiece. I ci inni bogowie też.

ROZDZIAŁ 14



rzało jak w ulu.

Nikt już nawet nie czekał na powrót dezertera i odprawienie nabożeństwa do końca. Każdy miał coś do powiedzenia, wszyscy czuli potrzebę wyrażenia nagromadzonych emocji. Ale nie tu, nie w tym miejscu, w którym wydarzyło się coś, czego proste umysły mieszkańców Babiboru Podlaskiego nie potrafiły ogarnąć.

Fala wzburzonych wiernych wylała się ze świątyni, pozostawiając wewnątrz jedynie kilkoro ludzi, na których barkach spoczął ciężar opanowania kryzysu. Dobrze już było, teraz będzie tylko ciekawiej...

Patrycjusz Pieprzyca, Piotr Piasecki, batuszka Mikołaj i Mieczysław Maślankiewicz siedzieli jak przyrośnięci do drewnianych ławek, gorączkowo szukając w głowach słów, którymi mogliby skomentować szokujące wystąpienie nowego plebana. Mikołaj trzymał rękę w kieszeni, obracając w niej piórko gawrona, jakby to był amulet mający uchronić go ode złego.

Prokurator jako pierwszy otrząsnął się ze stuporu. Wyjął telefon z kurtki i wysłał krótką wiadomość. Zwykle nie ingerował w sprawy boskie, wystarczały mu jego przyziemne problemy, ale teraz wystąpiły okoliczności co najmniej specjalne. Ekstraordynaryjne, bez dwóch zdań.

– No to się porobiło... – odezwał się Maślankiewicz. – Będzie dym.

– Byleby ognia nie było – odrzekł Piasecki.

– Nie ma dymu bez ognia – przypomniał im sentencjonalnie prokurator.

– Co o tym myślisz, Mikołaju?

Mikołaj już wcześniej miał najgorsze przeczucia. Oczywiście nie marzył o tym, żeby nowy proboszcz był człowiekiem o tak otwartym umyśle jak jego poprzednik, ale też nie dopuszczał do siebie myśli, że okaże się średniowiecznym inkwizytorem cytującym *Młot na czarownice*. Niepokoiło go także, że tajemniczy kapłan zdawał się całkiem sporo wiedzieć na temat mieszkańców Babiboru i panujących tu zwyczajów.

– Myślę – rzekł po dłuższej chwili – że powinniśmy być bardzo ostrożni. Nie wiemy jeszcze, czy fanatyzm naszego... dobrodzieja to jedynie poza,

którą chciał wystraszyć ciemny lud, czy też rzeczywiście ksiądz będzie podejmował walkę z zabobonem. Jeśli się nie mylę, a bardzo chciałbym być w błędzie, to... – zamilkł nagle i pomacał piórko w kieszeni. – Niech nas Ksantypa ma w swojej opiece.

Maślankiewicz wzdrygnął się i spojrział na popa z uwagą. Mikołaj usposobienie miał łagodne jak baranek, a teraz jego dobroduszna, poznaczona zmarszczkami twarz przybrała wyraz surowego skupienia, a nawet zaciekłości. Nigdy wcześniej sołtys nie słyszał także, żeby kapłan wygłaszał tak gorzkie opinie, o odwoływaniu się do opieki czarownicy nie wspominając. Coś tu się działo, coś bardzo niepokojącego. Jakby mało im było morderstw i sekretów...

Siedzieli jeszcze przez chwilę, pogrążeni we własnych, gorzkich myślach. Było dla nich jasne, że mieszkańcy nie udali się do domów – z całą pewnością przenieśli się do centrali, gdzie oczekiwali na swoich włodarzy.

Czterej mężczyźni wolno podnieśli się z ławek, ukłonili przed ołtarzem i wymaszerowali z kościoła. Gdy znaleźli się tuż przy bramie, Pieprzyca zerknął przez ramię w stronę plebanii. Był pewien, że za delikatnie poruszającą się firanką dostrzega ludzką postać, jednak to nie ona przykuła jego uwagę. Prokurator zatrzymał się na moment i spojrział w głąb posesji, w stronę ogrodu. Tak, nie mylił się! Młoda, najwyżej dwudziestoletnia dziewczyna schylała się po kosz wypełniony drewnem. Pieprzyca był pewien, że nigdy wcześniej jej nie widział, musiała pojawić się wraz z księdzem.

– Idziesz, Patrycjuszu? – zawołał Piasecki, zauważywszy, że przyjaciel został w tyle.

– Tak, tak, już idę. Ciekawe rzeczy tu się wyprawiają...

– Istotnie, ciekawe – mruknął Mikołaj.

On także dostrzegł dziewczynę, ale o wiele bardziej zainteresował go człowiek, który z ukrycia, zza okna, obserwował czterech mężczyzn.

Prokurator dołączył i wszyscy ruszyli różnym krokiem w kierunku gospodarstwa Maślankiewiczów. Śnieg chrzęścił im pod butami, a ostre podmuchy wiatru smagały twarze. Oni jednak nie czuli chłodu, wciąż rozgrzani wzburzeniem i zaskoczeniem. Dźwięki podniesionych głosów dochodzące z dawnej obory Arciszewskich usłyszeli, zanim bryła budynku ukazała się ich oczom.

– Przydałaby się Malwina – jęknął Mieczysław, wyobraziwszy sobie panujące wewnątrz pandemonium

– Po raz pierwszy muszę się z tym zgodzić – poparł go Patrycjusz.

– Zawsze możemy użyć pokrywek – podsunął uczynnie Piasecki i sam wzdrygnął się na wspomnienie tego piekielnego dźwięku, od którego kruszyło się szkliwo na zębach.

– Nie wiem jak wy, ale ja mam wrażenie, że znalazłam się w jakimś koszmarze rodem z *Wiedźmina* – oznajmiła głucho Lilka, kiedy cztery oszołomione niedawne łodzianki znalazły się poza terenem plebanii.

– Ja raczej stawiałabym na *Imię róży* – odparła Alicja. – Słuchajcie, a może to był jakiś żart? Może ten niemożliwie przystojny księżulo z nas zakpił, a jutro będzie się śmiał do rozpuku?

– Z mojego doświadczenia wynika, że tacy pięknie nie mają poczucia humoru – dodała gorzko Julia.

– Ten zdaje się mieć bardzo wypaczone – skwitowała Basia.

Na rozstaju dróg Julka nagle się zatrzymała i przygryzła dolną wargę, jak dziecko wstydzące się przyznać, że coś przeszkrobało.

– Co jest? – rzuciła Lilka.

– Wiecie co... Ja chyba nie pójdę z wami do centrali. Obiecałam Soni, że opowiem jej o nowym księdzu.

– I przypadkiem wpadniesz na pana Książka? – zakpiła Alutka.

– Wcale nie! – zaprotestowała Julia, chociaż rumieńce na jej policzkach mówiły zupełnie co innego.

– Mhm, oczywiście – mruknęła Lila. – A nasz nowy proboszcz jest do rany przyłoż. No dobra, chodźmy już, bo mi buty przemakają.

Rozdzieliły się. Julka skręciła w prawo, w stronę chatki Soni Iwaszuk, trzy pozostałe ruszyły na lewo, do Maślankiewiczów.

Utyskując i przeklinając zapadające się pod jej ciężarem zasy śniegu, Julka dobrnęła nadludzkim niemal wysiłkiem – tak jej się wydawało – do kamiennego domku. Otrzepała buty na ganku i nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły, a dziewczynę owionęło ciepło i wyjątkowo przyjemny zapach.

– Dzień dobry. Pani już na nogach?! – zdumiała się na widok krzątającej się po kuchni Soni.

– Dzień dobry. Proszę, proszę, niech pani wchodzi i się ogrzewa! – Piękna twarz aktorki przez ostatnią dobę nabrała kolorów. Widać było, że

stan zdrowia dziewczyny wyraźnie się poprawił. – Lekarstwo pana Piotra zadziałało niemal jak czarodziejska różdżka!

– Może lepiej niech pani takich rzeczy głośno nie mówi – bąknęła Julia.

Sonia podniosła głowę znad kuchennego blatu i spojrzała badawczo na swoją gościnię.

– Stało się coś? – domyśliła się.

– Oj, żeby pani wiedziała... Ale to trzeba najpierw usiąść, żeby się nie przewrócić z wrażenia.

Gospodyni odłożyła nóż, którym kroїła drażniące nozdrza Julki ciasto, okutała się szczelniej grubym szlafrokiem i podeszła do stołu.

– No to usiądźmy – zachęciła. – Chyba że chce pani się napić herbaty?

– Najpierw opowiem – zdecydowała Julka. – No więc niech sobie pani wyobrazi, że nowy proboszcz pod żadnym względem nie przypomina księdza Antoniego. Właściwie nie przypomina żadnego znanego mi księdza, chyba że takiego z amerykańskich seriali.

W miarę streszczania przez Julkę najdziwniejszego kazania, jakie słyszano w dwudziestym pierwszym wieku, delikatne brwi Soni Iwaszuk podjeżdżały coraz wyżej, aż w końcu niemal zwały się z linią włosów w kolorze pszenicy. Na koniec dziewczyna wydała z siebie głuchy jęk, wstrząśnięta nie mniej niż obecni na mszy wierni.

– I co teraz? – zapytała pobladłymi wargami.

– Pojęcia nie mam. Zdaje się, że w centrali odbywa się właśnie spotkanie w tej sprawie.

– Jeśli on, ten ksiądz, zacznie okładać anatemą każdego, kto korzystał z pomocy pani Marleny, to...

– To wszyscy zostaniemy wyklęci – dokończyła poważnym tonem Julka.

– Ale zasadnicze pytanie brzmi: co on zrobi z panią Maślankiewiczową? Zakaże jej wstępu do kościoła? Podda ją egzorcyzmom?

– O matko! – Sonia złapała się za serce. – A jeśli odmówi pochowania Moniki Melskiej?

– O masz... O tym nie pomyślałam.

Możliwość wyklęcia zamordowanej kobiety była wręcz niewyobrażalna. Czy gdyby rzeczywiście do tego doszło, a ceremonię odprawił batuszka, wywołałoby to konflikt między kapłanami? A może Mikołaj podzielał zdanie Robaka, tylko wcześniej, przy tolerancyjnym

Antonim, nie mógł ujawnić swojego podejścia? Ta perspektywa zmroziła obie kobiety.

– Jest jeszcze jedna sprawa, pani Julio... – Na twarzy Soni pojawił się prawdziwy strach. – Jeśli, nie daj Boże, ten człowiek zacznie szukać po wsi dowodów na związki z magią, to ja też pewnie będę mieć kłopoty.

Julka dopiero teraz uświadomiła sobie, że odkrycie dokonane w domu Iwaszuk poprzedniego dnia rzeczywiście mogło okazać się brzemiennie w skutkach. Należało zatem jak najszybciej ustalić, co dokładnie znajduje się w tajnym podziemnym schowku Olgi Olszewskiej.

– Napijmy się herbaty i zejdem na dół – zdecydowała współwłaścicielka siedliska. – A co tam za ciasto pani naszykowała? Pachnie niebiańsko!

– Ach, proszę wybaczyć, już panią częstuję! – zmitygowała się Sonia. – To miodownik²⁷. Znalazłam przepis w jednym z tych zeszytów, które wczoraj panie wyjęły z piwnicy. Chyba dobry wyszedł.

Gospodyni wróciła do kuchni, nastawiła wodę na herbatę i zajęła się krojeniem wypieku. Julka w tym czasie przeszła do salonu, gdzie na stoliku obok narożnika leżał wspomniany przez Sonię zeszyt. Pożółkłe kartki i sfatygowana tekturowa okładka świadczyły o tym, że swoje musiał odleżeć. Julia przekartkowała brulion – wyglądał na przepiśnik, choć niektóre notatki były już nieczytelne. Atrament gdzieś wyblakł, tu i ówdzie pojawiła się plama, być może po herbacie lub kawie pitej przez korzystającego.

– To pismo pani ciotki? – upewniła się Julka, wracając do stołu z zeszytem.

– Tak mi się wydaje. Jest podobne do tego z listów, które znalazłam u babci.

– Ciekawe rzeczy tu można znaleźć: maści, mikstury... Prawie jak u szeptuchy.

– Na całe szczęście nie ma tam żadnych zaklęć – zaśmiała się Sonia. – Za grymuar ksiądz Robak mógłby przywrócić karę śmierci poprzez spalenie na stosie.

Dopiero wypowiedziane głośno słowa nabrały realnego znaczenia. Spalenie na stosie... Czy Robak przypadkiem nie powiedział: „Guślarz nie będzie żył”?

– Nawet myślenie o tym jest zbyt straszne – wyszeptała Julka. – Biedni

państwo Tarnaccy! Musieli się poczuć, jakby ich ktoś kopnął w splot słoneczny.

– Ma pani na myśli ich prababkę? – zapytała Iwaszuk, gdy odgrzebała w pamięci informację, że podobno przodkini Tadeusza i Teresy została osądzona i uznana winną używania czarów.

– Mhm, wyobraża to sobie pani?

Sonia otrząsnęła się dramatycznie. Kto jak kto, ale aktorka była w stanie doskonale wyobrazić sobie dantejskie sceny, jakie odbywały się podczas polowań na czarownice.

– Nie myślmy o tym, pani Julio – stwierdziła ochryplym głosem. – Porozmawiajmy o czymś miłszym. Nie wie pani może, co słyhać u uroczego pana posterunkowego?

Julka zatrzepotała długimi rzęsami i niemal zachłysnęła się gorącą herbatą.

– Pani tak... serio? – wydukała.

Sonia zalała się pąsem, ale odrzekła z powagą:

– Oczywiście, że serio. Przestał do mnie zaglądać, a to taki sympatyczny młodzieniec.

– A przypadkiem to nie było tak, że pani odrzuciła jego zaloty?

– Ja odrzuciłam? – zdumiała się aktorka. – Ależ w żadnym wypadku! Ja jedynie powiedziałam, że nie jestem jeszcze gotowa na małżeństwo. Chyba pani rozumie, że nawet nie zdążyliśmy dobrze się poznać.

– O rany – westchnęła Julia. – On się pani oświadczył? Tak od razu? „Cześć, jestem Sebastian, wyjdź za mnie”?

– No, mniej więcej... Trochę to dziwaczne.

– Trochę?! Wiedziałam, że wpadł jak śliwka w kompot, ale nie sądziłam, że przy okazji zwariował!

– Wie pani, ja naprawdę czuję się zaszczycona, to bardzo miłe, że taki uroczy mężczyzna darzy mnie estymą. Tyle że przez tę klątwę ja nigdy z nikim nie byłam związana i właściwie nawet nie wiem, jak to jest. Myślałam, że zrozumiał...

– Niech się pani nie obwinia, faceci już tak mają: wszystko rozumieją po swojemu. Im trzeba mówić prosto z mostu, najlepiej wielkimi literami, a na koniec zadać pytania sprawdzające, żeby się upewnić, że wszystko do nich dotarło.

Sonia pokiwała głową ze smutkiem.

– A pani i Karol? – zagadnęła gościnię.

Julka wzdrygnęła się na dźwięk tego imienia. Sama już nie wiedziała, czy Książek bardziej ją wkurza, czy może smuci. Ze wszystkich sił starała się pozbyć uczuć, jakie w niej budził, ale im więcej wkładała w to wysiłku, tym bardziej za nim tęskniła. Błędne koło.

Odchrząknęła i poprawiła się na krześle.

– Z nami sytuacja jest taka, że było miło, ale najwyraźniej się skończyło. Czar prysł jak bańka mydlana.

– Czyli... rozstaliście się?

– Raczej pan Książek się ze mną rozstał, a list pożegnalny musiał zaginąć gdzieś po drodze.

– To bardzo nieuprzejme z jego strony!

– Co pani powie – wycedziła Julka. Teraz stanowczo przemawiała przez nią złość. – Widocznie taki ma styl: dopóki mu wygodnie, to się stara i udaje cudownego partnera. A jak mu się znudzi, to szukaj wiatru w polu. Taki z niego casanova.

– Bardzo mi przykro, pani Julio.

– Mhm, mnie też. Straciłam na tę gadzinę kilka tygodni życia. No, ale miałyśmy rozmawiać o przyjemnych rzeczach. Może zejde na dół i rozejrzę się po tych regałach? Poświeci mi pani?

Sonia skwapliwie pokiwała głową i duszkiem dopiła herbatę. Julka w tym czasie podeszła do szafki w wiatrolapie, wytargała z niej zaskakująco wielką latarkę i włożyła buty – w piwnicy panował prawdziwy chłód, więc stanie na bosy nie wchodziło w grę.

Tym razem bez problemu uniosły pokrywę, wstawiły drabinę i Julka zaczęła powoli schodzić, stawiając ostrożnie każdy krok.

– Wie pani, co mi przyszło do głowy? – krzyknęła, stanąwszy na ziemi. – To trochę jak księża kryjówka²⁸, tylko paradoksalnie stworzona dla tych, na których księża polowali.

– Rzeczywiście, to całkiem trafna analogia – zgodziła się z nią Sonia. – Jeśli faktycznie ukrywano tu biedne kobiety posądzane o czary, to czuję się dumna.

– Musimy zapytać panią Marlenę, ona pewnie wie wszystko na ten temat. Może pani poświecić na prawo?

Iwaszuk przesunęła snop światła, który teraz padał na niewysoką szafkę. Jej dolna część miała drzwiczki.

– Jakiś wichajster by się przydał, bo zakluczone na amen – sapała Julka, mierząc się z drzwiami.

– O matko, wieki nie słyszałam tego słowa! – zaśmiała się Sonia. – Pani rodzina pochodzi z Wielkopolski?

– Tatuś, mama była łodzianką. U pani tak się nie mówiło?

– Nie, ja jestem typową łodzianką, u mnie w domu były angielski²⁹, migawki³⁰ i siaja³¹.

Te słowa Julce także były dobrze znane. Skinęła głową, a potem znowu skupiła uwagę na szafce i zagryzła wargę.

– Czym by to ustrojstwo otworzyć... – zastanawiała się. – Ma pani jakiś mały śrubokręt?

Sonia oderwała się od brzegu otworu i na chwilę w piwnicy zapanowała ciemność. Na szczęście Julka nie należała do osób strachliwych, więc wytrzymała próbę z godnością.

– Uwaga, zrzucam w ręczniku! – krzyknęła aktorka i wrzuciła zawiniątko w otchłań.

Przesyłka uderzyła o dno piwnicy z głuchym plaśnięciem i Julia przystąpiła do grzebania w zamku. Po kilku minutach wydała z siebie radosne piśnięcie i pociągnęła za drzwiczki.

– O, fiu, fiu! – zagwizdała z uznaniem. – Toż to prawdziwy skarbiec. Przydałaby się torba, tylko taka większa.

Znów zrobiło się ciemno, a po upływie kilkunastu sekund przez otwór wpadł płócienny worek z uchwyty.

– Może być? – zapytała zdyszana Sonia. – Da pani radę wejść z tym na górę?

– Jak będzie trzeba, to obrócę dwa razy. Niech pani zamknie drzwi do domu, żeby nikt tego nie zobaczył.

Nie dopytując o nic, Iwaszuk znów podniosła się z podłogi i pobiegła zakluczyć wejście. Przy okazji zasłoniła okna, tak na wszelki wypadek. Gdy wróciła do dziury, Julia już zdążyła zapakować torbę i czekała na oświetlenie drabiny.

Wspięła się z wyraźnym wysiłkiem, stękając jak nieboskie stworzenie. Gdy znalazła się na górze, wyglądała, jakby właśnie przebiegła maraton.

– Oesu, ale to ciężkie... – wysapała.

Sonia sięgnęła po toból i z zaskoczeniem odkryła, że wypełniają go księgi i bruliony. Było ich całkiem sporo, wszystkie wyglądały na wiekowe.

– Grymuarów może tu nie ma – dyszała Julka, otrzepując się z pajęczyn – ale znalazłam coś lepszego. – Włożyła rękę do wnętrza płóciennego wora i wyjęła poszarzały zeszyt, na którego okładce widniał dziwny znak przypominający symbol runiczny. – Mówi pani coś imię i nazwisko Joachim Robak?

– Robak? Jak ten nasz?

– Niech pani mówi za siebie, ja tam się do niego nie przyznaję – zachnęła się współwłaścicielka siedliska. – Wygląda na to, że ktoś o tym samym nazwisku dawno temu bawił się w inkwizytora. Jak to mówią: genu nie wydłubiesz.

Sonia drżącymi rękami przejęła zeszyt i przebiegła wzrokiem kilka linijek.

– O matko z córką... – jęknęła. – To niewiarygodne.

– Och, nie takie rzeczy już tu widzieliśmy. Pani się lepiej przygotuje na to, że upiory i klątwy będą najmniejszym z naszych problemów.

Czy na to w ogóle można się przygotować? I właściwie... na co?

*

Dwa ptaki zakołowały nad dzwonnica kościółka, po czym zatrzepotały wielkimi skrzydłami i odleciały w stronę puszczy. Gdy las zrobił się gęsty, obniżyły lot, zanurkowały pomiędzy drzewami, by po chwili zniknąć wśród pokrytych białym puchem krzewów, a następnie wyłonić się w swoich ludzkich postaciach.

Gdyby ktoś poza nami przyglądał się tej scenie, z pewnością mocno by się zdziwił, widząc zamiast gawrona i myszołowa smukłą czarnowłosą kobietę i rosłego, przystojnego mężczyznę, którego oczy kolorem przypominały płynne złoto.

Stanęli naprzeciwko siebie, a na ich twarzach zagościł wyraz smutku. Patrzyli w swoje oczy, porozumiewając się bez słów. Po chwili Rokita zamknął żonę w uścisku i pogłaskał ją po aksamitnych włosach.

– Będzie dobrze, kochanie – szepnął jej do ucha. – Ty zawsze coś wymyślisz.

Ksantypa podniosła na niego roziskrzone spojrzenie i uśmiechnęła się zagadkowo.

– A żebyś wiedział, najdroższy.

Chwycili się za ręce i ruszyli do ukrytej w głębi najgęstszej kniei chatki. Ich bose stopy nie zostawiały na śniegu żadnych śladów, więc gdy zniknęli wewnątrz domku, można było uwierzyć, że wcale ich tu nie było. Gdybyśmy nie oglądali tej sceny, o wiele trudniej byłoby zrozumieć to, co przyniosła noc.

Zanim jednak nadejdzie noc, pozwalamy się porwać podmuchowi grudniowego wiatru, w którym pobrzmiwa głos budzącej się Marzanny. Niesie nas z powrotem do wsi, gdzie dzieją się rzeczy, jakie nie śniły się najstarszym szeptuchom.

ROZDZIAŁ 15

Do przestąpienia progu wiejskiej świetlicy Mieczysław Maślankiewicz doznał nieprzyjemnego uczucia, którego nie potrafił nazwać. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, że pierwszy raz w życiu ogarnęła go prawdziwa panika.

Rozwścieczeni mieszkańcy Babiboru kłębili się wewnątrz obory, jakby szykowali się do wojny. Gołym okiem było widać, że wytworzyły się frakcje i zapanowanie nad nimi wymagać będzie wyjątkowych środków. A tu, jak na złość, Malwina siedziała w ciurmie.

Starszy aspirant Szelest stał wewnątrz kręgu złożonego z kilkunastu kobiet i gestykulował ognieście, co upodobiło go do nadgorliwego aktora pantomimy. Pośród jego audytorium znajdowały się Sylwia Sierżant, Nina Nadworska i Marysia Mielnicka, wpatrujące się w samozwańczego komendanta jak sroki w gnat. Kiwały przy tym głowami i mruzczały pod nosem słowa aprobaty.

Po drugiej stronie obory zebrała się znacznie liczniejsza grupa, której przewodziła Marlena Maślankiewicz. Ona także energicznie machała rękami, a do tego pokrzykiwała, co w połączeniu z jej maleńką fizys robiło dość komiczne wrażenie.

Batiuszka Mikołaj rozejrzał się w poszukiwaniu małżonki. Gdy dostrzegł ją pod odległą ścianą, wyglądała na zatroskaną.

– Zróbmy z tym porządek, panowie – zdecydował tubalnym głosem Pieprzyca. – Starczy nam we wsi plotek i gadania. Trzeba szybko ugasić ogień, zanim coś wybuchnie.

– Racja, nie ma na co czekać – poparł go sołtys i ruszył na ułożone z europalet podwyższenie. Chwycił mikrofon. Żeby sprawdzić, czy wszystko działa, najpierw wyszeptał: – Raz-raz – a potem zagrzmiął: – Proszę wszystkich państwa o ciszę!

Rozmowy zamilkły, zaskoczeni mieszkańcy wlepili oczy w Maślankiewicza. Marlena przepchnęła się bliżej sceny, żeby cokolwiek zobaczyć.

– Dziękuję – kontynuował Mieczysław już spokojnym i przyjemnym

głosem. – Mamy do omówienia sprawę, która zaskoczyła nas wszystkich, ale pragnę was zapewnić, że rada sołecka nie pozwoli na sianie terroru wśród naszej społeczności. Nowy proboszcz, o którym niewiele na razie wiemy, być może nie zdążył jeszcze pojąć od lat panujących w Babiborze zwyczajów.

– Jak dla mnie to pojął całkiem dobrze – odezwał się damski głos należący do frakcji Szelesta.

Maślankiewicz zmrużył oczy, żeby dojrzeć, która to taka mądra, lecz nie potrafił wyłowić twarzy spośród tłumu.

– Pani to lepiej się zamknie, pani Dominikowa, jak nie rozumie istoty sprawy! – odpowiedział jej Norbert Nadworski. – Ciekawe, jak by pani śpiewała, gdyby Marlena nie uratowała pani trzody!

– Gdyby na nią uroku nie rzuciła, toby ratować nie musiała! – odskrzyknęła w obronie kumy Marysia Milenicka, dumna matka ministranta, który stał obok niej i dłubał w nosie, wykorzystując nieuważę rodzicielki.

– Pani też oszalała, pani Mielnicka?! – piekliła się babka sołtysa. – Ja miałabym uroki rzucać?!

– A przypadkiem nie zrobiła pani zawitki³², kiedyśmy dziady świętowali? – odgryzła się Sylwia Sierżant.

Strzał był celny, więc Marlena jedynie zacisnęła usta i posłała matce rudowłosego posterunkowego nienawistne spojrzenie. Mogła, rzecz jasna, sięgnąć po ciężkie działa, jak choćby takie, że młodziotka Sylwia zakochała się w żonatym mężczyźnie i nie chciała słyszeć o żadnym innym nawet wtedy, gdy się okazało, że spodziewa się dziecka, którego wiarołomny kochanek się wyparł. Babka Maślankiewiczowa doskonale wiedziała, kto jest ojcem Sebastiana, ale nigdy nie puściła pary z gęby. Ba! Pomogła dziewczynie uporać się z ciężowymi dolegliwościami, asystowała przy porodzie i pilnowała, żeby niczego nie zabrakło położnicy ani noworodkowi. Zadbała także o to, żeby tchórzliwy tatuś nie zostawił syna bez pomocy materialnej, choć tak Sylwia, jak Sebastian nie mieli pojęcia, skąd faktycznie owa pomoc przychodzi.

– Proszę się natychmiast uspokoić!!! – wrzasnął batiuszka Mikołaj, zaskakując nawet samego siebie. Prawą dłoń wciąż trzymał w kieszeni, jakby dotyk gawroniego piórka dodawał mu otuchy.

Maślankiewicz gestem zaprosił popa na podwyższenie, a gdy stanęli ramię w ramię, przekazał mu mikrofon.

– Mało wam jeszcze niezgody i szczucia? – kontynuował kapłan, wodząc wzrokiem po twarzach zebranych. – Od dziesięcioleci na naszych ziemiach każdy miał prawo wierzyć w to, w co chce. Ani ja, ani Antoni nie wtrącaliśmy się w wasze dziady, Szczodre Gody, kupalnocki. Korzystaliście z pomocy lekarzy, zielarzy i szeptuch. I nagle wam się nie podoba? – Te słowa skierował prosto do otoczonego wianuszkami kobiet Szelesta, zatrzymując wzrok na obliczu swojej szwagierki, Niny Nadworskiej.

Kobieta speszyła się odrobinę, ale świadomość, że nie jest sama, dodała jej odwagi.

– Może wcale nie nagle, Kola, może już pora skończyć z zabobonem i ciemnotą? – zapytała buńczucznie. – Czasy się zmieniają, ludzie też powinni się zmienić, głowy otworzyć i żyć tak, jak im Pan Bóg każe.

– I to ma być postępowe myślenie, durna babo? – zaatakował ją małżonek, reprezentujący frakcję opozycyjną. – Bo mnie to wygląda na średniowiecze. Może jeszcze własną córkę wyklniesz za to, że bajstruka pod sercem nosi, co?

– A ty brudy domowe zostaw w domu! – odpyskowała mu Nina. – Zamiast wzywać szeptuchę do bydła, w weterynarza zainwestuj, sknero jedna!

– Panie Nadworski, a ładnie to tak żonę wyzywać? – odezwała się Sylwia Sierżant. Minę miała zaciętą, wyprostowała się jak struna i widać było, że nie odpuści. – Ksiądz Robak dobrze powiedział, że tam, gdzie gusła, tam nie ma Boga. Trzeba nam zdecydować, po której stronie stoimy.

– Przez tyle czasu nie było trzeba i było dobrze! – zaoponował Tadeusz Tarnacki. – Nikt pani nie każe wierzyć w upiory, pani to sprawa. A to, w co wierzą inni, niech pani zostawi ich sumieniu.

Coraz bardziej ośmieleni babiborzanie znów zaczęli się sprzeczać, a im więcej osób włączało się do dyskusji, tym większy panował chaos.

Stojące w swojej ulubionej, z góry upatrzonej pozycji – tuż przy wejściu do obory – trzy właścicielki siedliska przysłuchiwały się tej wymianie ognia z rosnącym przerażeniem. Odkąd zjawiły się na Podlasiu, zdążyły przywyknąć do przenikających się ze sobą światów słowiańskich i chrześcijańskich bóstw, do wiary w demony, czarownice i złośliwe diabły

przypominające bardziej rogatych satyrów aniżeli władców piekieł. Mimo swojej frenetyczności bardzo im ten świat odpowiadał: wprowadzał do przeciętności życia trochę smaku i pikanterii. A teraz nagle to wszystko miało zniknąć?

– Słuchajcie, mam wrażenie, jakbym znalazła się w jakimś koszmarze – szepnęła Lilka do swych przyjaciółek. – Zaraz zaczną sobie skakać do gardeł i zaczną się jatka.

– Mnie bardziej martwi, że ktoś popiera tego oszołoma Robaka – wyznała Alicja, patrząc ze zgrozą na Sylwię Sierżant.

– A wiecie, co mnie trapi? Że dotychczas mieliśmy jeden problem do rozwiązania, teraz mamy dwa – podsumowała Basia. – Malwina Maślankiewicz siedzi podejrzana o morderstwo, a nasi włodarze, zamiast szukać dowodów jej niewinności i złapać prawdziwego przestępcę, muszą skupić się na niedopuszczeniu do wojny domowej i samosądów.

– Trochę to dziwne, że wcielenie Tomása de Torquemady³³ pojawiło się tu ze swoimi starotestamentowymi poglądami akurat w chwili, gdy Monika Melska okazała się czarownicą – dywagowała Lilka.

– Dziwne to jest to, że ktoś o takich poglądach dostał pod opiekę probostwo na podlaskiej wsi – zawyrokowała Alutka, której w głowie nie mogło się pomieścić wszystko, co usłyszała w kościele.

Stojący niedaleko Sebastian Sierżant zastrzygł uszami i zrobił krok w tył.

– Pssst – szepnął, nie odwracając się do nich. – Czy panie także mają wrażenie, że coś tu się odjaniepawła?

– Istotnie, mamy – odszepnęła Lilka. – A pan nie trzyma z mamusią?

Młodzieniec potrząsnął ognistorudą głową.

– Bynajmniej. Nie wiem, co w nią wstąpiło. Panie też uważają, że ten Robak jest „anielsko piękny”?

– Eee, jakoś nie bardzo. – Lilka się skrzywiła.

– Zbyt idealny jak na mój gust – stwierdziła Ala.

– A na mój on jest zbyt fanatyczny. Człowiek z takim charakterem może wyglądać jak milion dolarów, ale jego brzydota zawsze wyjdzie na wierzch – skwitowała Basia. – A co, panu się podoba?

– No co też pani! – zachnął się posterunkowy i zaryzykował odwrócenie się. W jego oczach błyszczał strach pomieszany z obrzydzeniem. – Moja

matka tak mówi. Całą drogę rozpływała się nad jego „boskimi proporcjami” i „niebiańskim spojrzeniem” – wyjaśnił i teraz to on skrzywił się tak, jakby chciał zwymiotować.

Pod sceną podniosły się głośne okrzyki, więc wszyscy czworo znów skupili się na rozwoju wydarzeń. Zapowiadało się na to, że nie uda się pogodzić zwaśnionych stron. Im bardziej jedna frakcja starała się wpłynąć na przeciwną, tym zaciekłej ta druga broniła swego stanowiska.

Mieczysław Maślankiewicz coraz bardziej żałował, że nie ma u boku swojej dzielnej żony, która zawsze potrafiła zapanować nad bezhołowiem i nie miała problemu z zaprowadzeniem porządku. Tak, Malwina z całą pewnością wiedziałaby, co zrobić z nieprzewidzianym kryzysem. W jednej chwili sołtys podjął decyzję: morderczyni czy nie, musi do nich wrócić. Ona jedna będzie w stanie postawić się terroryzującemu wioskę księdzu, a jeśli dostanie odpowiednie wsparcie, choćby kilka zakłęb Marleny i może jakieś ziółka, to rozprawi się z Robakiem raz-dwa. Tylko... No właśnie. Jak to zrobić? Przecież jej nie wykradnie. I wtedy przypomniał sobie o rozmowie z Sierżantem. Wszak babka miała znać sposób na oczyszczenie Malwiny z podejrzeń.

Wyłowił wzrokiem oczy seniorki Maślankiewiczowej i zaczął intensywnie się w nie wpatrywać. Patrzył i patrzył, i patrzył, wcale nie mrugając. No w końcu musiała zrozumieć przekaz! Była szeptuchą czy nie?!

Była! Jest!

Spojrzenia wnuka i babki zwały się jak zawodnicy sumo. Mieczysław marszczył czoło, skupiając się na nadaniu komunikatu. Po chwili Marlena niemal niezauważalnie skinęła głową. Wiadomość dotarła. Sołtys odetchnął i wytarł spocone czoło rękawem płaszcza. Uff, nadzieja wróciła.

Niestety, widoków na szybkie zażegnanie konfliktu między babiborzanami nie było. Wrogie strony coraz głośniej i z rosnącą zaciekłością broniły swoich opinii. Nie pomagały ani próby załagodzenia sporu podejmowane przez Mikołaja, ani odwoływanie się do rozumu, ani przywoływanie tych sytuacji, kiedy pomoc szeptuch i szeptunów okazała się niezbędna. Jak grochem o ścianę, chciałoby się powiedzieć. Kiedy dyskusja osiągnęła skandaliczny poziom debaty politycznej, Mieczysław Maślankiewicz poczuł, że dłużej tego nie zniesie. Cofnął się pod ścianę, na

której ustawione na sobie europalety tworzyły coś na wzór stołu, sięgnął pod spód, wyjął schowane tam przez Malwinę pokrywki i trzasnął nimi bez ostrzeżenia. Zadziałało, co jedynie dowodziło mądrości jego ukochanej małżonki. *Quod erat demonstrandum*³⁴. Odzyskawszy panowanie nad oszołomionym błędnikiem, sołtys bez słowa zszedł ze sceny, podał ramię babce i opuścił oborę, dając tym samym znak, że zebranie zostało zakończone.

W miarę jak centrala pustoszała, w pomieszczeniu robiło się coraz zimniej. Zapowiadane od dawna mrozy stulecia stawały się rzeczywistością. Tym razem właścicielki siedliska odczekały, aż ogłuszony występem pokrywkowym tłum wyleje się na zewnątrz. Posterunkowy Sierżant także zamarudził, mimo że matka wzywała go spojrzeniem.

– A gdzie pani Julia? – zapytał, dopiero teraz zauważając brak czwartej dziewczyny.

– Poszła do Soni przekazać jej wieści o nowym księdzu – rzuciła Lilka ze wzruszeniem ramion.

Sebastian nieumiejętnie ukrył błysk żalu w oczach.

– A to pani Sonia potrzebuje emisariuszy? Sama nie mogła przyjść na mszę? – Nutki złośliwości w głosie również nie udało mu się zamaskować, ale każdy, kto choć raz miał złamane serce, doskonale to rozumiał.

– Pani Sonia jest chora – oznajmiła Ala najłagodniej, jak tylko potrafiła.
– Zapalenie oskrzeli. Wczoraj dostała antybiotyk od pana Piotra.

– Mógłby ją pan odwiedzić, na pewno będzie jej miło – dodała Basia.

– O nie, nie, ona raczej nie pragnie mojego towarzystwa – odparł natychmiast rudzielec.

Przez moment panowała niezręczna cisza, którą postanowiła przerwać Alicja. Mimo swej filigranowej postury to ona była najodważniejszą z kwartetu składającego się na milionerkę.

– Powie nam pan w końcu, co się między wami wydarzyło? – zapytała tonem rozkazu. – Jakoś nie mogę uwierzyć, że pani Sonia była dla pana nieuprzejma, a tym bardziej, że pan zrobił jej jakąś krzywdę.

Posterunkowy stropił się odrobinę, spuścił nos na kwintę i wlepił wzrok w klepisko.

– No... Nie była nieuprzejma.

– A pan jej zrobił krzywdę? – drążyła artystka, oparłszy ręce na

biodrach.

– Nie, w życiu!

– No niechże pan w końcu to z siebie wydusi! – zniecierpliwiała się Lilka.

– Chyba nie odrzuciła pana dla tego parcha, Książka?

Na dźwięk nazwiska dziennikarza posterunkowy poczuł mdłości. Sam chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo bał się tej możliwości. Jak on: rudy, tyczkowaty, niezgrabny i pozbawiony głosu, od którego topnieją lodowce w Austrii, mógłby konkurować z kimś takim jak Karol?

Jego zafrasowaną minę właścicielki siedliska odebrały jednoznacznie: Książek okazał się świnią, i to podwójną. Nie dość, że zachował się perfidnie wobec Julki, to jeszcze bezczelnie poderwał ukochaną posterunkowemu. Znienawidziły go natychmiast. Poza Alutką – ona go znieubiła, bo nienawiść w jej dobrym serduszkach nie miała racji bytu.

– Zabieramy pana na herbatę – oznajmiła Basia i ruszyła ku wyjściu.

– I na obiad, dziś będą kibiny³⁵ – pochwaliła się Ala.

Zdobyła wreszcie sposób ich przyrzędzenia od naczelniczki poczty w Hajnówce, której babcia pochodziła z Litwy i zostawiła po sobie całą masę różnych przepisów, niestety zapisanych po litewsku, więc ich przetłumaczenie trochę zajmowało.

Już sama herbata przekonałaby zmarzniętego do szpiku długich kości posterunkowego, wzmianka o kibinach zaś sprawiła, że zabłysły mu oczy. Nie był łakomy, w żadnym wypadku!, ale przecież niegrzecznie jest odmawiać, zwłaszcza tak miłej zapraszającej.

Ruszyli rażno, do czego bardzo motywował wzmagający się ziąb, a po drodze rozprawiali głośno na temat nowego proboszcza. Pochłonięci emocjonującym plotkowaniem minęli chatkę Soni Iwaszuk, zupełnie nie zwracając na nią uwagi. A gdyby spojrzeli, choć przez momencik, z pewnością zainteresowałyby ich zasłonięte okna – tymczasem niczego nie zauważyli. Doszli do siedliska dokładnie w chwili, kiedy z naprzeciwka wyłoniły się trzy ludzkie sylwetki.

– O, mamy więcej gości! – ucieszyła się Alicja.

Dostrzegłszy ich, Sabina Szymczak jęła radośnie machać. Po jej lewej stronie dumnie kroczył Tadeusz Tarnacki, który dziwnie wyglądał bez nieodłącznego roweru. Po prawej zaś, ku uciechu Basi, szedł Piotr Piasecki. Przez chwilę lekarz i prawnik w jednej osobie się zawahał, czy nie opuścić

towarzystwa i nie zniknąć w swoim domu, ale ostatecznie ruszył ku siedlisku, z niejakim trudem sunąc przez śnieg. Jako jedyny wydawał się nieprzygotowany na warunki zimowe i co chwilę ślizgał się na cienkich podszwach skórzanych sztybletów.

Zziębnięci, lecz pełni energii, tak goście, jak i gospodynie po zdjęciu przemoczonych butów natychmiast przystąpili do dyskusji w babiborskim centrum dowodzenia światem, którego funkcję niezmiennie od wielu miesięcy pełnił dziesięcioosobowy kuchenny stół, należący ongiś do Kornelii Konarskiej.

ROZDZIAŁ 16

Batiuszka Mikołaj absolutnie nie zamierzał odpuścić i zawziął się jak osioł, żeby znaleźć haki na nowego proboszcza. Był przekonany, że coś z tym człowiekiem – pomijając oczywiste zaślepienie fanatyzmem – jest nie w porządku. W dodatku tłukło mu się po głowie niewyraźne wspomnienie nazwiska Robak, z którym na pewno się zetknął, studiując historię wsi.

Milcząca jak nie ona Melania czekała na męża przy ulicy. Tupała nogami, bo palce u stóp okropnie jej przemarzły. Batiuszka się zmartwił, że nieboga dostanie zapalenia pęcherza albo jeszcze coś gorszego, a do przejścia mieli spory kawałek.

– Podwoję was – zaproponował Pieprzyca. – I tak chciałem jeszcze zamienić z tobą dwa słowa, Mikołaju.

– Zostanie pan na obiedzie? – zaproponowała Melania, kobieta o wielkim sercu i szczodra jak król Salomon.

– Nie chciałbym robić kłopotu...

– Żaden kłopot, Mela gotuje jak dla wojska, a potem trzeba wyrzucać – uspokoił go batiuszka.

Patrycjusz zatem z wdzięcznością przyjął zaproszenie. Planował jeszcze odwiedzić u nowego księdza na plebanii, więc wizyta u Koli i Meli była mu na rękę. Tymczasem nerwowo zerkał na telefon, niecierpliwie oczekując nadejścia ważnych informacji. Gdy mijali probostwo, prokurator nieco zwolnił. Młoda dziewczyna, którą widział wcześniej przy drewni, odśnieżała teraz ścieżkę prowadzącą na plebanie. Podniosła głowę i uśmiechnęła się nieśmiało. Zaskoczony Pieprzyca odruchowo się jej uklonił, ale już w następnej chwili jego uwagę przykuło coś innego.

Ksiądz Radosław Robak, stojąc na pięciostopniowej drabinie, przybijał do drzwi kościoła kartkę formatu A4. Samochód znajdował się zbyt daleko, żeby można było dojrzeć treść obwieszczenia, ale już sam fakt tłuczenia przez księdza młotkiem w drewniane drzwi wydawał się nader dziwny. Pojazd przetoczył się, zostawiając w tyle probostwo, a Patrycjusz i siedzący obok Mikołaj wymienili zaskoczone spojrzenia. Istotnie, sytuacja stawała

się coraz bardziej intrygująca.

– Najpierw się zagrzejecie! – zastrzegła Melania, odgadła bowiem myśli obu mężczyzn. – Co ma wisieć, nie utonie.

– Bardzo poetyckie powiedzenie – uznał Mikołaj.

– I obrazowe – mruknął Patrycjusz. Jakimś cudem od razu przed oczami stanęły mu wizje szubienicy i kobiet poddawanych próbie wody. Brrrr!

Matuszka po wejściu do domu nie zdjęła nawet butów, tylko pomaszzerowała prosto do kuchni, zostawiając panów w tyle. Nie odważyli się przeciwstawić woli gospodyni, więc pokornie pozbyli się przemoczonego obuwia, odwiesili płaszcze na wieszak i zniknęli w gabinecie księdza. Kilka minut później drzwi się otworzyły, wpuszczając Melanię z tacą, na której stały dwa kubki z parującą herbatą. Jak przystało na prawdziwych babiborzan, osłodziли ją miodem.

Gdy matuszka zniknęła, telefon Pieprzycy zawibrował. Prokurator wyjął go z kieszeni i kliknął w ikonę wiadomości.

– No pięknie! – rzucił z osobliwym wyrazem twarzy. – Bardzo ciekawa persona z tego naszego proboszcza.

Mikołaj uniósł brwi, jednak o nic nie pytał. Zdążył się już domyślić, że Patrycjusz poprosił o pomoc swego przyjaciela, Henryka Grabskiego, którego kontakty sięgały dalej niż wywiad wojskowy w Stanach Zjednoczonych.

– Nic dziwnego, że twoi koledzy o nim nie słyszeli – skwitował Pieprzyca. – Nasz gagatek ostatnie lata spędził na misji. Grabski dotarł do jego zwierzchników, ale niewiele o nim powiedzieli poza tym, że jest oddanym misjonarzem.

– Redemptorysta? – domyślił się Mikołaj. – Już nie mieli kogo nam tu przysłać?

Pieprzyca wzruszył ramionami, bo naprawdę nie znał odpowiedzi na to pytanie. Czytał dalej, szukając istotnych informacji.

– Ostatnie trzy lata spędził w Patagonii – poinformował batuszkę – z której wrócił na własne życzenie.

– Ciekawe... Znudzila mu się ewangelizacja Indian i w zamian dostał wieśniaków wierzących w rusałki?

– Nie, czekaj, źle powiedziałem! – krzyknął podekscytowany prokurator.

– Na własne życzenie został mianowany proboszczem w Babiborze!

Wnioskował o to do samego biskupa.

– Naprawdę? – Pop zrobił wielkie oczy. – Czyli miałem rację!

Tym razem to Patrycjusz nie ukrywał zaskoczenia. Przechylił głowę, jakby mówił: „Uprzejmie proszę o rozwinięcie myśli”. Mikołaj się rozpromienił, jakby dostał wyjątkowo radosną nowinę, klasnął w dłonie, upił solidny łyk herbaty, przy okazji odrobinę parząc sobie podniebienie, po czym przemówił, jakby wygłaszał kazanie:

– Otóż mam przeczucie graniczące z pewnością, że nasz ksiądz nie jest pierwszym Robakiem w historii Babiboru. Pamięć nieco mnie zawodzi, ale wystarczy przejrzeć księgi kościelne, a z pewnością znajdziemy jego protoplastę.

– Chcesz powiedzieć, że jakiś jego krewny też był tu księdzem?

Mikołaj pokręcił głową.

– Nie tutaj, a na pewno nie w naszej parafii. Wydaje mi się, że ten jakiś Robak z przeszłości był inkwizytorem.

– Niiieeee... – Patrycjusz poczuł, że brakuje mu tchu. – Nawet nie żartuj.

– Wcale nie żartuję. Nie chciałbym oskarżać niewinnego człowieka, ale czuję w kościach, że mam rację. Z całą pewnością pod koniec osiemnastego wieku jakiś Robak, dominikanin, wydał wyrok na kilka kobiet, które spłonęły na stosie. W tej okolicy czary sądzone były przed sądami kościelnymi, nie miejskimi ani wiejskimi – wyjaśniał. – Inkwizytor i proboszcz byli nadrzędnymi i niemalże jedynymi osobami mającymi władzę absolutną w sprawach przeciwko heretykom.

W obliczu tych nowin obiad stał się niewątpliwie kwestią drugorzędną. Pobudzona do granic możliwości ciekawość prokuratora musiała zostać natychmiast zaspokojona. Wypił herbatę niemal duszkiem i podniósł się raptownie z krzesła. Mikołaj zrobił to samo – pod żadnym pozorem nie mógłby teraz pozostać w niewiedzy.

– A wy dokąd? – krzyknęła Melania, gdy spiskowcy na paluszkach starali się wymknąć z plebanii. – Zaraz będzie rosół z kołdunami!

– Za chwilę wracamy, duszko – odpowiedział słodkim tonem Kola. – Patrycjusz chce mi coś pokazać... yyy... w samochodzie.

Na myśl, że będzie musiał się z tego kłamstwa wypowiadać, skrzyły się biednemu batuszce wnętrzości, jednak potrzeba poznania wymysłu nowego księdza zdecydowanie przeważała szalę.

Nie troskając się zasznurowaniem butów, obaj pomknęli do kościoła i zatrzymali się pod bramą, na której wisiała kartka. Wszystkiego się spodziewali, włącznie z imienną listą osób podejrzanych o spółkowanie z Szatanem – jednakże tego przewidzieć nie byli w stanie.

– O Święty Józefie...! – jęknął Mikołaj.

– I wszyscy inni święci też – dodał szeptem Patrycjusz i wyjął z kieszeni telefon, którym wykonał kilka zdjęć kartki bielejącej na drzwiach świątyni.
– Właśnie cofnęliśmy się w czasie o jakieś pięćset lat.

Nie wiadomo, czy ksiądz Radosław Robak pozazdrościł sławy Marcinowi Lutrowi, czy może zwyczajnie miał potrzebę zaistnienia w świadomości wiernych jako człowiek jasno artykułujący swoje poglądy. Z całą pewnością dokument, który z takim oddaniem przybijał na mrozie do drzwi babiborskiego kościółka, stanowił coś, co należałoby nazwać statutem. Czy którykolwiek proboszcz w historii ustanowił statut dla swoich parafian? Raczymy wątpić. I z tego tylko powodu ksiądz Robak, redemptorysta, misjonarz i nowa głowa parafii w Babiborze Podlaskim, zasługuje na wzmiankę w annałach historii.

1. W imieniu Jedynego Pana naszego, Jezusa Chrystusa, ustala się nadrzędną zasadę: pod groźbą ekskomuniki zabrania się bałwochwalstwa i przypomina, że o gusłach się nie dyskutuje.
2. Każdy, kto nie wyrzeknie się wiary w zabobony, winien jest zdrady wobec Boga Jedynego.
3. Zdrajcy przeciw Bogu nie mają prawa przebywać na poświęconej ziemi czy to za życia, czy po śmierci.
4. Każdy, kto wyprze się wiary w gusła, jest mile widzianym gościem w domu Pana co niedzielę, w święta kościelne i w pozostałe dni tygodnia według uznania.
5. Wszyscy guślarze, wróżbici, szeptuchy i czarownicy niemili są Panu, który każe ich wypędzić spośród swego ludu.
6. I wszystkich, którzy z ich usług korzystają, też.
7. Ksiądz Radosław Robak przyjmuje w kancelarii parafialnej we wtorki w godzinach 18:00–19:30. Jeśli akurat wypadnie święto, to wtedy ksiądz nie przyjmuje.
8. W sprawach donosu na łamiących niniejszy regulamin korzystać

można ze skrzynki podawczej przed drzwiami plebanii.

– Oto szaleństwo w czystej postaci – podsumował Mikołaj, przeglądając po raz tysięczny zdjęcia zrobione przez Patrycjusza.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów pozwolił wystygnąć rosółowi, co nie bardzo podobało się jego małżonce.

– Czy ten nawiedzony ksiądz oczekuje, że ludzie zaczną mu kablować na Marlenę? – upewniła się Melania.

– Wygląda na to, że tak mu się ubzdurało...

– A pan co o tym myśli, Patrycjuszu? – dociekała matuszka. – Dołożyć panu kołdunów?

– Nie, nie, dziękuję, jestem pełen. Co ja o tym myślę? Szczerze mówiąc, sam nie wiem.

– „O guślach się nie dyskutuje...” – przeczytała Melania nad ramieniem batiuszki. – Też mi odkrycie. Wiadomo, że się nie dyskutuje: w guśla albo się wierzy, albo nie. O czym tu dyskutować?

Patrycjusz pokiwał głową, choć jemu bardziej w pamięci utkwilo inne zdanie. Czyżby nowy proboszcz miał okazać się tak szalony, że naprawdę podejmie się bezpośredniej walki z trwającymi od tysiącleci tradycjami Podlasia? Czy coś w związku z tym grozi Marlenie Maślankiewicz?

Nagle zmroziła go myśl, że to właśnie ksiądz Robak stał się aktualnym włodarzem cmentarza. Do wyznaczonej daty ekshumacji Augusta Arciszewskiego pozostawały niespełna dwa tygodnie. Co będzie, jeśli proboszcz dowie się o tajemniczych księgach znalezionych w domu Moniki? I co, u diabła, z pochówkiem Melskiej, jeśli Robak odmawia guślarzom prawa do poświęconej ziemi?

Przełknąwszy ostatni kęs ostatniego kołduna, Patrycjusz podziękował za gościnę i opuścił plebanię Mikołaja. Ochota na rozmowy z Robakiem przeszła mu jak ręką odjął, a poza tym bał się, że mógłby dostać niestrawności. Z tyłu głowy wciąż uciskała go myśl o młodej dziewczynie widzianej przy domu proboszcza, ale nagromadzone w ciągu dnia emocje zdawały się przekraczać możliwości prokuratora.

Ruszył do domu, wybierając dłuższą drogę, byle tylko nie widzieć białej kartki przybitej do drzwi kościoła. Na samą myśl o tym, z jaką reakcją babiborzan spotka się ten przedziwny statut, zachichotał pod nosem.

– No cóż, księżu Robaku, Jagnę wywieziono na taczkach. Ciekaw jestem, co przygotowują dla ciebie.

ROZDZIAŁ 17

Starszy aspirant Stanisław Szelest wparował na posterunek z taką radością, że nawet kwiaty na biurku pani Róży podniosły główki z zaskoczenia. Pani Róża spojrzała znad lampki do manikiuru hybrydowego i wlepiła pełne ciekawości spojrzenie w Szelesta.

– A co to, panie komendancie, za uśmiech? Sylwia Sierżant wreszcie zgodziła się pójść z panem na randkę?

– Nie, ale już niedługo będziemy śłać na zapowiedzi – odparł, pogwizdując, policjant. – A ślubu udzieli nam najlepszy ksiądz, jakiego nosiła ta ziemia.

Róża odstawiła buteleczkę z wściekle różowym lakierem i zapytała, nie mogąc powstrzymać ciekawości:

– No, niech pan opowiada. Jaki on jest, ten Robak?

Szelest odsunął krzesło od biurka posterunkowej Antkowiak, usiadł na nim, nogi wyciągnął na blat, zamlaskał kilka razy, splótł dłonie na brzuchu, po czym spojrział na Różę spod krzaczastych brwi w kolorze wypłowiałej słomy.

– Jak by to pani powiedzieć... – zaczął niby to teatralnie, ale wyszło mu koślawo. – Sflądrysyn jest zły do szpiku kości. Nie da sobie w kaszę dmuchać i na żadne bajdurzenia o upiorach, klątwach i czarach jego zgody nie będzie. Oj, zrobi on porządek w tym burdygielu, ani się obejrzymy.

– Ale jak to? – zdumiała się Róża. – Jak to: zgody nie będzie?

– No tak to, zwyczajnie. Albo Pan Bóg, albo zabobony. Ksiądz wyraźnie powiedział, że na żadne czary-mary on nie zezwala, bo Pan Bóg kazał czarownicom iść won. Czy jakoś tak.

– Nie może być... I co na to ludzie?

– Ludzie, ludzie... A co to kogo obchodzi, co te łachudry myślą. – Szelest odchylił się lekko do tyłu i założył chude ręce za głowę. – Z ciemnotą trzeba walczyć i wreszcie przysłali nam tu kogoś, kto się tym zajmie.

– Tak jak się zajął Moniką Melską? – zauważyła roztropnie Róża. – Ona też była ciemnotą?

Staszek poruszył wąsem, co było jasną oznaką, że został zapędzony w

kozi róg. O tym w zasadzie nie pomyślał. Melska głupia nie była, ale uprawiała te swoje hokus-pokus, czyli jednak coś z nią było ewidentnie nie w porządku. No i ktoś niewątpliwie się jej pozbył. Dotychczas Szelest nie połączył tych dwóch faktów, przekonany o winie Malwiny Maślankiewicz.

– Myśli pani, że Malwina mogła ją zaciukać, bo Melska była wiedźmą? – zapytał bez przekonania.

– Ja tam nie wiem, panie komendancie, ze mnie tylko prosta sekretarka. Ale jakbym miała zgadywać, to obstawiałabym, że to możliwe.

– Możliwe, że Malwina, czy możliwe, że ktoś inny? – Szelest uniósł jedną brew.

– Pół na pół – odparła bez wahania kobieta.

Nieukontentowany policjant mruknął coś pod nosem i zdjął nogi z biurka. Za chwilę powinien pojawić się dostawca z obiadem dla podejrzanej, a przy okazji przywiezie coś i jemu. Zgłodniał okrutnie, a do domu jakoś wracać mu się nie chciało. Liczył na to, że ktoś go zaprosi, może nowy ksiądz, ale plan się nie powiódł. Głupie ptaszyska! Wszystko ich wina, będzie musiał porozmawiać z nadleśnictwem o odstrzale. Dawno na nic nie polował, pewnie wyszedł z wprawy.

Podniósł się z krzesła, przeciągnął leniwie i ruszył do swojej pieczary. Mógłby w niej posprzątać, ale... nie. Nie chce mu się, to robota na kilka godzin. Zaraz będzie obiad, potem się zdrzemnie i finito. A jutro ma dzień wolny, to szkoda nawet zaczynać sprzątanie, przecież i tak dziś nie skończy.

Gdy zbliżył się do schodów prowadzących do piwnic, wydawało mu się, że słyszy śpiewanie. Tak! Z całą pewnością Malwina Maślankiewicz fałszowała jak nieboskie stworzenie, aż uszy wędły. Szelest zatrzasnął drzwi pieczary, oddzielając się od upiornych dźwięków, i popadł w zadumę. Słowa Róży zasiały wątpliwości w jego niezachwianym dotąd przekonaniu o winie Maślankiewiczowej. Czyżby się mylił? Zazdrość zazdrością, ale przecież motyw mógł być inny.

Nie, niemożliwe. A może jednak...

Tak się zmęczył tym wewnętrznym strumieniem świadomości, że zapadł w niespokojną drzemkę.

Kiedy zza drzwi jaskini Szelesta zaczęło dobiegać równomierne chrapanie, Róża wyłączyła lampkę do utwardzania lakieru hybrydowego i

udała się prosto do piwnicy.

Malwina leżała na brzuchu, opierając brodę na złożonych rękach. Wyglądała tak spokojnie, że jej kuzynka aż się przestraszyła.

– Anka, żyjesz?! – ryknęła, dopadając krat.

– Nie, umarłam z nudów i widzisz mojego ducha.

– Ty weź się nie wydurniaj, przecież wiesz, że ja widzę duchy!

Malwina mruknęła coś niewyraźnie w odpowiedzi i zwlekła się z pryczy. Wydawała przy tym z siebie jęki godne trenującego do igrzysk olimpijskich ciężarowca.

– Dobra, dobra, przecież wiem. Jak byśmy naprawdę nie mogli odziedziczyć po matkach figur łyżwiarek, tylko to cholerne widzenie duchów – skwitowała ze złością. – Ale ostrzegam, że jeśli posiedzę tu jeszcze dłużej, to naprawdę umrę z nudów. Nic tu się nie dzieje!

– Jeśli chcesz, to ci zorganizuję jakąś rozrywkę. Podobno nowy proboszcz jest... interesujący.

Oczy Maślankiewiczowej zablęśły i sołtysowa natychmiast się rozpogodziła.

– Ale jak interesujący? Z wierzchu czy od środka?

– No chyba nie myślisz, że Szelest by mi powiedział, jak wygląda z wierzchu – parsknęła Róża. – W głowie ma niezły ogród angielski, normalnie chaszczce tam rosną wysokie jak Sebek.

– Gadaj! – Przyzwyczajona do metafor kuzynki Malwina umierała już z ciekawości.

– Podobno postanowił wygnać ze wsi wszystkie czarownice i szeptuchy – oznajmiła Róża triumfalnym tonem i zabrzmiała niczym Jan III Sobieski po odbiciu Lwowa.

– Że co postanowił? – Sołtysowa pobladła, a z jej twarzy można było wyczytać dezorientację.

– No przecież wyraźnie ci mówię: nowy proboszcz nie będzie tolerował zabobonu, więc możesz przestać się martwić o Marlenę. Więcej jej noga tu nie postanie.

– Ale kiedy ja potrzebuję, żeby postanęła! I nawet przez chwilę postęła! Co to za brednie jakieś?!

– Nie krzycz na mnie, ja tylko przekazuję to, co słyszałam. Szelest wydawał się bardzo zadowolony.

– No jasne, że zadowolony – prychnęła Malwina. – Jak ostatnim razem Marlena mu szeptała, to mu wywróżyła kiepski koniec. Diabli nadali! I co teraz?

Róża wzruszyła ramionami. Rewelację dotyczącą nowego księdza traktowała raczej jako plotkę, nieszczerze wierzyła w to, że proboszcz będzie w stanie wygrać z zastaną tradycją. Za to ona bardzo chętnie poprzygląda się jego staraniom.

– Dobra, wiem – oznajmiła Maślankiewiczowa. – Załatw mi tu te dziewczyny z siedliska, w nich jedyna nadzieja.

– A Mietek?

– Mietek, Mietek. A co on może zrobić? Władza kościelna i władza ludowa nigdy nie miały ze sobą po drodze, więc o ile nie planuje zamordować księdza, lepiej niech się trzyma na uboczu.

Róża pokiwała głową, zgadzając się z kuzynką w kwestiach dróg, jakimi podążają różne władze.

– Aha, prawie zapomniałam! Zadzwoń do Marleny i zapytaj: „Czy babcia zrobiła to, co miała zrobić?”

– A co miała zrobić?

– Już ona będzie wiedziała. A ty im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie. No, idź już.

W samą porę Malwina zakończyła poufną pogawędkę z kuzynką, bo w tym momencie na górze rozległo się trzaśnięcie drzwiami zwiastujące przybycie obiadu dla Malwiny. I dla Szelesta, rzecz jasna.

ROZDZIAŁ 18

Tym razem Julka nie zawracała sobie głowy pukaniem do drzwi i jak prawdziwa babiborzanka weszła do domku Soni. Zastała gospoдинię przy stole, pogrążoną w lekturze.

– Tak szybko? – zdumiała się Iwaszuk. Spojrzała na zegar. – Myślałam, że taka inauguracja potrwa ze dwie godziny.

– Po dwóch godzinach to księdza wynieśliby nogami do przodu – wycedziła Julka, szamocząc się z długim wełnianym szalem. – Niech pani siedzi, sama sobie zrobię herbaty, ale najpierw muszę przyjąć coś mocniejszego.

Tego to Sonia sama się domyśliła. Poznała Julkę na tyle, żeby wiedzieć, że ta serce ma na dłoni i jej emocje zawsze są na wierzchu, lecz tak wzburzonej nie potrafiła sobie przypomnieć.

Julia uporowała się w końcu z szalem, pomaszerowała do kuchni i wyciągnęła z szafki nalewkę, którą znalazły w tajnym schowku pod podłogą. Przez chwilę zastanawiała się nad wyborem kieliszka, ostatecznie zwyciężyła szklanka – nie ma co się oszukiwać: ekstraordynaryjne sytuacje wymagają ekstraordynaryjnych środków. Sonia z żalem odmówiła przyłączenia się do niej, stosując się do zaleceń lekarza.

– Ale herbaty się napiję – dodała na pocieszenie. – Może pani kapeczkę tej piernikówki dolać.

– Znalazła pani coś ciekawego? – zagadnęła Julka, patrząc na leżący przed Sonią brulion.

– Zależy, jak na to spojrzeć... Jeśli zapiski inkwizytora można uznać za ciekawe, a nie przerażające, to mamy tu prawdziwą kopalnię ciekawostek.

Po krótkim namyśle Julia uznała temat za bezsprzecznie interesujący i wyraziła chęć poznania adnotacji. Niewiele wiedziała na temat inkwizycji, jeszcze mniej na temat jej działalności na terenie Polski. Oglądała co prawda serial na Netfliksie, w liceum czytała *Ciemności kryją ziemię*, ale to wszystko była przecież fikcja. Tymczasem pod jej nosem, a właściwie pod podłogą domu Soni Iwaszuk, znajdowała się najprawdziwsza historia.

Nagle coś ją tknęło. Spojrzała na jasnowłosą aktorkę takim wzrokiem,

że ta szczerzej owinęła się grubym szlafrokiem.

– Pani Julio? Coś się stało?

– No właśnie jeszcze nie wiem. – Julka zalała susz herbaciany w dwóch glinianych kubkach. Minę miała zaciętą, a na czole pojawiła się poprzeczna zmarszczka. – Myśli pani, że podłość i nienawiść są dziedziczne?

– Z całą pewnością można je przekazać poprzez wychowanie...

– Nie o to mi chodzi. Ten cały Joachim raczej nie miał styczności z naszym księdzem, a jednak coś ich łączy, nie tylko nazwisko. – Julka doprawiła herbatę Soni kropelką nalewki, nalała dla siebie pół szklanki cytrynowki i wypila ją duszkiem. – Ło matko, ale grzeje! – oznajmiła z uśmiechem. – No dobra, teraz mogę mówić. Sama się pani przekona, że mam rację, a temu pięknemu Robakowi peron nieźle odjechał. Z całym dworcem w dodatku...

W miarę jak Julka z coraz większą emfazą i wyraźnie rosnącą zaciekłością streszczała Soni kazanie księdza Radosława Robaka, oniemiała wręcz aktorka zaczynała podzielać opinię dziewczyny. Rzeczywiście, wyglądało na to, że mężczyźni łączyły poglądy, mimo że dzieliły ich stulecia. W odróżnieniu jednak od Julii gospodyni wciąż uważała, że za nienawiść odpowiada coś zgoła innego niż geny.

– Mówi pani, że ten ksiądz zwrócił się do naszych po nazwiskach? – Ta informacja wydała się Iwaszuk znamieną.

– Dokładnie. W dodatku potrafił przypisać nazwisko do twarzy.

– To doprawdy interesujące... A co na to inni? Pani Marlena rzuciła w niego czymś ciężkim?

– A gdzie tam! Znaczący: może by rzuciła, ale chyba nie miała nic pod ręką, a poza tym wyglądała, jakby doznała szoku. A reszta? Zdaje się, że podzieliła się na frakcje.

– Nie może być! – Zdumienie Soni rosło. – To znaczy, że ktoś poparł poglądy księdza?

– Kilka ktosiów, w tym Szelest. Chyba bardzo spodobała mu się wizja życia bez niewygodnych wróżb...

– O rany, to dopiero historia. Ciocia Olga z pewnością grzmi z góry.

– Może to i lepiej, że tego nie dożyła, bo jeszcze spotkałoby ją coś złego, jak Monikę Melską...

Uwaga Julki przywołała u Soni jakieś skojarzenie, nie całkiem uchwytną

myśl, która jednak czaiła się gdzieś z tyłu głowy. W przeciwieństwie do reszty babiborskiego społeczeństwa, aktorka silnie przeżyła śmierć prawniczki, mimo że znały się jedynie powierzchownie. Tym niemniej to właśnie Monika Melska pomogła jej uporać się z nużącymi procedurami dotyczącymi przejęcia nieruchomości po ciotce i w załatwieniu wymaganych pozwoleń na zagospodarowanie łąki. Oczywiście nie byłoby to możliwe, gdyby nie zaangażowanie Książka, on bowiem skontaktował obie kobiety.

– Musimy porozmawiać z Karolem! – krzyknęła niespodziewanie aktorka, uderzona nagłą myślą.

Jak można się było spodziewać, Julia nie przyjęła pomysłu z entuzjazmem.

– Kto musi, ten musi, ja nie mam mu już nic do powiedzenia...

– Nie, nie, nie rozumie pani – pospieszyła z wyjaśnieniem Sonia. – Karol znał Monikę o wiele lepiej niż ja, zdaje się, że mieli coś wspólnego zawodowo. A poza tym, jeśli ktokolwiek może coś wyszperać na temat naszego księdza, to właśnie on. Przecież pani wie, jak wielką pomocą okazał się w sprawie mojej klątwy.

Wiedziała. Oczywiście, że wiedziała – i podziwiała go za to. Ale to było kiedyś. Teraz nie chciała mieć nic wspólnego z tym dziadem parchatym, który bez słowa zniknął z jej światopoglądu.

– Zapewne sam się zainteresuje tym tematem, z dziennikarskiej ciekawości – odparła sucho Julia i wzruszyła ramionami. – Ja z nim gadać nie będę, dopóki mnie nie przeprosi. A pani jest wolnym człowiekiem i może rozmawiać, z kim dusza zapagnie. A skoro jesteśmy przy duszy, to chętnie zobaczę, co historyczny Robak nawywijał.

Sonia nie od razu zrozumiała – jakoś ta asocjacja duszy i bezwzględnego inkwizytora jej nie zagrała, ale uchwyciła wzrok Julki, utkwiony w otwartym brulionie.

– Ach, tak, historyczny Robak... – Podsunęła manuskrypt w stronę gościni. – Niech się pani przygotowuje na niezbyt przyjemne wrażenia. Zdaje się, że ten człowiek zupełnie nie zdawał sobie sprawy ze swojego zaślepienia. Coś okropnego!

ROZDZIAŁ 19



imię Boże. Amen.

Dnia siedemnastego lipca roku pańskiego tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego, to jest w piątek, w obecności mojej, to jest Joachima Robaka, sędziego Świętej Inkwizycji z nadania wikariusza sądowego Jakuba Baranowskiego mianowanego przez Jerzego Matulewicza, biskupa diecezji wileńskiej, oraz przy naocznym świadectwie rejenta Lucjana Lubeckiego i dwóch podpisanych świadków, Wojciech Wiszniewski, syn Władysława i Włodzimierzy, ze wsi Babibór Podlaski w diecezji wileńskiej, stawił się osobiście w tutejszej parafii przed szacownym sędzią i przedłożył mu informację, że Anna Arciszewska, żona Andrzeja, wyrządziła denuncjatorowi i jego rodzinie krzywdy, których listę dołącza się do niniejszego zgłoszenia.

Inkwizytor odczekał, aż rejent skończy zapisywać protokół donosu, i przeszedł do kolejnej części procedury. A znał ją jak mało kto – od lat szkolił się w prawie kanonicznym i świeckim, skrycie marząc o tym, by pewnego dnia zostać wikariuszem sądowym, a nawet i generalnym. Ambicji starczyłoby mu na ubieganie się o pozycję generała³⁶, ale na to jeszcze przyjdzie pora, najpierw musi się wykazać. W końcu sam Ledóchowski³⁷, *papa nero*³⁸, osobiście poparł jego kandydaturę na inkwizytora w tym okręgu.

– Wiśniewski, unieście trzy palce prawej ręki – rozkazał wystraszonemu chłopu głosem wyćwiczonym w taki sposób, żeby każdy dźwięk budził grozę. – I teraz przysięgnijcie na cztery ewangelie Boże i pod groźbą potępienia waszych duszy i ciała, że będziecie zeznawać prawdę.

Stojący na środku niewielkiej izby mężczyzna wyglądał, jakby owo potępienie już było jego udziałem. Szczękę zacisnął tak mocno, że widać było jak na dłoni miejsca, gdzie żuchwa łączyła się z czaszką.

– Przysięgam, ojcze.

– I oświadczcie, że zeznania składacie dobrowolnie.

– Nie inaczej, ojcze.

– Zapiszcie to, rejencie, jako: „oświadczam całym sobą” – polecił skrybie

ksiądz. – A teraz, Wiśniewski, powiedzcie no, cóż to za krzywdy wam Arciszewska wyrządziła, że ją zadenuncjować postanowiliście.

Niniejszym stwierdzamy, że doniesienie zostało złożone. Sam inkwizytor od razu kazał autorowi przysiąc jak wyżej na cztery ewangelie święte, że mówi w swoich zeznaniach prawdę, i zapytał go, skąd i dlaczego wie lub podejrzewa to, że to, co zeznał, jest prawdą. Tamten odpowiedział, że albo to widział, albo słyszał. Inkwizytor zapytał go wtedy, gdzie to widział lub słyszał, i tamten odpowiedział: [...] ³⁹

Joachim Robak, jezuita, wyćwiczony zgodnie z rekolekcjami ignacjańskimi, rozsiadł się wygodnie na jedynym posiadającym obite pluszem siedzisko krzesło, splótł dłonie na kolanach i wpatrywał się w przybyłego bartnika z wyrazem uprzejmego zainteresowania. Zarazem czuło się bijący od niego chłód, onieśmielającą siłę, którą prości ludzie uznawali za daną od Boga. W rzeczywistości jej źródłem były strój zakonny i to wrogo brzmiące słowo: inkwizytor.

Niemniej Wojciech Wiśniewski zebrał się w końcu na odwagę i stawiał przed surowym obliczem sędziego. Kosztowało go to wiele nieprzespanych nocy i jeszcze więcej pieniędzy wydanych w karczmie, zanim podjął ostateczną decyzję. Niemniej – nie żałował. Gryzł się z myślami wystarczająco długo, żeby mieć pewność, że tak należy, tak powinien postąpić.

Jednak mimo tej pewności, mimo wydanych i przepitych pieniędzy, mimo nieprzespanych nocy wciąż nie mogło przejść mu przez gardło to, co chciał powiedzieć. Bał się trochę, że donoszenie na własną siostrę sprowadzi na niego nieszczęście – większe nawet niż to, któremu winna była Anka.

– Nie bójcie się, Wiśniewski – zachęcał inkwizytor. – Może wody byście się napili?

Bartnik nieśmiało skinął głową i mocniej ścisnął trzymaną w dłoniach czapkę. Ksiądz wykonał gest i stojący w kącie kilkunastoletni chłopiec czmychnął do kuchni, a po chwili wrócił ze szklanką wypełnioną do pełna przezroczystym płynem. Wiśniewski ujął ją trzęsącą się dłonią, upił łyk i odstawił naczynie na sfatygowany stół.

– No to tak – odezwał się w końcu ochrypniętym głosem. – Ja to żem dawno już podejrzewał, że w Ankę zło jakieś wstąpiło, ale myślałem wtedy:

babie odbiło, jak to po rodzinach, pewnie przejdzie. A tu już rok zaraz będzie, a jej nic nie przechodzi, tylko gorzej jest jeszcze.

Inkwizytor nawet się nie poruszył. Ile razy już słyszał takie historie? Sąsiad donosił na sąsiada, kuma na kumę, rywalka na rywalkę. Niewiele było trzeba, żeby ludzie się skłócili, a zawiść i zazdrość to ulubione narzędzia Diabła.

– Wiecie, Wiśniewski, że czasem gniewamy się na innych, bo nam ich zachowanie nie odpowiada albo ktoś nas na nich poszczuł. Kiedy zdecydowaliście się tu przyjść, to nie kierowała wami przypadkiem złość?

– A gdzie tam, ojcie wielmożny! – zaprotestował z prawdziwym żarem bartnik. – Złość to ja na nią mogłem mieć, kiedyśmy smarkami byli, a teraz to jeno niepokój mam w sercu. Mało to się słyszy o opętaniach? O konszachtach z czartami?

Tym razem sędzia westchnął, a w tym westchnięciu słychać było cały arsenał różnych emocji: smutek, gniew, rezygnację, zniesmaczenie. Oj, słyszy się, wciąż i wciąż, choć świat przecież do przodu idzie, a więc i ciemnota powinna zniknąć. A nie znika, przeciwnie wręcz: ma się dobrze.

Od lat kuria usiłowała wymóc na podległych jej dziekanach zwalczenie zabobonu na tych ziemiach. Od lat bezskutecznie starała się stłumić potrzeby odwoływania się do pogańskiej wiary, zastępując ją chrześcijańską nauką życia zgodnego z jedynym słusznym prawem. Stopniowo asymilowano rodzime tradycje i włączano je do kanonu. Upiory i demony przerabiano na diabły, które już niewiele miały wspólnego z pierwotnym wyobrażeniem niebiańskich istot strąconych do piekieł za wszczęcie buntu. Maryja była już nie tylko matką-dziewicą, ale także opiekunką pól i łąk umajonych. Kraszanki zaczęły symbolizować narodziny Bożego Syna, chociaż trudno byłoby uwierzyć, że w Betlejem ktokolwiek świętował nadejście wiosny. A mimo to, mimo tak wielkiego wysiłku włożonego w nauczenie ludzi jedynej słusznej wiary, wciąż jeden czy drugi skarżył, że ktoś zacczarował jego krowę i przestała dawać mleko, ktoś rzucił urok na czyjąś żonę, wskutek czego ta puściła się z parobkiem. Ciemnota...

– Do tej kwestii przejdziemy później, Wiśniewski – odparł z niewzruszonym spokojem Robak. – Usiądźcie sobie i opowiedzcie od początku, jak owo złe się objawiło.

– Tak po prawdzie to chyba zaczęło się od tego, że ona i jej chłop dzieci mieć nie mogli, a Anka zawsze chciała mieć rodzinę. U nas dom zawsze był pełen, a potem każdy swoje dzieci miał, tylko ona jedna nie mogła – tłumaczył Wojciech, nie mając odwagi spojrzeć księdzu w oczy. – Chodziła, wie ojciec, do bab, szukała pomocy i ratunku, ale nic nie pomagało. Aż w końcu któraś powiedziała jej, że nie ma innej rady i trzeba wezwać Ksantypę.

Robak uniósł brwi, a w jego oczach pojawiło się żywe zainteresowanie.

– Kimże jest owa Ksantypa? Mówcie, Wiśniewski.

Bartnik zrobił zboląłą minę i znów ścisnął czapkę tak mocno, że całe dłonie mu pobielwały.

– To wiedźma nasza, w puszczy mieszka, lasów strzeże – odpowiedział niemal szeptem.

– Wiedźma? Chcecie powiedzieć: czarownica? – W głosie inkwizytora pojawiła się ostra nuta. – Ale chyba nie... Chybabyście mi o niej od razu powiedzieli, gdyby to była prawda?

Wiśniewski się stropił. Jak tu odpowiedzieć? A czy Pan Bóg jest prawdziwy, skoro go nigdy nikt nie widział i nie słyszał, a wszyscy w niego wierzą?

– Ludzie mówią, że to starodawna czarownica, tak stara jak puszcza – odrzekł po zastanowieniu. – Ona naszą wieś założyła, ziemię dała, korzystać z jej plonów nauczyła. I Rokitę ma za męża – dodał, przypomniawszy sobie opowieści babki. – Podobno żyją w kniei tak głębokiej, że żaden człowiek tam się nie zapuszcza.

Robak wypuścił powietrze, które bezwiednie wstrzymywał. Starodawna żona Rokity? E, bajanie takie, nieszkodliwe. Uśmiechnął się z wyższością i skinął głową, zachęcając bartnika do kontynuowania zeznań.

– Żaden człowiek poza Anką. Tak się zawzięła, że poszła odszukać Ksantypę i o pomoc ją prosić. Zniknęła na kilka dni, a miesiąc później jej chłop latał po wsi z Duchem Puszczy, szczęśliwy, że wreszcie będzie miał syna.

– A jak ten cud wyjaśniła zadenuncjowana? – Ksiądz miał kilka pomysłów, jednak bardzo interesowała go wersja głównej bohaterki.

– No i tu właśnie tknęło mnie dziwne przeczucie, bo widzi ojciec: kiedy ona nazad się zjawiła, mówiła, że nie pamięta, co się w tej puszczy działo.

Ani nawet nie wiedziała, czy znalazła chatę wiedźmy, a już całkiem nie umiała rzec, jak z tego lasu wyszła.

– Chora była? Słaba? Ranna? – dopytywał coraz bardziej zaintrygowany ksiądz.

– Nic a nic. Calusienka i zdrowa jak koń, nawet plamy, co je od dziecka na rękach miała, zniknęły.

Inkwizytor podniósł się z krzesła i zrobił krok przed siebie. Jego strzelista sylwetka wypełniła przestrzeń. Wiśniewski cofnął się odruchowo. Robak zaczął chodzić w tę i z powrotem, a jego czarne brwi co chwilę stykały się w wyrazie zatroskania.

– Czy dziecko podobne jest do ojca? – zapytał w końcu, zatrzymując się kilka centymetrów od denuncjatora.

– Jak dwie krople wody, proszę inkwizytora, nawet stopy szpotawe mają tak samo.

Robak znów zmarszczył czoło i wyszeptał coś pod nosem.

– Kłopotów z ciążą nie było? I przy porodzie?

– A gdzie tam, dobrodzieju! Chłopak jak malowany, wyskoczył od razu, a Anka tak wypiękniała, że wszystkie chłopcy teraz za nią latają jak zaczarowane.

Zakonnik opadł ciężko na krzesło, oparł łokcie na kolanach i chwycił brodę palcami.

– A nie przyszło nikomu do głowy, że to sprawka Boga? – zapytał nieco kąśliwie. – Zamiast o magii myśleć, to byście się skupili na tym, że modlitwa potrafi czynić cuda.

– To się rozumie samo przez się – odparł z zaskakującą stanowczością bartnik. – Tyle że odkąd pojawiło się to dziecko, dziwne rzeczy zaczęły się dziać we wsi, a i sam chłopczyk jakby... no inny on jest, proszę ojca.

– Ochrzczony? – spróbował ostatniego sensownego wyjaśnienia kanonik.

– A jakże, w trzecim dniu! August mu dali, po cesarsku.

– I cóż w tymże Auguście Arciszewskim takiego innego?

Nim padła odpowiedź, Wojciech Wiśniewski sięgnął po szklanę z wodą, wypił duszkiem wszystko, co się w niej znajdowało, otarł czoło, na którym perlił się pot, a gdy udało mu się znaleźć odpowiednie słowa, oznajmił głucho:

– On, proszę jaśnie wielmożnego dobrodzieja, potrafi wyczuć choroby.

ROZDZIAŁ 20

Rozgrzani herbatą członkowie Komitetu do Spraw Nowego Proboszcza, którego kwaterę główną stanowiła kuchnia w siedlisku, jednogłównie postanowili, że należy podjąć otwartą dyskusję z przedstawicielem średniowiecznych poglądów i uzmysłowić mu, że żyje w dwudziestym pierwszym wieku.

– Mnie to bardziej wygląda na to, że mu się kapsuła czasu stentegowała i utknął, biedaczysko, w jakimś ponurym opactwie, do którego zaraz przybędzie Bernardo Gui⁴⁰

– Jeszcze tego brakowało, żeby nam tu stosy rozpałał – mlasnęła z wyraźną niechęcią Sabina Szymczak.

– Nie ma pani jakiejś naleweczki, pani Alu? – Tarnacki wciąż czuł zimno, choć mogło ono wynikać z uczuć, jakie obudził w nim pleban.

– Mam, panie Tadeuszu, mam! – oznajmiła Alutka, uśmiechając się szeroko. – Wczoraj znalazłyśmy spory zapas w piwnicy pani Soni i nawet piernikówka pani Kornelii jest!

Nim zdążyła uświadomić sobie, że nie powinna była tego powiedzieć, a przynajmniej nie wszystko, było już za późno.

– W piwnicy? – zdziwiła się Szymczakowa. – Przecież w tamtym domu nie ma piwnicy.

– Rzeczywiście, u nas piwnic się nie budowało ze względu na bliskość rzeki i jezior – podchwycił Piasecki.

Alicja poszukała ratunku w twarzach Basi i Lilki, ale obydwie przyjaciółki wyglądały na wściekłe.

– Chciałam powiedzieć: w spiżarni... – podjęła próbę zamaskowania gafy artystka.

– A gdzie tam jest spiżarnia? – Posterunkowy Sierżant bywał w domu Soni dość często i nie rzuciło mu się w oczy takie pomieszczenie.

Skonsternowana mina filigranowej Alutki wyglądała coraz bardziej podejrzanie. Teraz już nikt nie miał wątpliwości, że dziewczyna coś kręci. Uratować ją mógł tylko cud.

– Spodziewają się panie gości? – odezwał się nagle Tarnacki,

nadstawiając uszu. – Słyszę samochód. Nie! Dwa samochody!

Właścicielki siedliska rzuciły się do salonu i przypadły do okien. Choć do ogrodzenia było dość daleko, przez bezlistne teraz drzewa i krzaki dało się cokolwiek dojrzeć. I rzeczywiście – po obu stronach furtki zaparkowały samochody, oba srebrne, duże, niewątpliwie obce. Drzwi jednego z nich otworzyły się i z wnętrza wyszedł okazałych rozmiarów czarnowłosa mężczyzna.

– Tata? – zdumiała się Basia. – Przecież to mój tata!

– I mój! – jęknęła Lilka na widok kierowcy opuszczającego drugie auto.

– O nie, i moja matka! – pisnęła Ala z przerażeniem.

Dziewczęta spojrzały na siebie z nietęgimi minami wyrażającymi kłębiące się w nich uczucia.

Po chwili furtka prowadząca do siedliska wydała dźwięk mogący zostać wpisany na listę zakazanych tortur i na pokrytej ubitym śniegiem drodze pojawiły się ludzkie postacie. Jedna, dwie, trzy, pięć...

– O matko, to mama Julki? – przeraziła się Basia. – Czy ona... ma na nogach szpilki?

– I sukienkę, za którą w Dubaju ścięliby jej głowę – skomentowała złośliwie Lilka. – No to będzie wesoło...

Furtka znów zawyla upiornie, lecz przerażone dziewczęta nie zwróciły na to uwagi. Tknięta przecuciem Basia spojrzała przez okno i w jednej sekundzie, tak jak stała, na bosy, wypadła z domu, krzycząc w niebogłosey:

– Tomuś!!! Tomeczek! Synku mój!

Tego pozostali członkowie Komitetu do Spraw Nowego Proboszcza nie mogli już zignorować. Ruszyli do salonu i ze zdumieniem obserwowali biegnącą po śniegu Basię, do której z naprzeciwka pędził co sił w jedenastoletnich nogach jej syn. Kiedy wpadł w ramiona matki, z sześciu gardeł wyrwało się pełne wzruszenia westchnienie:

– Ooooooch!

– Czemu panie nie mówiły, że dziś przyjeżdżają wasze rodziny? – zapytał Piasecki, nie odrywając oczu od ściskającej Tomka Basi.

– Bo nam też zapomnieli o tym wspomnieć – odparła Lilka. – Spodziewaliśmy się ich najwcześniej za tydzień.

Zbliżający się do domu ludzie rozglądali się z ciekawością. Na widok werandy matka Basi jęknęła z zachwytem.

– Wyobraź sobie, Hermanie, jak cudownie musi tu być latem!

Jej głos brzmiał niemal identycznie jak córki, jednak na tym podobieństwo się kończyło. Kobieta miała jasne włosy, była niska i korpulentna, a oczy przypominały dwa akwamaryny, nie szmaragdy.

Piotr Piasecki z zaskoczeniem stwierdził, że jego wyobrażenie na temat ojca Basi było niezwykle trafne. Mężczyzna był wysoki, niemal tak wysoki jak Pieprzyca, miał kwadratową szczękę, gęste czarne włosy i oczy identyczne jak jego córka.

Tymczasem matka Alicji wyglądała jak jej starsza siostra: ta sama postura kilkunastoletniej dziewczynki, identyczne miedziane włosy, zadarty nos. W odróżnieniu od matki Basi ona jednak nie wydawała się aż tak zachwycona.

– Ten dom ma chyba ze sto lat! – oceniła piskliwym głosem. – Tynk odpada, dachówek brakuje. Przecież to może stanowić zagrożenie!

Ojciec Lilki siedł obok ubranej w zbyt krótką sukienkę i niewątpliwie całkiem niestosowne obuwie ufarbowanej na platynowy blond seksbomby. Wyglądali na pogrążonych w miłej konwersacji, a matka Julki co chwilę wybuchała perlistym śmiechem.

– No bez jaj, chyba mi nie powiecie, że mój stary się na to łapie... – mruknęła Lilka.

– Na mój gust to już jest złapany – skwitowała z przekonaniem pani Szymczakowa. – Nie chciałabym być złośliwa, ale ta kobieta wygląda trochę jak...

– Lafirynda? – odpowiedziała uczynnie Ala. – Całe życie tak wygląda, to się nazywa „wyzwolenie seksualne”. To znaczy, ona to tak nazywa. Pani Jędrzejak zawsze miała skrajnie liberalne poglądy. Ale jest bardzo sympatyczna! – zastrzegła, widząc grymas zniesmaczenia na twarzy Sabiny. – Przekona się pani, że to całkiem rozsądna babka, tylko kicha na konwenanse.

– Czasami jabłko pada bardzo blisko jabłoni – podsumowała Lilka. – A facetom na starość najwyraźniej ubywa szarych komórek. – Odkleiła się od okna i stanęła w otwartych drzwiach. – Tato! Hej, tato!

Wobec pojawienia się niespodziewanych gości, w dodatku w liczbie przekraczającej wolne miejsca przy komitetowym stole, mieszkańcy Babiboru z wyraźnym żalem pożegnali właścicielki siedliska i opuścili

posesję, kiwając głowami zaskoczonym przybyszom, którzy jeden po drugim wchodzili do domu. Orszak zamykali Tomek z Basią, przyklejeni do siebie jak bliźnięta syjamskie.

– Mój kochany synek, moje maleństwo – rozczuła się Basia, całując gęstą czuprynę dziecka. – Ale mi niespodziankę zrobiliście!

– To był pomysł dziadka – oznajmił chłopiec. – Kiedy mu powiedziałem, że noga prawie mi utknęła w dziurze w schodach, powiedział, że przyjedziemy wcześniej, żeby wam pomóc.

– Kochani jesteście – westchnęła. – Nie wiem, co na to ciecie, ale ja bardzo się cieszę, że będę cię miała dłużej.

Ciecie najwyraźniej nie podzielały radości Basi. Oczywiście, cieszyły się z perspektywy spędzenia świąt z rodzicami, ale to miały być cztery dni, góra pięć! A nie dwa tygodnie... Najmniej zadowolona wydawała się Alicja. Jej relacje z matką były, delikatnie mówiąc, dość ambiwalentne. Po tym jak Wanda oskarżyła Alę o niedopilnowanie jej kuzynki, a nawet sprowadzenie na Alex nieszczęścia, nie kontaktowały się zbyt często. Zresztą, Alicja nie miała na to czasu, bo zaraz wybuchła sprawa z zabójstwem Melskiej, a i remont było trzeba zacząć, żeby zdążyć na przyjazd rodziców.

– Wchodźcie, kochani, wchodźcie – zachęcała Basia, której w tak doskonałym nastroju nie widziano od dawna.

Po czułych powitaniach i oprowadzeniu po domu dziesięcioosobowe towarzystwo usadowiło się przy stole w kuchni. Alicja z niepokojem pomyślała, że zabraknie im krzesła, gdy wróci Julka, ale szybko jej uwagę pochłonęła tocząca się rozmowa.

– Tu zawsze jest tak cicho i spokojnie? – dopytywała Aneta Jędrzejak, mama Juli. – Żywego ducha nie widać.

– Bo u nas tylko martwe duchy chodzą, najczęściej po zmroku – odparła Lilka, starając się nie patrzeć na wyeksponowany ponad miarę obfity biust kobiety.

– Tutaj jest spokój, pani Anetko – oznajmiła Basia. – Cisza, nic się nie dzieje, życie płynie jak w *Dolinie Issy*.

– Czasem jedynie ktoś kogoś zamorduje – wtrąciła złośliwie matka Alicji.

– Wandziu! – upomniał ją małżonek. – Obiecałaś, że nie będziesz wracała do tego tematu. Idą święta, czas wybaczenia.

– Ale przecież ja zupełnie nie o tym! – zachnęła się pani Wandzia. – Znaleźli już tego, kto zabił tę młodą prawniczkę?

Noż diabli nadali tę Wandzię i jej wścibstwo! Wszystko wiedziała, wiecznie z nosem w kronikach kryminalnych!

– Nie, nie znaleźli – odparła spokojnie Alicja. – Ale znajdą, zapewniam. Jak za każdym razem.

– To ile tych razy już było? – Matka Julki wyglądała na wstrząśniętą.

– Pani Kornelia, kuzynka cioci Ali, ksiądz Antoni... – wyliczył Tomek.

– Matko kochana, gdzie wyście zamieszkały?! – Aneta przyłożyła dłoń do piersi. – Przy tym to nawet Bałuty brzmią jak raj na ziemi.

– Nie przesadzajmy, pani Jędrzejak, fantazja panią ponosi – syknęła Lilka.

Tak otwarta wrogość zdarzała jej się rzadko, dotychczas jedynie wobec Szelesta, Książka i świętej pamięci Alex. Nie uszło to uwadze jej przyjaciółek.

– Co ci? – szepnęła Ala, nachylając się do niej.

– Nic, wszystko w porządku.

– No jakoś nie brzmi na „w porządku”. Chcesz pogadać?

Lilka pokręciła głową. Wzrok miała wlepiony w twarz ojca, ale on zdawał się w ogóle tego nie zauważać. Z nabożną czcią wpatrywał się w siedzącą obok niego Anetę.

– Aha, teraz rozumiem – oświadczyła Ala, podążając za jej spojrzeniem.

– Czy ktoś już jest głodny?

Co było do przewidzenia, wszyscy zjedliby konia z kopytami. Alicja westchnęła ciężko i zabrała się za przygotowania posiłku, a towarzystwo zaczęło się rozglądać za aperitifem. Ojciec Basi, człowiek nietrwoniący słów, a nade wszystko ceniący czyny, ruszył na przegląd spiżarki, z której wyjął dwie nienaruszone jeszcze butelki z nalewką.

– Na twoim miejscu bym tego nie próbował, dziadku – poradził mu poważnym głosem Tomek.

– O, a dlaczego? Przeteterminowała się? – W intensywnie zielonych oczach błysnął zawód.

– Tego nie wiem, ale może być zatruta.

– Nie może być zatruta, bo to jest butelka z piwnicy pani Soni, a musiała

tam siedzieć, zanim Kornelia postanowiła doprawiać swój ulubiony trunek.
– W tonie Alicji zadźwięczała irytacja. – Można pić, na zdrowie. Smaczna będzie na pewno.

– Kim jest Sonia? – zaciekawił się Tomek.

– Przecież te domy nie mają piwnic – powiedział w tym samym momencie ojciec Alicji, architekt.

– Ile to ma procent? – dopytywała Aneta.

– O której jest msza? – wyskoczyła matka Basi.

Odpowiedzi zaczęły padać tak samo jak pytania – równocześnie i z różnych stron, aż w końcu zrobił się harmider. Odzwyczajone od takiego natężenia dźwięków, wciąż oszołomione po spotkaniu z proboszczem właścicielki siedliska poczuły się przytłoczone. A przecież to był dopiero początek!

– Cisza!!! – wrzasnęła Lilka. Lont jej się tak skrócił, że wystarczyła zaledwie maleńka iskra, żeby dziewczyna straciła panowanie nad sobą. – Po kolei. Jak w szkole. A najlepiej podnoście rękę.

– Ktoś tu chyba tęskni za panią Maślankiewiczową... – bąknęła Basia.

Lilka zgromiła ją wzrokiem, ale powstrzymała się od komentarza. Właściwie była to prawda: brakowało jej Malwiny, a nade wszystko uważała, że ten dzięcioł Szelest trzyma niewinną kobietę w kiciu bez żadnych podstaw. Poza tymi prawnymi, rzecz jasna.

– Kim jest Maślankiewiczowa? – Ręka Anety była uniesiona, więc wymogi formalne zostały spełnione.

– To żona sołtysa – odpowiedział uczynnie Tomek. – Mama mówi, że została aresztowana za zabicie byłej dziewczyny swojego męża, ale jest niewinna.

– Więzienia pękają w szwach od niewinnych – zauważył Herman, były detektyw, policjant z prawdziwym powołaniem. – I w niektórych przypadkach ludzie faktycznie siedzą za niewinność.

– Liliś, tęsknisz za zbrodniarką? – Ojciec Lilki oderwał wreszcie wzrok od Anety i spojrzał na swoje dziecko z troską.

– O jeżu w jeżynach, tato... Ona nie jest żadną zbrodniarką.

– Jesteś tego pewna? – drążył Krzysztof.

– Jak tego, że jesteś moim biologicznym ojcem – odparła dziewczyna. – Malwina Maślankiewicz prędzej poszłaby na randkę z Robakiem, niż

zbliżyła się do Moniki Melskiej.

Jak nietrudno się domyślić, kolejne pytanie pojawiło się niemal natychmiast.

– A z jakim robakiem? Z karaluchem czy z dżdżownicą? – Tomek od zawsze interesował się przyrodą, a niedawno odkrył w sobie pasję entomologa.

– Robak to nazwisko naszego nowego proboszcza – wyjaśniła cierpliwie Alicja.

– Pomijając fakt, że złożył śluby czystości, to dlaczego jest tak mało atrakcyjny? – dopytywał Krzysztof.

– Pewnie obleśny – skonstatowała Aneta.

– Wręcz przeciwnie – syknęła Lilka. – Piękny jak z obrazka. Tylko trochę mu się zwoje mózgowie poplątały.

– To kiedy ta msza? – podchwyciła temat pani Wandzia. – Może pójdzie pani ze mną, pani Aneto?

Anetę Jędrzejak w kościele ostatnio widziano bodaj na ślubie Basi, lecz obrazkowe piękno księdza obudziło w niej ciekawość. Matka Barbary także wyraziła chęć obejrzenia Robaka, a przy okazji wiejskiego kościółka.

– Powinna być wieczorem, o osiemnastej – oznajmiła Lilka. – Ale idziecie tam na własną odpowiedzialność – ostrzegła.

Przybyli mężczyźni nie byli zainteresowani ani księdzem, ani niczym innym, co nie wiązałoby się z jedzeniem. Teraz mogli skupić się tylko na tym jednym, bo wiadomo przecież, że podzielności uwagi nie mają za grosz. Całą uwagę skoncentrowali na Korneliowej piernikówce.

– Bardzo smaczna – pochwalił Herman.

– Znakomita! – przyznał Hieronim Wierzbicki, ojciec Ali.

– Macie jej może więcej? – chciał wiedzieć Krzysztof Laskowski.

– Nie mamy, to ostatnie butelki, cudem odnalezione w tajnej krypcie – odparła Lilka.

– Mówiłyście, że w piwnicy – podchwycił Hieronim. – Ale tu nie ma piwnic.

– Oj, tato, nie czepiaj się! – oburzyła się Alutka. – Dla mnie wszystko, co znajduje się pod domem, to piwnica.

Chcąc nie chcąc, trzeba było opowiedzieć o odkryciu tajnej skrytki pod

kuchenną podłogą Soni, a im dłużej dziewczęta opowiadały, tym więcej pytań się pojawiało ze strony słuchaczy. Ostatecznie historia zahaczyła o wszystkie możliwe tematy.

– Chciałbym zobaczyć tę kryptę – wyznał Hieronim.

– Ja też! – poparł go Tomek.

– W takim razie możemy pójść do Soni po obiedzie – zdecydowała Ala.
– Zgarniemy przy okazji Julkę.

– No właśnie miałam pytać o to, gdzie podziewa się moja piękna córka – powiedziała Aneta. – Myślałam, że jest u swojego chłopaka.

– To ciocia Julia ma chłopaka? – Jedenastolatek skrzywił się na samą myśl o tym, co może robić ciocia Julia z ukochanym.

– Nie ma – rzuciła Lilka do chłopca. – To już przeszłość. I radzę nie poruszać tego tematu, szczególnie przy Juli, bo jest raczej drażliwy.

– Och, wielka szkoda – westchnęła Aneta. – Tyle się nasłuchiłam o pięknym Karolu, liczyłam na jakieś małe Juleczki...

Alicja, Basia i Lilka wymieniły porozumiewawcze spojrzenia i ryknęły śmiechem. Małe Juleczki? Chyba tylko z hodowli kotów!

– Przykro mi, pani Aneto, ale raczej nie będą to małe Książki – powiedziała Basia bez szczególnej przykrości w głosie. – Absztyfikant chyba nie dorósł.

– Nie ten, to inny – pocieszył matkę Julii Krzysztof. – Na każdego przyjdzie pora, na moją Lilę też.

Lilka drgnęła i uśmiechnęła się do ojca z wdzięcznością. Kochała go jak nikogo na świecie, a i on ją kochał ponad wszystko. Znał też jej sekret, ale nigdy nikomu go nie zdradził. Zbyt dobrze rozumiał, jak trudne musiało być jej życie w nietolerancyjnym społeczeństwie. I choć chciał dla jedynaczki jak najlepiej, nigdy nie robił jej wymówek z powodu samotności. On wiedział, że w ich rodzinie prawdziwa miłość zdarza się tylko raz. A w sercu Lilki od lat była tylko Julka.

Nim skończyli jeść obiad, za oknami zapadł zmrok. Julka wciąż nie wróciła, tym bardziej więc wyprawa do Soni wydawała się niezbędna. Nie zmieściliby się do samochodu, zatem wyruszyli na piechotę, żądne zaś spotkania z Bogiem – a właściwie z księdzem Robakiem – kobiety pojechały do kościoła zgodnie ze wskazówkami Lilki.

Pokryta śnieżną pierzyną wieś wydawała się spokojna, z puszczy

dolatywało pohukiwanie sów, a gdzieś w oddali słycać było szum wody. Podlaskie uroczysko roztaczało przed przybyłymi swoje największe atuty, a mimo to w powietrzu czuć było dziwny niepokój.

ROZDZIAŁ 21

Sebastian Sierżant wrócił do domu bez humoru. Nie dość, że był głodny, to jeszcze nie mógł pozbyć się myśli o Soni, choć robił wiele, żeby zająć głowę czymś innym.

– A co to za zmierzła mina? – przywitała go matka.

Wyglądała inaczej. Ufarbowała włosy? Nie, chyba tylko je umyła i wystylizowała. I co to za sukienka? Chyba jeszcze nigdy jej nie widział.

– Tak jakoś – odparł, wzruszając ramionami. – Wybierasz się dokądś?

Sylwia uśmiechnęła się szelmowsko i zerknęła do wiszącego w przedpokoju lusterka.

– Do kościoła idę, na wieczorną mszę.

– Serio? – Sebastian zrobił minę, która nadała mu wygląd ni to wściekłego, ni obrzydzonego.

– No serio, serio. Masz coś przeciwko? Czyżby chodzenie do kościoła nagle stało się wykroczeniem?

Rudowłosy młodzieniec spojrział na matkę z nieukrywanym zdziwieniem.

– A czy ja coś takiego powiedziałem? – W jego głosie zabrzmiała złość. – Po prostu się dziwię, że po tym, co zaprezentował ksiądz Robak, masz jeszcze ochotę na niego patrzeć.

– Phi! – prychnęła Sylwia i poprawiła opadający na oczy pukiel. – Obiektywnie rzecz biorąc, to patrzeć na niego jest czystą przyjemnością.

– Mama, no co ty?

– No to ja, właśnie to. W życiu nie widziałam przystojniejszego mężczyzny. No może poza twoim ojcem, ale szybko się okazało, że pod piękną skorupą kryła się duchowa zgnilizna.

Sierżant po raz pierwszy słyszał, że jego matka mówiła o ojcu. Przez całe życie ten temat stanowił tabu, a każda próba dowiedzenia się czegokolwiek kończyła się awanturą albo płaczem Sylwii. A najczęściej najpierw jednym, potem drugim.

– Jak na mój gust nasz nowy proboszcz też trochę już pośmierduje... –

zauważył.

– Co? Co ty mówisz, chłopcze? Pośmierduje? – W Sylwię jakby złe wstąpiło. Jej przyjemny zazwyczaj głos zaczął się niebezpiecznie podnosić. – Ten człowiek jest jak objawienie! W tym całym zakłamaniu, w tej skundlonej przez zabobon wierze wreszcie ktoś ma odwagę wypełniać wolę Pana Boga!

– O rety... – jęknął chłopak. – Ale cię wzięło... Ja się nie upieram, że wiara w zabobony to coś dobrego, ale on brzmiał jak jakiś... Adolf czy inny opętaniec. Ekskomunika na szeptuchy? Serio?

Sylwia nabrała powietrza w płuca, zamknęła oczy i nieswoim głosem wyrecytowała:

– „Jeżeli jaki mężczyzna albo jaka kobieta będą wywoływać duchy albo wróżyć, będą ukarani śmiercią. Kamieniami zabijecie ich. Sami ściągnęli śmierć na siebie”⁴¹.

– Morderstwo to przestępstwo – oznajmił chłopak twardym głosem. – Wie mama o tym?

– Nie w oczach Boga – odparowała matka. – A prawo ludzkie nigdy nie powinno stać ponad boskim, przecież i tak wszyscy zostaniemy osądzeni według Jego zasad.

– Jak dobrze rozumiem, to chce mama powiedzieć, że wcale nie trzeba złapać mordercy Moniki Melskiej, bo była czarownicą i zasłużyła na śmierć? – zakpił młodzian.

Jakiś dziwny niepokój obudziły w nim słowa matki.

Odpowiedź nie padła, jednak dało się wyczuć, że dokładnie to chciała powiedzieć Sylwia Sierżant. Nie zaszczyciwszy jedynaka spojrzeniem, udała się do szafy, wyjęła futrzany płaszcz, przyozdobiła go kaszmirowym szalem i wyszła z domu, zostawiając syna w stanie głębokiego zdumienia. Sebastian podejrzewał, że matka musiała przesadzić z ilością herbatek ziołowych, które od pewnego czasu regularnie popijała, jednak to nie tłumaczyło tego dziwnego fanatyzmu. Co więc mogło go wyjaśnić?

Nagle naszła go ochota, żeby z kimś porozmawiać, poukładać myśli. Tylko z kim? W siedlisku najazd Hunów, u sołtysa złośliwa Marlana, Sonia... Sonia odpada na amen, Antkowiak zaraz zaczyna służbę... Mikołaj! Tak, batuszka z całą pewnością będzie w stanie mu pomóc.

Ubrał się w trybie ekspresowym i wsiadł do auta. Robiło się już ciemno i

nie bardzo uśmiechało mu się błędzenie po zaspach. Po chwili zrównał się z maszerującą poboczem Sylwią.

– Niech mama wsiada, podwoję – zawołał przez opuszczoną szybę.

Kobieta nawet nie drgnęła. Szła dalej z zaciętą miną.

– Mamo, jest ciemno i zimno!

– Kto ma Boga w sercu, ten nigdy nie pobłądzi. A futro mnie grzeje.

Rudzielec westchnął, wypuszczając obłoczek pary z ust.

– Coś ty się tak zaparła? Wsiadaj do auta, przecież to kawał drogi!

– Nie, dziękuję. Pomodłę się po drodze.

Sebastian zgrzytnął zębami, zasunął szybę i ruszył z piskiem opon. Wiedział, że jego matka była uparta, bywała także zawzięta, dalsze naciski nie miały więc sensu.

– Dawać i prosić to o jedno za dużo – mruknął do siebie zły jak osa. – Trzeba pogadać z Marleną o jakichś ziólkach na menopauzę.

Pokonując kolejne odcinki drogi, ze zdziwieniem zauważył, że nie tylko jego matka odziała się w odświeżone futro z zamiarem odwiedzenia kościoła. Im bliżej był plebanii, tym więcej kobiet sunęło poboczem, nie zważając na śnieg i nieprzyjemny wiatr. Dziwne rzeczy działy się w Babiborze, oj, dziwne...

– Rozumiem. Przekaż, że dziś się tym zajmę.

Marlena Maślankiewicz odłożyła telefon na kuchenny blat i oparła się o niego dwiema rękami. Wdech, wydech, wdech, wyyyyyydech.

Telefon od Róży, kuzynki Malwiny, może nie zaskoczył starej szeptuchy, ale zdecydowanie nie poprawił jej humoru. Wystąpienie księdza Robaka obudziło w niej strach, jakiego nie czuła, odkąd była młodą dziewczyną – odkąd na własne oczy widziała, do czego może doprowadzić fanatyczne zaślepienie.

To, co zamierzała, a właściwie musiała zrobić, wymagało gruntownego przygotowania. Mietek zamknął się w swojej sypialni, nadąsany jak kobieta przed menstruacją, co gwarantowało Marlenie, że nie będzie jej przeszkadzał. Bardzo dobrze, znakomicie. Upewniła się, że oboje drzwi zostało zamkniętych na zamki, zasłoniła okna. Na zewnątrz i tak już zrobiło się szaro. Z wielkiej walizy, która leżała otwarta pod ścianą, wyjęła potrzebne jej przedmioty.

Minęło wiele czasu, od kiedy ostatnio zajmowała się magią ewokacyjną.

Już nie pamiętała, jak trudna jest to sztuka, jak wiele rzeczy może pójść nie tak. Poprzednim razem, a był to jedyny raz, kiedy odprawiła pełny rytuał, przyzywany duch nie był rozmowny. Marlena straciła wiarę, a wraz z nią przestały działać siły podtrzymujące obecność astralną w kręgu. Ona sama dochodziła do siebie przez wiele dni, osłabiona i niewierząca we własne moce.

Tym razem musiało być inaczej. Musiała wytrzymać, dowiedzieć się tego, od czego zależało życie wielu innych osób. Życie jej wnuka.

Zebrała wszystko, co niezbędne, do wiklinowego kosza i ruszyła na strych. Było to jedyne pomieszczenie, w którym nie stały meble, a ona potrzebowała przestrzeni. Zresztą – jak się słusznie domyślała – nie bez powodu stryszek nie posiadał okien. Arciszewski także potrzebował miejsca, w którym będzie mógł zajmować się magią. Panował tu przyjemny mrok, a na podłodze zalegała warstwa kurzu. Ani Malwina, ani Mietek nie zapuszczali się na tę kondygnację, bo i po co? Wraz ze śmiercią Augusta strych przestał być potrzebny.

Staruszka włączyła światło i rozejrzała się wokół. Szybko oceniła, która ściana znajduje się na wschodzie, i rozstawiła pod nią sztalugę. Następnie starła fragment podłogi, co wymagało zejścia na parter po mopa i wiadro, a gdy deski wyschły, narysowała na nich krąg o średnicy dwóch metrów. Przez chwilę zastanawiała się nad dorysowaniem pieczęci ochronnych, ale stwierdziła, że wystarczą stosowne zaklęcia. Pomiędzy kręgiem a ścianą ustawiła dwa świeczniki, każdy o wysokości pół metra, i wetknęła w nie świece, najdłuższe, jakie udało jej się znaleźć. Teraz musiała zająć się najważniejszym: lustrem, w którym będzie mogła zobaczyć Augusta.

Zeszła do swojej sypialni i ostrożnie wyjęła z walizki tekturowe, trójkątne pudełko. Poczowała ciężar jego zawartości, który spłynął jej do żołądka. Leczenie ziołami i rzucanie uroków było łatwizną. Tymczasem ewokacja... O, to zupełnie inna liga.

Nagle odłożyła pudełko na łóżko i ruszyła na parter, jakby adrenalina odjęła jej lat. Wpadła do kuchni, otworzyła kredens skrywający alkohole i sięgnęła po piołunówkę. Odkręciła butelkę, powąchała i przyłożyła gwint do ust.

– Za powodzenie! – szepnęła drżącym głosem. – I niech Malwinę diabli wezmą, jeśli tego nie przeżyję.

Pociągnęła spory łyk, nawet nie czując pieczenia, jakie niewątpliwie powinna była poczuć. Kolejny łyk. I jeszcze jeden. Wciąż nic. Wydudliła pół butelki, ale nawet nie zakręciło się jej w głowie. Odstawiła flachę do kredensu, wróciła po pudełko i ruszyła z nim na strych.

W pudle znajdowało się, owinięte wieloma warstwami folii, magiczne lustro przymocowane do trójkątnej drewnianej podstawy. Marlena otrzymała je dawno temu od swojej mentorki. Zgodnie z kabałą było ono niezbędnym elementem rytuału ewokacji, choć niektórzy twierdzili, że go nie potrzebują. Marlena nie chciała ryzykować, że jakiś złośliwy duch wlezie w jej ciało; zdecydowanie wolą zobaczyć jego projekcję w lustrze. Choć zakładając, że przyjmie formę, w jakiej umarł, widok Arciszewskiego raczej nie będzie miłym wrażeniem. Chłop roztył się, wyłysiał, zrobiła się bambaryła taka, w dodatku burkliwa.

Lustro stanęło na sztaludze idealnie na wysokości oczu niewysokiej Marleny. Szeptucha zapaliła kadzidła i obesza krąg, szepcząc zaklęcia. Teraz dopiero zaczynała odczuwać skutki działania wypitego alkoholu. Trochę szumiało jej w głowie, żołądek się rozluźnił, ogarniał ją spokój. Dobrze, tak właśnie miało być.

Skończyła przygotowywać scenerię i zajęła się sobą. Rozstawiła kadzidła o mdłym, intensywnym zapachu jak najbliżej miejsca, w którym zamierzała stać, zamknęła drzwi do pomieszczenia, a na końcu zapaliła świece. Teraz musiała mocno się skupić, skoncentrować całą płynącą w niej energię. Bez tego ani rusz.

Czuła, że poca jej się dłonie. Wytarła je w spódnice, ani na chwilę nie przestając wizualizować Augusta, i nieustannie skupiała się swoim życzeniu: przybądź, przybądź do mnie.

Teraz zaczynało się to, co trudne. Sformalizowany tekst wezwania ducha był tak długi, że nie było szans na jego zapamiętanie. Marlena doskonale wiedziała, że przekazywane w grymuarach i księgach zaklęć treści to jedynie przykłady, na których kanwie można stworzyć własny repertuar, wystarczy włożyć w to odpowiednio dużo wysiłku.

Otworzyła oczy i spojrzała w zwierciadło. Dzięki płomieniom świec matowa powierzchnia lustra odbiła jej niewyraźną podobiznę. Znakomicie.

Wzięła dziewięć głębokich oddechów i rozpoczęła ewokację:

– Wzywam cię i zaklinam, duchu Augusta Arciszewskiego! Przywołuję

cię i zaklinam mocą potężnej Ksantypy, której magia pochodzi od samego Pana! Przybądź tu, duchu Augusta Arciszewskiego, „pojaw się bez zwłoki, opuszczając miejsca, w których przebywałeś, i udziel mi odpowiedzi na wszystkie moje pytania. Przybądź tu w spokoju, bądź miły i widoczny, natychmiast spełnij moje rozkazy. Przyzywam cię!”⁴².

Zapadła cisza. Mdlący zapach kadzideł sprawiał, że Marlena czuła się coraz bardziej oszołomiona, ale tak miało być. W końcu kto widział szamana albo medium pracujących na trzeźwo? Szeptucha przyjrzała się płomieniom świec – zadrgały czy tylko jej się tak wydało? Lustro wciąż pokazywało jej rozświetlone oblicze.

Znów odetchnęła głęboko, przy okazji odrobinę dławiąc się dymem z kadzidła, i przeszła do drugiego wezwania.

– „Wzywam cię, zaklinam i rozkazuję, duchu, abyś pojawił się w widzialnej ludzkiej postaci przed tym oto kręgiem bez jakichkolwiek zniekształceń i uników. [...] zaklinam cię, abyś pojawił się przed tym oto kręgiem i wypełnił moją wolę we wszystkich rzeczach, które wydają mi się dobre”⁴³.

Zamilkła, usiłując zaczerpnąć tchu. Nie spodziewała się, że sięgnięcie po przeciętnego ducha będzie kosztowało ją tyle energii. Pot spływał jej ze skroni, a w dodatku pachniał piołunem.

– Marlena? To ty? – rozległ się naraz cichy głos.

Staruszka struchlała, ale wnet podniosła wzrok na zwierciadło. Już nie widziała swojego odbicia, za to środek lustra robił się jakby... bledszy?

– To ja – odparła ochryple. – August?

– A wzywałaś kogoś innego? – Głos stawał się coraz wyraźniejszy.

– Teraz już nie mam wątpliwości. Złośliwy jak zawsze.

Szeptucha wpatrywała się w matową taflę zwierciadła, starając się nie mrugać. Mogła już dojrzeć zarys okrągłej, żeby nie powiedzieć: upasionej twarzy, czarne punkciki oczu i szerokie usta.

– Zadałaś sobie wiele trudu, żeby mnie przywołać. Stało się coś?

– Eeee, no, tak jakby. Malwina ma kłopoty.

– Phi! To już nie moja sprawa.

Właściwie miał rację. Nie jego. Ciekawe, co teraz było jego sprawą.

Chwila dekoncentracji sprawiła, że obraz znów zaczął blednąć.

– Auguście Arciszewski! – podniosła głos niemal do krzyku. – Rozkazuję ci: odpowiedz na moje pytania, tylko nie kręć!

Usta w zwierciadle kłapnęły bezgłośnie.

– Słucham cię uprzejmie, szeptucho.

– Co stoi za twoją śmiercią?

– Życie, kochana. Za śmierć zawsze odpowiada życie.

Marlena przekleła pod nosem.

– Czy ktoś przyczynił się do twojej śmierci?

– Tak.

– Czy to była Malwina?

– Z całą pewnością. Ta kobieta to zgaga.

Co za osioł uparty!

– Czy Malwina cię otruła?

– Tylko swoją miłością.

Nie, to się nie uda. Ten złośliwy cap może ją tak zwodzić do sądnego dnia, a świece zaraz się wypalą!

– Kto podał ci truciznę, od której umarłeś?

– Pomyślmy... Ty, Mieczysław, Malwina... Sylwia Sierżant! – Ostatnie nazwisko wypowiedział z sykiem.

W tym samym momencie na dole rozległ się dzwonek i w następnej sekundzie po Auguście Arciszewskim nie było już śladu. Marlena usłyszała dźwięk otwieranych drzwi, tupanie na schodach, a po chwili Mieczysław wrzasnął:

– Babciu! Pani Sierżant do ciebie!

Szeptucha pośpiesznie zgasła świece i kadzidła. Na sprzątnięcie stryszku nie miała teraz czasu, więc tylko dokładnie zamknęła drzwi. I tak nikt tam nie wejdzie. Była spocona i blada, serce jej waliło, wciąż znajdowała się pod wpływem szoku. Nie mogła uwierzyć w to, że się powiodło. Słowa Augusta wciąż dźwięczały w jej głowie.

Zbiegła po schodach, co miało być uzasadnieniem plam potu zdobiących jej koszulę, i stanęła zziębnięta przed wystrojoną jak szczur na otwarciu kanału Sylwią Sierżant.

– W czym mogę pomóc? – zapytała, nie zadając sobie trudu ukrycia wrogości.

– Pomyślałam, że może zechciałaby pani udać się do kościoła, żeby przekonać księdza Radosława o swojej niewinności.

O masz! A co ta Sylwia, upiła się? I jeszcze: „księdza Radosława”?

– O niewinności nikogo nie trzeba przekonywać, to winy należy dowieść – odparła z rozdrażnieniem.

– Jak pani uważa. – Odziana w futro kobieta promiennie się uśmiechnęła. – Tylko proszę pamiętać, że winy zostaną wybaczone, o ile je wyznamy. Do widzenia.

– Do widzenia – prychnęła Marlena i trzasnęła drzwiami.

Mieczysław stał w progu do salonu i przyglądał się babce podejrzliwie.

– Znowu coś kombinujesz? – zapytał z troską.

– Ja? Kombinuję? No coś ty!

– Ostatnim razem też tak mówiłaś, a potem cała wieś widziała zielone słonie.

– Nie zielone słonie, tylko ducha Olszewskiego. I wcale nie cała – zachnęła się staruszka.

Mietek pokręcił głową i ruszył do kuchni.

– Nie wiem, co tu się wyprawia, ale wcale mi się to nie podoba – oznajmił. – Ten ksiądz mi się nie podoba, ta cała sprawa z Melską mi się nie podoba, a jeszcze Arciszewskiego będą wykopywać.

Marlena chciała zapytać, wykorzystując znakomitą okazję, czy aby Mieciu nie ma niczego na sumieniu, jednak doszła do wniosku, że najpierw musi sprawę przemyśleć. W końcu ona także znalazła się na liście oskarżonych, a przecież nigdy nie skrzywdziła Augusta. Czy ten duch, złośliwy dziad, musiał gadać zagadkami?!

– Nie martw się, synek, wszystko będzie dobrze – pocieszyła go, choć przecież nie mogła mu tego obiecać.

– Mhm. Tylko kiedy?

– Już niedługo. Czuję, że jesteśmy coraz bliżej.

Mietek pokiwał głową ze smutkiem i podstawił kubek pod dyszę ekspresu.

– A mnie się wydaje, że do końca daleko. Obym nie był złym prorokiem.

ROZDZIAŁ 22

araz, zaraz, zaraz. – Julka oderwała się od zeszytu i spojrzała
- **Z** Soni w oczy. – Jeśli dobrze liczę, to w dniu śmierci pierwszy mąż
pani Malwiny miałby... dziewięćdziesiąt lat?

– Też mnie to zastanowiło – zgodziła się Iwaszuk. – Ale pomyślałam sobie, że może to zbieżność nazwisk. Tak jak tych dwóch Robaków, których dzieli millennium.

– Hmm, możliwe, tylko jakoś mi to nie pasuje. Trzeba będzie zapytać we wsi.

Sonia skinęła głową i upiła łyk herbaty. Pachniała bergamotką i piernikiem.

– Zapytamy, a teraz czytamy dalej. Chyba że musi pani już iść?

– Nie, wcale nie muszę. Jestem ciekawa, co się stało z tym donosem.

Niebieskie jak niezapominajki oczy Soni zabłyszczały, zdradzając, że i ją zżera ciekawość. Julka upiła łyk swojej herbaty, po czym wróciła do tekstu. Tym razem czytała na głos.

Inkwizytor obrzucił Wiśniewskiego surowym spojrzeniem.

– Jakże to mam rozumieć, że dzieciak choroby wyczuwa? Przecież on mówić nawet nie umie!

– Nie umie, nie umie, mości dobrodzieju, ale jak tylko kogoś chorego dotknie, to zaraz kwilić zaczyna i po swojemu gada.

– I co, ma rację? Podajcie no przykłady – rozkazał Robak.

– Ano juści, że ma! Ani razu się nie pomylił – wyznał niemal z dumą bartnik. – Przykładów, dobrodzieju, to i szukać nie trzeba daleko. Dwa tygodnie będzie, jak brata mojego powaliła gorączka i bebechy go bolały, jakby się żelaza nałykał. Cierpiał i cierpiał, aż w końcu Anka przyszła z małym, dzieciak brzucha mu dotknął i gada: „Siiii, siiii”, co miało znaczyć, że tam choroba siedzi. No i jak doktora wezwalim, to się okazało, że Heńkowi jelita pokręciło i trzeba było do Białegostoku pod nóż go zawozić. Ledwo się spod kosy wyrwał. – Mężczyzna przeżegnał się trzykrotnie, pewnie na wyobrażenie owej kosy, nieodłącznego atrybutu śmierci. – Drugim razem to na Jare Gody było albo zaraz po nich. Musiałowa z

kołyski go wyjęła i bawić zaczęła, bo sama przy nadziei, a Augustek znowu: „Siiii, siiii”, i po brzuchu ją klepie. Dwa dni potem Musiałową Maślankiewiczowa musiała odratować, bo ciężę poroniła.

Inkwizytor słuchał z uwagą, choć wciąż nie dopuszczał do siebie myśli, że cokolwiek z tego może być prawdą. Gdyby zaś nią się okazało... Sprawa byłaby zbyt poważna, żeby zachować ją w tajemnicy. Watykan z całą pewnością zainteresowałby się dzieckiem wykazującym talenty dalece wykraczające poza ludzkie.

– Czy ów Augustek ma także dar sprowadzania na ludzi albo zwierzęta chorób? – zapytał beznamiętnym tonem.

– Tego już, mości dobrodzieju, nie wiem. Nie spotkałem się. Ale wie ksiądz, jakie są ludzie: mówią, że jak dzieciak ma diabelskie moce, to pewnie od matki je dostał.

– Dobrze, Wiśniewski, ujmę to inaczej: skoro dzieciak nikomu krzywdy nie robi, a wręcz życie ratuje, to dlaczego wy jego matkę o czary oskarżacie?

Bartnik się stropił, bo wciąż sumienie go gryzło, a pewnie później będzie jeszcze gorzej. Ale przecież on w sercu miał Pana Boga, a Pan Bóg jasno się wyraził w Piśmie: „Nie pozwolisz żyć czarownicy”⁴⁴.

– Odkąd Anka brzemienna została, ja jej nie poznaję. Kiedyś to taka cicha, w sobie zamknięta, ludzi nie lubiła, bała się ich. A teraz chodzi po wsi jak jaka dziedziczka, każdy jej się kłania, a ona tylko zęby w uśmiechu pokazuje, piersi wypina jak jaka ulicznica, nogi pokazuje. Tfu! Wstyd mi, że to siostra rodzona.

– A co na to jej mąż? – Robak musiał odpędzić sprzed oczu wyobrażenie wypiętego biustu i obnażonych nóg.

– A dajcie spokój, dobrodzieju. – Bartnik machnął ręką. – Taki z niego chłop jak z koziej rzyci chomąto. Odkąd dzieciaka ma, to tylko nim się zajmuje, a Anka jak ta latawica innych bałamuci. Baby wciąż gadają, jak to ich mężowie się ślinią, gdy tylko ją zobaczą. A ona się cieszy.

– Akty cudzołóstwa były?

– Tego to ja nie wiem, a przecież żaden się nie przyzna. Ale na moje oko to ona im tylko we łbach zawraca, a nic od nich nie chce. A chłopcy, durne, coraz bardziej za nią ślepią wytrzeszczają. Wie, dobrodzieju, jak to jest.

– Zakazany owoc – skwitował inkwizytor. – Tyle że za urodę ludzi na

stos się nie skazuje. Gdybyście mieli dowód, że ona uroki rzuca albo zaklęcia, to co innego.

Bartnik spuścił wzrok i po raz ostatni zważył w myślach oskarżenie, które mogło oznaczać dla jego siostry wyrok śmierci. Stało się. Powiedział już tak wiele, musi powiedzieć wszystko.

– W tym jest ambaras, wielmożny dobrodzieju, że od czasu, kiedy Anka wróciła z dzieciątkiem pod sercem, żadna inna baba potomstwa mieć nie może – wyznał niemal szeptem. – Jak już której uda się być przy nadziei, to albo zaraz dziecko traci, albo rodzi martwe. A baby, jak to baby, wybaczyć jej tego nie mogą. Jej się udało, a tyle lat nie mogła. I może to i cud boski, ale dlaczego ją Pan Bóg nagroził, a wszystkie inne karze?

– Nie bluźnijcie, Wiśniewski, Pan Bóg zbyt jest zajęty innymi sprawami, żeby się interesować takimi bzdurami. Co wy podejrzewacie? – W tym pytaniu zabrzmiało ostrzeżenie: nie waz się wplątywać w to Boga, mów, co naprawdę ludzie gadają.

Bartnik doskonale je wyczuł i spocił się jeszcze bardziej, a włosy na karku stanęły mu dęba. Odchrząknął, bo gardło miał zaschnięte od gadania, a wodę przecież już wcześniej wypił.

– Po mojemu, proszę księdza, to może coś być w tym, co mówi Marczakowa: że Anka w tym lesie z czartem się zadała, a on nie dość, że bajstruka jej spłodził, to mocą jakąś obdarzył. Inna ona do nas wróciła, odmieniona czarem. I wszystkie inne się starzeją, a ona jakby coraz to młodsza. Nawet ja to widzę, a przecież to siostra moja rodzona.

– Hmm, interesujące. Ktoś jeszcze poza Marczakową gada?

– A gada, dobrodzieju, cała wieś gada. Baby zwłaszcza. Nawet i moja ślubna, choć Ankę zna jak siostra, mówi, że to przez nią my dzieciaka mieć nie możemy.

Inkwizytor uniósł brwi i uśmiechnął się kpiąco.

– A wam to chyba do wnuków prędzej niż do dzieci, Wiśniewski. Ile lat macie?

– Trzydzieści ósm, dobrodzieju – odparł zawstydzony chłop. – A co ja poradzę, że się mojej bawic dzieciątko zachciało? No przecie odmówić jej nie mogę, bo to grzech.

Joachim Robak uśmiechnął się szerzej. A pewnie, że grzech. Kto odmawia żonie chętnie rozkładającej nogi, ten pierwszy pójdzie do piekła.

Julka przerwała czytanie, wytrącona z rytmu głośnym trzaśnięciem drzwi. Sonia podskoczyła ze strachu i odwróciła się w kierunku, z którego dochodził nagły hałas.

W wiatrołapie stał Karol Książek i wyglądał na wstrząśniętego. Zaskoczony wzrok utkwił w Julce, która na jego widok natychmiast pobladła.

– Prze...przepraszam – wyjąkał. – Wiatr wyrwał mi drzwi z ręki i trzasnęły. Nie chciałem was wystraszyć.

– Nic nie szkodzi, jakoś przeżyjemy – mruknęła Julia tonem bardzo mało przyjaznym.

– Witaj, Karolu. Ale masz wycucie czasu! – Sonia natomiast wyglądała na szczerze uradowaną odwiedzinami dziennikarza.

– No właśnie słyszałem... Nie wszystko, ale coś o rozkładaniu nóg i piekle.

– Taaa. Przypadek? Nie sądzę – wyszeptała pod nosem Julka.

– Słucham? – Książek spojrział na nią ze zdumieniem.

– Nic do pana nie mówiłam – odparła zimno. – Ja już pójdę, pani Soniu.

– Ależ bardzo proszę, niech pani zostanie! – Iwaszuk dotknęła jej dłoni.

– Czytajmy dalej, Karol będzie grzeczny, obiecuję.

Dziennikarz wyglądał na stropionego.

– Nie sądzę, żeby mogła pani składać obietnice w jego imieniu – rzuciła sucho zdeklarowana wrogini Książka. – Dobrze, zostanę, ale tylko przez wzgląd na panią.

– Powiało zimnem – zakpił chłopak. – Zdaje się, że o czymś nie wiem.

– Z całą pewnością nie wie pan tego, jak należy traktować kobiety – syknęła Julia. – Siada pan czy nie?

Skonsternowany Książek spojrział pytająco na Sonię, ale ona tylko pokręciła głową. Znikąd ratunku. Bez słowa zajął miejsce obok gospodyni, nie chcąc się narażać na kolejny wybuch złości Julii. No i ciekawiło go, cóż to za frywolną lekturą się zajmowały.

Julka potrzebowała kilku chwil, żeby odnaleźć właściwy fragment, i podjęła głośne czytanie. Po kilku sekundach zmarszczyła brwi, oznajmiając:

– Tu się coś chyba urywa, jakby ktoś pominął dalszą część rozmowy i przechodzi do... – Przewróciła stronę i przebiegła wzrokiem po kilku

zdaniach. – Do przesłuchania świadków. Czyli Joachim uznał, że coś musi być na rzeczy.

Sonia pokiwała głową, zgadzając się z wnioskiem.

– Co czytamy? – szepnął do niej Karol.

– Później ci powiem, teraz słuchajmy.

ROZDZIAŁ 23

Wbrew obawom Maciejki Mielnickiego wieczorne nabożeństwo odbyło się zgodnie z planem, a w dodatku kościół wcale nie był pusty. Po tym, co usłyszał rano, chłopak martwił się, że jego kariera legła w gruzach i nie dostanie szóstki z religii, a to, obok wuefu, była jego jedyna szansa na podniesienie średniej powyżej trzy zero. Matka obiecała mu nowy rower, jeśli w tym roku szkolnym uda mu się zdobyć coś więcej niż trójki, więc było o co walczyć. Z radością więc podawał księdzu wszystko, co było mu akurat potrzebne, a jeśli o czymś zapomniał, to Robak gestem mu podpowiadał.

W ogóle ten ksiądz to całkiem fajny gość: i pożartował, i na piłce się znał, podobno nawet kiedyś był na meczu Copa America, a to już nie w kij dmuchał! Obiecał pokazać zdjęcia z Patagonii, choć Maciejka nie do końca wiedział, co to ta Patagonia, ale jak zobaczy fotki, to się dowie. No, całkiem miły ten nowy, bez dwóch zdań.

Tym razem kazanie było normalne, nudne wręcz, przez co Maciejce czas zaczął się dłużyć. W dodatku straszliwie chciało mu się ziewać, a przecież nie wypada tak na widoku. Żeby jakoś przetrzymać, zaczął się przyglądać zgromadzonym wiernym. Same baby! A, nie, jest też Szelest. Dziwne.

W pierwszej ławce, oczywiście, siedziała jego matka. Wyglądała trochę jak wtedy, gdy w telewizji leciał nowy odcinek *Przyjaciółek*. Brakowało jej tylko kubka z kawą i czipsów paprykowych, które zawsze chrupała podczas oglądania seriali. Na Maciejkę nawet nie zwracała uwagi, tak była wpatrzona w księdza. Obok niej dwie sąsiadki, Bernatowa i Kalinowska, potem matka posterunkowego, Sylwia Sierżant, ale ona trzymała się dalej, bo kiedyś pokłóciły się z Bernatową o książkę z biblioteki. W dwóch kolejnych rzędach też same kobiety, stare i młodsze, a wszystkie z takimi minami, jakby zaraz miały odpakować prezenty spod choinki.

Maciejka pokręcił głową i przeniósł wzrok na drugą stronę. O, tych nie znał! Jedna wyglądała jak ta mała pani z siedliska, taka śmieszna i trochę ruda. Matka mówiła, że to jakaś artystka, ale nie była raczej nikim

sławnym, bo jej na TikToku nie znalazł. A przecież szukał. I to jak!

Obok niej siedziała... O w mordę! Zjawisko! To na pewno był ktoś sławny, bankowo! Włosy jak u Paris Hilton, twarz... no, trochę stara, ale nie tak bardzo. A jej rzęsy to nawet z tej odległości Maciejka mógł dostrzec, o ja cię! Ho, ho, ciekawe, co matka by powiedziała na widok jej balonów. Już to słyszy: „Bezwstydnicą, gołymi cyckami przed księdzem świeci! Co za sromota!”. Swoją drogą, to słowo „sromota” też jest trochę podejrzaną, nie? Srom, he, he, he.

Trzeciej nieznanym chłopiec nie zdążył obgadać w myślach, bo ksiądz wezwał do modlitwy i trzeba było wstać. A potem już poszło szybko, rachciach, *Ojczy nasz*, wyznajmy grzechy, bla, bla, bla, komuniam i już. Na odchodne Radosław Robak za wiele nie gadał, pewnie też chciał iść do domu i obejrzeć mecz.

Maciejka udał się do zakrystii, zdjął komżę, odwiesił ją do szafy i już miał dać nogę, żeby go matka nie zdążyła złapać, kiedy kątem oka złowił książkę. Leżała na parapecie, stara i zniszczona. Grafika na okładce przedstawiała jakiegoś starodawnego księdza, który siedział nad papierosem w jakiejś bardzo zabałaganionej bibliotece czy czymś. Może w kościele? Ministrant nie wiedział, ale w sumie to nie miało znaczenia. Książka nosiła dziwny tytuł, bez sensu zupełnie – od kiedy to kwiaty mają imiona?

Zaintrygowały go za to kolorowe zakładki, których cała masa wystawała pomiędzy kartkami. Otworzył przy jednej z nich i przebiegł wzrokiem tekst. O ludzie, jakie małe litery, kto to czyta? Wyobraził sobie, jak gruba musiałaby być ta książka, gdyby wydrukowano ją, jak należy, i aż mu się słabo zrobiło. O rany... Odłożył książkę w ostatniej chwili, nim otworzyły się drzwi z prezbiterium.

– O, jeszcze nie poszedłeś? – zapytał zaskoczony ksiądz. – To nawet dobrze, chciałem cię pochwalić. Nieźle się dzisiaj sprawiłeś, kolego. – Poczochrał bujną fryzurę chłopca i uśmiechnął się życzliwie. – No, a teraz już zmykaj, mama na pewno czeka przed kościołem.

Maciejka bez słowa wykonał polecenie, mając nadzieję, że jednak uda mu się nie spotkać matki. Zaraz by go za rękę złapała, siara na całą wieś!

Na jego szczęście tak matka, jak pozostałe uczestniczki mszy postanowiły jeszcze poplotkować przed kościołem. Chłopiec przemknął

bokiem, zupełnie nie zwracając uwagi na podniesione głosy.

– Oho, czyżby piękny księżulo chciał zostać następcą Lutra? – zakpiła Aneta Jędrzejak na widok kartki przyklepionej do drzwi świątyni. Wcześniej jej nie widziała, bo skrzydło było otwarte.

– Co? Jak pani nie wstyd! – prychnęła Kalinowska. – W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego

– Pani Jolu, Marcin Luter to był ksiądz, a nie kolejne imię Lucyfera – pouczyła ją Sylwia Sierżant, po czym zaatakowała Anetę: – O co pani chodzi?

– Mnie? O nic, ja tylko stwierdzam fakt. Tak samo jak Luter – odpyskowała jej Jędrzejak.

– A co to takiego? – Bernatowa podeszła niemal pod same drzwi, zmuszając nowo przybyłe do cofnięcia się. – Pani Sierżantowa, widziała to pani?

Sylwia Sierżant, choć wciąż żywiła urazę do pani Bernatowej, nie potrafiła zapanować nad ciekawością. Zbliżyła się do kartki i przeczytała zanotowane na niej dyrektywy.

– I bardzo dobrze! – wykrzyknęła. – Nareszcie!

– Ale co nareszcie? – zdumiała się Kalinowska. – Mamy donosić na swoich?

– Na panią Marlenę? – poparła ją matka Maciejki. – No co też pani wygaduje?

– Z ciemnotą trzeba walczyć, a gusła to ciemnota – zawyrokowała matka posterunkowego. – Ksiądz Robak wyraźnie powiedział, że na zabobon się nie zgadza, a on tu teraz rządzi.

– No wiesz co, Sylwia... – Jola Kalinowska miała nietęgi wyraz twarzy. – Jakże ja mogłabym panią Maślankiewiczową skazać na ekskomunikę, kiedy ona mnie z rwy kulszowej wyleczyła?

– A moje dziecko od urocznego oka uwolniła? – dodała Bernatowiczowa.

– Wstydziliby się pani, pani Sierżantowa! Już pani zapomniała, jak Sebka jej Marlena pielęgnowała, kiedy bajtlem był? – zaatakowała stara Dominikowa.

– Szkoda, że Malwina w ciurmie, ona by szybko zrobiła z tym porządek – skwitowała Kalinowska.

– Mogła Moniki Melskiej nie truć – orzekła z jadowitą satysfakcją

Sylwia.

– Ja tam nie wierzę, że to ona – oznajmiła z przekonaniem Bernatowiczowa. – Ani na truciznach się nie zna, ani nie wiedziałyby, jak jaką zrobić.

– A bo to kłopot? – prychnęła Sierżantowa. – Roślin trujących mamy pod dostatkiem, wystarczyłoby z jakim chemikiem porozmawiać, nauczyć się wyciąg robić, a potem kilka kropeł do alkoholu i po sprawie.

Zapadła cisza, jakby wszystkie uczestniczki dyskusji zastanawiały się nad słowami bibliotekarki.

– A ty niby skąd taką pewność masz? – Dominikowa świdrowała ją wzrokiem.

– Już zapomnieliście, jak Kornelia z Polikarpem numer wywinęli? Może Malwina podchwyciła pomysł, żeby się pozbyć rywalki?

No tak, rzeczywiście, zapomnieli. Wydawało się, jakby od tamtych wydarzeń minęły lata, a nie zaledwie kilka miesięcy.

Kobiety zaczęły się rozchodzić, najczęściej w parach lub trójkami. Po chwili pod drzwiami kościoła pozostały tylko obce, które nie uczestniczyły w dyskusji.

– Nie wiem, co tu właśnie było omawiane, ale trochę dziwnie się poczułam – stwierdziła mama Basi.

– Dziwnie to właściwe słowo – zgodziła się pani Wandzia, wyglądająca jak kopia Alutki. – Wracajmy do domu, jakoś mi nieswojo.

– A wiecie, co dla mnie jest najdziwniejsze? – zniżyła głos do szeptu Aneta. – Że ta cała Sylwia Sierżantowa zachowywała się tak, jakby ksiądz wykonywał jakiś jej plan. Nie miałyście takiego wrażenia?

Pani Wandzia i matka Basi pokręciły niepewnie głowami.

– Serio? Nic a nic? – zdumiała się Jędrzejak. – A to „nareszcie!” i szczucie na tę całą Marlenę? I była pewna, że to sołtysowa zamordowała. A skąd mogła mieć pewność?

Tym razem odpowiedziało jej wzruszenie dwóch par ramion.

– Są dwa rozwiązania, moje drogie: albo dowiedziała się od Malwiny, jeśli to ona jest morderczynią, albo to nie Malwina jest morderczynią, tylko właśnie Sylwia Sierżant.

– I oskarża sołtysową, żeby nie padł na nią cień podejrzenia? – Matka Basi upewniła się, że dobrze zrozumiała.

– Tak właśnie myślę.

Przemyślując wysuniętą przez Anetę hipotezę, kobiety ruszyły w stronę siedliska. W ciemnościach nie zauważyły postaci, która trzymała się w nieznaczej odległości, jednak słyszała każde słowo.

ROZDZIAŁ 24

Posterunkowy Sierżant wparował do domu batiuszki, jakby go samo zło gonilo, a to dlatego, że bardzo potrzebował skorzystać z toalety. Rzucił w progu „dobryeczór” i zniknął za drzwiami łazienki. Kiedy wyszedł, Mikołaj czekał na niego z zatroskaną miną.

– Aż tak cię wstrząsnęło? – zapytał.

– Trochę przetrzymałem... – odparł niepewnie rudzielec.

– O masz! Ze złymi emocjami trzeba delikatnie, ale stanowczo.

Sebastian uniósł płomienne brwi i spojrział na popa nieprzytomnym wzrokiem.

– No co też batiuszka mówi? To normalna fizjologia, a nie żadne złe emocje. Księdzu też już się na dekiel rzuciło i będzie teraz głośił, że wraz z płynami fizjologicznymi wypuszczamy z siebie zło?

Teraz Mikołaj wyglądał na zaskoczonego. Nic nie rozumiał z tego dziwnego gadania chłopaka. Na szczęście nie musiał, bo od tego miał żonę. Każdy mądry mężczyzna wie, że potrzebuje żony, żeby tłumaczyła mu świat.

– Kola, Kola, ale z ciebie *durak* – skwitowała Melania, przewracając oczami. – Ty o chlebie, on o niebie. Chodź, Sebek, zagrzejesz się. W kościele nie byłeś?

– A gdzie tam! – zaprotestował posterunkowy, pozwalając matuszce chwycić się pod rękę. – Jak tak dalej pójdzie, to się przekonwertuję.

– Czyli nie widziałeś rozporządzenia Robaka? – Mikołaj dopiero teraz zrozumiał swoją pomyłkę.

– Eeee, czego?

– Siadaj, chłopaku, zaraz wszystko ci wyjaśnię. Melania, dajże tu dwa kieliszki.

Posterunkowy pamiętał, że przyjechał samochodem, jednak uznał, że kieliszeczek nalewki zbyt dużej szkody mu nie wyrządzi, a całkiem możliwe, że wręcz okaże się nieodzowny. Rozporządzenie Robaka? Ki czort?

Matuszka wstawiła wodę na herbatę i wyjęła z kredensu trzy kieliszki z

rźniętego szkła. Przez chwilę zastanawiała się nad wyborem nalewki, ostatecznie zdecydowała się na uspokajającą, z melisy i lawendy, bo chyba wszystkim im przyda się odrobina wyciszenia.

– No to zanim zajmiemy się sprawami niemiłymi, napijmy się – zaproponował Mikołaj, podnosząc kieliszek, na co jego połowica natychmiast zareagowała, deklamując toast:

– „Precz spojrzienia ponure, kielich niechaj mknie w górę!”⁴⁵.

– Uch, ale grzeje – wycharczał Sebastian. Jego policzki momentalnie się zaróżowiły.

– I bardzo dobrze, zimno jest – skwitowała matuszka. – No, bałakaj⁴⁶, Kola, bo zaraz nas noc zastanie, a jutro budny⁴⁷ dzień i do roboty trzeba.

Na myśl o następnym dniu chłopaka przeszły dreszcze. Służba z Szelestem z każdym kolejnym tygodniem stawała się coraz trudniejsza. Nie dość, że zwierzchnik wykluczył go z najważniejszego śledztwa, to jeszcze teraz miał sojusznika w postaci nawiedzzonego księdza i pewnie kompletnie mu już odbije.

– Racja, racja. – Mikołaj oblizwał usta, na których została kropelka nalewki. – Początkowo myślałem, że może nowy proboszcz chce tylko ludzi postraszyć. Że niby taki groźny, niezłomny, z czasem się zasymiluje. On nie stąd, to i nie zna obyczaju, ale przecież każdego da się wychować.

Sebastian powoli kiwał głową, przyswajając słowa batuszki. Tak, każdego da się zasymilować przy dobrych chęciach obu stron. Wystarczy spojrzeć na mieszkanki siedliska albo Sonię. Na myśl o tej ostatniej poczuł ukłucie w sercu.

– Ale już Mikołaj tak nie uważa? – podsumował.

– Nie. Teraz tak nie uważam. Teraz jestem pewien, że moje przeczucia mnie nie myliły.

Mikołaj sięgnął po butelkę i nalał kolejną porcję melisówki do kieliszków. Posterunkowy nie zaprotestował.

– No, mnie też on się nie spodobał od pierwszego kopa. Zbyt szwarny⁴⁸ mi się wydał – mruknął kwaśno Sebek.

– To, zdaje się, w genach chodzi – mruknął batuszka i gołnął zawartość kieliszka na raz. – Jeśli się nie mylę, a jestem coraz bardziej pewien, że mam rację, to nie pierwszy ksiądz w tej rodzinie polujący na czarownice.

Sebastian także poczuł potrzebę wzmocnienia się, więc poszedł za

przykładem popa i chlupnął nalewkę. Melania popijała po łyeczku, strzelając oczami od jednego do drugiego.

– Chce Mikołaj powiedzieć, że... – Policjant urwał, nie był w stanie skryzalizować myśli. Nie, to niemożliwe. Coś się batuszce musiało pomylić.

– Chcę powiedzieć, że w Babiborze mieliśmy już kiedyś do czynienia z księdzem Robakiem, a tenże ksiądz był de facto sędzią kościelnym.

Posterunkowy głupi nie był, wiedział, jak robić użytek z uszu i oczu, pamięć też miał wytrenowaną za sprawą ton przeczytanych książek – i właśnie teraz owa pamięć uruchomiła zapasowe pliki. Coś mu gdzieś dzwoniło. Na razie wciąż niezbyt głośno, ale ziarno zostało zasiane.

– Słyszałem kiedyś, zdaje się, że Tarnacki wspominał, o jakiejś sprawie... – wymruczał chłopak, drapiąc się po głowie.

– O „sprawie czterech” – dokończył za niego pop. – Tak, właśnie o tej, o której nikt nie myślał od niemal stulecia.

– Nigdy nie poznałem szczegółów – przyznał Sebek. – Matka nie chciała mówić, twierdząc, że nie wie, chociaż ona zawsze wie o wszystkim. Uznałem, że to coś nienadającego się dla uszu dorastającego chłopca, wie Mikołaj, jakiego... zberezeństwa.

– Nie byłeś wcale tak daleki od prawdy – oznajmił z goryczą batuszka. – Kościół katolicki ma na sumieniu wiele grzechów tak ciężkich, że zmycie ich może okazać się niemożliwe. Działalność inkwizycji była moralnie wątpliwa pod wieloma względami, a i zberezeństw nie brakowało. W tej sprawie także... – zamilkł i zamyślił się, a przez jego przyjemną, miłą twarz przemknął grymas bólu.

Matuszka, zawsze na straży swojego małżonka, natychmiast napełniła jego kieliszek, przy okazji uzupełniając też Sebastiana. Wypili do dna, po czym Kola podjął przerwany wątek:

– O „sprawie czterech” słyszałem od mojego ojca, a on znów od swojej matki. Działo się to w okresie międzywojnia, dokładnej daty już nie pamiętam, ale z całą pewnością musiało to być przed rokiem trzydziestym pierwszym, bo wtedy zmarła moja babka.

Kola spojrzał na żonę, która pokiwała głową i położyła dłoń na jego ręce. Miło było popatrzeć na te subtelne wyrazy wsparcia.

– Niestety, ja też nie znam zbyt wielu szczegółów, bo nigdy nie sądziłem,

że mi będą potrzebne – kontynuował pop. – Zapamiętałem jedynie, że ksiądz nazywał się Joachim Robak. Takie nazwisko dzieciakowi utkwi w głowie z łatwością.

– I rzecz dotyczyła babki Augusta Arciszewskiego – dodała Melania, zaskakując męża.

– Dlaczego więc nazywa się „sprawą czterech”, skoro dotyczyła jednej kobiety? – Sebastian czuł się coraz bardziej zaintrygowany, a jego instynkt śledczy zaczynał się budzić.

– Dlatego że wraz z babką Augusta zginęły jeszcze trzy kobiety, w tym babka Tarnackich. – Melania znów wykazała się znakomitą pamięcią.

– A dwie pozostałe? – dociekał posterunkowy.

– Tego już nie wiem. Trzeba by przejrzeć księgi kościelne, o ile w ogóle cokolwiek się zachowało – powątpiewał Mikołaj.

– Może ktoś jednak pamięta? Na przykład Marlena Maślankiewicz? – Sierżant wyglądał, jakby nabrał wiatru w żagle.

– Tak... – Kola pokiwał głową w zadumie. – To możliwe. Jeśli ktokolwiek może wiedzieć coś więcej, to ona.

– A o co chodzi z tym całym rozporządzeniem? – przypomniał sobie Sebastian.

Batuszka westchnął głęboko i spojrzał na pusty kieliszek. Pięć sekund później wypełniał go fioletowawy płyn. Cud boski albo Melania.

– Najlepiej będzie, jeśli je zobaczysz – oznajmił. – Właściwie to mogę pójść z tobą, za chwilę kończy się wieczorna msza, a ja mam ochotę rozmówić się z nowym proboszczem.

– No co ty, Kola! – pisnęła matuszka. – Po pijaku halaburdy⁴⁹ chcesz urządzać?

– Oj, już nie dziamgaj⁵⁰, Mela, banialuki pleciesz. Idę jak ksiądz do księdza, rękę mu podać, pogadać o sprawach boskich i ludzkich. Przygotuj mi flaszeczkę. Sebek, strzemiennego?

A jakże, posterunkowy nie odmówił. I tak zamierzał wrócić do domu pieszkom, żeby mu się w głowie rozjaśniło. Chciał jeszcze wstąpić w jedno miejsce. Ale najpierw obejrzy sobie owo tajemnicze rozporządzenie, od którego miało go wziąć na wymioty.

Mikołaj nie miał ochoty kolejny raz czytać, że o gusłach się nie dyskutuje, więc miał zamiar zostawić Sebastiana pod kościołem i

odwiedzić nowego mieszkańca plebanii. Szli od tyłu, żeby uniknąć ewentualnego spotkania z opuszczającymi świątynię wiernymi, a gdy się rozstawali, do ich uszu doleciały podniesione damskie głosy. Zatrzymali się gwałtownie, jakby ich wryło w ziemię.

– Powodzenia – wymówił bezgłośnie batuszka i po ojcowsku uściśnął Sierżantowi ramię.

Posterunkowy skinął głową, ale nie ruszył się z miejsca. Przed wzrokiem kobiet chroniły go ciemności i odgradzająca ich ściana kościółka. Postanowił chować się za nią, dopóki towarzystwo nie ucichnie. Koła zaś po cichu, niemal na palcach, oddalił się w kierunku oświetlonego domu pastora i zniknął po chwili z pola widzenia policjanta.

Po kilku minutach sterczenia jak kołek Sebastian rozróżniał już głosy uczestniczek żarliwej dyskusji, z kochaną mamusią na czele. Co ona powiedziała? Że Melska podchwyciła pomysł pani Kornelii? Oszalała?! Słuchał w narastającym napięciu, a przez jego głowę mknęły coraz to bardziej fantastyczne myśli. Wkrótce zapanowała cisza, lecz po chwili trwającej tyle co dwa uderzenia serca Sebek znowu usłyszał głosy, tym razem zupełnie mu nieznane. Co też one mówiły! Niemal przykleił się do lodowatej ściany kościoła, z jednej strony sparaliżowany oszołomieniem, z drugiej – zafascynowany. Wcale nie było mu zimno; rozgrzewały go wypita z Mikołajem nalewka i buzujące w żyłach emocje.

Rozmowy umilkły, oddalające się kroki przez moment zachrzęściły na śniegu, aż zapadła całkowita cisza. Sebastian jeszcze przez chwilę stał w cieniu, a następnie ostrożnie wyjrzał zza rogu. Pusto. Ruszył do drzwi świątyni, już z daleka spostrzegając bielejącą tam kartkę. Dwukrotnie przeczytał postanowienia Rozporządzenia Robaka, jak nazwał te brednie szaleńca Mikołaj. Faktycznie: można było zwymiotować, tylko szkoda tej nalewki.

– Jezus Maryja... – szepnął i złapał się za czoło.

Odwrócił się na pięcie i biegiem opuścił przykościelny teren. Miał wrażenie, że znalazł się w jakimś niewyobrażalnym koszmarze. To się normalnym ludziom nie mieściło w głowach. A na dodatek wciąż wracało do niego zdanie, za którego sprawą wnętrzości wywracały mu się na drugą stronę: „Są dwa rozwiązania, moje drogie: albo dowiedziała się od Malwiny, jeśli to ona jest morderczynią, albo to nie Malwina jest

morderczynią, tylko właśnie Sylwia Sierżant”.

Jak w amoku chłopak przebiegł odległość dzielącą go od domu Maślankiewiczów i dopadł wejścia, niemal tracąc oddech. Guzik go obchodziło, która była godzina. Musiał natychmiast coś zrobić z tymi myślami albo zaraz oszaleje.

Zwinął dłonie w pięści i zaczął nimi walić w drzwi, równocześnie krzycząc:

– Pani Marleno, niech pani otwiera! To sprawa życia i śmierci! Pani Marleno! Panie Maślankiewicz!

Można by się spodziewać, że Marlena albo Mietek dostaną zawału, wyrzucą chłopaka na zbity pysk albo wezwą policję. Nic z tych rzeczy. Za drzwiami rozległy się kroki, a kilka sekund później w progu stanęła babcia Maślankiewiczowa.

– Dobrze, że jesteś. Właśnie z tobą chciałam porozmawiać.

Marlena wyglądała spokojnie. Zbyt spokojnie – ocenił posterunkowy. Ta myśl go otrzeźwiła i już wiedział: prawdziwy koszmar dopiero się zaczynał.

ROZDZIAŁ 25

O, pan od małych Juleczek! – wypalił Tomek na widok Książka. Ferajna złożona z jego dziadka, matki, dwóch ciotek i dwóch dziadko-wujków wparowała do przytulnej chatki, zaskakując pochłoniętych lekturą Julkę, Sonię i Karola.

– Ehe, pan Zasługujęjednienakopawdupę – warknęła Lilka, wyszczerzając zadbane zęby, bynajmniej nie w uśmiechu.

– C-co tu robicie? – wydukała oszołomiona Julia. – Co się dzieje? Umarł ktoś?! – krzyknęła, wpadając na jedyny w jej mniemaniu powód tej wizytacji.

– Zdaje się, że Monika Melska, ale kto by tam pamiętał – burknęła Lila. – Przyszliśmy po ciebie, żebyś nie musiała wracać po ciemnicy.

– I chcieliśmy obejrzyć kryptę – dodał Tomek, przyłgnąwszy do Julki, która mierzwiła mu z czułością włosy.

– Kryptę? – Sonia ani trochę nie wyglądała na złą, raczej rozbawioną i ucieszoną z tak liczного towarzystwa.

– Tę księżą skrytkę czy jak to nazwać – wyjaśniła Basia.

– Ach! – Iwaszuk klasnęła w dłonie z ekscytacją. – Z wielką przyjemnością. Przy okazji może uda nam się ją dokładniej zbadać, jeśli będziemy mieć więcej światła.

Ruszyła do kuchni, za nią udali się Krzysztof i Herman, przedstawiając się przy okazji. Ojciec Alicji rozglądał się po domku z ciekawością.

– Dyskusyjny klub czytelniczy sobie zorganizowaliście? – zapytała Ala na widok rozłożonego na stole brulionu.

– O dyskusji raczej nie ma mowy, staramy się wyjść ze stuporu – odparła głucho Julka. – Czy ja tu siedziałam tydzień i tego nie zauważyłam?

– W dobrym towarzystwie czas ucieka niepostrzeżenie – próbował zablęsnąć Książek.

Lilka zgromiła go wzrokiem, wkładając w to całą nienawiść, na jaką było ją stać.

– Szkoda tylko, że pan je skaził swoją osobą – wycedziła. – Julka, zbieraj

się, zaraz matki wrócą z kościoła.

Do Julii dopiero teraz dotarło.

– Moja mama też przyjechała?!

Alutka pokiwała głową, nie odrywając wzroku od zapisków.

– Co to jest? I kim jest Joachim Robak? – zapytała, skupiając uwagę pozostałych przyjaciółek.

Książek lekko spojrzał na Lilkę, a stwierdziwszy, że ma szansę nie oberwać, odpowiedział na pytanie Alicji:

– Wygląda na to, że krypta, jak to pięknie określił Tomek, skrywała bardzo ciekawe rzeczy, w tym rękopis jezuickiego zakonnika o nazwisku Robak.

Lilka zerknęła na Julkę i po jej minie poznała, że parch mówi prawdę. A jeśli parch mówi prawdę, to znaczy, że...

– Ten jezuicki Robak i nasz Robak to nie jest przypadkowa zbieżność nazwisk? – wyartykułowała jej myśli Alicja.

– Tego jeszcze nie wiemy. – Julka postukała paznokciem w zeszyt.

– No to chodźmy się dowiedzieć. – Dla Alutki nie było problemu, którego nie dałoby się rozwiązać. Jeśli nie spróbujesz, to się nie przekonasz. Proste.

– No jasne... „Przepraszam, czy pana faszyzm wynika z tego, że miał pan inkwizytorów wśród antenatów?” – zakpił Książek.

– Inkwizytorów? Takich ze średniowiecza? – Lilka uniosła swoje kształtne brwi.

– Prawie. Ten żył sto lat temu – mruknęła Julka. – Nie, to nie jest dobry pomysł. Najpierw musimy się dowiedzieć, jak skończyła się sprawa z Anną.

– Chyba musisz uzupełnić naszą wiedzę – zauważyła Basia, stając obok Lilki.

Z kuchni dobiegały przeróżne dźwięki, wśród których przeważały okrzyki zdumienia lub zachwyty oraz radosne pokrzykiwania dochodzące spod podłogi. Po kilku minutach Krzysztof Laskowski wynurzył się z dziury, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Bardzo pomysłowe, w sam raz na piwniczkę na wino – ocenił.

– To miejsce pełniło zupełnie inną funkcję – oznajmił ze znanstwem ojciec Ali. – To rzeczywiście była skrytka, a właściwie schron. Na wzór księżyckich skrytek budowanych w elżbietańskiej Anglii. Mogła uratować

życie wielu istnień.

– Na przykład Żydów – uzupełniła myśl Lilka.

– Albo domniemanych czarownic – dodała Sonia pobladytymi ustami. – Myślicie, że to naprawdę możliwe?

Zapadła cisza. Gdy te słowa wybrzmiały, stały się niemal namacalne.

Za Krzysztofem ze skrytki wyłonił się Herman, nie mniej zachwycony. On także był przekonany, że tajemnicza krypta musiała stanowić schronienie dla ludzi. Była znakomicie do tego przystosowana. Znaleźli w niej lampę naftową i częściowo wypalone świece sojowe, zebrane w kartonie. Przy bliższych oględzinach podłóża dawało się zauważyć znaki przypominające runy czy inne mistyczne symbole.

Tomek był bardzo niepokieszony, że zabroniono mu zejść na dół, ale Basia okazała się nieugięta. Mowy nie ma, absolutnie! Słabo jej się robiło od samego patrzenia, a co tu mówić o puszczeniu tam dziecka.

Gdy wszyscy zgromadzili się wokół stołu, zapanowała ciasnota. Domek służący przez dziesięciolecia dwojgu ludziom nie dawał się rozciągnąć. Obecna właścicielka nigdy w życiu nie miała okazji gościć tak wielu osób, a zawsze o tym marzyła.

– Pójdziemy już, pani Soniu, niech pani odpocznie – powiedziała ciepło Julka. – Możemy wrócić do historii jutro.

– Nie! – zaprotestowała aktorka. – Niech pani weźmie ten zeszyt i czyta dalej. A jutro zapraszam na herbatkę. Przekaze mi pani, co odkryła.

Pomysł został przyjęty z milczącą aprobatą, brulion znalazł się pod pachą Julki. Mieszkańcy siedliska – stali i dochodzący – opuszczali gościnne progi domku Soni pojedynczo, wyrażając wdzięczność za miłe przyjęcie niezapowiedzianych gości. Po drodze dyskutowali na tematy różne, oscylujące głównie wokół krypty w podłodze (ojciec Ali z Krzysztofem), inkwizycji (Tomek z Lilką) oraz nowego proboszcza, o którym przypomniała sobie Ala. Julka człapała na końcu, noga za nogą, nieszczęśliwa i smutna. Mimo pozorów, jakie zachowywała w towarzystwie Książka, czuła wszechogarniającą rozpacz za każdym razem, gdy brała oddech. Biedna, zraniona dziewczyna!

Dotarli do domu pięć minut przed przybyciem matek, które wcale nie ochłoneły po awanturze pod kościołem, a wręcz przeciwnie: ich nastroje pogłębiły się w trakcie spaceru.

– Julcia! – pisnęła Aneta na widok swojej jedynaczki. – Przytyłaś?!

– No dzięki, mamoo... – bąknęła coraz bardziej zasmucona dziewczyna. – Dobij mnie jeszcze, pewnie.

– A co ty taka gnuśna, córciu? – zmartwiła się jej matka.

– E, nic takiego – mruknęła, ale nagle przypomniała sobie intrygującą ją kwestię. – Czy dobrze słyszałam, że ty byłaś w kościele?

– I nie spłonęła w progu – szepnęła Lilka, za co dostała kuksańca od Ali.

– A tak, byłam. – Aneta wypięła z dumą swe obfite piersi. – Musiałam obejrzeć tego księdza.

– I co? – wyrwało się z czterech trzydziestodwuletnich gardeł.

– I gównoo. *Pardon*, chciałam powiedzieć: i guzik z pętelką. Ja tam nie widzę tej olśniewającej piękności, od razu wyczułam w nim coś paskudnego.

– No nie mów, Anetko, całkiem przystojny – zaprotestowała pani Wandzia.

– Mamo!

– No co? Każdy ma swój gust – parsknęła archiwistka. – Tobie, Alicjo, wcale nie musi się podobać.

– I mnie się on właśnie nie podoba. Zgadzam się z panią Anetą – nadąsała się Alutka.

– Znow zrobił przedstawienie? – domyślała się Basia.

– Ja nie zauważyłam, msza jak msza. – Jej mama wzruszyła ramionami i usiadła przy stole. – Strasznie daleko macie do tego kościoła.

– Dlatego nie chodzimy za często – odparowała Lilka. – Serio, nie było szczucia na zabobony i gusła? Nic?

– Chodzi ci o kartkę? – upewniła się Wandzia.

Zdumione twarze dziewcząt wystarczyły za odpowiedź.

– Oho, czyli wy nie wiecie o Wittenberdze – ucieszyła się Aneta. – Napijmy się herbaty i wszystko wam opowiemy.

Herbata wydała się znakomitym pomysłem i Alicja zaparzyła jej więcej. A ponieważ temat wydawał się poważny, do herbaty należało dodać, a jakże! – naleweczki.

Zbliżała się godzina dwudziesta, za oknami panowała ciemność, a rozmowy wokół stołu nabierały rumieńców. Tomek zasnął tuż przed

północą, choć – trzeba mu to oddać – walczył dzielnie i prawie udawało mu się ukrywać ziewanie. Dopiero wtedy poruszono temat znalezionej w domku Soni manuskrytu, a ponieważ herbata z wkładką skutecznie wszystkich rozbudziła, postanowiono przeczytać historię Joachima Robaka, której początek streściła Julka.

W kominku trzaskały drwa, o co dbał Krzysztof, a od czasu do czasu dolatywało ich pohukiwanie sów. Nikt nie zwrócił uwagi na gawrona, który przycupnął na parapecie kuchennego okna, a ono – jak za czasów Kornelii – niemal nigdy nie było zamykane.

*

Zgodnie z obowiązującym prawem kanonicznym sędzia kościelny Joachim Robak niezwłocznie po przyjęciu donosu złożonego przez Wojciecha Wiśniewskiego wszczął proces karny przeciwko Annie Arciszewskiej podejrzanej o herezję.

Żeby procedurom stało się zadość, inkwizytor wydał nakaz stawienia się przed jego obliczem wszystkim mieszkańcom Babiboru Podlaskiego oraz każdej osobie, która mogłaby wnieść wiedzę dotyczącą przedmiotowej sprawy. Nakaz zaś kończył się zdaniem niepozostawiającym wątpliwości w kwestii dobrowolności zeznań: „A jeśli ktokolwiek z powodu nikczemnej zawziętości uparcie odmawia złożenia przysięgi, zostanie na tej podstawie uznany za heretyka”⁵¹.

Większość przesłuchiwanym świadków w sposób oczywisty starała się wmówić sędziemu, że nie zna sprawy, niektórzy udawali głuchych albo psychicznie upośledzonych, tych jednak Robak rozgryzł bardzo szybko i postanowił przesłuchiwać tak długo, aż nie pękną. Wszystko zgodnie z prawem oraz, rzecz jasna, w imię Boskiego majestatu.

Interesująco zaczęło się robić dopiero wówczas, gdy przed obliczem inkwizytora stanęły kobiety żywiące do podejrzanej jawną nienawiść.

Młody chłopak pełniący służbę u Joachima Robaka wprowadził bladą z przerażenia Marię Marczakową do pogrążonego w półmroku pomieszczenia, w którym czekało na nią pięć osób o chmurnym obliczu. Największą trwogą napełniła ją twarz siedzącego pośrodku inkwizytora, który za sprawą plotek stał się już niemal bestią w ludzkiej skórze.

– Nie bójcie się, podejdźcie – odezwał się zaskakująco przyjemnym

głosem Robak.

Marczakowa postąpiła krok do przodu.

– Bliżej, bliżej – zachęcał inkwizytor.

Jeszcze jeden krok i koniec. Dalej nie pójdzie, bo strach.

– Nazywacie się Maria Marczakowa? – rozpoczął przesłuchanie sędzia.

Kobieta skinęła głową.

Nastąpiła formuła zaprzysiężenia świadka (na cztery ewangelie), po której Marczakowa zbladła jeszcze bardziej

– Czy świadek wie, w jakiej sprawie został wezwany?

– Tak, proszę wielmożnego księdza.

– Czy świadek zna Annę Arciszewską?

– Tak, proszę wielmożnego księdza.

– A skąd ją znacie, pani Marczakowa?

– My są kumy, proszę wielmożnego księdza, Od małości się znamy.

– I co byście, Marczakowa, powiedzieli na temat reputacji Anny Arciszewskiej?

Słowo „reputacja” musiało zabrzmieć egzotycznie w uszach prostej wiejskiej kobiety, więc sędzia był zmuszony przeformułować pytanie.

– Prowadzenie Arciszewskiej, proszę wielmożnego księdza, jest z wierzchu bogobojne, ale jakby mnie kto pytał, to z niej cicha woda.

Inkwizytor puścił mimo uszu ostatnie słowa świadka, jednak nie pouczył skryby, żeby ich nie zapisywał. Jego interesowało na razie co innego.

– Świadcowi wiadomo zapewne, że pojawiło się doniesienie, jakoby Anna Arciszewska stosowała praktyki sprzeczne z wiarą?

Marczakowa skinęła głową.

– Czy świadek wie cokolwiek na temat stosowania czarów przez Annę Arciszewską?

Kobieta ponownie skinęła głową, choć nieco ostrożniej.

– Niech więc świadek mówi wszystko, co wie. W jaki sposób Anna Arciszewska miałyby stosować diabelskie moce?

Marczakowa spojrzała na twarze pozostałych czterech mężczyzn, już nie wrogie, a zaciekawione, i rozluźniła się. Gdy otworzyła usta, popłynął z nich strumień kalumnii, a słowa układały się w obrazy mrozące krew w

żyłach.

Robak, mimo że wciąż mógł uchodzić za człowieka młodego, niewątpliwie był doświadczony w swoim fachu. Potrafił wyczuć emocje przesłuchiwanym, prześwietlał maski, jakie zakładali. Fałsz i obłuda brzmiały w jego uszach niczym piekielne zgrzyty. Wiedział, że przez Marczakową, kobietę nieurodziwą, poznaną porodami i chorobami, przemawia zazdrość. Ze szczegółami opowiadała, jak Arciszewska chodzi po wsi, kręcąc biodrami, jakby zapraszała mężczyzn do czynów rozpustnych. Jak uśmiecha się zalotnie, kiedy któryś coś dla niej zrobi. Jak strzela rozpalonymi żądzą oczyskami, żeby urok na chłopca rzucić.

– Czy świadek widział, jak podejrzana uwodzi mężczyznę? – zapytał ochryplym od obudzonej żądzy głosem. Z ledwością pozbył się sprzed oczu widoku rozkołysanych bioder, które w jego wyobraźni zakrywała jedynie cienka lniana podomka.

– Tego nie widziałam, proszę wielmożnego księdza, ale widziałam, jak z chaty Rocha Rapackiego wychodziła, a włosy miała rozchełstane.

– Kim jest ów Rapacki?

– To sołtys, będzie już dwa roki.

– Żonę ma?

– Nie ma, proszę wielmożnego księdza.

– Czyli nikt nie będzie się skarżył... – Z miny inkwizytora wywnioskowała, że to ślepy zaulek.

– Ja będę...

– Co świadek powiedział?

– Ja będę skarżyć, proszę wielmożnego księdza. Bo mojego chłopca też omotała. – Marczakowa uniosła buńczucznie brodę, a oczy jej błyszczały jak w gorączce. – Ostatnim razem, kiedyśmy jak mąż z żoną zalegli, on w uniesieniu krzyczał: „Anka! Anka! Cóżes ty mi zrobiła, diablico!”. A mnie, proszę wielmożnego księdza, Maria na imię, jak Świętej Paniencie.

Inkwizytor przełknął ślinę i zamknął oczy. Za dużo obrazów, za dużo!

Podyktował skrybie formułkę zakończenia przesłuchania, która brzmiała: „Przesłuchanie odbyło się w kościele parafialnym w Babiborze Podlaskim, w obecności sędziego, pisarza, rejenta, pomocnika sędziego i wikarego”. Za świadka podpisał się skryba – świadek postawił jedynie krzyżyk – i przesłuchanie zostało zakończone.

Po wyjściu Marczakowej i rozejściu się pozostałych uczestników przesłuchania Joachim Robak długo chodził wzdłuż pokoju, z rękami splecionymi na plecach. Coraz bardziej intrygowała go postać Anny Arciszewskiej. Chciał na własne oczy przekonać się o jej urodzie. I choć wciąż nie znalazł potwierdzenia jej spółkowania z Szatanem, podjął decyzję.

– Antek! – zawołał swojego pomocnika.

– Służę, panie. – Chłopak, niespełna piętnastoletni, skłonił się nisko przed księdzem.

– Przekażcie wikaremu, że na jutro ma wezwać Annę Arciszewską – polecił mocnym głosem. – Tylko niech będzie ostrożny – dodał, gdy młodzieniec jedną nogą był już za progiem. – Niech nie patrzy jej w oczy i cały czas powtarza modlitwy.

ROZDZIAŁ 26

Batiuszka z trudem ukrył zdziwienie na widok stojącej w progu plebanii kobiety. Miała nie więcej niż dwadzieścia lat, delikatną, owalną twarz, kruczoczarne włosy splecione w gruby warkocz przerzucony przez lewe ramię. Wielkie błękitne oczy ocienione gęstą firaną długich czarnych rzęs patrzyły na niego z ciekawością.

– Ksiądz jeszcze nie wrócił – odezwała się dziewczęcym głosikiem.

– D-dobry wieczór – zająknął się Mikołaj. – A długo go nie będzie?

Dziewczyna wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się przepaszająco.

– Msza już się skończyła, pewnie zaraz się zjawi. Chce pan zaczekać?

Otworzyła szerzej drzwi i cofnęła się, robiąc miejsce dla gościa.

Mikołaj się zawahał, ale na widok życzliwego uśmiechu młodej damy wszedł do środka. Poczuł, że uszy czerwienieją mu ze wstydu, kiedy błękitne spojrzenie z rozbawieniem spoczęło na trzymanej przez niego butelce.

– Proszę, proszę, niech pan wejdzie – rzuciła miękko. – Coś ciepłego do picia?

– Nie, nie, dziękuję, przed chwilą piłem.

Dziewczyna ruszyła w stronę saloniku, Mikołaj zdjął buty i podążył za nią. Mimo że znał ten dom jak własną kieszeń, poczuł się w nim dziwnie. Może spowodował to inny zapach – lawenda? A może subtelne zmiany w postaci leżących gdzieś bibelotów? Zatrzymał się przez chwilę przed wiszącą na ścianie fotografią. Jej z pewnością tu wcześniej nie było, w tym miejscu wisiała kopia obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Zdjęcie, stylizowane na stare, wykonane w sepii, przedstawiało czteroosobową rodzinę. Obok ojca stał kilkunastoletni chłopiec o włosach czarnych jak smoła. Matka trzymała na kolanach niemowlę ubrane w białą falbaniastą sukienkę. Rodzice mieli poważne miny, tak samo jak syn, a dziewczynka uśmiechała się szeroko bezzębny uśmiechem, od którego robiło się ciepło na sercu. Kola pomyślał, że chciałby już pobawić takiego bobasa, ale jego synom jakoś się nie śpieszyło. Ech, ta dzisiejsza młodzież...

– To nasza rodzina – odezwał się głosik tuż przy lewym ramieniu

batuszki. – Mama, papa, Radek i ja.

Mikołaj uniósł brwi. Informacja o tym, że ksiądz Robak ma rodzinę, kompletnie go zaskoczyła. Może powinien przestać myśleć o nim jak o bestii wysłanej z siódmego kręgu piekieł.

– Pani jest siostrą księdza? – zapytał, jakby nie wynikało to z jej wypowiedzi.

– Tak, mam na imię Ludmiła. – Wyciągnęła do niego rękę, całkiem po męsku. – Radek jest ode mnie szesnaście lat starszy.

– Mikołaj Mielnicki, jestem tutejszym popem – odpowiedział, ściskając dłoń, która okazała się zaskakująco drobna.

– Och, to wspaniale! – Ludmiła się rozpogodziła. – Radek mówił, że chce księdza poznać. Ale się ucieszy!

Dziecięca niemal radość, jaka rozpromieniła uroczą twarz dziewczyny, stopiła wszystkie lody. Mikołaj poczuł, że bardzo polubi ową młodą damę, której szczerość biła z pięknych oczu.

Przeszli do salonu, także odmienionego – od razu znać było rękę kobiety. Na stole leżał biały, gładki obrus, na parapetach stały doniczki z sukulentami i dwa storczyki. Stare zazdrostki zastąpiono delikatnymi firankami spiętymi dekoracyjnymi kłamrami. Mieszkanie nabrało charakteru i zrobiło się przytulne.

– Czy mogę księdza o coś zapytać? – zagaiła nieśmiało dziewczyna, kiedy Mikołaj usiadł przy stole.

– Niech pani śmiało pyta.

– Czy to prawda, że ta zamordowana kobieta była... czarownicą?

Batuszka zamrugał energicznie, zaskoczony bezpośredniością pytania. Spodziewał się raczej poruszenia kwestii nieco mniej problematycznych.

– To doprawdy trudne pytanie – odparł szczerze – ale należało się spodziewać, że plotki szybko się rozniosą. Czy jednak Monika Melska rzeczywiście zajmowała się czarami? Obawiam się, że zabrała odpowiedź do grobu.

– Ale miała w domu księgi, prawda? I ołtarzyk?

– Podobno... – przyznał ostrożnie.

Zastanawiało go, w jaki sposób ta informacja dotarła do uszu odizolowanej od ludzi dziewczyny.

– To okropne – stwierdziła smutno Ludka.

– Że miała w domu ołtarzyk?

– Że ktoś ją zamordował.

Zapadła pełna napięcia cisza. Co tu odpowiedzieć? Słowo „straszne” doskonale oddawało uczucia, jakie budziła w Mikołaju myśl o odebraniu komuś życia.

– Miejmy nadzieję, że sprawca zostanie szybko pociągnięty do odpowiedzialności – oznajmił po chwili. Nagle jednak uderzyła go zaskakująca konkluzja. – Czyżby pani nie podzielała opinii brata? „Nie pozwolisz żyć czarownicy”?

Dziewczyna spojrzała na batiuszkę, a w jej oczach zaigrały ogniki.

– Niech ksiądz nie wierzy w te wszystkie bzdety – odparła z uśmiechem.

– Czym innym jest walka z zabobonem, a czym innym fanatyzm. Mój brat to dobry człowiek. Został redemptorystą, żeby nieść pomoc potrzebującym.

– Proszę wybaczyć, ale zupełnie inne wrażenie zrobił podczas porannej mszy. – Chciał jeszcze nawiązać do rozporządzenia, jednak ugryzł się w język. To z księdzem będzie o tym rozmawiał, nie z jego uroczą siostrą.

Ludmiła westchnęła i odchyliła się na krześle.

– Zdradzę księdzu pewien sekret – powiedziała z figlarną nutką w głosie. – Gdyby Radek nie został misjonarzem, z całą pewnością zrobiłby oszałamiającą karierę aktorską. Zresztą – ściszyła głos – zaraz sam się pan przekona, bo właśnie idzie.

I rzeczywiście, chwilę później do uszu Koli dotarł dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi, kroków i do salonu wszedł Radosław Robak w cywilnym ubraniu składającym się z czarnych spodni i takiego samego swetra.

– Dobry wieczór – odezwał się przyjemnym głosem. – Nie wiedziałem, że mamy gościa, proszę wybaczyć spóźnienie.

Dopiero teraz batiuszka miał okazję dokładnie przyjrzeć się nowemu proboszczowi. Był młody, oczywiście względnie, miał nie więcej niż pięćdziesiąt lat, a prawdopodobnie nawet mniej. Był wysoki, niemal głowę wyższy od Mikołaja, miał gęste czarne włosy, tak jak jego siostra, oczy także miał czarne. Szeroka żuchwa i ostre kości policzkowe dodawały mu męskości. Z pewnością Radosław Robak mógłby zostać amantem, a nade wszystko miał prawo podobać się kobietom.

– Dobry wieczór. Nic się nie stało, to ja zjawiłem się bez zapowiedzi. –

Mikołaj wstał i uściśnął dłoń proboszczowi. – Mielnicki, tutejszy...

– Batiuszka – dokończył Robak z szerokim uśmiechem. – Bardzo mi miło, zamierzałem jutro księdza odwiedzić. Ludka, mamy jakieś nadające się kieliszki? – zapytał siostrę, zauważywszy butelkę stojącą na stole.

Dziewczyna pobiegła do kuchni, skąd wróciła z trzema eleganckimi kieliszkami.

– Domyślam się, że zjawileś się tu, żeby porozmawiać o... kontrowersjach? – Robak swobodnie przeszedł na „ty”, co spodobało się Koli. On też lubił skracać dystans.

– Nie zaprzeczę, twoje poranne kazanie było dość intrygujące. – Batiuszka uśmiechnęła się blado.

– Możliwe, że nieco mnie poniosło – przyznał proboszcz. – Ale prawda jest taka, że najwyższy czas, żeby ludzie uprzytomnili sobie, że wiara w Jedyne Boga wyklucza wiarę w pogańskie demony.

– I według ciebie straszenie ich śmiercią przyniesie właściwy efekt? – W głosie popa zabrzmiała nuta kpiny.

– Zgoda, za bardzo popłynąłem – zaśmiał się Robak i podniósł kieliszek, zachęcając Kole do tego samego. – Będę musiał to naprawić.

Oj, będziesz, potwierdził w duchu batiuszka i zanurzył usta w nalewce.

– Musisz dać im czas, oswoić ich, przyzwyczaić do nowego – poradził młodszemu koledze. – Przez tyle lat Antoni tolerował te zwyczaje, nie da się ich zmienić w jeden dzień. Trzeba się uzbroić w cierpliwość.

Kątem oka zauważył, jak Ludka wychyliła kieliszek mocnej jak sam szatan nalewki i nagle się rozkaszała.

– Oho, chyba ktoś tu jest zbyt łapczywy – zażartował Robak, klepiąc siostrę w plecy. – Może napij się herbaty?

Dziewczyna, czerwona jak burak, pokiwała głową, wstała od stołu i poszła do kuchni. Po chwili do uszu Koli dotarło bulgotanie wody w czajniku elektrycznym. *Signum temporis*.

– Słuchaj, Mikołaju – odezwał się ściszym głosem proboszcz – wiem, że macie mnie teraz za jakąś bestię piekielną, rodem z najgorszych koszmarów, ale myślałem, że w ten sposób pokażę wiernym, że nie zamierzam iść śladem Antoniego. No i miałem nadzieję, że w ten sposób pomogę policji.

Batiuszka nawet nie próbował ukryć zdumienia.

– Pomóc policji?

– Tak, w sprawie tego morderstwa. – Robak pokiwał głową. – Gdyby ktokolwiek coś wiedział, słyszał albo widział, może wyznałby to na spowiedzi? – Spojrzał w oczy batiuszce, a widząc kompletny brak zrozumienia, kontynuował: – Podczas mojej misji w Patagonii w jednej z podlegających naszej parafii wiosek zdarzyła się podobna sprawa. Bardzo długo nie udawało się ustalić sprawcy, policja goniła w piętę, a osieroczone dzieci żądały sprawiedliwości. I wtedy wpadłem na pomysł. Przez kilka niedziel powtarzałem w trakcie kazań, że Bóg nie ukarze człowieka, który podniósł na brata rękę w Jego obronie. Poskutkowało. Zmowa milczenia została przerwana i doniesiono na męża zamordowanej kobiety. Zabił ją, bo uważał, że go zdradziła. Cała wieś o tym wiedziała, ale nikt nie pisnął ani słowa.

– To był samosąd, u nas takie rzeczy się nie dzieją – zastrzegł batiuszka.

– Jesteś tego pewien? Każde morderstwo jest formą samosądu, bo jak inaczej to nazwać? Zabójca nadaje sobie przywileje oskarżyciela, sędziego i kata. Dlatego tak istotne we wszystkich sprawach karnych jest znalezienie motywu. Odkryjesz grzech, poznasz też tego, wobec kogo zgrzeszono.

Batiuszka zamyślił się, zawiesiwszy wzrok na wypełnionym złotawym płynem kieliszku. Hmm, miało to sens. Nigdy tak na to nie patrzył. Ale właściwie... Tak, to zdecydowanie było dobre rozumowanie.

– Monika Melska nie miała na sumieniu, jak to ująłeś, grzechów, a przynajmniej mnie o żadnym nie wiadomo. Owszem, jak każdy w małej społeczności miała zatargi, nie wszyscy ją lubili, ale to była porządna dziewczyna.

– Każdy z nas ma coś na sumieniu, Mikołaju – odparł poważnie proboszcz. – Prawdziwa trudność polega na tym, żeby to odkryć.

– Ha! Tylko jak to zrobić? – zastanawiał się Kola.

– Zdaje się, że ja wybrałem sposób nieskuteczny – zaśmiał się Robak. – A może trzeba jeszcze chwilę poczekać. Kto wie?

Mikołaj kiwał głową, przez którą przetaczała się masa różnych myśli. Nalewka wypita wcześniej z Sierżantem zaczynała dawać o sobie znać. Poczul nieprzyjemne ukłucie w lewej skroni.

– Muszę przyznać, że mnie także udało ci się nabrać – powiedział, starając się zignorować ból.

– Może nie powinienem być z tego dumny, ale zawsze mi powtarzano, że byłbym świetnym aktorem. – W głosie księdza słyhać było zakłopotanie.

– A nie mówiłam? – Ludka wróciła do salonu z kubkiem parującej herbaty. Wyglądała już normalnie, ku uldze batuszki, który nie wybaczyłby sobie, gdyby jego nalewka zaszkodziła tej miłej dziewczynie. – Radek, gdyby zechciał, potrafiłby oszukać samego diabła.

– Nie żałujesz, że wybrałeś inną karierę? – zapytał ze szczerą ciekawością Kola.

– Nieee, w żadnym razie. – Robak machnął ręką. – Nigdy nie myślałem o zawodzie aktora, nie ciągnie mnie do świata artystów.

Batuszka znów poczuł ukłucie, tym razem silniejsze. Tak silne, że nie był w stanie zapanować nad grymasem, na który jego gospodarz natychmiast zareagował.

– Dobrze się czujesz, Mikołaju? – Wstał z krzesła i doskoczył do popa.

– Głowa... Chyba powinienem iść się położyć.

Rodzeństwo Robaków nie próbowało go zatrzymać, z zatroskaniem zaproponowali jednak asystę. Mikołaj grzecznie podziękował, zapewniając, że da radę dojść do domu. Pożegnali się w atmosferze życzliwości.

Proboszcz stał w progu tak długo, aż sylwetka starszego kolegi zniknęła w ciemnościach, mniej więcej w połowie drogi między plebaniami.

– Szkoda, że musiał już iść – stwierdziła Ludka, gdy brat wrócił do salonu.

– To prawda. Bardzo miły człowiek – odparł Radosław i pogłaskał dziewczynę po głowie. – Jutro do niego zajrzemy i upewnimy się, czy wszystko z nim w porządku.

Ludmiła uśmiechnęła się ciepło i skinęła głową. Może w końcu poczuje się tu jak w domu?

*

– Czekaj, czekaj, nie tak szybko. – Marlena Maślankiewicz przerwała słowotok Sierżanta, bo przestała nadążać. – Ksiądz Robak wywiesił tezy na drzwiach kościoła? I każe w nich donosić na szeptuchy? I skrzynkę podawczą sobie zamontował?!

Sołtys nie dołączył do rozmowy, bo podobno zasnął snem

sprawiedliwego po babcinym kompicu, a na dodatek ze stoperami w uszach. Można było strzelać z armaty, a on dalej śniłby o cudownych chwilach w ramionach małżonki.

– Naprawdę na to pani zwróciła uwagę w mojej opowieści? – zirytował się posterunkowy. – A nie wstrząsnęło panią to, co dotyczy mojej matki?

– A co ty się tak pieklisz, Sebek? – Marlena zbeształa go wzrokiem. – Uspokój się, bo udaru dostaniesz. I nie bądź takim egoistą.

On egoistą?

– Tak, tak i tak. Może pani sama przeczytać, raczej jutro dalej będą tam wisieć – burknął.

– Moja noga tam nie postanie, dopóki ten nazista będzie urzędował – zaperzyła się staruszka. – Przekonwertuję się na prawosławie i po kłopotcie. Powtórz teraz to zdanie dotyczące twojej matki.

Sebastian po raz kolejny zacytował słowa Anety Jędrzejak, choć oczywiście nie wiedział, kto jest ich autorką.

– Dobrze – rzekła po chwili namysłu Marlena. – To bardzo interesujące, nie przeczę. Zwłaszcza w kontekście tego, czego dowiedziałam się wcześniej. Musimy iść! – oznajmiła nagle tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Iść? Dokąd? – Sierżant wyglądał, jakby zobaczył ducha.

– Do Malwiny. Musimy ją o coś zapytać. Masz tu samochód?

– Piłem z batiuszką... – wyznał wstydliwie.

– Noż diabli nadali – prychnęła babcia Maślankiewiczowa. – Na piechotę nie będziemy się szlajać po nocy. W takim razie zostaniesz tu na noc i z samego rana weźmiesz samochód Mietka.

Nie było sensu protestować, zresztą chłopak czuł już zmęczenie, a droga do domu daleka.

Marlena poczłapała do garderoby, wyjęła koc i poduszkę.

– Śpij, Sebek, skoro świt ruszamy – rzuciła na odchodne.

Sebastian ułożył się na kanapie z uczuciem błogości. Nalewka grzała go od środka, koc od zewnątrz, a przyjemna miękkość poduszki zdawała się koić wzburzone nerwy. Czując, że Morfeusz chwytą go w objęcia, wysłał do matki lakoniczną wiadomość, żeby nie martwiła się o niego, a chwilę później odpłynął. Zasnął jak dziecko, co już od dawna mu się nie zdarzało. Tej nocy nie śnił o Soni.

„Skoro świt” okazało się dosłowne, co posterunkowy przyjął z

wyraźnym niezadowoleniem.

– Wstawaj, królowno! – Marlena stała obok kanapy jak jakiś zły duch.

– Spaaaaać... – jęknął rudzielec.

– Jak będziesz tyle spał, to ci oczy wygniją – sarknęła staruszka. – No już, wstawaj, kawę ci zrobiłam.

Na dowód podsunęła trzymany w ręce kubek bliżej twarzy chłopaka. Sebastian pociągnął nosem i otworzył jedno oko.

– Z mlekiem? – zapytał

– I z cukrem, tak jak lubisz.

To był argument, po którym posterunkowy zdecydował się otworzyć drugie oko, a następnie usiadł i wyciągnął rękę po kubek. Świadomość powoli powracała, a z każdym łykiem kofeiny chłopak czuł się coraz lepiej. Wbrew obawom nie miał kaca. Wszystko było dobrze.

Kiedy Marlena wyszła, wciągnął spodnie na kościsty odwłok, o mało się przy tym nie wywracając, wygładził dłonią pomiętą koszulkę i dopił kawę. Kiedy Maślankiewiczowa znów pojawiła się w salonie, był już gotowy.

– Mietek trzyma kluczyki w gabinecie – oznajmiła babka, dając do zrozumienia, że chłopak musi sam po nie pójść.

Bez trudu znalazł klucze leżące na biurku, dołączył do czekającej przy drzwiach Marleny i opuścili dom, w którym nieświadomy niczego Mietek nadal spał jak suseł. Można było założyć, że po babcynym kompociku obudzi się koło południa i nawet nie zauważy, że ktoś ruszał jego samochód.

Wieś zresztą też jeszcze spała, o czym świadczyły pozamykane okiennice i całkowity brak ludzi. *I bardzo dobrze*, pomyślał Sebastian, *im mniej osób nas widzi, tym lepiej*.

Posterunek o tej porze również był zamknięty, jednakże ze względu na przetrzymywaną aresztantkę zawsze ktoś musiał pełnić służbę. Aktualnie owa wątpliwa przyjemność była udziałem Agnieszki Antkowiak. Wysoka niemal tak samo jak Sierżant dziewczyna otworzyła drzwi, szeroko ziewając.

– Sebek? – zdumiała się na widok przyjaciela. Jej zaskoczenie wzrosło jeszcze bardziej, gdy zza pleców rudzielca wyłoniła się sięgająca mu pod pachę Marlena. – I pani Maślankiewiczowa? Co wy tu robicie?

– Sprawdzamy, czy policja nie śpi na służbie – zakpiła babka. – Malwina

już wstała?

Antkowiak wzruszyła ramionami i obróciła się na pięcie.

– Nie wiem, nie sprawdzałam – rzuciła, idąc do swojego biurka. – Nie wołała jeszcze o kawę, więc raczej śpi.

Widocznie tego dnia babci Maślankiewiczowej przypadła rola budzika. Dziarskim krokiem ruszyła w stronę piwnicy, w której znajdował się areszt.

Sebastian zamknął drzwi i przez chwilę się zastanawiał, czy powinien do niej dołączyć. Ostatecznie doszedł do wniosku, że nie ma ochoty znaleźć się pod ostrzałem inwektyw wyrwanej ze snu sołtysowej, za to z chęcią zarobi kilka dodatkowych punktów, przygotowując dla niej kawę. A co! Wyspał się, miał dobry humor, a dobrem należy się dzielić.

Czekając, aż ekspres zamelduje gotowość do pracy, opowiedział przyjaciółce o odkryciach poprzedniego wieczora. Dziewczyna słuchała go w skupieniu, co jakiś czas unosząc jedną brew.

– Co twoja matka może mieć wspólnego z Melską? – zapytała, gdy dotarł do końca relacji.

– Też chciałbym to wiedzieć – mruknął Sierżant, podstawiając kubek pod dyszę ekspresu. – Im dłużej o tym myślę, tym bardziej absurdalne wydaje mi się to połączenie. Nigdy się nie przyjaźniły, nie miały wspólnych zainteresowań, jedynym punktem styczonym jest to, że mieszkały w Babiborze.

– No tak, ale ten punkt styczony prowadzi do kilku innych – zauważyła Agnieszka. – Chodziły do jednego kościoła, robiły zakupy w jednym sklepie, spotykały się na zebraniach i próbach u Maślankiewiczów. Może w którymś z tych miejsc twoja matka faktycznie coś usłyszała?

– Obora Maślankiewiczów odpada – odparł natychmiast Sebek. – Tam co najwyżej mogły się kłócić z Malwiną.

– No właśnie. I tu pojawia się pytanie dotyczące drugiej możliwości: jeśli Malwina naprawdę jest winna, to kto mógłby o tym wiedzieć?

Sebastian rozłożył ręce.

– Wszyscy albo nikt – odrzekł. – Mogło być tak, że doszło do jakiejś sytuacji publicznie. Ale wtedy Malwina musiałaby mieć świadomość, że od razu będzie podejrzana.

– I jakoś mi się nie wydaje, żeby komukolwiek chwaliła się

zamordowaniem Melskiej – powątpiewała Antkowiak. – A tym bardziej żeby mogło to dotrzeć do twojej matki. Może ona tak gada pod wpływem Szelesta? Ten cymbał nie dopuszcza do siebie żadnej innej możliwości.

Sebastian skrzywił się i potrząsnął głową.

– Coś ty, ona nigdy nie przyjmie jego zalotów – zapewnił.

– W takim razie nie pozostaje nic innego, jak ją zapytać – zawyrokowała posterunkowa.

Rzeczywiście wydawało się, że to jedyne wyjście. I najlepsze.

Z kubkiem kawy posterunkowy zszedł po schodach. Spodziewał się dantejskich scen, tymczasem ku jego zdziwieniu w piwnicy panowała całkowita cisza. Marlena siedziała na krześle przeznaczonym dla wizytujących i przyglądała się śpiącej Malwinie.

– Podczas snu wygląda zupełnie nieszkodliwie – szepnęła do posterunkowego. – I zupełnie nie na swój wiek.

Komplement pod adresem żony wnuka był całkowitą nowością w ustach Marleny, toteż Sierżanta na chwilę zatkało.

– Jakbym tak miała ocenić, to dałabym jej jakieś sześćdziesiąt pięć lat – dokończyła myśl staruszka.

Tak, jednak wszystko z nią było w porządku. Złośliwa jak zwykle.

– Musimy ją obudzić – stwierdził Sebek. – Tylko niech pani nie dzwoni o kraty, błagam!

Marlena niczego takiego nie miała w planach. Wyjęła z torebki blaszany dzwoneczek i zaczęła nim potrząsać. Po chwili Malwina mruknęła, a gdy metaliczny dźwięk nie ustępował, usiadła na pryczy.

– C-co się dzieje? – zapytała, przeciągając się.

– Nic takiego, Mietek się żeni – rzuciła beznamiętnym tonem babka.

Malwina się zerwała, jakby ją oparzyło. Na widok hamującego śmiech Sierżanta wściekła się jeszcze bardziej.

– Mam nadzieję, że kiedyś odgryzie sobie babcia ten złośliwy jęzor! – syknęła.

– Niech się pani nie złości, złość piękności szkodzi – usiłował łagodzić Sebastian. – Przynieśliśmy kawę.

– Szkodzi, ale nie każdy ma czym szastać – mruknęła Marlena. – W tym wypadku raczej szkody nie będzie.

Malwina zignorowała zaczepkę babki, przyjęła kubek od Sebastiana i wróciła na swoją pryczę. Postanowiła nie dać się więcej sprowokować.

– Przyszliście w jakiejś sprawie czy dziś jest może dzień dobroci dla sołtysowych? – zapytała między jednym a drugim łykiem mocnego naparu z kofeiną.

– Zrobiłam to – rzuciła Marlena.

Nie od razu sens tych słów dotarł do Malwiny. Nadal popijała gorący płyn, ignorując usłyszaną informację.

– Zrobiłam to, o co mnie prosiłaś – powtórzyła staruszka.

Kubek zatrzymał się w połowie drogi do ust, a głowa sołtysowej powoli, bardzo powoli, obróciła się w stronę babki.

– Rozmawiała babcia z Augustem? – upewniła się drżącym głosem.

Sebastian Sierżant poczuł dreszcz na plecach.

– Rozmawiałam, chociaż ten cap starał się, jak mógł, żeby mi nie odpowiedzieć.

– Ale dowiedziała się babcia?

– O tyle, o ile.

Malwina odstawiła kubek na szafkę nocną i podniosła się z pryczy.

– No, niech babcia mówi! Ja chcę stąd wyjść!

– Hola, hola – zaprotestował posterunkowy, coraz bardziej skołowany. – Jakie wyjść, jakie znowu rozmowy z Augustem? Co tu się odjaniepawla, drogie panie?

Nie było czasu na wyjaśnienia, więc Marlena machnęła ręką, co miało znaczyć: „później ci wytłumaczę, synku”.

– Według niego truły go trzy osoby: ty, Mietek i ja.

– Kłamstwo! – oburzyła się sołtysowa. – Jak on śmie!

– Z całą pewnością kłamie, mówiąc o mnie – zgodziła się Marlena.

– I o mnie! – Malwina dyszała z wściekłości.

– Czyli to sołtys go zabił? – Sebastian łączył kropki, wciąż niewiele rozumiejąc.

– Musiała babcia coś źle zrozumieć – zawołała Malwina. – To jest absolutnie niemożliwe, Miecio nie jest mordercą!

– Tyle to sama wiem – mruknęła stara szeptucha. – Tylko dlaczego Arciszewski by kłamał? Może i był złośliwy, ale nigdy nie rzuciłby

oskarżenia na niewinnego człowieka.

– Może po śmierci mu się odmieniło? – zaryzykował Sierżant.

Tego żadna z kobiet nie mogła być pewna, jednak wciąż idea mówiąca o tym, że Mietek Maślankiewicz mógłby kogokolwiek zamordować, wydawała się co najmniej absurdalna.

– Niech babcia przypomni sobie wszystko i opowie. Od początku, każdy szczegół. Coś musiało umknąć.

Marlena poczuła się skonfundowana. Przecież nie mogła niczego pokręcić. Była sprytna, zadawała pytania, jak należy. Podsunęła krzesło bliżej krat i zamknęła oczy.

– Najpierw przygotowałam miejsce na strychu... – zaczęła odtwarzać wspomnienia, a słuchający jej Malwina i Sebastian starali się nie uronić ani jednego przecinka, na wypadek gdyby okazał się istotny.

ROZDZIAŁ 27

W izbie panowało przyjemne ciepło. Pod powalą suszyły się pęki ziół, na piecu stygł świeżo upieczony chleb. Dziecko spało w kołysce, spokojne jak aniołek.

Anna usiadła na przypiecku i zajęła się cerowaniem mężowej koszuli. Nuciała przyjemną melodię. Na dźwięk pukania do drzwi niemal podskoczyła.

– Otwarte, proszę! – krzyknęła.

Odłożyła robótkę, podniosła się i wygładziła spódnice.

Dawno nieoliwione zawiasy skrzypnęły i po chwili do izby wszedł rumiany jak jabłko wikary.

– Szczęść Boże – przywitał ją z uśmiechem.

– Bóg zapłać – odpowiedziała z życzliwym uśmiechem. – Proszę, proszę, niech ksiądz dobrodziej wejdzie.

Wikary zamknął za sobą drzwi i zbliżył się do kołyski. Przez chwilę modlił się nad śpiącym dzieckiem, przeżegnał się i spojrzał na chłopca z czułością.

– Pięknego syna macie, Anno – rzekł, odwracając się do kobiety. – Będzie zdrowy i silny.

– Dziękuję – szepnęła. Uśmiechała się, lecz jej oczy pozostały czujne. – Czym mogę dobrodzieja ugościć?

Ksiądz pokręcił głową i rozejrzał się za krzesłem. Stało w rogu izby, a na nim piętrzyła się uprasowana bielizna.

– Słuchaj, Anno – zaczął, rezygnując z siadania – nie moja to rola, żeby plotki powtarzać, ale są tacy, którzy przeciw tobie gadają.

– Wiem o tym – odparła hardo. – Przyszedł ksiądz, żeby mnie ostrzec przed jęzorami zawistników?

– Przyszedłem, bo to gadanie daleko dotarło.

Kobieta wzruszyła ramionami. Mięśnie jej twarzy były napięte.

– Dziecko, zrozum – kontynuował łagodnie duchowny. – Jam ci nie wróg, ale jestem tylko pionkiem. Kto inny podejmuje decyzje i przed kim

innym będziesz się tłumaczyć. Mnie ludzkie gadanie wcale nie obchodzi.

– Tłumaczyć z czego? – Anna przyjęła postawę obronną: skrzyżowała ręce na piersiach, zacisnęła szczęki i wyprostowała się.

Wikary westchnął ciężko i pokręcił głową.

– Komuś ty krzywdy uczyniła, że chce cię widzieć na stosie? O spółkowanie z Szatanem cię posądzili, podobno dziecię nie jest owocem lędźwi twojego męża.

W wielkich orzechowych oczach Anny zabłysła złość.

– I ksiądz w te brednie uwierzył? – wycodziła przez zaciśnięte zęby. – Paskwił łatwo w świat wypuścić, a czy ktoś mego męża zapytał? Złapał mnie na zdradzie?

– Podobno do puszczy chodziłaś – odpowiedział duchowny niemal szeptem, jakby wyprawa do lasu stanowiła bluźnierstwo największej wagi.

– Jak każdy we wsi – prychnęła kobieta. – A niby skąd drewno na opał byśmy mieli?

– A te dni, kiedy zniknęłaś, zanim okazałaś się brzemienna? – dociekał kapłan.

Oblicze Anny spochmurniało jeszcze bardziej, a na policzki wstąpiły bordowe niemal rumieńce.

– Dobrze ksiądz wie, że nie pamiętam, co się wtedy wydarzyło – odparła cicho. – Zgubiłam się, zbłądziłam, a gdy noc zapadła, zasnęłam i następnego dnia obudziłam się na skraju puszczy.

– Nie było cię trzy noce. Cała wieś cię szukała, twój mąż od zmysłów odchodził, bracia zostawili rodziny i razem z nim przeszukiwali las.

– Przykro mi, księżu dobrodzieju, nie wiem, co się ze mną wtedy działo – odrzekła, kręcąc głową. – Mówię prawdę.

Wikary przez chwilę patrzył na nią ze smutkiem, a potem przeniósł wzrok na kołyskę, w której August zaczynał się wybudzać.

– Idź po siostrę, niech się zajmie małym. Ty musisz pójść ze mną. Nie ja będę sądził, czy ty prawdę mówisz. I niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Anna otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale doszła do wniosku, że to bezcelowe. Nie on w końcu podejmował tu decyzje.

Opuściła chatę, a po kilku minutach wróciła w towarzystwie młodszej siostry, Wieśki, jedynej dotychczas niezamężnej. Mały August już zaczynał kwilić, więc wyjęła go z kołyski i przycisnęła do siebie. Tulila przez chwilę,

a dziecko, wyraźnie głodne, coraz głośniejsze dopominało się należącego mu posiłku. Anna rozsznurowała górę koszuli i przystawiła chłopca do piersi. Wikary spuścił wzrok.

– Anka, a co ja zrobię, jak ty do wieczora nie wrócisz? – zatroskała się Wieśka. – Żadna baba we wsi już nie karmi.

– Wrócę, nie martw się. A w razie czego dasz mu koziego mleka.

Wiesia skinęła głową i zajęła się szukaniem ubranek niemowlęcia. Woląla zabrać chłopca do siebie, niż zostać z nim w domu siostry z jej mężem, który niedługo wróci i pewnie wpadnie w szal.

Kiedy mały przestał ssać, Anna przekazała go siostrze, zasznurowała koszulę i spojrzała na synka ze łzami w oczach. Natychmiast jednak się otrząsnęła, podeszła do szafy, wyjęła z niej chustę, którą okryła ramiona, i zwróciła się do księdza:

– Możemy iść. Im szybciej, tym lepiej.

Po wyjściu siostry i wikarego Wieśka odłożyła Augusta do kołyski i się rozejrzała. W pierwszej chwili nie dostrzegła skrzyni, o której powiedziała jej Anna, gdy prosiła ją o zajęcie się dzieckiem. Drewniany kufer stał między wezłowiem łóżka a ścianą, przykryty pasiastym kilimem, a na nim ustawiono donice z ziołami.

Wiesia ostrożnie zdjęła rośliny, kilimek, uchyliła wieko skrzyni i wyjęła z niej owinięty w bydlęcą skórę kajet. Dokładnie taki, jaki opisała Anna. Ustawiła wszystko z powrotem, kajet wcisnęła do tobołka, w którym znajdowały się ubrania dla Augusta, wyjęła gaworzące dziecko z kołyski i opuściła chatę.

Chwilę później drzwi domostwa znowu się otworzyły i wysłannicy inkwizytora rozpieczętowali się po izbie jak mrówki poszukujące pożywienia. Kościelni słudzy, którym wydano rozkaz przetrzebienia każdego milimetra, niczego jednak nie znaleźli poza ususzonymi ziołami, domowymi nalewkami i maściami śmierdzącymi tak bardzo, że długo nie dawało się pozbyć wspomnienia tego zapachu. Żadnych talizmanów, kryształów, figurek, symboli. Wrócili z pustymi rękami.

Inkwizytor z niecierpliwością oczekiwał przyprowadzenia kobiety. W ciągu trwającego blisko dwa tygodnie śledztwa zdążył już wyobrazić ją sobie w najmniejszych szczegółach. Wiedział, że czeka go spotkanie z pięknym tak oszałamiającym, że będzie potrzebował całej silnej woli i

samokontroli, by nie ulec jej względom, nie dać się omamić i zauroczyć.

Całą noc poświęcił modlitwie, prosząc Boga o wsparcie go w chwili najcięższej próby. Modlił się także o mądrość i jasność umysłu, bo sędzia nade wszystkim musi być sprawiedliwy, a wyroku w sprawie gardłowej nie da się odwrócić. Mimo zmęczenia wynikającego z braku snu czuł się dobrze. Nerwy pozwalały mu utrzymać stan skupienia i gotowości do działania. Teraz był jak zwierzę, jak łowca, gotowy do upolowania ofiary, którą wcześniej sobie upatrzył.

– Wasza Ekscelencjo, inkwizytorze, jesteśmy. – Rumianolicy wikary skłonił się przed jezuitą i tak został, czekając na dalsze rozkazy.

– Napotkaliście jakieś problemy?

– Żadnych, przyszła z własnej woli.

– Kusić was nie próbowała? Głosem nie mamała? Nie namawiała do grzechu?

– Nic z tych rzeczy. Dziecko od piersi odstawiła i poszła ze mną w ciszy.

Inkwizytor cmoknął, jakby z niezadowoleniem, i odprawił wikariusza. Spodziewał się, choć może słuszniej będzie rzec: miał nadzieję, że zyska dowód bez potrzeby wszczynania procedury.

Nim udał się do sali, w której prowadzono przesłuchania, zbliżył się do lustra i przyjrzał swemu odbiciu. Nie był zadowolony: podkrążone oczy, przekrwione powieki, policzki nieco zapadnięte i spierzchnięte usta. Postanowił się nie golić, więc żuchwę pokrywały kilkumilimetrowe włosy. Był przystojnym mężczyzną i miał tego pełną świadomość. Tyle że teraz nie o jego urodę się rozchodziło.

Zszedł kamiennymi schodami do piwnicy, której część postanowiono przeznaczyć na salę przesłuchań. Beczki z winem i miodem upchnięto w kącie, ustawiono tu stół, wniesiono krzesła dla sędziów. Brak okien nadawał temu miejscu nieprzyjemny charakter, a od wilgoci cierpła skóra.

Gdy wydano rozkaz doprowadzenia oskarżonej, inkwizytor poczuł ścisk w żołądku. Zupełnie jakby to on miał za chwilę stanąć przed próbą, która może kosztować go życie.

Na schodach rozległy się kroki, a po chwili dwóch młodych ludzi wwiódło do pogrążonego w półmroku pomieszczenia kobietę. Szła sztywno, plecy miała wyprostowane, co uwypukliło wydatne piersi, powiększone dodatkowo na skutek karmienia niemowlęcia. Czoło trzymała

wysoko, a jej wielkie orzechowe oczy patrzyły hardo przed siebie. Wprost na inkwizytora.

Joachim Robak przełknął ślinę, czując, jak gardło zaciska mu się niczym imadło. Mimo najszczerzej chęci nie potrafił zapanować nad reakcjami własnego ciała. Zdradzieckiego ciała, któremu wystarczyło zaledwie jedno spojrzenie na niewiarygodnie piękną kobietę, żeby obudziły się uśpione demony.

Anna Arciszewska w niczym nie przypominała utrwalonego w wiejskiej wyobraźni zbiorowej wyobrażenia czarownicy. Dosyć jeszcze młoda – wyglądała na nie więcej niż dwadzieścia pięć lat – miała obie nogi, ani śladu garbu, kibić wąską, biodra szerokie. Piękna, pociągła twarz była jak wyrzeźbiona dłutem najlepszego z mistrzów. Gęste włosy w kolorze miedzi opadały ciężkimi falami niemal na pośladki. I oczy – ach, te oczy! Wielkie i okrągłe, koloru dojrzałego orzecha, gdzieniegdzie podbarwionego kropelką złota.

Inkwizytor z całych sił starał się nie gapić na usta kobiety, ale natura okazała się silniejsza. Robak na swoje usprawiedliwienie musiał przyznać, że nigdy nie widział warg tak idealnie wykrojonych i stworzonych do pocałunków. Miały kształt serca, a ich kolor przywodził na myśl dojrzałe maliny.

Chłopcom eskortującym oskarżoną wydało się, że ta chwila trwa wieki. Nikt nie odważył się odezwać, czując wyraźnie rosnące w pomieszczeniu napięcie. Jak gdyby tych dwoje – czarownica i inkwizytor – próbowali się w starciu na spojrzenia.

Wreszcie sędzia przerwał kontakt wzrokowy, zamrugał kilka razy, odchrząknął i podniósł się z krzesła. Nogi mu drżały, ale na szczęście strój zakonny skutecznie ukrył ten wstydlivy odruch. Stojący po bokach kobiety młodzi ludzie cofnęli się, a po chwili zniknęli na schodach.

– Anno Arciszewska – odezwał się zmienionym wskutek zdenerwowania głosem inkwizytor – czy wiecie, z jakiego powodu was tu wezwano?

– Wiem jedynie, że ludzie ze wsi fałszywie mnie oskarżają – odparła kobieta, ani na moment nie spuszczaając spojrzenia z oczu księdza.

– Czy dobrze rozumiem, że potraficie udowodnić, że wskutek nieporozumienia zostaliście pomówieni, a Święta Inkwizycja oszukana w

złej woli?

– Pytanie brzmi, czy Święta Inkwizycja potrafi udowodnić, że słowa moich oskarżycieli są prawdą.

W pomieszczeniu zawrzało. Oburzeni bezczelnością kobiety członkowie sądu nie ukrywali swoich przemyśleń na temat braku pokory nieprzystającego – ich zdaniem – białogłowie.

– Cisza! – upomniał ich Robak i zwrócił się do Anny: – Zaiste, w waszych słowach znajduje się niespodziewana mądrość. Wina zawsze musi zostać udowodniona, a do tego czasu jesteście jedynie podejrzaną i jako podejrzana będziecie zeznawać.

Kobieta wciąż patrzyła na sędziego, a w jej spojrzeniu można było dostrzec wyzwanie, zaciekłość i coś jeszcze, czego inkwizytor nie potrafił zdefiniować. I wbrew zdrowemu rozsądkowi, wbrew obowiązującym go przepisom i kodyfikacjom był gotów podjąć tę grę. Ba! On bardzo chciał w nią zagrać, a jej wynik przestał w tej chwili mieć znaczenie.

Biorąc milczenie Arciszewskiej za zgodę, inkwizytor nakazał jej zaprzysiężenie (na cztery ewangelie), co też skryba wiernie zanotował. Anna powtórzyła treść przysięgi, ku zdumieniu pozostałych sędziów nie płonąc przy tym samoistnie, i zaczęła się ważną część przesłuchania.

Początkowo zadawano jej pytania ogólne: skąd pochodzi, kim byli jej rodzice, czy ktoś z jej rodziny został spalony na stosie albo brał udział w procesie o czarostwo (zwykło się wierzyć, że wiedźmy ofiarowywały swoje dzieci Diabłu, a dla bezpieczeństwa owo podejrzenie rozszerzano także na dzieci sióstr, braci etc.). Arciszewska odpowiadała spokojnie, najczęściej krótko, acz wyczerpująco, nie pozostawiając wątpliwości i miejsca na nadinterpretację.

– Czy oskarżona wierzy, że istnieją czary? – zadał kolejne pytanie sędzia.

– A w jaki sposób te czary miałyby się manifestować? – odparła, a kącik jej ust zadrgał, jak gdyby zamierzała się uśmiechnąć.

Niezrażony Robak w myślach pogratulował jej przebiegłości, ale był i na to przygotowany.

– Mówi się, że są ludzie, którzy czarami potrafią wywołać burzę, sprowadzić chorobę na bydło, sprawić, że krowy przestaną dawać mleko – wymieniał niczym znawca. – Wierzy w to oskarżona?

– Wierzę, że ludzie w to wierzą.

Inkwizytor parsknął, lecz nie wydawał się urażony.

– A oskarżona nie podziela wiary w istnienie czarów?

– Tego nie powiedziałam – odparła, a z czterech gardeł wyrwał się głuchy jęk.

– Czy oskarżona może podać przykłady?

Anna zmrużyła oczy i westchnęła głęboko. Oderwała wzrok od Robaka, powiodła nim po twarzach pozostałych sędziów i znów skupiła się na inkwizytorze.

– Był kiedyś człowiek – zaczęła, a jezuita z jakiegoś powodu poczuł ukłucie niepokoju – któremu udało się sprawić, że morze się rozstało. Był też inny, co uratował wszystkie gatunki zwierząt przed śmiercią pod wodą. Był też taki, który poprzez sny był w stanie przewidywać przyszłość. To właśnie rozumiem jako czary.

Nie od razu wszyscy zrozumieli znaczenie słów oskarżonej. Jedyne Robak odszyfrował je niemalże natychmiast, lecz pozwolił jej skończyć.

– Wiara w jedyne Boga oznacza także wiarę w jego wszechmoc – zauważył poważnie. – Owe „czary”, jak nazwała je oskarżona, nazywane są cudami i stanowią dowody na wielkość Pana. Czy wobec tego mamy rozumieć, że oskarżona zaprzecza, jakoby wierzyła w istnienie ludzi przypisujących sobie boską moc?

– Wierzę, że istnieją ludzie, których Pan obdarzył wiedzą większą niż innych – odpowiedziała ze spokojem. – Gdybym w to nie wierzyła, nie byłoby dla mnie miejsca w Kościele katolickim. Ksiądz nazywa to cudami, ja czarami. Mówimy różnymi językami, ale wciąż o tym samym.

Robak postąpił krok do przodu, ale Anna ani drgnęła. Nie bała się inkwizytora, nikt nie miał co do tego wątpliwości.

– Niech skryba przez chwilę nie notuje – polecił, po czym zwrócił się do kobiety: – Nie potrafię jeszcze zdecydować, czy przemawia przez ciebie, Anno, niezwykła mądrość, czy herezja. Czy wierzysz w Boga, czy w nieznanne siły, których działanie jest Bogu niemiłe. Skąd mam wziąć pewność?

Arciszewska uśmiechnęła się ze smutkiem i potrząsnęła głową.

– To ksiądz jest sędzią, zapewne więc zasłużył na tak odpowiedzialne stanowisko. Ja mogę jedynie przedstawić swoją prawdę, a do księdza

należy wydanie wyroku.

W tym momencie siedzący z tyłu rejent odchrząknął, zwracając na siebie uwagę Robaka. Jezuita podszedł do niego i nadstawił ucha, do którego prawnik szeptał coś przez chwilę.

Inkwizytor skinął głową, po czym znów zbliżył się do Anny. Tym razem stanął w jeszcze mniejszej odległości, przez co różnica wzrostu między nimi była wyraźna. Jezuita górował nad kobietą o dobrych trzydzieści centymetrów.

– Pan rejent był łaskaw słuszenie zauważyć, że twoje odpowiedzi są pokrętne i niewiele z nich wynika – oznajmił. – Zatem spytamy inaczej: czy według ciebie kobiety spalone na stosach po tym, jak wyznały winy i przyznały się do oddania Lucyferowi, były niewinne i zginęły niezasłużenie?

Anna pobladła lekko, lecz jej mina pozostała niewzruszona. Długo zwlekała z odpowiedzią, jakby testowała cierpliwość sędziów. W końcu jednak otworzyła usta, te piękne, malinowe usta, stworzone do całowania, i odrzekła:

– Nie moją sprawą jest sądenie innych. Nie znam ich grzechów ani nic złego mi one nie uczyniły. Jeśli zaś sąd uznał, że zasłużyły na śmierć, to sąd zostanie z tego rozliczony.

Tym razem chrząknięcie wyszło z ust pisarza, jednak inkwizytor je zignorował.

– Anno, czy masz świadomość, że znalazłaś się tu wskutek doniesienia?

Skinęła głową. W Babiborze tajemnice szybko stawały się dobrem publicznym. Ona jednak nie dawała wiary plotkom, nie chciała myśleć, że jej rodzina mogłaby zrobić coś takiego.

– A czy jest ci wiadome, że mieszkańcy wsi zeznawali przeciw tobie?

Tego też się domyśliła. Widziała, jak Marczakowa wróciła skądś z ważną miną i uśmiechała się złośliwie, patrząc na nią.

Wzruszyła ramionami.

– Dlaczego ludzie cię nienawidzą? Skoro nie dopuściłaś się przeciw nim żadnych przewin, skąd te oszczerstwa? – pytał cicho Robak, wciąż nie pozwalając skrybie protokołować tych fragmentów.

– A dlaczego sąsiad nienawidzi sąsiada? Dlaczego kobieta zazdrości kobiecie? Mało to okropieństwa w ludziach, mości inkwizytorze? – Głos jej

drżał, jakby z trudem hamowała emocje. – Tu nie trzeba czarów ani cudów, wystarczy krowa, która więcej mleka daje, wystarczą większe plony, zdrowsze jabłka. A czy ja mogę być winna tego, że ktoś ma gorzej? Że nade mną opatrność czuwa?

Robak się ucieszył, że bezwiednie podryfowała w miejsce, do którego chciał ją doprowadzić. Zarzuty czarostwa były poważne dopiero wówczas, gdy wiązały się z prawdziwymi skutkami owych czarów. I choć trudno było w to uwierzyć, wszystkie zebrane dotąd informacje potwierdziły zasadność oskarżenia.

– Mówisz, że nie ma twojej winy – odparł – a tymczasem sąd znalazł dowody na rzecz przeciwną. Czy jest prawdą, że od narodzin twojego syna żadna inna kobieta nie została brzemienna i żadne dziecko nie zostało powite?

Przez piękną twarz Arciszewskiej przemknął grymas bólu, a w jej oczu zajrzał wreszcie strach.

– Tak, ale...

– I czy jest prawdą – przerwał jej Robak – że twój syn, August Arciszewski, wykazuje niespotykany dla zwykłego dziecka talent wyczuwania chorób?

Anna pobladła jak kreda i już nie panowała nad emocjami. Mimo to starała się odpierać niewypowiedziane zarzuty inkwizytora.

– Niech ksiądz zrozumie, ja nie mam nic wspólnego z tym, że inne nie mogą mieć dzieci – zapewniała żarliwie, przełykając łzy. – Ja także długo nie mogłam, aż nadeszła pora!

Inkwizytor wydał skrybie rozkaz odnotowania ostatnich odpowiedzi oskarżonej, po czym zadał ostatnie pytanie:

– Czy oskarżona pod przysięgą, w obecności pięciu sędziów, jest w stanie zapewnić, że z poczęciem dziecka nie miały związku żadne magiczne moce? I zanim oskarżona znów zacznie kręcić, to podam przykład. – Uśmiechnął się złośliwie, wiedząc, że wygrał. – Czyż nie wybrała się oskarżona po pomoc do wiedźmy Ksantypy, a po powrocie z puszczy nie odkryła, że jest brzemienna?

Słowa inkwizytora długo wibrowały w uszach pozostałych, a ich echo, odbite od kamiennych ścian, brzmiało jeszcze przez chwilę. Słysząc było jedynie pociąganie nosem przez Arciszewską. Z oczu kobiety płynęły strugi

łez, broda jej drżała. Ale nawet teraz, pokonana i upokorzona, wyglądała tak pięknie, że Robakowi brakowało tchu.

– Zaprowadzić oskarżoną do celi. Jutro odbędą się pierwsze próby – zarządził.

Dwaj młodzieńcy zjawili się w okamgnieniu, uchwycili pozbawioną sił kobietę pod rękę i zabrali do przyległego pomieszczenia pełniącego funkcję celi. Zostawili ją na środku, oszołomioną i zapłakaną, a gdy zamykali drewniane drzwi, serca im się ścisnęły ze współczucia.

Po kilkunastu minutach, gdy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, Anna podeszła do ściany i usiadła, szorując plecami o chropowatą powierzchnię. Podciągnęła kolana pod brodę, czując, jak koszula nasiąka jej mlekiem, i jeszcze raz gorzko zapłakała.

– Ksantypo! Ratuj mnie, Ksantypo! – szeptała, kołysząc się w przód. – Ratuj mnie!

ROZDZIAŁ 28

— **B**abcia jest pewna, że właściwie wszystko zapamiętała? – Malwina zmarszczyła nos, przez co odrobinę upodobniła się do świnki Piggy. – Może jednak coś się babci potęgowało?

– A niby co miało mi się potęgować? Pamięć mam doskonałą jak zawsze, nie rób ze mnie spróchniałej staruchy – oburzyła się Marlena Maślankiewicz.

– Wcale nie robię, czas mnie w tym wyręczył – prychnęła sołtysowa. – Nie potrafię uwierzyć, że August mógł powiedzieć o mnie takie rzeczy! Kiedy ja go niby stłamsiłam?! On naprawdę dusił się w tym małżeństwie?

Posterunkowy Sierżant, prawdę powiedziawszy, też nie potrafił sobie wyobrazić, żeby Arciszewski, który u boku Malwiny żył jak pączek w maśle, a bez niej dostawał ataków depresji, mógł rzucać tak podłe kalumnie pod adresem swojej żony. Dlatego też wpatrywał się teraz w twarz Marleny Maślankiewicz z niezwykłą intensywnością, testując na niej „wzrok detektywa”, jak go określał – na własny użytek. Publicznie zacznie, kiedy się upewni, że owo narzędzie inwigilacji działa, jak powinno.

Czy to pod wpływem sierżantowego spojrzenia, czy może jednak ruszyło ją sumienie, w każdym razie nestorka rodu Maślankiewiczów postanowiła załagodzić sytuację.

– No dobrze – odezwała się z ponurą miną. – Możliwe, że nie powiedział dosłownie, że go tłamsiłaś ani że dusił się w małżeństwie. Zasugerował, że jeśli go czymś trułaś, to tylko miłością. Ale sens pozostaje ten sam.

Malwina zamknęła oczy, lecz szczęki jej chodziły, jakby żuła coś wyjątkowo opornego na zgryzienie. Widocznie ten ruch pomagał jej się uspokoić. Ni stąd, ni zowąd sołtysowa rzuciła się na kolana, uniosła wysoko obie ręce i... zaczęła się modlić?

– O bogowie, o wielkie bóstwa, Jahwe, Welesie, Perunie, Odynie, Zeusie, Neptunie! I wy, magowie tego świata: Merlinie, Ksantypo, Aladynie, Gandalfie, Houdini, Panoramiksie! Dajcie mi, o wszechmocni, cierpliwość, bo jak mi dacie siłę, to niechybnie uduszę tę starą wiedźmę, a wtedy Szelest będzie miał używanie.

Sierżant wyglądał, jakby go właśnie Odyn poraził jednym ze swoich piorunów, tymczasem Marlena stała nieporuszona i przyglądała się żonie wnuka z nieskrywaną odrazą.

– Ale dlaczego Aladyn? – zapytała ze szczerą ciekawością.

– Bo jakby wciąż się kumplował z tym dżinnem, to może by mi pomogli – odparła Malwina, otwórzysz jedno oko.

Argument trafił do babki Maślankiewiczowej, co wyraziła niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy.

– Przestań się mazgać, Malwino, i wracaj tu pod kraty, bo musimy sprawę do końca załatwić – przywołała sołtysową do porządku. – Sebek, a ty co myślisz? Jakie wnioski?

Wywołany do tablicy Sebastian wyglądał na co najmniej skonfundowanego, a już z całą pewnością nie mógł pochwalić się żadnymi wnioskami. Zbyt mocno wyobraził sobie Aladyna, wyskakującego z lampy dżinna – i za nic nie potrafił pozbyć się tego obrazu sprzed oczu.

– Yyy, no... ja... – jękał się jak sztubak złapany na nieuważaniu na lekcji. – Wnio...wniosków to ja chyba nie mam.

Marlena zgromiła go wzrokiem, cmokając z niesmakiem, po czym przeniosła spojrzenie na Malwinę.

– Co mógł mieć na myśli twój nieżyjący mąż, mówiąc, że ja, ty i Mietek podawaliśmy mu truciznę?

– Może po śmierci został jednym z tych ekooszołomów, którzy nazywają cukier „białą śmiercią”? – Sołtysowa podniosła się z klęczek i otrzepała kolana. – A bo ja wiem? Uznał, że sałata to trucizna, a ja ją w niego wpychałam.

– A czy przypadkiem nie leczyła go pani tojadem, pani Marleno? – wtrącił się posterunkowy, odzyskawszy rozum i zdolność artykułowania myśli.

Babka spojrzała na niego z ukosa, gotowa do wypuszczenia jakiejś celnej riposty, kiedy zdała sobie sprawę, że słowa Sebastiana miały sens.

– Faktycznie, leczyłam – przyznała. – Akonityna działa przeciwbólowo. A ty skąd o tym wiesz? – Zmarszczyła brwi, nadając swojej twarzy groźny wygląd.

– Tak po prawdzie to zgadywałam – odparł z miną niewiniątka, ale zaraz wyszczerzył się w triumfalnym uśmiechu. – Pomyślałem, że skoro

Melska umarła od tojadu, to może pan Arciszewski też.

– No proszę, jak chcesz, to potrafisz być bystry – pochwaliła go szeptucha. – To może nawet się zgadzać. Malwina kilka razy podała mu lek, ale Mietek...?

– Mietek też – odezwała się głucho sołtysowa. Naciskana niecierpliwym spojrzeniem babki Maślankiewiczowej wyjaśniła: – Kilka razy się zdarzyło, że Mietek nas odwiedził. No co tak na mnie patrzysz, to ty go wychowałaś! – warknęła.

Marlena prychnęła, ale nie odezwała się ani słowem.

– No i jak do mnie... to znaczy: do nas przyszedł, to możliwe, że ja byłam zajęta, więc on podał Augustowi lekarstwo – ciągnęła nieco zakłopotana sołtysowa. – To jedyne wytłumaczenie, jakie przychodzi mi do głowy.

Owo wytłumaczenie miało sens i wydawało się prawdopodobne. Mimo to umysł posterunkowego nie czuł się w pełni usatysfakcjonowany.

– Hmm... – przerwał ciszę chłopak i zaczął chodzić wzdłuż celi. – Hmm... Czy ja wiem... Hmm...

– Sebek, gadaj, co ci się nie zgadza! – zniecierpliwiła się Marlena.

– A co z moją mamą? – Wreszcie zdobył się na odwagę i złapał byka za rogi.

– Konkretnie o co pytasz? – Staruszka zmrużyła oczy. – Bo tak w ogólności to długo by wymieniać: stara panna z dzieckiem, kłótniwa, zręczliwa, nadopiekuńcza, ze szmerglem na tle Kościoła...

– Pytam o to, w jaki sposób ona mogła truc pana Arciszewskiego – przerwał jej Sebastian, udając, że wcale nie jest urażony. A był. I to bardzo.

– Nie mogła! – oburzyła się Malwina. – Absolutnie nie mogła i daję sobie głowę uciąć, że ani razu nie pojawiła się w moim domu.

– Głową to ty tak nie szastaj, bo chociaż ona byle jaka, to innej nie masz – ofuknęła ją staruszka. – Coś ci się, Sebek, pomylić musiało, przecież August o niej nic nie mówił.

– Mówił – upierał się chłopak. – Wymienił cztery osoby, zgodnie z pani relacją.

– Nie, wymienił trzy osoby, a czwarta to była stojąca na progu twoja matka.

– Czyli cztery.

– Trzy.

– Cztery.

– Trzy!

– Cztery!

Wymiana liczebników trwałaby pewnie w nieskończoność, a głosy z każdą rundą coraz bardziej się podnosiły, jednak niespodziewanie pojawiło się rozwiązanie.

– DUCHY NIE WIDZĄ PRZEZ ŚCIANY!!! – rozległ się głos od strony schodów, ucinając bezsensowną sprzeczkę.

Wszyscy troje spojrzeli na panią Różę, jakby ona sama była co najmniej duchem.

– No co tak się na mnie gapicie? W końcu jestem medium – odparła z zaskakującym spokojem. – Myślicie, że ja nie mam rozumu i nigdy żadnego ducha nie zapytałam o takie rzeczy? Ani nie widzą przez ściany, ani nie są wszechmogące, ani nie potrafią przewidywać przyszłości. Więc jeśli były mąż Malwiny mówił o Sylwii Sierżant, to na pewno nie dlatego, że wiedział o jej wizycie.

Zapadła pełna napięcia cisza, której nikt nie chciał przerwać pierwszy. Każde z trojga dyskutujących nad liczbą potencjalnych trucicieli Augusta Arciszewskiego miało ku temu inny powód: Malwina pomyślała, że jednak Sylwia odwiedzała Augusta w ich domu, Marlena – że powinna była tego dziada podejść jakoś inaczej, a Sebastian...

Sebastian Sierżant pozbył się właśnie jakichkolwiek wątpliwości dotyczących udziału swej matki w śmierci Moniki Melskiej. Nie wierzył w przypadki i zbiegi okoliczności, nie uznawał wyjaśnień opierających się na przypuszczeniach i domniemaniach. Słuchał jednak swojej intuicji, a ta krzyczała wręcz do niego, że powinien był wcześniej coś zauważyć. To on powinien był zwrócić uwagę na pewność, z jaką Sylwia obwiniła Malwinę o otrucie Moniki. I to on powinien był wyciągnąć jedyny logiczny wniosek: jego matka stała za śmiercią Melskiej.

ROZDZIAŁ 29

Patrycjusz Pieprzyca nie lubił korzystać z prywatnych kontaktów, jednak od czasu do czasu, jak każdy, był do tego zmuszony. Jego wieloletni przyjaciel, do którego zwrócił się z prośbą o pomoc, obiecał wyszperać wszystko, co uda się znaleźć na temat nowego proboszcza w Babiborze. Temat był zresztą Henrykowi Grabskiemu bliski ze względu na pokrewieństwo z nieżyjącym poprzednikiem Robaka i choćby przez sam ten fakt chciał pomóc prokuratorowi.

– Niewiele tego jest – zaczął Grabski, kiedy odezwał się do Pieprzycy z informacją zwrotną. – Rzeczywiście jest redemptorystą, przez pięć lat prowadził parafię misyjną na terenie Chile. Nigdzie nie ma śladu po jakichkolwiek skargach czy zgłoszeniach niewłaściwego zachowania. Był lubiany, szybko nauczył się języka miejscowych. Wzorowy misjonarz.

Pieprzyca zamyślił się na chwilę, szukając w głowie kolejnego pytania. Właściwie nie tego się spodziewał po księdzu oszołomie. Liczył raczej na życiorys pełen awantur, obfitujący w napadanie na biednych rdzennych mieszkańców Patagonii, egzorcyzmowanie na siłę. A tu nic? Jakby było dwóch ojców Robaków. Dopiero ta myśl przypomniała mu, o co jeszcze chciał zapytać przyjaciela.

– A jego przeszłość? Rodzina? Jakieś traumy? Choroby psychiczne? – wyrzucał z siebie z jakąś dziwną nadzieją w głosie.

– Absolutnie żadnych takich, a przynajmniej niczego nie odnotowano – odparł zaskoczony Henryk. – Dlaczego o to pytasz? Zrobił coś? Podejrzewasz go?

– Sam właściwie nie wiem, o co go podejrzewam – odrzekł szczerze prokurator. Zsunął się na krześle i oparł nogi o biurko. – Sprawiał wrażenie osoby zaburzonej albo opętanej jakąś manią. Pomyślałem, że może to dziedziczne, cholera wie.

– Przeświatliłem go do ostatniego antenata, na którego temat są dane, i niczego ciekawego nie znalazłem. Oczywiście to, że jego dziadek był sierotą, może wydać się interesujące, ale nic poza tym.

Henryk zrobił przerwę, a Patrycjusz usłyszał szelest papieru.

Emerytowany agent zawsze był świetnie przygotowany.

– Nazwisko Robak zaczyna się od Jonatana Robaka, o rodzicach księgi kościelne milczą. Zgodnie z dokumentem przechowywanym w sierocińcu prowadzonym przez siostry zakonne, otrzymał swoje *cognomen* po opiekunie, niejakim Joachimie Robaku, jezuitcie. Potem był jego syn, Maurycy, a Radosław jest synem Maurycego, ma także siostrę, Ludmiłę...

– Wróć! – przerwał mu nagle Patrycjusz i gwałtownie się wyprostował. – Ten opiekun jak się nazywał?

Henryk znów zaszeleścił kartką, po czym powtórzył:

– Joachim, jezuita.

– Wiemy o nim coś więcej?

– Raczej niewiele, bo aż tak nie grzebałem. Ale mogę się dowiedzieć, jeśli chcesz – zapewnił Grabski.

– Chcę! Chcę natychmiast! To może być to!

Henryk nie bardzo rozumiał, czym jest „to”, ale jak na doskonałego szpiega przystało, nie zadawał pytań. Dowie się wszystkiego w trakcie poszukiwań.

– Zajmę się tym od razu i zadzwonię – rzucił do słuchawki, szorując długopisem po kartce.

Patrycjusz wyraźnie słyszał to skrobanie i wyobrażał sobie, że jego przyjaciel już sam postawił kilka pytań, na które postara się znaleźć odpowiedzi.

– Znakomicie, to nieoceniona pomoc. – Patrycjusz brzmiał jak podekscytowane dziecko. – A, zapomniałbym. Co robił ten nasz misjonarz, zanim przyjął święcenia?

– Dosyć późno przyjął śluby – odpowiedział Henryk. – Musiał poczuć powołanie w trakcie studiów lub tuż po nich, bo najpierw ukończył chemię.

– Chemię? Taką zwykłą chemię? – Pieprzycy spodziewał się najwyraźniej czegoś zupełnie innego, jakby myślał, że księża rodzą się w habicie.

– Taką zwykłą, ale z wyróżnieniem. Pasjonowała go chemia organiczna.

Przyjaciele się rozłączyli, po czym prokurator znów się zadumał. Chemia. Niemal jak Sherlock Holmes. Ciekawa sprawa. Nagle uderzyła go myśl, że jednak zapomniał zapytać o coś Henryka. Postanowił, że zrobi to, gdy tamten ponownie z nim się skontaktuje. Dla pewności zapisał sobie

pytanie na karteczce. Słoń Trąbalski miał trąbę, a jego pamięć musi posiłkować się kartkami.

Zmrok już dawno zapadł, a Patrycjusz miał w planie odwiedzić Babibór z samego rana. Prognozy pogody przewidywały gwałtowne obniżenie się temperatury, więc trzeba było przyspieszyć ekshumację Arciszewskiego, w przeciwnym razie kopanie w ziemi może okazać się niemożliwe. Pieprzyca miał tylko nadzieję, że nowy proboszcz nie będzie mu z tym robił problemu.

ROZDZIAŁ 30

Siedzący na zewnętrznym parapecie kuchennego okna gawron wydał z siebie cichutkie gruchnięcie, gdy obok niego pojawił się ogromny myszołów. Czarny łebek pochylił się w geście powitania, a po chwili wcisnął się pod rozłożone skrzydło myszołowa.

Gęsta mgła spowiła dom i zawisła nad jeziorem, jak gdyby ktoś wypuścił długie smugi waty cukrowej i owinął nimi powietrze wokół siedliska. Tafla jeziora była nieruchoma, a w jej gładkiej powierzchni odbijały się ciemne chmury, co jakiś czas rozświetlane przez tarczę księżyca.

Kiedy ostatnie światła w domu zgasły i nastąpiła całkowita ciemność zwiastująca nadejście pełnej nocy, dwa przytulone do siebie ptaki rozwinęły skrzydła i zatrzepotały nimi energicznie. Po chwili spowijająca świat wata cukrowa zamieniła się w małe tornado i równie szybko opadła, a tam, gdzie wcześniej znajdowało się oko cyklonu, stało dwoje ludzi, choć można było mieć wątpliwości co do ich zwyczajności.

Czarnowłosa Ksantypa otrząsnęła się, jakby chciała zrzucić z siebie niewidzialną pajęczynę, a stojący u jej boku wysoki, barczysty Rokita przeciągnął się leniwie. W jego oczach, całkowicie nieludzkich, czaił się niepokój.

– Już wiedzą – szepnął, całując żonę w czubek głowy. Jego głos zabrzmiał jak podmuch wiatru.

– Jeszcze nie wszystko – odparła miękko Ksantypa. – Obawiam się, że najważniejsze pozostało ukryte, tak jak chcieliśmy.

– Nie ma więc czym się przejmować, duszko. Zakonnik i tak by jej nie uwierzył, a los tej kobiety został przypieczętowany, nim rozpoczął się proces.

Czarownica potrząsnęła głową i wyswobodziła się z objęć ukochanego. Jej twarz wyrażała smutek i złość jednocześnie.

– Nie, mężu, to był błąd. Błąd, który kosztował zbyt wiele niewinnych istnień. To musi się skończyć.

Rokita podrapał się po brodzie i popatrzył na żonę w zadumie.

– Cóż więc zamierzasz, moja wiedźmo? – spytał po chwili.

Ksantypa zamknęła oczy, wzniosła ręce nad głowę i rozpoczęła bezgłośnie inkantację. Otaczające parę istot krzewy delikatnie się zakołysały. Usta czarownicy poruszały się coraz szybciej, a podmuchy wiatru stawały się coraz silniejsze. Po chwili wokół wiedźmiej sukni utworzył się wir porywający śnieżny puch i wszystko, co pod nim się znajdowało. Rokita przezornie odstąpił od sceny i przyglądał się z fascynacją. Zawsze kochał magię, a szczególnie tę piękną, która była dziełem jego żony.

Złożony ze śniegu, mlecznej mgły i cząstek roślin, przypominający lej cyklon zakrył całkowicie postać czarownicy i nagle zniknął. Ksantypa stała w kręgu, pod jej nogami zamiast czarnej ziemi zieleniła się trawa, a między źdźbłami pyszniły główki przylaszczek i koniczyny. Wiedźma otworzyła oczy, uśmiechnęła się filuternie na widok rozanielenia na twarzy Rokity, po czym dmuchnęła w dłonie, z których uniosły się cztery iskierki. W atramentowej ciemności nocy wyglądały jak psotne świetliki.

– Wiecie, co robić – szepnęła do nich Ksantypa. – Lećcie!

Iskierki radośnie podskoczyły, kilka razy zatoczyły kręgi wokół głowy czarownicy, a na koniec wystrzeliły – najpierw wspólnie, ostatecznie się rozdzielając tak, że każda z nich trafiła do osobnego okna. Przez chwilę szukały otworów, przez które mogłyby się wcisnąć. Okno w sypialni Basi akurat było uchylone.

Gdy iskierki zniknęły wewnątrz domu, Ksantypa uśmiechnęła się do Rokity, który patrzył na nią wzrokiem zakochanego szczeniaka.

– Możemy wracać, wszystko gotowe – oznajmiła miękkiem szeptem, po czym w mgnieniu oka zamieniła się w czarnego gawrona.

Po chwili dołączył do niej myszołów, a kilka uderzeń serca później dwa ptaki odleciały w stronę puszczy.

ROZDZIAŁ 31

— **C**udownie! – syknęła Julka, kiedy uświadomiła sobie, że powodujący ból zębów dźwięk wiertarki nie był elementem jej sennych koszmarów.

Otworzyła jedno oko i zerknęła na budzik, który stał cichutko na nocnej szafce po prawej stronie łóżka. Piąta siedemnaście, no bez żartów!

Zwlekła się z łóżka i wyszła z sypialni, postanawiając zamordować sprawcę hałasu gołymi rękami. Ewentualnie ciężkim butem, gdyby się okazało, że złoczyńcą jest stado szerszeni. Z tym mocnym postanowieniem otworzyła drzwi z takim impetem, że niemal wypadły z zawiasów, a wtedy zdziwiła się jeszcze bardziej.

– Co...? Co, u diabła?!

Przed drzwiami pozostałych pokoiów stały z identycznymi wyrazami na twarzach Ala, Basia i Lilka. Rozczochrane, opuchnięte od przedwcześnie przerwane snu, z nienawiścią spoglądające na sufit. Stamtąd właśnie dobiegały dźwięki, od których osocze gotowało się w żyłach.

– Przysięgam – warczała Lilka, zaciskając zęby – że zamorduję każdego, kto przyłożył do tego rękę.

Alutka, znana światu przede wszystkim z tego, że muchy by nie skrzywdziła, a obrzydlistwa w rodzaju włochatych pajaków przenosiła w chusteczce na trawnik, żeby nikt ich przypadkiem nie ukatrupił, tym razem także żądzę mordy miała wypisaną na zmarszczonym czole.

– Zatłukę, uduszę, posiekam i wrzucę do jeziora na żer wodnikom, rusałkom i utopcom – syczała, patrząc w górę. – Nie dość, że miałam straszne sny, przez które spościłam się jak szczur, to jeszcze ktoś postanowił zafundować mi migrenę!

– Ja też śniłam koszmar! – podchwyciła Basia. – Tomek mówi, że rzucałam się jak ryba wyjęta z wody i ciągle krzyczałam.

Lilka oderwała wzrok od powały i przyjrzała się twarzom przyjaciółek. Jakiś niepokój, nieskrystalizowana obawa, zakłuły ją w okolicach mostka.

– Co wam się śniło? – spytała lodowatym głosem. – Od lat nie miałam żadnych snów, a dziś w nocy wystąpiłam w roli głównej w potwornym

horrorze.

– Ja tak samo! – Basia spojrzała na Lilę zielonymi oczami, w których błysnęła nić zrozumienia. – Alutka?

– Boże, to było straszne! – pisnęła artystka i z paniką zaczęła obmacywać swój skalp. – Byłam łyśa, ogolili mi głowę, bydlaki! I było mi tak przeraźliwie, tak strasznie...

– Zimno – dokończyła głucho Julia, a pozostałe dziewczęta spojrzały na nią ze zgrozą.

– Ty też? – wyszeptła Basia.

Julia pokiwała głową i dodała:

– Tak, wiem, o czym mówicie. Ale ja nie grałam głównej roli, ja... stałam z boku i patrzyłam na trzęsącą się z zimna piękną kobietę z ogoloną głową.

– Jak mogłaś?! – W oczach Ali pojawiły się prawdziwe łzy. Wciąż sprawdzała, czy jej czupryna w kolorze miedzianego blondu na pewno trzyma się czaszki.

– Ale, Aluś... To nie byłaś ty, to był ktoś inny! – broniła się Julka. – A ja... Matko kochana, ja byłam facetem! O fujka nad fujki! Byłam paskudnym, starym zbrodźcą, który patrzył na tę biedulkę jak jakaś bestia! O mamuniu, niech mi ktoś wyciągnie ten obraz z głowy!

– O co tu chodzi? – Lilka zmarszczyła się z obrzydzeniem. – Czyżby znowu Marlina nas czymś napoiła i wszyscy w Babiborze teraz będziemy śnili to samo?

– Nie piłyśmy niczego, w czym mogłaby maczać palce pani Maślankiewiczowa – zastrzegła Basia.

– Ale piłyśmy nalewkę z katakumb Soni – przypomniała Julka. – Może ona już wcześniej była zatruta i dlatego ktoś zamknął kryptę, a my, głupie, właśnie otworzyłyśmy puszkę Pandory?

– Mam nadzieję, że to nieprawda... – Alicja się otrząsnęła, jakby prąd poraził ją od wewnątrz.

Pochłonięte odkrywaniem tajemniczej zмовy sennej zupełnie nie zauważyły, kiedy nad ich głowami zrobiło się cicho. Uświadomiły to sobie dopiero w chwili, gdy do ich uszu doleciał odgłos rytmicznego tupania na schodach.

Tup-tup-tup-łup!

Tak, czwarty od dołu stopień prowadzący na drugie piętro stanowczo

wymagał szybkiej naprawy...

– O jasna cholera! – zawołał ojciec Lilki. – Ten dom to prawdziwy poligon, niech to dunder śwśnie!

– Nic ci nie jest, Krzychu? – zapytał z troską tata Basi. Rozległy się trzy „tup”, później jedno „hyc” i Herman stanął na półpiętrze. – Trzeba to prędko naprawić, bo ktoś może sobie złamać nogę.

– Ktoś?! Na przykład ja! – jęczał Krzysztof. – Rany boskie, chyba ją skręciłem...

– Tato? – zaniepokoiła się Lilka, ale nie na tyle, żeby ruszyć mu z pomocą.

Bez przesady, nie zamierzała ryzykować zwichnięciem nogi, musiała być sprawna. W końcu trzeba się szykować do świąt.

– Liluś? Już nie śpisz, kochanie? – Tym razem w głosie Krzysztofa zagościły czułe nuty.

– Śpię, oczywiście, że śpię, i snią mi się jacyś nawiedzeni faceci, którzy o piątej rano używają wiertarki udarowej...

– Widzisz?! – syknął Herman do chwilowo unieruchomionego kolegi. – Mówiłem ci, że te ściany nie są dźwiękoszczelne i wszystkich obudzimy!

Cztery właścicielki siedliska wymieniły spojrzenia, skrzywiły się niemal identycznie, westchnęły z rezygnacją i postanowiły opuścić miejsce mrożącej krew w żyłach akcji.

– Idziemy do kuchni. Komu kawy? – rzuciła w eter Lilka.

– Mnie! – rozległy się trzy męskie głosy z góry i trzy damskie z dołu.

Jedynie Tomek się nie odezwał, bo wcisnął słuchawki w uszy i niczego nie słyszał, a zresztą i tak był za młody na kawę.

– No proszę – bąknęła Julka – nawet moja matula już nie śpi. To doprawdy jest święto lasu.

Dziewczęta zeszyły po schodach, nie troskając się zachowaniem ciszy. W końcu nikt już nie spał, a przy okazji mogły w ten sposób wyrazić swój stosunek do zastanego porządku. W normalnych okolicznościach starały się unikać tupania, więc przynajmniej ten jeden raz mogły sobie poużywać.

– Dzień dobry, aniołeczki! – przywitała je Aneta.

Siedziała na macie do ćwiczeń ułożonej naprzeciwko kominka, ubrana w neonowy różowy kostium, kojarzący się z popularnym w latach dziewięćdziesiątych callaneticsem, i wyglądała na bardzo zadowoloną z

życia. Jak gdyby wcale nie było w pół do szóstej rano...

– Nie wiem, jakie leki wzięłaś, ale ja poproszę podwójną dawkę. – Julka cmoknęła matkę w nadstawiony policzek i spojrzała prosto w kominek. Włosy jej się zjeżyły, kiedy płomień przywołał kolejny strzępek snu. – Jak spałaś, mamó? Nie miałaś koszmarów?

– Koszmarów? Absolutnie! Spałam jak niemowlę i obudziłam się rześka jak poranek za oknem. – Aneta odwróciła nagle głowę, a przy okazji pół korpusu w jakimś dzikim skręcie, niemożliwym do wykonania przez normalnych ludzi, i zapytała pozostałe dziewczęta: – Widziałyście, jaką mamy piękną zimę? Pewnie ze trzydzieści stopni mrozu. A jak cudnie będzie błyszczeć w słońcu!

Basia, która zimy nigdy nie lubiła, zmartwiła się ogromnie, bo miała nadzieję, że jednak zdarzy się cud i nadejdzie odwilż. Za to Ala rozpromieniła się jak słońce, które w odróżnieniu od lokatorów siedliska wciąż jeszcze spało, i pomknęła do okna w kuchni, skąd rozciągał się widok na jezioro i fragment lasu. Nie zauważyła nawet własnej rodzicielki, siedzącej przy kuchennym stole nad krzyżówką.

– O maaaaatko, jak pięknie! – zachwyciła się, przyklejając nos do szyby. – Patrzcie, jak mróz udekorował okna, to są prawdziwe dzieła sztuki! I te krzaki, takie ubielone, jezioro jakby zrobione ze szkła i te kwiaty... – urwała nagle, gdy mózg przetworzył obraz. – Hej, chodźcie tu! Czy ja mam omamy?!

Wiele można by powiedzieć o Alicji – że buja w obłokach, że wiecznie śni na jawie, że patrzy na świat przez różowe okulary – ale akurat omamów nigdy nie miała, więc jeśli nie była to zasługa nalewki, to coś innego stało za tym dziwem.

Zaintrygowane dziewczęta oraz Aneta i pani Wandzia ruszyły natychmiast do kuchni i stanęły obok filigranowej artystki, ledwo wystającej nad parapet, jako że okna znajdowały się dość wysoko.

– Gdzie ten omam? – zapytała rzeczowo Lilka, taksując okolicę podejrzliwym spojrzeniem.

– Tu, pod oknem, patrz! – Alutka postukała palcem w szybę, wskazując miejsce, w którym należało szukać omamu.

Był tam! W całej okazałości! A niech nas!

Otóż w odległości nie większej niż metr od okna zielenił się idealnie

okrągły klombik, gęsto porośnięty kwitnącymi przyłasczkami i fioletową koniczyną. Soczysta zieleń trawy i intensywny odcień kwiatów sprawiały wrażenie nie tyle omamu, co idealnej makiety. Jak gdyby ktoś ją tam wstawił, doskonale wyciętą i udekorowaną. Tylko... w jakim celu?

– C-co to? – Mama Alicji, tak samo niewysoka jak jej latorośl, wpatrywała się w klombik z szeroko otwartymi ustami. – Zrobiłyście tam sobie zimowy ogródek?

– No co ty, mamó! – zachnęła się Alicja. – Czy ja wyglądam na zachwyconą tym, że mi zielsko w środku zimy zakwitło, czy raczej jestem oszłamiona niewyjaśnionym zjawiskiem?

– Nie musisz być od razu taka opryskliwa! – Pani Wandzia obraziła się na amen. Nie nawykła do bycia ofukiwaną, tym bardziej przez własną córkę, która z niewiadomych jej przyczyn ostatnimi czasy mocno ograniczyła kontakty z rodzicielką. – To ja może pójdę wstawić wodę na kawę.

Propozycja została przyjęta z milczącą aprobatą. Pozostałe kobiety wpatrywały się jak urzeczone w niedający się wytłumaczyć cud w siedlisku. W środku zimy, w trzydziestostopniowym mrozie, kwitnące przyłasczki?!

– Wiecie co... – odezwała się dziwnym głosem Lilka. – Powiedzieć, że czuję się zaskoczona, to niemal jak nazwać Szelesta przystojnym mężczyzną. Niedopowiedzenie *level master*.

– Pełna zgoda – przyznała Basia. – Albo jakby nazwać Robaka miłosiernym i tolerancyjnym.

– Którego Robaka? – zauważyła całkiem słusznie Aneta.

– Właśnie! – podjęła Alicja. – Ten z mojego snu był chyba gorszy.

– Z mojego na pewno – stwierdziła gorzko Lila. – Trudno mi uwierzyć, że ktokolwiek mógłby być tak okrutny.

Julia i Basia nie włączyły się do dyskusji na temat historycznego księdza, co wydało się Lilce podejrzane.

– Ejże, a wy co? Przecież też miałyście koszmary! – zaatakowała je.

– Owszem, ale ja chyba innego rodzaju... – wyznała Basia. – W moim Robak mnie... Ekhm... no... Cholera! Nie przejdzie mi przez gardło!

– Uwiódł cię – wyręczyła przyjaciółkę Julia, a jej głos zabrzmiał z taką mocą, że wszystkie kobiety przeszedł dreszcz. – Ten nikczemny lubieżnik,

ta podła świnia wykorzystała fakt, że chciałaś ratować życie, i zrobił to, co zboczone dziady robią z pięknymi dziewczynami. A ja w moim śnie byłam właśnie tym zboczonym dziadem.

Czajnik pstryknął głośno, przerywając przerażającą ciszę, jaka zapadła po słowach Alicji. Pani Wandzia się wzdrygnęła, choć nie wiadomo, czy na dźwięk czajnika, czy też niechęć wyobraziła sobie drastyczną scenę z sennego koszmaru Basi. Zakładając, że Ala rzeczywiście była zboczonym dziadem, ona musiała przeżyć nieco mniejszą traumę.

W świetle nowo odkrytych szczegółów przedziwnych snów omam za oknem stracił chwilowo na atrakcyjności, a cała uwaga obecnych w kuchni zwróciła się ku zjawisku współdzielenia koszmarów. Jakim cudem cztery osobne umysły mogły śnić to samo? W dodatku z różnych perspektyw?

– Tu się dzieją naprawdę tajemnicze rzeczy – zawyrokowała Aneta. – Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby Morfeusz podarował tę samą historię.

– Niezupełnie tę samą – zaoponowała Lilka po chwili zastanowienia. – Ja nie byłam łysa, a Alicja owszem. Julka była... starym zbereźnikiem, a my trzy młodą kobietą.

– Może to skutek czytania tego pamiętnika? – zasugerowała pani Wandzia, która z wrażenia zapomniała, że jest obrażona.

– Pani też się śnił Robak? – zdumiała się Aneta.

– Nie, skąd! – zaperzyła się matka Alicji. – Nic mi się nie śniło, a już na pewno nie żaden zbereźnik.

– Mnie też nie, więc albo jesteśmy wrażliwe jak menhiry, albo teoria pamiętnika jest niewłaściwa – podsumowała pani Jędrzejak.

– Teoria? Jaka teoria? – rozległ się od strony salonu donośny baryton.

Ojcu Lilki udało się wyswobodzić z pułapki schodowej i obaj panowie zeszli po zapowiedzianą kawę.

– Pani Wandzia uważa, że na skutek wczorajszej lektury wszystkim śniły się koszmary – oznajmiła Aneta, odpowiadając na pytanie ojca Basi, ale patrzyła w oczy kulejącemu Krzysztofowi. – Ojejku, a panu, Krzysiaczku, co się stało?

– Krzysiaczku?! – jęknęła Lilka. – Powiedzcie mi, że to się nie dzieje. Może wciąż śni nam się koszmar...

– Ej, przecież od dawna marudziłaś, że twój tata powinien sobie kogoś znaleźć. – Alicja szturchnęła przyjaciółkę. – No to znalazł. I zobacz, jaki jest

zadowolony.

– Lil, co tu się wyprawia? – Wyraźnie zde gustowana Julka podeszła bliżej, wytrzeszczając oczy ze zdumienia. – Czy mnie coś ominęło? Kiedy to – wskazała głową na swoją matkę i ojca Lilki – się stało?

– Między zalotnym mrugnięciem sztucznych rzęs a wyzywającym poprawieniem biustu – odparła złośliwie Lilka. – Niech mnie ktoś uszczypnie, błagam!

Nie musiała prosić dwa razy. Trzy uszczypnięcia później żałowała, że nie ugryzła się w język. Przynajmniej bolałoby tylko raz.

– No, no... Tego nawet Marlena Maślankiewicz by nie przewidziała – stwierdziła Basia, po czym poszła po kubki na kawę.

Aneta pomogła Krzysztofowi usiąść na krześle i z troską oglądała jego lekko napuchniętą kostkę. Basia z panią Wandzią rozlewały niemal czarny napar do kubków, Herman z pozostałymi dziewczętami usiadł przy stole i z nie mniejszym niż u Lilki zde gustowaniem przyglądał się poczynaniom matki Julki. Julka również nie wyglądała na zadowoloną, żeby oddać sprawiedliwość.

– O co chodzi z tymi snami? – zapytał ojciec Basi, nachylając się do Ali.

– Miałyśmy wspólny koszmar o tej historii z pamiętnika – odszeptą, nie odrywając oczu od rozanielonej twarzy Krzysztofa. – Dziwne, co?

– Jak to wspólny? – dociekał były policjant. – Śnił się wam wszystkim pamiętnik?

– Nie tyle pamiętnik, co opisane w nim wydarzenia. Każdej jakby inna scena. A w dodatku wszystkie poza Julką byłyśmy tą Anną. Da pan wiarę?

Ta informacja wyraźnie zaintrygowała mężczyznę.

– A Julka kim była?

– Mówi, że tym jezuitą. I jej śniło się to samo co Basi, tylko Basia była Anną.

To już wydawało się co najmniej niewiarygodne, a stary pies, jakim ponad wszelką wątpliwość był Herman Polot, wraz z doświadczeniem nabył pewnych odruchów. Jeden z nich kazał mu zawsze wątpić w niewiarygodne, a ufać temu, co podpowiada rozum. Otwierał już usta, żeby zadać Alicji kolejne pytanie, kiedy tuż przed jego nosem wylądował kubek z kawą.

– A gdzie mama? – rzuciła Basia. – Mówiła, że też chce kawę.

– I gdzie mój tata? – przyłączyła się do pytania Alutka.

Zarówno pani Wandzia, jak i Herman nie mieli pojęcia, gdzie się znajdują ani co robią ich małżonkowie, w odpowiedzi wzruszyli więc ramionami i zajęli się aromatycznymi napojami. Wanda znowu sobie przypomniała o tym, że przecież jest obrażona, i ostentacyjnie zamilkła.

Uwaga Anety, do tej pory skupiona na urażonej kostce „Krzysiaczka”, powróciła do interesującego ją wcześniej tematu, gdy tylko usiadła przy stole, a w jej wypiełgnowane dłonie trafił kubek z kawą.

– Słuchajcie, ja bym jednak była za tym, żebyśmy zastanowili się nad tym waszym snem – oznajmiła bez zbędnych wstępów. – Moim zdaniem tu się dzieją niesamowite rzeczy, ale wszystkie niesamowite rzeczy mają jakiś powód. Prawda?

Nikt się nie odezwał, bo i cóż można było powiedzieć? Aneta uznała, że milczenie oznacza zgodę, kontynuowała zatem rozważania:

– Weźmy na przykład tego współczesnego Robaka. Gdyby on się nie pojawił, to może nigdy nie czytaliśmy tego pamiętnika. A zatem był powód, żeby siły wyższe skierowały tu takiego czubka. A co, jeśli te same siły zesłały na was ten sen w jakimś ważnym celu?

– Niby jakim? Żebyśmy zaczęły cierpieć na bezsenność i postradały zmysły? – Lilka nie zamierzała przyjąć żadnych teorii od tej epatującej seksapilem ryczącej pięćdziesiątki. Dla zasady. I za „Krzysiaczka”.

– Lila, opanuj się! – przywołała ją do porządku Alicja, która uważała, że tata Lilki i mama Julki tworzą całkiem ładną parę, a Krzysztofowi przydałaby się taka kobieta z charakterem. – Niewykluczone, że ten sen rzeczywiście jest dla nas przekazem, tak samo jak kwietnik na środku ośnieżonego ogrodu.

– Kwietnik? – Krzysztof zwany Krzysiaczkiem spojrzał na Alicję niemal jak pies na widok przysmaczku.

– No tak, zapomnieliśmy. Kwiatki nam w nocy wyrosły – zbyła go Lilka. – Później sobie obejrzysz, najpierw wypij kawę. To która z nas zaczyna opowieść?

Po krótkiej dyskusji uznano, że pierwsza swój sen powinna opowiedzieć właśnie Lilka, gdyż ona, jako Anna, w sennym majaku posiadała włosy. W pozostałych fragmentach kobieta była już pozbawiona swoich płomiennorudych loków.

W miarę jak opowiadały, a wyłaniająca się historia zyskiwała kształty, kolory i zapachy, w sercach wszystkich rosło poczucie, że Aneta miała rację. Nie bez powodu nieznana siła wyższa podsunęła dziewczętom te obrazy, zasadnicze jednak pytanie brzmiało: co one powinny z tym zrobić? I na nie, niestety, nikt nie potrafił na razie znaleźć odpowiedzi.

ROZDZIAŁ 32

My, Sędzia i asesory, przyjrawszy się i rozważywszy szczegóły procesu prowadzonego przez nas przeciwko tobie, Anno Arciszewska, z Babiboru Podlaskiego, i po dokładnym zbadaniu całej sprawy, stwierdzamy, że jesteś niepewna w swoim zeznaniu. Kiedy na przykład mówisz, że twoje dziecię nie zostało poczęte dzięki nieczystym mocom, ale mimo wszystko istnieją rozmaite dowody, które są wystarczającą przesłanką, by poddać cię przesłuchaniu i torturom. Dlatego, aby poznać prawdę z twoich ust i abyś od tego momentu nie obrażała uszu Sędziów, oświadczamy, oskarżamy i skazujemy cię na to, że w dniu dzisiejszym, w samo południe, zostaniesz poddana przesłuchaniu i torturom⁵².

*

Nie bałam się. Ani inkwizytor, ani jego asesory, ani przesiąknięte wilgocią i pokryte śmierdzącą pleśnią mury mojej celi nie były w stanie mnie przestraszyć. Jedyne, co budziło mój przestach, to los mego synka, na którego tak długo czekałam i przez którego to wszystko się wydarzyło.

Czy żałuję? W żadnym razie. Ani przez chwilę w moim sercu nie pojawiła się choćby iskra żalu. Widocznie tak miało być. Biada jednak tym, którzy odważyli się podnieść rękę na moją rodzinę. Zemsta czarownicy zawsze przychodzi. Trwóźcie się wy, którzy dopuszczacie się zbrodni. Nie ma dla was wybaczenia i nie będzie litości!

*

Nie wiedziałam, ile czasu trzymali mnie w ciemności i ciszy, choć było jasne, że to stanowiło element ich planu. Każdej nocy – o ile można mówić o nocy i dniu, gdy wokół mnie bezustannie panowała atramentowa ciemność – we śnie odwiedzała mnie Matka. Ta, która wie wszystko o ludziach i ich podłej naturze. Dlatego wybrała życie z dala od nich, w miejscu, gdzie żaden człowiek nie odważył się zapuścić ze strachu przed tym, że nigdy nie uda mu się stamtąd wydostać. Żaden poza mną.

W jej oczach jak w zwierciadle widziałam wychudzoną, bladą, lecz pełną życia kobietę. Zaciekle pragnienie walki wycierało spod skóry jak spod maski, którą kazano mi nosić wbrew mej naturze. Oprawcy nie byli w stanie mi tego odebrać. Mogli zabrać wszystko inne, lecz moja dusza jest silniejsza niż ich zaślepienie nienawiścią i strachem umysły.

O tak, strachem! Boją się mnie panicznie, a fetor ich trwogi drażni moje nozdrza i dodaje sił. Unikają nawet mojego spojrzenia, nigdy też żaden nie odważyłby się mnie dotknąć, jakby toczył mnie trąd. Zakładają rękawice, zupełnie nieświadomi, w czym tkwi moja siła. Kneblują mnie, żebym nie mogła ich przekląć, gdy przynoszą mi wodę i tę odrobinę spleśniałego chleba. Głupcy! Gdyby znali prawdę, zabiliby mnie natychmiast, choć i to na niewiele by się zdało. Nie da się uciec przed przeznaczeniem, a kara zawsze podąża za winą.

On nigdy nie schodził do celi. Ten, który był wszystkiemu winien i który do samego końca nie będzie zdawał sobie sprawy z ciężącego na nim wyroku. Ma siebie za narzędzie w rękach Boga, boski oręż, posłuszenie i ze ślełą wiarą wykonujący Jego polecenia. Młot. Młot na czarownice. Bezwzględne i bezduszne ludzkie bydlę.

*

Kiedy po mnie przyszli, nie wiedziałam, czy był dzień, czy noc. Każda sekunda w tym miejscu wyglądała identycznie jak poprzednia.

Było ich czterech. Czterech wielkich jak dęby mężczyzn na jedną kobietę. Na ich ciałach trudno byłoby znaleźć choć jedno odsłonięte miejsce, nawet twarze ukryli pod dziwnymi maskami. Aż tak się mnie bali. Bardziej niż samego Szatana.

Ręce i nogi zakuli mi w łańcuchy, za które mnie ciągnęli jak krowę na rzeź. Zabawne.

– Już inkwizytor zetrze ci ten uśmiech z gęby, więdźmo – rzucił jeden z nich.

Uśmiechnęłam się jeszcze szerzej, niczym drapieźnik

– Zobaczymy... – odparłam zalotnie.

– Milcz, diablico! – Drugi pociągnął za łańcuch i uderzył mnie w twarz dłonią owiniętą w zbutwiałą szmatę. – A jak otworzysz paszczę, żeby nas zaczarować, to wybije ci zęby.

Wcale mnie nie wystraszył, jedynie zdenerwował. Byłam gotowa gryźć, gdy nagle w głowie usłyszałam jej głos: „Spokój, córko. Czas zapłaty nadejdzie”.

Zaprowadzili mnie do miejsca, w którym nigdy wcześniej nie byłam – do obszernej pięciobocznej komnaty z oknami umieszczonymi tak wysoko, że żaden człowiek nie byłby zdolny przez nie wyjrzeć. Przyzwyczajone do mroku oczy samoistnie się zmrużyły, gdy tylko weszłam w smugę światła, a oni natychmiast wzięli to za dowód mego związku z Diabłem. Głupcy.

Inkwizytor siedział przy stole, który ugiął się pod ciężarem stojącego na nim jadła. Mój zasuszony i skurczony do granic możliwości żołądek natychmiast zareagował i byłabym rzuciła się na ten stół jak zwierzę, gdyby nie łańcuchy boleśnie wrzynające się w moje kończyny.

Podniosłam wzrok na swego oprawcę. Uśmiechał się zwycięsko. Chwycił w dłoń jabłko i bawił się nim, jakby szczuł, żeby w ataku szaleństwa jęła go błagać o litość. Ugryzł je, a sok pociekł mu po brodzie.

– Chcesz? – zapytał, wyciągając w moim kierunku rękę z błyszczącym owocem.

Splunęłam przed siebie.

– Udław się nim! – syknęłam dziko.

Inkwizytor raz jeszcze obejrzał owoc z każdej strony, a potem rzucił nim z taką siłą, że rozprysnęło się na przeciwległej ścianie.

– Jak chcesz, wiedźmo – odparł beznamiętnie, wzruszając ramionami. – Będiesz głodna, dopóki sama nie postanowisz inaczej. Jesteś gotowa przyznać się do winy?

Zmilczałam. Patrzyłam mu w oczy, czoło trzymałam wysoko uniesione.

– Przemyśl to, dobrze się zastanów – ciągnął zakonnik.

– Wszystko już powiedziałam – odrzekłam. W głowie znów słyszałam szept Matki: „Bądź dzielna, córko. To oni powinni bać się ciebie”.

Spod półprzymkniętych powiek obserwowałam, jak inkwizytor przygląda mi się w milczeniu. Wodził wzrokiem po brudnej twarzy, szyi, spoglądał na piersi uwypuklające się pod pogniecioną suknią, w niczym nieprzypominającą już ubrania, w jakim mnie tu sprowadzono. Na biodrach zatrzymał spojrzenie nieco dłużej, jak gdyby oceniał, czy są na tyle szerokie, żeby dać życie dziecku. Czułam ten wzrok każdą komórką ciała, jednak – mimo rosnącego we mnie obrzydzenia – nie dałam niczego

po sobie poznać.

– Wyjdźcie! – rzucił nagle do pilnujących mnie mężczyzn, a gdy ci spojrzeli na niego z wahaniem, krzyknął: – No, już! Wyoście się!

Nawykli do ślepego wykonywania poleceń strażnicy puścili łańcuchy, które z głuchym brzdękiem uderzyły o kamienną posadzkę. Poczulałam ulgę, gdy obejmujące nogi obręcze opadły na stopy.

– Posłuchaj mnie, Anno – odezwał się do mnie jezuita, tnąc przerażającą ciszę chropowatym ostrzem głosu, od którego zamarłam. – Nie chcę twojej krzywdy. Wciąż nie jest za późno, ratuj się. Pomyśl o swojej rodzinie.

Jak on śmiał?! Jak to możliwe, że te kłamliwe słowa przeszły mu przez gardło? Z każdą chwilą ten człowiek wydawał mi się coraz bardziej obrzydliwy.

– Masz na myśli tych, za których sprawą znalazłam się w niewoli, skuta łańcuchem niczym wściekły pies, głodzona i zmuszana do załatwiania się pod siebie? – Głos mi drżał ze złości, bezsilności i zmęczenia. Choć nigdy bym tego przed nim nie przyznała, byłam wyczerpana.

– Znalazłaś się tu tylko dzięki sobie – oznajmił donośnie. – I tylko od ciebie zależy, czy wrócisz do dawnego życia. Ostatni raz daję ci szansę na przerwanie procesu. Wyznaj grzechy, wskaż, gdzie znajdziemy tę, która dała ci moce, a znów zobaczysz swego syna.

Ach! Więc o to mu chodziło! Chciał, bym wyrzekła się Matki, bym wydała ją na jego pastwę. Głupiec! Nie ma pojęcia, o czym mówi! Nie przeżyłby ani sekundy, gdyby Ona tak postanowiła.

Zamknęłam oczy i czułam, jak moje ciało zaczyna drgać. Najpierw ramiona, później cała reszta, aż w końcu roześmiałam się głośno.

– Biedny klecho, nie wiem, skąd pomysł, że masz jakąkolwiek władzę nad siłami natury – rzuciłam, zanosząc się śmiechem. – Wydaje ci się, że wiesz tak wiele, a nie masz pojęcia o niczym.

Nie tyle moje słowa, co nieskrępowany śmiech wprowadził zakonnik w osłupienie. Patrzył na mnie w stuporze, a w jego oczach narastał mrok, który wkrótce objął także resztę twarzy. Przypominała ona teraz szkaradne rzygacze na dachach kościołów.

– Straż!!! – wrzasnął z wściekłością, nad którą przestał już całkiem panować.

Rozległ się tupot i po chwili czterej mężczyźni stanęli obok mnie, gotowi

wypełnić kolejne rozkazy swego pana.

– Wyprowadzić wiedźmę i przygotować salę do tortur!

Posłuszne pionki skinęły głowami i znów poczułam uprężę wokół kostek.

– Wezwać jej siostry – dodał już spokojniej inkwizytor. – Niech zna łaskę Joachima Robaka.

Żałowałam, że stał tak daleko. Gdyby zbliżył się o krok, naplułabym mu w twarz. On musiał być tego świadom, bo skrzywił się w paskudnym grymasie.

– I nigdy nie zapominaj, że miałaś szansę – szepnął, oblizując się lubieżnie. Jego rozpalone oczy wędrowały po moich ustach, aż spoczęły na piersiach, unoszących się nienaturalnie szybko. – Módl się do tych swoich diabelskich kochanków, żeby pozwolili ci umrzeć, nim z tobą skończę. Zabrać ją! – rozkazał strażnikom.

Zapłacisz za to, Joachimie Robaku, a zapłata będzie słońa.

*

Znów zamknięto mnie w ciemnej celi, ale nie w tej samej co poprzednio. Ta była większa, pachniała inaczej, a w rogu, co dostrzegłam w smudze światła wpadającego przez uchylone drzwi, ułożono słomę. Obok siennika stał metalowy nocnik – cóż za wygody!

– Ciesz się resztkami życia – zarechotał jeden ze strażników. – Zamknij oczy i nie wąż się ich otwierać, zanim nie skończę.

Bez słowa wykonałam polecenie, wiedziałam bowiem, że opór jedynie ich rozsierdzi, a ja chciałam jak najszybciej zostać sama. Z niejasnych dla mnie powodów miast do izby, gdzie mogliby mnie torturować, przyprowadzili mnie tutaj.

Nim zamknęły się ciężkie wrota, drugi strażnik postawił na ziemi miskę z ugotowanymi ziemniakami. Coś tu ewidentnie się nie zgadzało... Nieufnie przyglądałam się jedzeniu, aż w końcu nie wytrzymałam. Rzuciłam się na kolana i jadłam łapczywie jak bydlę, szorując włosami po brudnym klepisku. To nie miało żadnego znaczenia – nic teraz nie miało znaczenia poza potrzebą zaspokojenia głodu. Nawet dolatujący zza drzwi rechot strażników, którzy z całą pewnością musieli podglądać mnie przez jakąś szparę, nie był w stanie mnie poruszyć. Tylko pragnienie przeżycia i

zaspokojenie głodu się liczyło.

– Ej ty, wiedzmo! – zawołał któryś. – Chcesz mleka?

Chciałam. Niczego innego tak bardzo nie pragnęłam, jak jeść i pić. Zlizałabym roztrzaskane o ścianę jabłko, gdybym dostała taką możliwość.

Drzwi zaskrzypiały, uchyliły się, owinięta szmatą ręka wstawiła kubek i na powrót zatrzasnęła ciężkie wrota. Oderwałam się od miski i na czworakach doszłam do kubka. Było ciepłe, nie gorące, ale przyjemnie grzało w dłonie. Piłam tak łapczywie, że dwie strużki pociekły mi z ust, znacząc piersi i wsiąkając w sukno. Nie szkodzi. I tak na bal się nie wybierałam.

Ściśnięty od kilku dni postu żołądek nagle zaprotestował i nie potrafiłam powstrzymać wymiotów. Śmiech za drzwiami stawał się coraz głośniejszy, jednak nic mnie to nie obchodziło. Niech się śmieją, póki mogą. Później przyjdzie pora na łyzy.

Obolała doczołgałam się do siennika i padłam na niego, ciężko dysząc. Zaległam na wznak i przez chwilę patrzyłam w powałę. Skupiłam wzrok na kropli wody, która precyzyjnie się jakąś sobie tylko znaną drogą, i czekałam, aż spadnie. Rosła, rosła, wydłużała się. Kap. Ledwo spadła, na jej miejscu pojawiło się kolejne wybrzuszenie. Kap.

Nim otulił mnie kojący welon snu, naliczyłam sześć lub siedem kropli.

*

Obudziły mnie hałasy: podniesione głosy damskie i męskie, szloch i krzyki. W oddali słyszałam dźwięki toczącego się życia, choć w tej istnej kakofonii trudno było je rozróżnić. Wiedziałam jednak, że dzieje się coś dziwnego.

Przez niewielki otwór w drzwiach wpadały promienie słońca, co chwilę przysyłane poruszającymi się kształtami. Potrafiłam już rozpoznać głosy moich strażników i wyczuć ich nastroje. Byli zdenerwowani, ale nie wystraszeni, bardziej... podekscytowani?

Nagle źródło światła zniknęło, a w mojej celi zapanowała ciemność.

– Hej, wiedzma się przecknęła! – zawołał najmłodszy ze strażników.

Spojrzałam na drzwi i dostrzegłam, że to jego twarz przesłania otwór. Gapił się na mnie, z trudem wyławiając moją sylwetkę w mroku panującym w pomieszczeniu.

– Co się dzieje? – zapytałam. Nie czułam niepokoju, raczej ciekawość.

– Kat przyjechał! – zarechotał, a pozostali natychmiast przyłączyli się do niego. – Odsuń się od drzwi, diablico.

Wcale nie stałam przy drzwiach, jednak zrobiłam krok w tył, omal nie przewracając miski po ziemniakach. Sięgnęłam po nią i poturlałam w kierunku wejścia do celi.

Drzwi otworzyły się z identycznym jak poprzednio skrzypnięciem, lecz tym razem ręka strażnika była naga. Czyżby stracił czujność?

Metal stuknął o klepisko. Miska została zastąpiona przez inną. Dostrzegłam w niej chleb i ser. Z trudem zapanowałam nad pragnieniem rzucenia się na nie.

– Stój, gdzie stoisz! – warknął strażnik, a w jego głosie wyraźnie usłyszałam lęk.

Obok miski z jedzeniem postawił gliniany kubek i natychmiast zatrzasnął drzwi. Odczekałam chwilę, świadoma, że każdy mój ruch jest uważnie śledzony. Tym razem też się pilnowałam, by nie jeść tak łapczywie jak poprzednio. Wyszło mi to zresztą na dobre i pozwoliło w przyszłości dłużej czuć sytość.

Spodziewałam się, że natychmiast zabiorą puste naczynia, żebym – nie dajcie bogowie – nie użyła ich do odprawienia czarów, tymczasem za drzwiami było zastanawiająco cicho. Odniosłam wrażenie, że zostawiono mnie bez nadzoru, co zdarzyło się po raz pierwszy, odkąd znalazłam się w tym miejscu. Nie miałam jednak złudzeń: to także musiał być element gry, jaką rozpoczął inkwizytor. Zmiana celi, siennik, jedzenie – to wszystko miało mnie zmiękczyć, złamać mój wewnętrzny opór, przekonać, że wciąż mogę odzyskać normalne życie. Wystarczy tylko, bym się przyznała.

*

Nie wiem, ile czasu minęło, nim znów usłyszałam ruch za drzwiami celi. Mogły to być minuty równie dobrze jak godziny. Przez otwór w drzwiach sączyło się coraz mniej światła, więc domyśliłam się, że zbliża się wieczór.

Najpierw usłyszałam kroki, było ich więcej niż zwykle, a więc strażnicy nie przyszli sami. Po chwili kroki ucichły, a pod drzwiami rozległo się kilka głosów. Rozpoznałam niemal wszystkie, gdy nagle wydało mi się, że umysł

płata mi figle. Mami mnie, kpi ze mnie, bawi się mną. To przecież w żadnym razie nie było możliwe!

Szczęk skobla rozległ się tak niespodziewanie, że aż podskoczyłam. Tym dziwniejsze wydało mi się to, że nikt nie kazał mi się cofnąć. Mimo wszystko zrobiłam kilka kroków w tył.

– Anka? – Wbrew moim przewidywaniom w drzwiach pojawiła się głowa młodej dziewczyny.

Cofnęłam się jeszcze, aż poczułam chłód i chropowatość kamiennej ściany. To niemożliwe. Jak? Jakim cudem?!

– Anka! – powtórzyła dziewczyna, kiedy dojrzała w mroku moją twarz. – O wielkie nieba, jak ty wyglądasz?!

Niepowstrzymywana przez strażników młodsza siostra rzuciła się na mnie i ścisnęła tak mocno, że aż odebrało mi oddech. Po jej twarzy płynęły łzy, które po chwili zmieszały się z moimi.

– Wieśka! Wiesieńko! Siostrzyczko! – Scałowywałam te łzy, nie mogąc uwierzyć, że trzymam jej głowę w swoich rękach, że znów mogę spojrzeć w jej nakrapiane jak bursztyn oczy, że czuję bicie jej serca tuż obok mojego.

– Aniu, co oni z tobą zrobili? – wyszlochała gdzieś między moim uchem a brodą. – Jakaś ty chuda!

– Nie martw się, Wiesiu, nie mam tu zbyt wiele do roboty, to i sił za dużo nie trzeba – usiłowałam podtrzymać ją na duchu.

Odsunęła się ode mnie na odległość łokcia i delikatnie dotknęła moich piersi. Były miękkie, skąd zresztą miałoby znaleźć się w nich mleko? Wieśka spojrzała mi w oczy, a jej znów zaszły łzami.

– Nie rycz, głupia – upomniałam ją, usiłując się uśmiechnąć. – Już i tak pewnie przyzwyczał się do koziego mleka, a i mnie lżej bez tych nawałów.

Szesnastoletnia zaledwie Wiesia nie mogła wiedzieć, czym jest nawał mleczny, jednak doskonale rozumiała, że słowa te kosztowały mnie więcej, niż można było sobie wyobrazić. Nikt nie znał pragnień mego serca tak dobrze jak ona. Nikt nie kochał Augusta bardziej niż ja – za wyjątkiem Wiesi.

– Anka, boję się – wyszeptwała. – Bardzo się boję o ciebie, o Augusta, o naszą rodzinę. Co teraz będzie?

– Wszystko będzie dobrze – odparłam z niezłomną pewnością.

– Powiedz im – poprosiła miękko, głaszcząc mnie po policzku.

Nie zrozumiałam, co miała na myśli.

– Co takiego?

– Powiedz im, co się stało, jak to się stało, że... – Podniosła na mnie wzrok, gdy głośno wciągnęłam powietrze.

– Wieśka! Czego ty ode mnie żadasz?!

– Powiedz im, Anno – poprosiła szeptem. – Wyznaj wszystko, co chcą usłyszeć. Obiecali, że darują ci życie.

Złość wezbrała we mnie z taką siłą, że moja siostra gwałtownie się cofnęła, choć nigdy przez całe jej życie nie dałam jej powodów, aby się mnie bała. Czułam, jak palce dłoni zwijają się w pięści, a moją twarz wykrzywia pełen wściekłości grymas. Nie potrafiłam nad tym zapanować, zwłaszcza gdy w uszach słyszałam coraz głośniejsze: „Bądź silna, córko! Bądź silna!”.

– Ach, więc tak to sobie zaplanowali – wycedziłam lodowato, wlepwszy rozszierzone spojrzenie w otwór w drzwiach. – Chcieli wykorzystać ciebie, jedyną osobę, której wciąż ufam, żeby przekonała mnie do wyznania grzechów, jakie sobie ubrdali. Głupcy!!! – krzyknęłam tak głośno, że Wiesia drgnęła. – Możecie ją stąd zabrać, niczego nie powiem! Słyszysz, Joachimie Robaku?! Na nic twoje podstępny!

Skobel zazgrzytał, zawiasy skrzypnęły i jeden ze strażników pociągnął moją siostrę za pasek sukni. Wiesia opierała się trochę, znów zalewając się łzami, jednak ja pozostałam na nie nieczuła. Odwróciłam się tyłem do drzwi i wpatrywałam w ścianę, dopóki wrota nie zamknęły się z hukiem. Celę ponownie zalał mrok. Dopiero wtedy pozwoliłam popłynąć łzom, a jednocześnie zagryzałam wargi, aż do krwi, żeby nie wyszedł spomiędzy nich żaden dźwięk.

*

Musiało być późno w nocy, kiedy drzwi znów się otworzyły, tym razem na oścież. Wyrwana z niespokojnego snu skuliłam się na sienniku, unikając patrzenia w światła lamp, które trzymali w rękach strażnicy. Znów mieli na sobie uwite ze szmat ochraniacze, co oznaczało, że dokąś mnie zabierają.

– Wstawaj, wiedźmo! – ponaglił mnie jeden ze strażników. Nie miał jednak na tyle odwagi, by podejść do mnie. Żaden z nich nie miał.

– Czego znowu chcecie? Może teraz przyprowadziliście mojego męża, co? – pytałam spokojnie.

– Zamilknij, czaricia dziwko, nie ty będziesz pytać – warknął drugi.

– Ciekawam, dlaczego wasz świętobliwy sędzia jeszcze mnie nie odwiedził – ciągnęłam. – Wolał wysłać młódkę, żeby za niego robotę wykonała. Tchórz z niego, panowie. Tchórz i drań.

Nie oczekiwałam, że zgodzą się ze mną i nagle w cudowny sposób położą kres memu położeniu, zamierzałam ich raczej zdenerwować, ale najwyraźniej wcześniej otrzymali pouczenie od swego mistrza. Niemal potrafiłam wyobrazić sobie, jak ich przestrzega tym swoim pełnym okrucieństwa i zaciekłości głosem: „Nie zważajcie na jej słowa, nie słuchajcie melodii przesiąkniętej diabelską trucizną, nie dajcie jej się wciągnąć w dysputy!”. O tak, tak właśnie musiało być.

– Powstań i podejdź tu, czarownico – rozkazał najmłodszy ze strażników. – Sędzia i kat już na ciebie czekają.

Stłumiłam ziewnięcie, co bynajmniej nie było celowe, lecz zagrało na moją korzyść, i z trudem się podniosłam. Moje serce wciąż było wolne od strachu, za to pompowane wraz z krwią nienawiść i pragnienie zemsty rosły z każdą sekundą. Wiedziałam jednak, że to ja w tym pojedynku będę górą, choćby zamierzali poddać mnie najcięższym próbom. Moja moc płynęła bowiem nie z ciała, które w niczym już nie przypominało dawnej mnie. Jakże mogłabym czuć lęk, gdy ona, Matka, nie odstępowała mnie ani na chwilę?

Znów skuli mi ręce i nogi, po czym wyprowadzili z celi i zawiedli do tej samej pięciobocznej komnaty, w której byłam wcześniej. Może to było wczoraj?

Za stołem siedział inkwizytor, a po obu jego stronach dwaj mężczyźni, których nigdy wcześniej nie widziałam. Obaj w zakonnych habitach, obaj w jesieni życia i obaj pełni nienawiści, której nawet nie starali się ukrywać.

– Nie wygląda na szczególnie groźną – ocenił ten siedzący po lewej ręce Robaka.

Był wysoki, głowę miał łąsą, jedynie nad uszami sterczały rzadkie kępki białych jak len włosów. W jego wyblakłych oczach, które niegdyś musiały mieć kolor nieba, czaiło się okrucieństwo.

– Nie wygląd czarownicy jest groźny, a to, co pod nim ukrywa – odparł

tonem lektora Robak. – Diabeł sprytnie potrafi zmienić postać swojej oblubienicy, bo wie, że nikt nie pozwoliłby się zbliżyć istocie tak ohydnej, że sam jej widok odstręcza.

– Brzydota ma różną postać – odezwałam się z kpiącym uśmiechem. – Często jednak zgniła dusza zaraża ciało, w którym mieszka.

Utkwiłam spojrzenie w paskudnej, poznaczonej głębokimi śladami po ospie twarzy trzeciego zakonnika, tego po prawej stronie Robaka. On z całą pewnością nie spoglądał w lustro z przyjemnością.

Robak, nawet jeśli zrozumiał moją złośliwą aluzję, zignorował ją. Widocznie sprowadził tych dwóch staruchów, żeby mieć audytorium, w końcu był wielkim inkwizytorem, sędzią najwyższym, młotem w rękach Boga.

– Te bajki dla niegrzecznych dzieci o szczerbatych, wysuszonych staruszkach, garbatych ułomach, kulawych, czy jakie tam one jeszcze miały być, to bujda – oznajmił, patrząc na mnie z dzikością. – Prawdziwe zło, szacowni bracia, tkwi w tym, że „potrafią przewidywać przyszłość i znają różne tajemnice, a te (...) zdolności wynikają z nauki, którą pobierają wprost od Szatana. Swoimi czarami prowokują u ludzi zarówno miłość, jak i nienawiść. Posiadają zdolność zabicia zarówno zwierzęcia, jak i człowieka uderzeniem pioruna, kobiety doprowadzają do poronień, a w łóżu małżeńskim umieją zasiać oziębłość uczuciową. Potrafią tylko sobie znanym sposobem dzieci w łonach matek uśmiercić, samym spojrzeniem ludzi i bydło sobie podporządkować, a nawet o śmierć przyprawić, a dzieci swoje diabłu ofiarowują”⁵³.

Czy ty to słyszysz, Matko? Czy słyszysz, Ksantypo? Och, jakże chciałabym teraz móc użyć pioruna i pozbawić życia te kłamliwe i pełne pogardy dla istoty świata usta!

– Milczysz, więdźmo, a więc brat Joachim rzekł prawdę? – zwrócił się do mnie łysy.

– Z całą pewnością to prawda, w którą wierzy – odrzekłam ze spokojem.

– Anno Arciszewska, jak śmiesz zaprzeczać, że wskutek twoich poczynań kobiety w twojej wsi ronią, jeśli w ogóle uda im się spłodzić dzieci?! – Robakowi do spokoju było daleko. Spodziewał się chyba, że po tej kwiecistej charakterystyce uczennic diabła padnę na kolana i zacznę błagać o litość.

– Nie przeczę, jaśnie wielmożny sędzio i inkwizytorze – odparłam z nutą kpiny – że dietność w Babiborze spada, jednak przyczyna tego stanu rzeczy jest mi nieznana.

– Łżesz! – ryknął Robak, ledwo skończyłam mówić. Zupełnie jakby zawczasu zdołał się przygotować na moje słowa. – Świadkowie o niepodważalnej reputacji, którzy złożyli w tej sprawie zeznania przed sądem Świętej Inkwizycji w obecności czcigodnych braci, wyznali, że to właśnie ty i tylko ty znasz tajemnicę. Jak wytłumaczysz fakt, że jako jedyna powiłaś syna, podczas gdy inne nie są w stanie utrzymać dziecka w łonie?

„Bądź dzielna, moja córko, bądź odważna. On niczego nie wie i nigdy się nie dowie, bo jego oczy zakleja pycha”.

Na wspomnienie owych świadków o niepodważalnej opinii poczułam ukłucie w sercu. Wieśka, moja mała siostrzyczka, jedyna, której mogłam ufać. I ona się mnie wyrzekła.

– Nie znam odpowiedzi na to pytanie – odparłam głucho. – Możecie mnie pytać o to w kółko, a nic się nie zmieni. Nie wiem, co stało się w puszczy, nie wiem, jak z niej wyszłam. Ale to nie ja jestem winna śmierci nienarodzonych dzieci.

Robak już mnie nie słuchał. Najwidoczniej jedynym jego zamiarem było wygłoszenie tego oszczerczego wyroku, od którego nijak nie mogłam się odwołać. Byłam wiedźmą, czarownicą, kochanicą Szatana, współniczką Lucyfera.

– Twoja siostra zeznała, że nie jesz mięsa. To prawda? – Nagłe pytanie zadane przez poznanego ospą staruszka zaskoczyło nie tylko mnie.

– Prawda, ojciec – odrzekłam.

– A jakaż jest tego przyczyna? – dociekał zakonnik.

– Nie uznaję zabijania dla własnych korzyści. – Tym razem to ja zaskoczyłam interlokutorów.

– Zaspokojenie głodu nie jest korzyścią – odezwał się łysy.

– Głód można zaspokoić bez odbierania życia niewinnym istotom. – Nie wiem, dlaczego wdałam się w tę dyskusję, lecz nie zamierzałam ustąpić.

– Nie słuchajcie jej, bracia! – Zainteresowanie Robaka wróciło równie nagle, jak poprzednio zgasło. – Pamiętajcie, że może praktykować na was czary samym tonem głosu. Wierzycie w to, że wiedźma nie zabija zwierząt? Za to wobec nowo narodzonych dzieci już nie ma takich skrupułów.

Zęby zgrzytnęły mi tak mocno, że sama się złąłam, ale niemal natychmiast poczułam na ramieniu delikatne muśnięcie. To ona, Matka, w ten sposób dodawała mi otuchy.

– Czy to podejrzenie jest poparte dowodem lub choćby zeznaniem świadka? – Łysy spojrział na Robaka z wyraźną naganą.

– Najwyższym dowodem, czcigodny bracie, jest jej zdolność milczenia. Według Księgi⁵⁴ czarownice otrzymują tenże dar poprzez noszenie przy sobie sproszkowanego ciała nieochrzczonych noworodków, po tym jak uprzednio upiekły je w piecu.

Choć zarzut ten brzmiał w świetle prawa kościelnego poważnie, miałam ochotę wybuchnąć śmiechem. A zaraz potem zapytać: „Skąd, jaśnie wielmożny ojcie Robaku, miałabym owego noworodka wziąć, skoro u nas we wsi baby dzieci nie rodzą?”. Ugryzłam się w język, ale uśmiechu stłumić mi się nie udało.

Inkwizytor wyglądał na rozsierzonego. Widać było, że denerwuje go moja niezłomna postawa, że nie tak wyobrażał sobie popisy przed współbraćmi. Ja natomiast wiedziałam, że właśnie w tej chwili zaczyna się prawdziwy proces, gdyż jak Szymon trzy razy się wyparłam.

ROZDZIAŁ 33

Odkąd Patrycjusz Pieprzyca pamiętał, zjawisko bezsenności było mu nieznane. Z autopsji nieznane, bo słyszał o nim i nawet naocznie potwierdził kilka razy skutki owego stanu u oskarżonych. Matka zapewniała go, że to jemu zawdzięcza się powiedzenie „spać jak niemowlę”, wystarczyło bowiem, że poczuł pod głową poduszkę, a momentalnie zasypiał na kilka godzin. Genetycy powinni przyjrzeć się jego DNA, a koncerny farmaceutyczne – wykorzystać je do stworzenia szczepionki dla tych wszystkich biedaków, którzy męczyli się z zaśnięciem albo wybudzali w ciągu nocy, czego efektem było skrajne wyczerpanie.

Tej nocy prokurator rzucał się po łóżku, obracał z boku na bok, wierzgał nogami, liczył smugi światła księżycowego, kręcił młynka kciukami, próbował czytać książkę na telefonie, puścił odcinek podcastu, wyobraził sobie samotną wyspę na Morzu Karaibskim. I nic. Zero. Powieki odskakiwały od siebie jak magnesy o jednorodnych biegunach. Kilka minut po trzeciej uznał, że to bez sensu, i podjął decyzję o rozpoczęciu nowego dnia.

Coś go dręczyło. No jasne, że pierwsza w jego karierze ekshumacja musiała być stresująca, ale to raczej nie to. A może nie tylko to.

Zaparzył wielki kubek kawy, otworzył laptopa i przez kilka minut studiował nagłówki wiadomości. Niektóre były tak idiotyczne, że prokurator dostawał płasawicy wnętrzości. Że też tym ludziom nie wstyd podpisywać się pod tymi potworkami. A, nie, „Redakcja”. Sprytnie...

Starał się unikać wszelkich kryminalnych historii, wystarczająco dużo miał ich pod nosem. Może właśnie w tym problem – przyszła kryśka na Matyska, czara się przelała i należy odtrąbić zakończenie kariery. Tyle że Patrycjusz wcale nie czuł się usatysfakcjonowany i sprawa Moniki Melskiej była mu raczej ujmą na honorze niż powodem do dumy. Solą w oku, można rzec. Co prawda siedząca w areszcie Malwina Maślankiewicz sprawiała, że Szelest spał spokojnie, a jego wuj, hajnowski komendant, jeszcze spokojniej, jednak prokurator nie miał już niemal wątpliwości, że akurat to może być ten przypadek na tysiąc, kiedy wymiar sprawiedliwości

obwinia niewinnego. Jedynym ziarnem niepewności były zwłoki Arciszewskiego. Jeśli i on umarł wskutek otrucia, to po zawodach. Maślankiewiczowa posiedzi do końca życia, bo za dwa morderstwa żaden sędzia nie ograniczy się do marnych dwudziestu pięciu lat, zwłaszcza gdy chodzi o osobę ze świecznika. Choćby dla przykładu wlepią jej dożywocie.

Uruchomiony strumień świadomości poprowadził Patrycjusza przez meandry luźnych skojarzeń, zahaczył o tajemnicze hobby Melskiej, przypomniał bredzącego o czarownicach Robaka i... Robak! Jasna cholera, Grabski miał dzwonić!

Zupełnie zapomniawszy o tym, która jest godzina i że większość ludzi jednak w nocy sypia, wybrał numer przyjaciela, który odebrał już po drugim sygnale.

– Życie jest zbyt cenne, żeby je przespać. – Głos Henryka brzmiał tak, jakby właśnie wyrażał afirmację istnienia. – Myślałem, że ciebie to motto nie dotyczy.

– W takim razie było nas dwóch, ale los postanowił nam udowodnić, że błądzimy. Znalazłeś coś interesującego?

– Połowicznie. Wiesz, jak to jest: znajdziesz jedno, ale to rodzi kolejne pytania, więc szukasz dalej.

– Aż tak? – Pieprzyca w mig zrozumiał słowa przyjaciela. W życiu nic nie było proste, a najczęściej to kontekst okazywał się najistotniejszy.

– Obawiam się, że to może chwilę potrwać. Komuna zrobiła swoje, mnóstwo dokumentów poginęło albo znajdują się nie tam, gdzie powinny. Mam jednak bardzo ciekawy trop, tylko nie zdążyłem go zbadać. Jutro postaram się odwiedzić kurię, już rozmawiałem z dziekanem.

Patrycjusz stłumił jęk zawodu, lecz nagle coś błysnęło mu pod czaszką.

– Czekaj, naszą kurię? Tutejszą?

– Ano naszą. Wiedziałem, że to cię zainteresuje – odparł z wyraźną satysfakcją emerytowany szpieg. – Otóż ten zakonnik, który przyjął do siebie osieroconego Jonatana, przez blisko rok przebywał na naszych terenach. A jeśli to, co znalazłem, okaże się prawdą, to powiem ci, bracie... Będziesz miał niezłą petardę.

Pieprzyca doskonale wiedział, że Grabski nie piśnie słowa, dopóki nie sprawdzi wszystkich źródeł i nie potwierdzi ich prawdomówności. Sam zresztą postąpiłby tak samo, dlatego uciszył podszept niecierpliwości

każącej mu natychmiast się dowiedzieć, co też za rewelację Henryk odkrył.

– Dzwon o każdej porze dnia i nocy, to może być istotne – poprosił.

– Jeśli się nie mylę, to bardziej, niż ci się wydaje – odparł znowu tajemniczo były agent. – Odezwę się, gdy tylko dowiem się więcej. Serwus!

Mimo że nie dowiedział się właściwie niczego, prokurator poczuł dziwne podekscytowanie. Adrenalina mu wystrzeliła, serce przyśpieszyło, jakby szykowało się do wyjątkowo dużego wysiłku. Z tej radości Patrycjusz nawet nie zastanowił się nad powodem owego ożywienia, nie zadał sobie pytania, dlaczego grzebanie w biografii księdza miałyby być jakkolwiek istotne. Ale Henryk też tak twierdził, a przecież miał więcej danych. Jasna cholera, czy ta noc mogłaby się wreszcie skończyć?!

Do wschodu słońca pozostawały cztery godziny, co tu robić? Ostatecznie prokurator zdecydował się na książkę i jak się okazało – to był dobry wybór, bo już po kilku stronach oczy mu się zamknęły.

*

W Babiborze, daleko od siedliska, Sebastian Sierżant także walczył z bezsennością. Dla niego jednak nie była to żadna nowość, trudno byłoby mu sobie przypomnieć, kiedy ostatnio przespał noc. Odkąd Sonia Iwaszuk odrzuciła jego oświadczyny, co wieczór odprawiał rytuał zadręczania się, który w zależności od atrakcji dodatkowych kończył się podjęciem decyzji o kontynuowaniu starań do skutku, opłakiwaniem tragedii zwanej nieodwzajemnioną miłością albo pełnym najbardziej jadowitych i nieprzystojnych myśli postanowieniem o znienawidzeniu dziewczyny do końca świata. Dzisiaj akurat, czy może nawet już wczoraj, dodatkowe atrakcje w postaci przeżyć minionego dnia przysłoniły temat romantycznego kochania, a przywołały romantyczne wywoływanie duchów i... mordowanie.

Czy to w ogóle było możliwe, w jakimkolwiek świecie, w jakiegokolwiek postapokaliptycznej, frenetycznej, onirycznej rzeczywistości, że jego matka miała cokolwiek wspólnego ze śmiercią Arciszewskiego? Już samo sformułowanie tej myśli kosztowało Sebastiana wiele trudu, a co dopiero poddanie jej pod rozważę. Absurd! Większego idiotyzmu w życiu nie słyszał. No, może poza tym kuriozalnym kazaniem nowego proboszcza. Ten to dopiero wariat, w dodatku opętany. Świr bez dwóch zdań. Nad

kukulczym gniazdem powinien latać, a nie religię uprawiać. Trzeba go sprawdzić. Może w Choroszczy stacjonował, wypisali go, przestał brać leki i *voilà!* Kontakt z bazą za grosz.

Ale Marlena Maślankiewicz jednak kontakt z bazą ma, oj, ma. On, Sebek, chciałby w jej wieku być tak kumaty. Może niekoniecznie wredny i złośliwy, ale przynajmniej nikt by mu nie nagadał, a już na pewno nie Szelest, półgłówek jeden. Sołtysową trzyma pod kluczem, pieniądze publiczne wydaje na cateringi, zamiast szukać prawdziwego mordercy. Ale by było, gdyby faktycznie jego matka zabiła Arciszewskiego... „Komendant” chyba by się rozpękał z wściekłości. Tylko dla tej sceny Sebek nawet trochę by chciał, żeby to matula otruła Augusta. O borze zimowy, co on gada?! Jak w ogóle mogło mu to przejść przez...? Jak się nazywa to, przez co przechodzi myśl? Synapsa?

Tylko dlaczego ten przebrzydły Arciszewski wspomniał o jego matce? Może chciał się za coś zemścić? Ale żeby oczerniać niewinną osobę, i to jeszcze oskarżeniem takiego kalibru... Nie, przecież Sylwia dobrze z nim żyła, pamiętał doskonale, jak wiele razy spotykał Augusta w bibliotece, matka nawet pozwalała mu grzebać w magazynie, tam, gdzie leżały te wszystkie pudła z jakimiś starymi książkami. Nikt nigdy nie miał czasu, żeby się tym zająć, a Arciszewski sam sobie grzebał. No więc dlaczego miałyby go zabić? I jak niby? Jego matka znała się na robieniu marcinka, lepieniu kołdunów i miała katalog biblioteczny w głowie, ale żeby planować mord? Nie, to się w ogóle kupy nie trzyma!

Cholera jasna, a co, jeśli jednak? Żony tych wszystkich morderców, o których ostatnio oglądał dokumenty na Netfliksie, też były w szoku, gdy się dowiedziały, z kim dzielą życie. Zbrodniarze, zwłaszcza psychopaci, potrafią świetnie udawać normalnych ludzi, zmylą nawet psychiatrów, przynajmniej ci co sprytniejsi, jak na przykład Ted Bundy. Też niezły świr: odczytany, ujmujący, pracował na telefonie zaufania, a bydlę takie, że słów brak. No ale nie, bez przesady, gdzie Rzym, gdzie Krym, matki do nekrofila przecież nie porówna.

Ale gdyby... gdyby się okazało, że to właśnie Sylwia Sierżant stoi za śmiercią Augusta Arciszewskiego? Tak czysto hipotetycznie, wiadomo, że to niemożliwe i szalone prawie tak samo jak myśli Robaka. Hipotetycznie więc musiałyby mieć motyw. Raczej nie latałyby w jakimś szale i nie truła

na chybił-trafił, bo w takim wypadku raczej na jednej ofierze by się nie skończyło. Co więc mogłoby popchnąć piękną, samotną matkę do odebrania życia staremu, grubemu, żonatemu Arciszewskiemu?

Co ta pani Róża mówiła? Że jest tylko kilka motywów zbrodni. To nawet lepiej, ograniczony katalog pozwoli szybciej rozważyć wszystkie możliwości.

Zacznijmy od najbardziej popularnego: zemsta. Nie, za co ona mogłaby się mścić? Za chrzczonego bimber? To chyba miałyby sporą konkurencję i z pewnością stałoby się to dużo szybciej.

Pieniądze. No tak, Arciszewski miał grosz, żył jak pączek w maśle, ale i Sierżantom niczego nie brakowało. Matka musiała sporo pieniędzy w tej bibliotece zarabiać, bo nigdy z kasą problemu nie było, a i na wakacje jeździli, i odkładać im się udawało. Odpada.

Kłótnia? Cała wieś by o tym wiedziała, z Malwiną na czele.

Seks? O fuuj... Dlaczego tak się dzieje, że jeśli bardzo czegoś nie chcemy, to akurat właśnie to się pojawia? Tak bardzo, bardzo, najbardziej na świecie Sebastian nie chciał zobaczyć swojej matki i Augusta Arciszewskiego w scenie namiętnego zbliżenia, wcale nie chciał usłyszeć tych jęków i klaskania, jakie wydają spocone ciała. Niech to wszyscy diabli!

Zerwał się z łóżka, pobiegł do łazienki, wyszorował zęby, ale to nie pomogło, więc zafundował sobie lodowaty prysznic, po czym wrócił do pokoju. Włączył komputer, zalogował się do Netfliksa i puścił kolejny odcinek serialu o Kubie Rozpruwaczu.

*

Radosław Robak przesiedział w fotelu całą noc. Dręczyły go wyrzuty sumienia. Chyba posunął się za daleko i właściwie sam nie do końca wiedział, dlaczego to zrobił. Przecież wcale nie miał zamiaru, nawet mu to w głowie nie powstało, a tymczasem coś go podkusiło i wyszło najgorzej.

Chociaż nie, najgorzej to dopiero mogło być, gdyby się okazało, że jego agitacja rodem z siedemnastowiecznej Hiszpanii przyniosła efekt odwrotny do zamierzonego. A wydawało mu się, że jest taki sprytny, genialny wręcz. Nic tak nie działa na ludzi jak znalezienie wspólnego wroga. Mieli się przeciwko niemu zewrzeć i stanąć murem za swoimi, przy okazji wydając mordercę. Już raz się udało, dlaczego tym razem wyszło odwrotnie?

Dlaczego nikt nie przyszedł z żadną informacją, a skrzynka podawcza pozostawała pusta? Wytłumaczenia mogły być dwa: albo Malwina Maślankiewicz rzeczywiście zamordowała tę biedną Melską, albo zrobił to ktoś znajdujący się całkiem poza podejrzeniem, wobec czego nikt nie mógł na tę osobę donieść. Tylko kto mógłby być mordercą lub morderczynią? I jaki motyw nim kierował?

Przede wszystkim musi się jednak skupić na odbudowaniu swojego wizerunku. Zadanie nie będzie proste, ale jakoś podoła. Ludka mu pomoże, ona zawsze miała podejście do ludzi. Od początku odradzała mu rolę zacieklego pogromcy zabobonu, lecz on się uparł, chciał po swojemu. Głupio zrobił i teraz miał za swoje. Na całe szczęście nie wszyscy się od niego odwrócili, ten pop całkiem rozumny się wydaje, a i Sylwia z życzliwością do niego podchodzi, w końcu go zna. Doradziła mu nawet, żeby wkradł się w łaski tych czterech dziewczyn z siedliska, bo one szacunkiem i sympatią się we wsi cieszą. Pójdzie do nich z samego rana, gdy tylko się upewni, że z Mikołajem w porządku. I odda Sylwii książkę, którą zostawiła w zakrystii, jak go ostatnio odwiedziła. Nie daj Panie Boże, Maciejka ją dorwie, a to przecież zupełnie nie dla niego lektura. Jeszcze siano w głowie ma i nie zrozumie ukrytych w powieści przesłań, nie mówiąc o jej prawdziwym znaczeniu. Dopiero by było: ksiądz nienawidzi czarownic i czyta książki o ich paleniu na stosie. I o mordowaniu mnichów, którzy odważyli się sięgnąć po zakazaną lekturę.

Coś mu błysnęło, ale był to błysk tak krótki, że nie zdążył uchwycić myśli. Poczul ucisk w żołądku jak przed egzaminami na studiach. I znowu ten błysk.

Nagle poderwał się z fotela. Jezus Maria! Wybacz, Panie Boże. Jezus Maria i Józefie Święty! Co on najlepszego narobił?!

Ubrał się w pośpiechu, owinął wielkim szalem wydzierganym przez matkę, na głowę wcisnął futrzaną czapę i wyszedł w ciemną noc. Potrzebował wyciszyć wzburzone myśli i przegadać z Bogiem to, co do niego dotarło. Oby się mylił.

*

– Kola, co z tobą? – jęknęła Melania. – Wiercisz się i wiercisz jak jaka dusza potępiona! Znowuś się fasoli na noc nażarł?

– A gdzie tam fasoli – parsknął batuszka. – Spać nie mogę, bo mi się głowa od myślenia gotuje.

– A dajże ty spokój, do myślenia to jest dzień, a noc jest od spania. I jeszcze żonę budzisz. Jak ci nie wstyd?

– Dawniej nie narzekałaś, jak cię w nocy budziłem – odparł niemal zalotnie.

Melania poderwała się i zapaliła lampkę stojącą na nocnym stoliku. Spojrzała na męża z mieszaniną odrazy i troski.

– Czyś ty oczadział, stary zbereźniku?! Na amory ci się zebrało? Ty się ciesz, że już cię nie mdli po tej berbelusze, którą w siebie wlałeś. Widzieliście go! W głowie zaszumi i w portkach od razu samba!

– Ale Melu... – Batuszka oblał się pąsem jak nastolatek przyłapany na zbyt żywiołowej reakcji na widok pięknej dziewczyny. – Przecież ja nic takiego nie miałem na myśli, tak sobie zażartowałem. A ty od razu się buńdziurzysz⁵⁵, jakbym ja co złego zrobił...

– Już ja swoje wiem – syknęła wściekła matuszka. – Jak spać nie możesz przez te swoje bezecne myśli, to idź na spacer, przewietrz się, może wytrzeźwiejesz. A mnie zostaw w spokoju, bo ja już swoje lata mam, dzieci urodziłam, odchowałam i życzę sobie w trumnie pięknie wyglądać, a nie pomarszczona jak krepina.

To powiedziawszy, wyłączyła lampkę i ostentacyjnie odwróciła się do małżonka plecami, dla bezpieczeństwa wkładając między nogi poduszkę typu jasiek. Kto go tam wie, tego podchmielonego casanovę, czy mu coś znowu do łba nie strzeli.

Mikołaj westchnął cicho i opuścił małżeńskie łóżce, po czym na paluszkach wyszedł z sypialni. Może faktycznie pójdzie się przewietrzyć? Zmęczy się, zmarznie, to i sen nadejdzie.

Wcisnął nogawki spodni od piżamy w grube, wełniane skarpety, opatulił się kożuchem, na nogi wzuł ocieplane gumowce i wyruszył na spotkanie nocy i w poszukiwaniu spokoju. Jakoś mu ciężko było na sercu, jakby kamień tam miał. Pewnie, że trochę przesadził z alkoholem, ale już przecież wszystko oddał naturze, to powinno być lepiej. Jednak nie było.

Spotkanie z proboszczem katolickim narobiło mu bigosu w głowie. Spodziewał się starcia z diabłem, a na plebanii zastał anioła. Nawet dwa anioły. Świetny aktor, mówiła o nim Ludka, tylko jak odróżnić, która to

rola? A może obie? I w kościele grał, i w domu? Kim on właściwie jest ten Robak? Co naprawdę myśli? Jakim chce być kapłanem? Jakim jest człowiekiem?

Noc była czarna jak smoła, w dodatku dziwna mgła snuła się smugami, jakby niektóre warstwy powietrza zamarzały, przez co pogrążony w rozmowie z samym sobą batiuszka nie zauważył postaci opuszczającej sąsiednią plebanię. Zmierzał w kierunku wsi, wybierając lewą odnogę głównej drogi, podczas gdy niewidziany przez niego Robak szedł odnogą prawą. Gdyby zmierzali cały czas przed siebie, powinni się spotkać u zbiegu dróg, w podstawie owego dziwnego kamertonu, pod legendarną wierzbą uchodzącą za dom Rokity. Niestety, do spotkania nie doszło, gdyż jeden z nich dołączył do Antoniego i pewnie gra już z nim w szachy figurkami w kształcie aniołów.

ROZDZIAŁ 34

Ledwo minął zieloną tablicę obwieszczającą wjazd do Babiboru, prokurator Pieprzyca zorientował się, że coś jest nie tak.

Nie było jeszcze wpół do ósmej, mrok dopiero rozpląwał się nad horyzontem, poranne mgły leniwie unosiły się nad ziemią, a we wsi życie tętniło. Wszędzie stały grupki rozemocjonowanych mieszkańców, nawet tych, których Patrycjusz nie widział od wielu miesięcy. Coś się wydarzyło.

W tym przekonaniu utwierdził go widok stojącej opodal karetki pogotowia, przy której dwóch ratowników paliło papierosy, i migającego niebieskim światłem koguta na policyjnym radiowozie marki kia. W radiowozie siedziała posterunkowa Antkowiak i mówiła coś do nadajnika.

Pieprzyca zatrzymał samochód niedaleko sklepu Szymczaków i pobiegł prosto w stronę zgromadzenia ludowego wyróżniającego się spośród pozostałych głównie górującym nad resztą płomiennorudym czerepem Sebastiana Sierzanta. Policjant wyglądał, jakby zaraz miał dostać apopleksji, ewentualnie implodować.

– Co tu jest grane, posterunkowy? – Niski bas Pieprzycy wywołał spodziewany efekt.

Lud rozstąpił się nieco, odsłaniając przed prokuratorem miejsce, którego własnym ciałem, szczególnie zaś długimi rękami bronił Sebastian Sierzant, machając nimi jak wściekły wiatrak.

Na udeptanym śniegu za policjantem leżał człowiek. Na pierwszy rzut oka trudno było rozpoznać jego tożsamość, leżał bowiem twarzą do ziemi, dokładniej mówiąc: do śniegu, a jego głowę zdobiła futrzana czapka. Obok niego kuczał medyk, który na widok prokuratora pokręcił głową.

– Zimny – rzucił. – Prawdopodobnie leży tu od kilku godzin.

– Kto to jest? – Pieprzyca nie patrzył już na ratownika, utkwił spojrzenie w Sierzancie.

– Robak – bąknął policjant i zamachał lewą ręką. – Gdzie mi tu pani Hermanowa wciska ten ciekawski łeb, co?! – wydarł się nagle na kobiecinę, która faktycznie chciała wykorzystać okazję i zajrzeć. – To nie jest kino ani zoo, proszę odstąpić albo do ciurmy zabiorę za zakłócanie porządku i

przeszkadzanie służbom w prowadzeniu śledztwa! Antkowiak, dawaj tu, bo mi rąk brakuje!

Pieprzycy w duchu powinszował Sebastianowi refleksu, ale zaraz poczuł nieprzyjemne ukłucie w mostku.

– Robak? Ksiądz Robak? – upewnił się.

– No na gąsienicę raczej nie wygląda, to musi ksiądz – wyłośliwiła się zrugana staruszka.

– Za bezczelne wymądrzanie się też paragraf znajdę – zagroził jej Sebek i poraził wzrokiem, od którego można by zamarznąć. – Co za cyrk! Ci z Hajnówki chyba jadą rowerami, że tak długo ich nie ma – utyskiwał, kierując już nieco łagodniejszy wzrok na prokuratora. – No ksiądz, ksiądz. W tych warunkach nie możemy go obejrzyć, ale Krzysiek mówi, że na podstawie pobieżnych oględzin nie ma żadnych ran.

Na potwierdzenie słów posterunkowego kucający przy ciele księdza medyk pokiwał głową. Potem gwizdnął tak głośno, że prokuratorowi zęby ścierpły, i dwaj pozostali sanitariusze jakby ocknęli się z marazmu. Z zapamiętaniem wzięli się do przygotowywania noszy.

Chwilę później podjechały radiowozy z Hajnówki, a gdy z pierwszego wyskoczył Szelest, prokuratorowi humor oklapł jeszcze bardziej, co właściwie graniczyło z niemożliwością, a zarazem dowodziło, że granice ludzkiej wytrzymałości są niezwykle elastyczne.

– Wynocha stąd, a nie gały wybałuszają, jakby tu cuda jakieś się wydarzyły! – wrzeszczał samozwańczy komendant bez komendy, za to z aspiracjami. – Na co się gapią? Won mi stąd, rajwachu⁵⁶ nie robić!

– A tego dyplomatę to kto tu zaprosił? – Sanitariusz o imieniu Krzysztof spojrział na wściekającego się Szelesta jak na osobliwe obrzydlistwo.

– Prawdopodobnie wyniuchał potencjalny awans – mruknął półgębkiem Sierżant. – Miał siedzieć u wuja przez cały tydzień i wrócić dopiero na ekshumację, to tyle mieliśmy spokoju.

– Jeśli to cię pocieszy, ekshumacja musi zostać przyśpieszona, więc i tak wróciliby szybciej – oznajmił Pieprzycy.

Na widok barczystej sylwetki prokuratora, którą dostrzegł dopiero teraz, starszy aspirant Stanisław Szelest zamarł, lecz szybko przywołał się do porządku.

– Szybko pan dojechał – mruknął do prawnika z nieskrywaną niechęcią.

Nie wyciągnął ręki na powitanie, co już od lat nikogo nie dziwiło, panowie bowiem nie darzyli się sympatią i jeden drugiemu prędzej podałyby truciznę aniżeli dłoń.

– Wie pan, co mówią, aspirancie – odrzekł Patrycjusz, uśmiechając się szeroko. – Ktoś musi pracować, żeby zbierać laury mógł ktoś.

Sierżant, ratownicy i stojące najbliżej kobiety zachichotali radośnie. Szelest poczerwieniał, jakby zaraz miał dostać wylewu, ale zignorował prztyczek od prokuratora i ruszył ku leżącemu na śniegu ciału.

– Rękawiczki! – syknął do medyków.

– Szalik! – odkrzyknął jeden z nich.

– Czapka! – zawtórował drugi.

– Gogle narciarskie! – wydarł się Krzysztof, na co wszyscy wokół zareagowali gromkim śmiechem. – A, czyli że nie gramy w skojarzenia?

Niewiele brakowało, a Szelest, aktualnie występujący w najlepiej znanej formie, czyli szeleszczącego wścieku, podszedłby do żartownisia i udusił go rękami pozbawionymi rękawiczek, których zażądał. Właściwie trochę szkoda, że tego nie zrobił, byłoby niezłe widowisko, zważywszy na fakt, że Krzysztof posturą przypominał raczej prokuratora. Powstrzymał się jednak od jakiegokolwiek reakcji, co w jego wypadku wydało się wyjątkowo dziwne. Szczególnie zaś zdziwił się posterunkowy Sierżant, choć nie na długo. Wyjaśnienie zagadki pojawiło się dokładnie w tej chwili i miało postać beczułkowatego oficera policji, którego z Szelestem łączyły jedynie więzy krwi, choć trudno było i w to uwierzyć, sądząc po wyglądzie obu policjantów.

Pieprzyca znał hajnowskiego komendanta; może nie było między nimi szczególnej sympatii, na pewno jednak obaj stróże prawa darzyli się wzajemnie zasłużonym szacunkiem. Prokurator skinął głową stryjowi Szelesta, tamten odwdzieczył się tym samym i poszedł wprost do medyków, z którymi zamienił szeptem kilka słów. Następnie poruszył bujnym wąsem (ach tak, jeszcze ten drobiazg łączył go z siostrzeńcem) i zwrócił się do prokuratora:

– Na razie niczego nie możemy wykluczyć, panie Pieprzyca, ani też uznać, że śmierć księdza ma związek ze sprawą Melskiej.

Szelest drgnął na dźwięk ostatnich słów stryja i już otwierał usta, żeby zgłosić protest, ale Patrycjusz był szybszy.

– Zgadzam się, komendancie, niczego nie możemy na razie zakładać, jednak wydaje mi się, że sekcja jest w obecnej chwili priorytetowa.

Przywódzący na myśl Onufrego Zagłobę policjant kiwnął głową, a na jego okrągłym obliczu pojawił się wyraz zatroskania. Widocznie, podobnie jak Pieprzyca, on także pomyślał o tym, że Radosław Robak raczej nie umarł z wychłodzenia, przypadkiem wywróciwszy się o schowany pod śniegiem kamień. Mało kto zresztą uznał inaczej.

– Pan pozwoli na słówko? – zwrócił się do prokuratora.

Pieprzyca potwierdził i rozejrzał się za ustronnym miejscem, jednak stryj Szelesta najwyraźniej już to przemyślał.

– Podjedźmy na posterunek, chciałbym przejrzeć akta sprawy Melskiej.

Kiedy przytwierdzone do noszy ciało Robaka zostało zapakowane do karetki, Pieprzyca wrócił do samochodu, odprowadzany tęsknym wzrokiem Sierżanta. Posterunkowy wiele by dał za to, żeby Patrycjusz włączył go do sprawy. Chciał przejrzeć dokumentację, może zauważyłby coś, co umknęło Szelestowi. Niestety, złośliwy pryncypał dopilnował, żeby Sebastian tym razem nie odebrał mu splendorów. Niemniej sprawiedliwość zatriumfowała, przynajmniej częściowo, kiedy z ust wąsatej baryłki wyrwało się basowe:

– Nie, nie, Staszek, ty zostajesz na miejscu i zbierasz zeznania od świadków. Przelećcie się też po domach i popytajcie, czy ktoś nie widział księdza w nocy.

Wyraz zawodu na twarzy pozbawił Szelesta urody do cna. Czując na sobie wzrok Sierżanta, odwrócił się w jego stronę i wrzasnął:

– A ty na co czekasz, łachudro jedna?! Bierz się do roboty albo zetrę ci ten złośliwy uśmiech w trymiga! Widzieliście go, cwaniak z bańką w nosie – syczał, rozsierdzony do żywego.

Po odjeździe karetki sensacja nieco straciła na atrakcyjności, a gapie, przepytywani przez mundurowych, powoli rozchodzili się do domów. Nikt niczego nie widział, nikt niczego nie słyszał, a Szymczakowa zauważyła ciało dopiero, kiedy otwierała sklep. Od razu zawiadomiła służby, bo na takim mrozie nikt zbyt długo życia nie mógł zachować, co potwierdził jeden rzut oka sklepikarki na blade lico księdza.

Szelest jak to Szelest – gdy tylko prokurator oraz wuj zniknęli ze światopoglądu starszego aspiranta, zrobił to, co w życiu wychodziło mu

najlepiej: wydelegował zadania na podwładnych, a sam zajął się marnowaniem tlenu z powietrza. Po krótkiej chwili nos zmarzył mu tak bardzo, że nawet marnowanie powietrza okazało się zbyt trudne, postanowił więc zagrzać się w sklepie.

Sabina Szymczak darzyła Szelesta taką samą estymą i sympatią jak reszta wsi, toteż przywitała go dość chłodno.

– Na zeszyt dzisiaj nie daję. Albo pan płaci, albo won.

– Policjantowi na służbie pomagać to obywatelski obowiązek – odparował wąsaty chudzielec.

– Na wszystkie pytania odpowiedziałam, zgodnie z obowiązkiem, a sponsorowanie pańskiego obżarstwa to już nie moja broszka – nie ustępowała sklepikarka. – Jakby się pan choć raz robotą zajął, to może szybciej by poszło ze znalezieniem mordercy. Chyba że liczy pan na to, że wszystkich nas tu zaciuka i wtedy będzie łatwo go zidentyfikować, jak już sam jeden zostanie.

Dzwonek nad drzwiami obwieścił wejście kolejnego klienta i obie pary oczu, dotychczas mierzące się niemal z nienawiścią, spojrzały w tamtą stronę. Po chwili zza regału wyłonił się Tadeusz Tarnacki.

– Dobry! – przywitał się z właścicielką, na Szelesta nawet nie spojrział. – Ale historia...

– Ano niezbyt dobry, tak prawdę mówiąc – burknęła Szymczakowa. – W sprawie służbowej pan zaszedł?

– A nie, listów żadnych dzisiaj nie ma, tak chciałem zapytać... – urwał nagle, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z obecności policjanta. – To może ja zaczekam, aż pan komendant skończy zakupy.

– Pan komendant dzisiaj kupuje oczami – ucięła Sabina. – Zapraszam na zaplecze, panie Tadeuszu, bo ja też interes mam do pana.

Urażony do żywego straszy aspirant wydał z siebie dźwięk przypominający świst powietrza uchodzącego z nieszczelnego balona, po czym ostentacyjnie opuścił Szynek Szymczakowej i odpowiednio głośno trzasnął drzwiami.

Listonosz zachichotał.

– Ale mu pani utarła nosa – ocenił z podziwem.

– Należało mu się od dawna, a za Malwinę to nawet jeszcze bardziej.

– O, właśnie, właśnie, ja w tej sprawie – podchwycił podekscytowany

Tarnacki. – Myśli pani, że tego księdza ktoś wykończył?

– Zdziwię się, jeśli nie – odparła kwaśno sklepikarka. – Sama miałam ochotę po tej jego prelekcji. Ale to nie ja! – zastrzegła natychmiast.

– No wiadomo, że nie pani! Ja też nie.

– Czyli nas dwoje można wykluczyć – podsumowała bez cienia wątpliwości Sabina. – I wie pan, kogo jeszcze można wykluczyć? Malwinę Maślankiewicz!

– No, racja! – ucieszył się Tarnacki. – Siedzi zamknięta, to nie mogła mordować.

Szymczakowa skrzyżowała ręce na bujnych piersiach i kiwała głową niemal z dumą. Tadeusz uśmiechał się radośnie, ale nagle zrzędała mu mina.

– No tak... Tylko że jeśli to nie pani Maślankiewiczowa jest morderczynią, to znaczy, że... – zamilkł przerażony własną konkluzją.

– Znaczy, że prawdziwy zbrodniarz chodzi wolno i my musimy go złapać – dokończyła cicho Szymczakowa.

Po przesłuchaniu wszystkich potencjalnych świadków posterunkowi udali się na plebanię, gdzie czekało ich najcięższe i najbardziej niewdzięczne zadanie, jakie można sobie wyobrazić. Zawiadamianie o śmierci bliskich było czynnością, której nigdy, przenigdy nie da się oswoić. Możliwe, że osoba o cechach psychopatycznych, jak Szelest, nie miewa z tym problemu, ale ani posterunkowy Sierżant, ani jego partnerka Antkowiak do takich się nie zaliczali.

– Wiedziałaś, że ksiądz miał siostrę? – zapytał Sebastian, z trudem panując nad stresem.

– Coś słyszałam we wsi, ale szczególnie mnie to nie interesowało – odpowiedziała równie zdenerwowana dziewczyna i zapatrzyła się w okno.

– Pewnie taka sama wariatka, rzuci się na nas albo co...

– Na szczęście to my mamy kajdanki i broń – przypomniała mu Agnieszka. – Swoją drogą, to dziwne, że nic o tym księdzu nie wiemy, po czym znajdujemy jego trupa w śniegu.

– A to, że urządził nam stand-up na podstawie scenariusza dla hiszpańskich inkwizytorów wydało ci się normalne?

– Mnie to się przede wszystkim wydało sztuczne. To całe szczucie, biblijne cytaty, a ta kartka na drzwiach to już w ogóle...

– Myślisz, że grał nawiedzonego wariata? To wtedy zginąłby na marne...

– Co ty pleciesz, Sebek? – Dopiero teraz Antkowiak oderwała wzrok od szyby i spojrzała na przyjaciela ze zdumieniem. – A jeśli nie grał, to zasłużył? Odbiło ci?

Usłyszawszy te słowa z ust swojej racjonalnej przyjaciółki, Sierżant zrozumiał, jakie głupstwo palnął, i poczuł zalewającą go falę wstydu.

– O matko, masz rację... – bąknął. – To chyba z braku snu już mi się w głowie pomieszało i bredzę jak potłuczony.

– A dlaczego nie spałeś? Znowu Sonia?

Odrobinę zaskoczony rudzielec zerknął z ukosa na partnerkę, zapewne spodziewając się reprimendy czy przytyku, ale Agnieszka przyglądała mu się z troską.

– Tym razem chodziło o coś innego. Nie mogę ci powiedzieć, jeszcze nie teraz, najpierw sam muszę znaleźć w tym sens.

Agnieszka знаła Sebastiana lepiej niż on sam, wiedziała zatem, że naciskanie na niego nic nie da. Chłopak musi problem przetrwać, przemielić, a dopiero wtedy przyjdzie, żeby go przegadać. Znów odwróciła głowę do okna. Zbliżyli się do plebanii, a gdy tylko minęli ogrodzenie, drzwi do domu otworzyły się gwałtownie i ze środka wybiegła młoda dziewczyna. Pędziła prosto na nich.

– Proszę, powiedzcie, że nic mu się nie stało! – załkała w pierś posterunkowej Ludka, gdy tylko policjanta wysiadła z samochodu. – Proszę...

– Pani jest siostrą księdza Robaka? – upewnił się Sierżant, nadając swemu głosowi więcej łagodności.

– Tak, Radek to mój brat. Gdzie on jest?

Antkowiak delikatnie, acz stanowczo chwyciła zapłakaną dziewczynę za ramiona i odsunęła od siebie.

– Wejźmy do domu, bo nam pani zamarznie – powiedziała cicho. – Zaraz wszystko powiemy.

Ludmiła skinęła głową, odwróciła się i niemal biegiem wróciła do środka. Policjanci ruszyli za nią, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia. „Niech to szlag” – zdawali się mówić. – „To najbardziej parszywa część policyjnej roboty”. I bez wątpienia najtrudniejsza.

– Coś mu się stało, prawda? Miał wypadek? Zaatakowało go zwierzę?

Wpadł do zamarznętej rzeki? – zarzuciła ich gorączkowymi pytaniami dziewczyna, ledwie przekroczyli próg.

Sierżant zamknął drzwi wyjątkowo delikatnie, doskonale pamiętając ostatnią wizytę na plebanii Antoniego. Wewnątrz panowało przyjemne ciepło, a powietrze pachniało świeżo zaparzoną kawą i czymś słodkim.

– Jak ma pani na imię? – zapytała Antkowiak, celowo unikając odpowiedzi na pytania dziewczyny.

– Ludmiła, ale wszyscy mówią do mnie Ludka.

– Pani Ludko, może pani usiądzie? Chce pani wody albo herbaty?

– Kawę mam... – odparła odruchowo dziewczyna. – Niech mnie pani nie trzyma w niepewności, co się stało? Gdzie jest mój brat?

– Pani brat nie żyje – odezwał się Sierżant. – Jego ciało zostało znalezione niedaleko sklepu Szymczaków. Bardzo nam przykro, ale było już za późno.

Ludka pobladła i zachwiała się, na szczęście policjanci byli na to przygotowani. Antkowiak jednym ruchem podstawiała dziewczynie krzesło i pomogła jej usiąść.

– Przynieś wodę, Sebek! – rozkazała. – Proszę oddychać, głęboko. Szok zaraz minie – zwróciła się do Ludki.

Sierżant w ekspresowym tempie skoczył do kuchni i z powrotem, podał Agnieszce szklankę z wodą, którą ta podstawiała dziewczynie pod usta i przemawiała do niej jak do dziecka:

– Niech się pani napije, mały łyczek.

Ludka posłusznie i zupełnie bezwiednie zamoczyła wargi. Pusty wzrok utkwiała we framudze okna.

– Ślicznie, a teraz drugi – zachęcała policjantka.

W czasie gdy Antkowiak z niemal matczyną troską nawadniała oszołomioną siostrę księdza Robaka, Sebastian postanowił się rozejrzeć. Dziwne to było uczucie: widzieć to miejsce tak odmienione, gdy przez lata wyglądało jak skromna kawalerka, którą de facto było. Antoni odmawiał zatrudnienia gospodyni, sam świetnie radził sobie z gotowaniem i utrzymywaniem czystości, a matuszka Melania chętnie pomagała mu w praniu. No i była jeszcze Olga Olszewska, o czym dowiedzieli się niedawno, z którą ksiądz przez lata pozostawał w bliskiej relacji. Teraz na ścianach wisiły zdjęcia i portrety, na parapetach zieleniły się zadbane rośliny, okna

zdobiły delikatne firanki. Nawet kuchnia wyglądała całkiem inaczej, jakoś tak bardziej nowocześnie.

Nagle przez głowę rudowłosego policjanta przebiegło pytanie: i co z tym teraz? Znowu trzeba szukać proboszcza! A do Szczodrych Godów już niedaleko. Ale się porobiło...

Z tą myślą Sierżant wrócił do salonu, gdzie Ludka zdawała się odzyskiwać kolory. Antkowiak odstawiła w połowie opróżnioną szklankę na stół i spojrzała dziewczynie w oczy.

– Wie pani, dlaczego pani brat wybrał się do wioski? – zapytała łagodnie.

– Nie mam pojęcia. – Ludmiła wolno pokręciła głową. – Kiedy wstałam rano, jego nie było. Myślałam, że może poszedł na krótki spacer, czasem lubił tak zaczynać dzień. Zdziwiło mnie tylko to, że nigdzie nie było kubka.

– Kubka? – Sierżant wrócił do rzeczywistości, ale najwyraźniej zbyt raptownie.

– Kubka po kawie – doprecyzowała dziewczyna. – Radek zawsze zaczyna od niej dzień, to jego rytuał od lat. Na studiach udzielał korepetycji i za odłożone pieniądze kupił ekspres do akademika. Całe piętro go za to kochało.

– Myślałem, że w seminarium nie pozwalają na takie... zbytki – odparł zaskoczony policjant.

– To było jeszcze przed seminarium, kiedy Radek studiował chemię.

Wyobrazenie sobie Radosława Robaka jako normalnego człowieka, w dodatku studenta chemii, było zadaniem przekraczającym możliwości Sebastiana. Prędzej już zwizualizowałyby sobie Szelesta bez wąsa, choć tamten chyba urodził się z tą szczotą pod nosem.

– Jeśli dobrze zrozumiałam, to zaniepokoiła się pani, gdy zauważyła, że brat opuścił mieszkanie bez wypicia porannej kawy, czy tak? – Antkowiak postanowiła wrócić do rozmowy na temat okoliczności śmierci księdza. W jego życiorysie jeszcze zdążą pogrzebać.

– Może nie od razu, ale kiedy długo nie wracał, zaczęłam się martwić. Próbowałam dzwonić na komórkę, jednak nie było sygnału.

– Niestety, to u nas normalne. – Sierżant wzruszył ramionami. – W niektórych miejscach zasięg działa idealnie, a w innych w ogóle go nie ma.

– A może brat był z kimś umówiony? – drążyła Agnieszka.

– O niczym takim nie wiem. Wczoraj rozmawialiśmy o tym, że musimy rano sprawdzić, jak się czuje ksiądz Mikołaj, ale mieliśmy do niego pójść razem.

– A dlaczego mieliście sprawdzać, jak się czuje batuszka? – Sebastian miał wrażenie, że z każdą kolejną odpowiedzią dziewczyny rodzi się coraz więcej pytań.

Ludka westchnęła i opowiedziała o wizycie popa poprzedniego wieczora. Nie było w tym zresztą nic zdroźnego, ot, zwyczajne męskie przełamanie lodów.

– Jeśli mogę być szczerą, to wydaje mi się, że Radek wyszedł w nocy – podsumowała dziewczyna.

– Myśli tak pani z powodu nieobecnego kubka? – domyśliła się Antkowiak.

– Tak, ale nie tylko. Wydawało mi się, że przebudziłam się z powodu jakiegoś hałasu, ale się nie powtórzył i znów zasnęłam. To mógł być mój brat.

– Która to mogła być godzina? – pytała jak rasowa śledcza Agnieszka.

– Nie mam pojęcia, ale z całą pewnością było jeszcze bardzo ciemno. Czy... Mogę wiedzieć, co się stało mojemu bratu?

Sierżant nie słyszał odpowiedzi partnerki, słowa Ludmiły obudziły w nim niepokój. Jemu także wydawało się, że słyszał hałasy w domu, i tak samo jak Ludka uznał je za nieistotne. Czyżby instynkt zaczynał go zawodzić? Jego matka często wstawiała w nocy, od lat cierpiała na zaburzenia snu. Czasem zdarzało jej się wychodzić do ogrodu, więc przywykł do odgłosów jej krzątania. No fajnie, ale w zimie w ogrodzie mogłaby co najwyżej śnieg odgarniać...

– ...z pewnością będziemy musieli z panią jeszcze porozmawiać, ale dopóki nie mamy oficjalnych wyników sekcji, nic więcej nie wiemy – tłumaczyła Antkowiak. – Jeśli nie chce pani zostać sama, to możemy kogoś tu pani przysłać.

Ludka pokręciła głową. Bez wątpienia wciąż była w szoku, a prawdziwa bomba dopiero wybuchnie. Antkowiak postanowiła odwiedzić dziewczynę trochę później, żeby sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku. Nie zaszkodzi też poprosić Mielnickich, żeby zaglądali do sąsiadki.

Kiedy opuszczali plebanię, Sierżantowi się zdało, że słyszał dolatujący z

sąsiedniej parceli głos matuszki, ale nie było czasu, żeby to sprawdzić, bo wzywano ich na posterunek.

ROZDZIAŁ 35

Matuszka Melania obudziła się z uczuciem niepokoju i za Chiny Ludowe nie mogła się go pozbyć. Gniotło ją i gniotło, aż zgagi dostała.

Z tego wszystkiego tak ją nosiło, że śpiący w najlepsze małżonek zaczął ją irytować. Wparowała do sypialni, stanęła nad łóżkiem i zaczęła szturchać ramię popa.

– Kola? Kola, budź się! Wstawaj, niecnoto!

Mikołaj wysapał coś niezrozumiałego i poruszył ramieniem, jakby chciał się pozbyć natrętnej muchy.

– Oż ty, bambaryło, ja ci dam oganiać się! – Ruszyła do kuchni, wróciła ze szklanką wody i lunęła nią na głowę małżonka.

Kola zerwał się jak oparzony, ledwo opanowując cisnące się na usta słowa, które w żadnym wypadku nie przystają osobie duchownej.

– Oczadziałaś, babicho⁵⁷?! – wrzasnął na żonę, co niemal nigdy wcześniej mu się nie zdarzyło. – Boga w sercu nie masz? Czy rozum ci jakiś czart zatruł?

Melania ani trochę nie poczuwała się do winy. Cel uświęca środki, jak to mówią mądrzy ludzie.

– Ty gnijesz w łóżku, a na plebanii rzeczy się dzieją! Policja przyjechała, może trzeba im pomóc?

– Komu pomóc? – zdumiał się Mikołaj.

– No komu, komu, temu, który ma rację! Ubieraj się, Kola, leć tam zobaczyć, co się dzieje, a ja podzwonię, może ktoś coś wie.

Wściekły jak indor batuszka ruszył do łazienki, psiocząc na żonę pod nosem. Tymczasem Melania przykleiła się do telefonu w poszukiwaniu informacji. U jej siostry, Niny Nadworskiej, wciąż było zajęte – widocznie Natalia znów dorwała się do słuchawki, Tarnaccy nie odbierali, babcia Maślankiewiczowa nic nie wiedziała, aż w końcu matuszce udało się dodzwonić do Szymczaków.

– Pani Sabinko, policja na plebanii, coś pani wiadomo? – zapytała natychmiast, bez kurtuazyjnych wstępów.

– A wiadomo, wiadomo, morderstwo mamy.

– Nie może być! – Melania nabrała głośno powietrza. – Kto?

– Księżulo, świeć Panie nad jego duszą, chociaż on to chyba duszy nie miał.

– O wielkie nieba, co za historia... – Matuszka przysiadła na drewnianym zydelku i sięgnęła do stojącej na stole miski po ciastko owsiane. – Niech pani mówi. Jak to się stało? Kto go znalazł? Dużo krwi?

Można by pomyśleć, że Sabina Szymczak oburzy się obcesowością matuszki, ale nic z tych rzeczy. Z radością zdała jej pełną relację z odkrycia przez siebie zwłok księdza, na koniec zaś dodała:

– No i widzi Melania, sam sobie los wykrakał. „O gusłach się nie dyskutuje”, bo lichy nigdy nie śpi.

– Niech no Kola to usłyszy, ale będzie zdziwiony – stwierdziła Melania, wzdychając. – O, właśnie przyszedł, muszę kończyć.

– Co Kola ma usłyszeć? – zapytał pop, gdy jego małżonka zakończyła rozmowę.

– Usiądź sobie, zaparzę herbaty.

– Przecież miałem iść na plebanie komuś pomóc – zirytował się.

– A, już nie trzeba, wszystko się wyjaśniło. – Melania machnęła ręką i nastawiła wodę w czajniku. – Ktoś naszego nowego sąsiada bardzo nie lubił.

– No też mi nowina – zakpił Mikołaj. – Chyba trudniej byłoby znaleźć kogoś, kto darzył go sympatią. Czemu mówimy w czasie przeszłym? – zorientował się nagle.

– Bo on już u Pana Boga za piecem siedzi.

Oszołomiony Kola otworzył usta, jednak nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Melania streściła mężowi opowieść Szymczakowej. Podsumowania mu oszczędziła, wiedząc, że batuszka mógłby nie zrozumieć dowcipu.

– No i co to teraz będzie? Znow księdza szukać trzeba – stwierdziła z goryczą.

– O Boże miłosierny, jaka to straszna historia! I dziewczyny szkoda, taka młoda, a już życie ją na próby wystawia.

– Nalewek mi może nie starczyć i andruty trzeba będzie kupować – ciągnęła matuszka.

– To się musi szybko skończyć! – Mikołaj niespodziewanie podniósł głos i rąbnął pięścią w stół.

– A ciebie co znowu opętało? Dobrze już, dobrze, nastawię więcej tej wiśniówki...

– Jakiej wiśniówki, Melu? Ja mówię o morderstwach, one muszą się skończyć! Trzeba natychmiast coś z tym zrobić.

– A co niby, Kola? Myślisz, że ktokolwiek się przyzna, bo mu batuszka każe? Jakoś nie przejął się tym, że mordować zakazałeś, bo grzech to śmiertelny i obraza boska.

– Nie możemy siedzieć i patrzeć, jak nam parafian mordują. Coś należy zrobić! Cokolwiek! Gdyby żył Antoni, toby wpadł na jakiś pomysł...

– A ten jego kuzyn? – podsunęła Melania. – Ten, który pomógł prokuratorowi ze sprawą śmierci Antoniego?

Mikołajkowi nagle rozbłysły oczy i gotów był małżonkę ucałować.

– No racja, Melu! Ty to jednak masz głowę nie od parady!

– I nie waz się w to nigdy więcej wątpić – odparła z dumą matuszka. – To może ty od razu do niego zadzwoń, a ja przygotuję śniadanie.

Numer Henryka Grabskiego okazał się zajęty, więc Kola musiał uzbroić się w cierpliwość. Tymczasem Melania, odrobinę dręczona wyrzutami sumienia za urządzenie mężowi lanego poniedziałku w środku zimy, usmażyła mu najpyszniejsze placuszki z jabłkami, jakich dotychczas miał okazję spróbować, dzięki czemu kryzys w domu Mielnickich został zażegnany. Ledwo jednak skończyli jeść, dzwonek do drzwi przerwał spokój.

– Dzień dobry, czy zastałam księdza Mikołaja? – zapytała trzęsąca się z zimna dziewczyna, w której matuszka od razu domyśliła się siostry księdza Robaka.

– Dobry, tak, zapraszam. Akurat pijemy herbatę.

Melania wpuściła dziewczynę do środka, a następnie zamknęła drzwi na klucz. Licho nigdy nie śpi, jak powiedziała Szymczakowa, a strzeżonego pan Bóg strzeże.

Nagle wtargnięcie barczystego prokuratora i beczułkowatego komendanta z Hajnówki na babiborski posterunek zburzyło starannie wypracowany spokój pani Róży, czego nie omieszkała objawić wszem wobec.

– Zawału przez panów dostanę, myślałam, że to jakiś zbrojny atak! – jazgotała, trzymając się za serce. – Mogliby panowie zapowiadać swoje nadejście, a nie tak straszyć ludzi w pracy.

– Pracownicy cywilni też muszą być czujni na służbie, pani Rózo – zakpił Pieprzyca. – Proszę zrobić kawę dla mnie i pana komendanta, będziemy w pokoju przesłuchań.

Pokój przesłuchań pełnił równocześnie funkcję sali konferencyjnej, był bowiem jedynym miejscem, gdzie zmieścił się stół i więcej niż dwa krzesła. Był też najbardziej dźwiękoszczelny, więc wszelkie tajne rozmowy prowadzone były właśnie w tym pomieszczeniu.

– No, skoro pan tak ładnie prosi... – mruknęła pod nosem Róza i bardzo niechętnie podniosła się z krzesła.

Pieprzyca już zniknął za załomem korytarza, jednak sobowtór Zagłoby musiał usłyszeć komentarz, bo pokręcił głową z wyraźną przyganą.

Mężczyźni usiedli naprzeciwko siebie. Czuć było wyraźnie panujące między nimi napięcie. Pieprzyca czekał na ruch policjanta – w końcu to spotkanie było jego pomysłem.

– Obawiam się – odezwał się po dłuższej chwili komendant – że nie mamy wystarczających dowodów, żeby skazać Malwinę Maślankiewicz. Idiotyczne podejrzenia mojego siostrzeńca to za mało, żeby posadzić człowieka.

– Zgadzam się – stwierdził ostrożnie prokurator. – Dlatego zgodziłem się na ekshumację Augusta Arciszewskiego.

– W tym właśnie sęk, panie Pieprzyca. Nie możecie tego zrobić.

Patrycjusz uniósł brwi.

– Pan wybaczy, ale nie bardzo rozumiem...

– Dobrze, powiem to inaczej i nie chciałbym musieć powtarzać. – Stryj Szelesta zdecydowanie miał bardzo mało wspólnego ze swoim siostrzeńcem. W jego inteligentnym spojrzeniu Patrycjusz natychmiast wyczytał, że sprawa jest ważna. – August Arciszewski został pochowany gdzie indziej, niż wszyscy myślą. Jedyna osoba, która знаła prawdziwą lokalizację jego grobu, nie żyje, więc nie uda się przeprowadzić ekshumacji.

– Pan mówi poważnie?

– Niestety tak. Wiem, jak to brzmi, ale taka jest prawda. W nocy po

pogrzebie Antoni wraz z ówczesnym kościelnym, który pełnił też funkcję grabarza, przenieśli ciało zgodnie z wolą zmarłego.

– Dlaczego mówi pan o tym dopiero teraz? – W pytaniu prokuratora zabrzmiała pretensja.

– Nie sądziłem, że to potrwa tak długo. Byłem pewien, że szybciej umorzycie śledztwo i nikt nie wpadnie na pomysł badania zwłok Augusta. A poza tym byłem na chorobowym i dopiero niedawno wróciłem. Jak tylko o tym usłyszałem, przyjechałem, żeby się z panem rozmówić.

– Mam jedno pytanie. – Tak właściwie to Patrycjusz miał ich więcej, ale to jedno wybiło się na prowadzenie. – Skąd pan o tym wie, skoro i ksiądz, i grabarz, i Arciszewski nie żyją?

Komendant westchnął głośno i pokręcił głową. Nie odezwał się jednak, usłyszawszy dźwięk otwieranych drzwi.

Pani Róża wkroczyła do pomieszczenia z dwiema filiżankami kawy na okrągłej tacy. Ustawiła ją na środku stołu i bez słowa wymaszerowała z salki. Na jej uwagę trzeba zasłużyć. Postukała chwilę obcasami, aż na korytarzu zapadła cisza.

– Nie wiem, czy pan o tym wiedział, a być może zwyczajnie zapomniał – podjął wątek komendant. – Przyjaźniliśmy się z Augustem przez lata. Kiedy awansowano mnie na komendanta w Hajnówce, trochę się od siebie oddaliliśmy, więc zdziwiło mnie bardzo, gdy zadzwonił do mnie któregoś dnia i poprosił o przybycie do Babiboru. Mieliśmy się spotkać u Polikarpa Piaseckiego.

W tej chwili puzzle wskoczyły na swoje miejsce i Pieprzyca zaczął rozumieć.

– Chodziło o testament? – domyślił się. – Pan był świadkiem.

– Zgadza się. Ja i Antoni. I zgodnie z treścią tego dokumentu trumna z ciałem Augusta miała zostać pochowana gdzieś, gdzie nikt nie będzie go szukał. O miejscu pochówku mógł wiedzieć jedynie Antoni i objąć tę wiedzę tajemnicą spowiedzi.

Mimo że brzmiało to logicznie, wciąż brakowało odpowiedzi na zasadnicze pytanie. Pieprzyca postanowił je zadać, choć nie liczył na uzyskanie odpowiedzi.

– Dlaczego August Arciszewski chciał, by miejsce jego pochówku pozostało nieznanne?

Stojąca za drzwiami pani Róża odkleiła ucho od dziurki od klucza i zasłoniła sobie usta obiema rękami. O matko z córką, to dopiero heca! Odwróciła się na pięcie, zdjęła trzewiki z nóg i pognąła do piwnicy, żeby natychmiast uraczyć Malwinę sensacyjnym odkryciem.

– Żeby go nikt nie odkopał i nie odrąbał mu głowy – padła po chwili odpowiedź.

Tym razem Patrycjusza zatkało. Niemal zapomniał, że powinien oddychać.

– Wiem, co pan sobie myśli. Pomyślałem dokładnie to samo, kiedy poznałem wytłumaczenie. – W głosie policjanta nie było słycać kpiny ani pogardy, jedynie smutek. – Byłem przekonany, że mój przyjaciel postradał zmysły, a w takiej sytuacji testament powinien zostać unieważniony. Jak się jednak niebawem okazało, August miał rację. Jego grób został zbezczeszczone, ale na szczęście Antoni wypełnił jego ostatnią wolę.

– Ktoś rozkopał grób Arciszewskiego? – Każda informacja zdumiewała prokuratora coraz bardziej. – Dlaczego ja nic o tym nie słyszałem?

– A co miał pan słycać? Zaraz pojawiłyby się pytania o to, gdzie jest trumna z ciałem. A Antoni musiał milczeć, tak samo jak ja.

– Nie przyszło wam do głowy, że po tym... chuligańskim wybryku informacja jednak się rozejdzie?

– Jak widać, nie rozeszła się. A ja wiem dlaczego. – Zanim wyjawiał kolejną rewelację, hajnowski komendant upił dwa łyki kawy i wytarł spocone ze stresu czoło. – Moim zdaniem – kontynuował niemal szeptem – to morderca był winien.

– To dość logiczny wniosek: morderstwa zawsze jest winien morderca.

– Nie, winien rozkopania grobu – uściślił wuj Szelesta.

I znów udało mu się zaskoczyć prokuratora.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, w jakim celu miałyby to robić – oznajmił Pieprzyca. – Przecież Arciszewski już nie żył.

– A słycał pan o pochówkach wampirycznych?

Po plecach prokuratora przeszedł dreszcz. W dół i w górę.

– Mieszkając na terenie uroczyska, trudno o nich nie słycać – odparł ostrożnie i nie do końca zgodnie z prawdą. Jego babka, która była szeptuchą, wielokrotnie opowiadała mu o tych okrutnych rytuałach. – Ale co to ma do rzeczy?

Beczułkowaty mężczyzna splótł dłonie i raptownie pochylił się nad stołem, zaglądając Patrycjuszowi głęboko w oczy.

– A to ma, panie prokuratorze, że August Arciszewski był czarownikiem i z tego powodu został zamordowany.

ROZDZIAŁ 36

Trzymali mnie w ciemnej celi przez siedem kolejnych dni, co udało mi się ustalić wyłącznie dzięki posiłkom. Siedem razy czarny chleb i kubek wody, siedem razy gotowane ziemniaki i mleko. Suknia wisiąca na mnie, jakby była o kilka rozmiarów za duża, i zapewne tak właśnie było. Choć nie miałam żadnego zwierciadła, nietrudno było zauważyć wystające kostki w nadgarstkach i chude jak u dziecka kolana. Piersi także się skurczyły, a gdy tylko przestały dawać mleko, wróciło miesięczne krwawienie.

Powinnam czuć wdzięczność, że zostawili mnie w spokoju, a nawet zapewnili miskę z wodą i szmatkę, jednak nie potrafiłam wykrzesać z siebie niczego poza wściekłością i nienawiścią. Nienawidziłam ich za to, że rozłączyli mnie z synem, zamknęli jak szczura w ciemnej piwnicy i postanowili złamać. Tylko po co? Nie byłoby prościej spalić mnie na stosie, skoro i tak nikt nie wierzył w moją niewinność?

Gdy tylko krwawienie ustało, drzwi do celi otworzyły się na oścież i czterech jeźdźców apokalipsy wkroczyło do środka. Tym razem od razu dało się wyczuć, że coś się zmieniło. Żaden nie uśmiechał się pod nosem, nie próbował żartować. Właściwie nawet na mnie nie patrzyli. Na dodatek nie zakuli mnie w łańcuchy, a jedynie otoczyli: jeden stanął za mną, jeden przede mną, dwaj po bokach, i wyprowadzili z celi.

Byłam pewna, że znów przygotowali jakiś fortel, przewrotną pułapkę, w którą miałam wpaść, opuściwszy gardę. Tymczasem prawda okazała się znacznie gorsza.

– Wprowadzić! – rozległ się tubalny głos, doskonale mi znany.

Poczułam delikatne pchnięcie w plecy i ruszyłam przez drzwi, które otworzyła moja awangarda. Znalazłam się w ciemnym, ponurym pomieszczeniu. Poza dwoma krzesłami stojącymi pod ścianą nie było tam mebli, a jedyny wystrój tego przyprawiającego o dreszcze miejsca stanowiły sterty słomy upchnięte w kątach. Zapach zgnilizny i szczurzych odchodów oblepiał skórę niczym niewidzialny całun.

Inkwizytor stał obok krzesła, drugie pozostawało puste. Strażnicy

czmychnęli natychmiast po wprowadzeniu mnie do środka. Zostaliśmy sami: sędzia i czarownica. Wiedziałam, że przesłuchanie musi odbywać się przy świadkach, a więc zakonnik wezwał mnie w innym celu.

Przez nieludzko długą chwilę mierzyliśmy się wzrokiem, ale żadne nie zamierzało ustąpić. W końcu jezuita poczuł się tym znużony, mlasnął paskudnie i odezwał się chrapliwym tonem:

– Zanim zaczniemy, chciałbym dać ci ostatnią szansę. Nie myśl, że jestem człowiekiem bez serca.

– Wcale tak nie myślę – odparłam twardo. – Jest ksiądz jedynie wiernym sługą Kościoła.

– Czyżbym słyszał przyganę?

Byłam pewna, że się zezłości, on jednak uśmiechnął się nieznacznie.

– Nauka Kościoła pozwala ludziom nie zbaczać ze ścieżki. A tych, którzy przypadkiem pobłądzili, sprowadzić z powrotem. Taka rola przewodników – wyrecytował.

Tym razem to ja się uśmiechnęłam z drwiną i przekąsem. On naprawdę w to wierzył?

– Czego ksiądz chce ode mnie?

– Prawdy, Anno. Od początku chodzi mi wyłącznie o prawdę.

– A ja od początku ją księdzu daję – odparłam z rosnącą irytacją. – Każda inna „prawda” będzie wyłącznie kłamstwem.

– Gdzie schowałaś księgi?

Zaskoczył mnie, choć nie tyle samym pytaniem, ile ostrością, jakiej nabrał jego ton. Niemożliwe, by tak nagle zmienił mu się nastrój, więc to także musiał być element jego gry.

– Księgi? – powtórzyłam, udając, że się zastanawiam. – Nie wiem, o czym ksiądz mówi. Jestem prostą chłopką, ksiąg żadnych w domu nie mam, zresztą sprawdziliście to na pewno.

– Anno, droga Anno... – Znów zmiękczył głos, a ponadto usiadł na krześle. – Wiele można o tobie powiedzieć, ale na pewno nie to, że jesteś prosta. Jest w tobie coś, czego wciąż nie potrafię nazwać, a co sprawia, że mnie fascynujesz.

Odruchowo zgarbiłam plecy i skrzyżowałam ręce na piersiach. Wzrok jezuity błędził po mojej twarzy z jakąś niestosowną atencją. Nagle moja suknia – brudna i znoszona – zdała mi się niewystarczającym okryciem.

– Powiedz, Anno – zagał – czy nie jest prawdą, skoro już o niej rozmawiamy, że leczyłaś we wsi ludzi i zwierzęta? Że przygotowywałaś mikstury? Że potrafisz rozpoznać chorobę przez sam dotyk?

Pobladałam. Czułam, jak krew odpływa mi z twarzy, usiłując nadażyć za galopującym sercem.

– I czy ludzie kłamią, twierdząc, że te dziwne zdolności pojawiły się dopiero po twoim powrocie z puszczy, w której szukałaś wiedzy o imieniu Ksantypa? – Inkwizytor wiedział już, że znalazł mój słaby punkt, i nie zamierzał odpuścić. Ostrość w jego głosie rozbrzmiewała coraz wyraźniej z każdym słowem.

– Czy grzechem jest zatamowanie krwawienia tysiąclistem⁵⁸ albo oczyszczenie rany liśćmi babki? – Nie zamierzałam poddać się temu atakowi. – Czy według księdza korzystanie z darów natury oznacza wyrzeczenie się wiary w Boga?

– Według mnie, a przede wszystkim według Kościoła czarostwo jest herezją, którą Pan Bóg nakazał karać śmiercią.

– „Czarownikom żyć nie dopuścisz”⁵⁹ – zacytowałam. Miłosiwy Jahwe raczej nie pozostawił zbyt wiele miejsca na interpretację. – Wie ksiądz, jednych wynosicie na ołtarze za czynienie cudów, a innych, choć dokonują rzeczy cudownych, palicie na stosach. Taka to właśnie mądrość waszego Kościoła.

Jezuita milczał, przyglądając mi się w skupieniu. Jeśli spodziewał się, że padnę na kolana, błagając o litość, to musiał srodze się zdziwić. Serce wciąż mi waliło, czułam się zdradzona przez ludzi, którym pomogłam. Któż inny mógłby pomówić mnie o czary, jeśli nie ci, którym leczyłam rany, goiłam złamania, pomagałam pozbyć się zatrucia? Świadomość tego, że to oni, moi, ludzie obdarzeni moim zaufaniem, przyłożyli rękę do mojej kaźni, dodała mi siłę i odwagi, miast pogrążyć w smutku.

– Ciekawym, Anno, skąd tak wiele wiesz – odezwał się po chwili sędzia. – Jednak nie na tyle, żeby trwonić czas na dysputy, wystarczająco dużo go już zmitrężyłem. Straż! – krzyknął.

Wzdrygnęłam się, nie spodziewając się tak głośnego dźwięku.

Ciężkie drzwi się otworzyły i czterech strażników wbiegło do pomieszczenia.

– Przeprowadzić resztę – polecił zimnym tonem jezuita.

Usłyszałam szuranie za sobą, po czym znów zrobiło się cicho, a sędzia zwrócił się do mnie:

– Nie zapomnij, Anno, że miałaś szansę, i to niejedną. Więcej niż którakolwiek przed tobą. Pan Bóg był dla ciebie łaskawy.

Nie zdążyłam zareagować, choć miałam wielką ochotę splunąć mu pod nogi w podziękowaniu za tę łaskę. Rozległy się kroki świadczące o nadejściu kilkorga ludzi, a po chwili rozpoznałam kilku mężczyzn obecnych przy poprzednich przesłuchaniach. Jeden był nowy i on właśnie zajął drugie z krzeseł. Pozostałym strażnicy wstawili drewniane zydelki. Kątem oka dostrzegłam sylwetkę proboszcza, któremu mina zrzędła, gdy tylko jego wzrok spoczął na mnie.

– Wielkie nieba, Anno! – przeraził się kapłan i już chciał do mnie przystąpić, kiedy inkwizytor powstrzymał go rozkazem:

– Zostaw! Nie dotykaj! Czyn to, po co cię tu wezwałem. Pisz, skrybo. Wszystko, co nastąpi znaleźć się musi w protokole procesu.

Oblicze proboszcza jeszcze bardziej zmarkotniało, a mnie zalała fala złości. „Spokój, córko”, szepnęła Matka, gdy zaciśnięte zęby omal nie zgrzytały.

Jezuita wyjął spod habitu szklaną buteleczkę i kazał proboszczowi wyciągnąć dłonie. Wylał przezroczysty płyn na ręce księdza, a tamten obmył je, odmawiając szeptem modlitwę. Nie słyszałam wyraźnie słów, zresztą posługiwał się łaciną.

– Podejź, wiedźmo – rozkazał mi inkwizytor.

Zignorowałam jego polecenie. Już i tak nie miałam nic do stracenia, niech chociaż zachowam godność.

Pozostali świadkowie przyglądali się scenie w milczeniu, jedynie skryba notował coś zawzięcie. Miałam wrażenie nierealności, jakbym oglądała to wszystko cudzymi oczami. To nie mogło się dziać.

Znając mój charakter, proboszcz zbliżył się do mnie, a w jego oczach wyczytałam ból. Walczył ze sobą, choć była to walka z góry przegrana. Nikt nie mógł wygrać z inkwizycją, a każdy, kto jej się sprzeciwił, miał tylko jedną drogę: na stos.

Staął przede mną, wyciągnął ociekającą wodą rękę i położył mi je na głowie. Dotyk zimnych dłoni sprawił, że drgnęłam, jednak nie poruszyłam się. Nie czułam strachu, raczej zaniepokojenie.

Ksiądz zamknął oczy, odchrząknął i odezwał się głosem, który słyszałam jedynie w czasie wygłaszania przez niego ostrych kazań:

– „Zaklinam cię na gorzkie łzy przelane na Krzyżu przez naszego Zbawiciela, Pana Jezusa Chrystusa, dla zbawienia świata i na ogniste łzy wylane wieczorową porą nad Jego ranami przez przenaświętszą Dziewicę Maryję, Jego Matkę, i na wszystkie łzy rozlane na tym świecie przez Świętych i Wybrańców Bożych, z których oczu otarł On teraz je wszystkie, iż jeśli jesteś niewinna, wylejesz teraz łzy, ale jeśli jesteś winna, w żadnym wypadku tego nie uczynisz. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, Amen”⁶⁰.

Ksiądz otworzył oczy i spojrzał w moje. Z jego twarzy wyczytałam niemą prośbę: płacz, płacz, dziewczyno.

Nie mogłam dłużej się powstrzymywać. Roześmiałam się głośno, niemal histerycznie. Co za absurd!

– Oto i dowód. – Do moich uszu dotarły słowa inkwizytora.

– Ale nie uchyliła się przed wodą święconą, nie mamy całkowitej pewności – zaoponował siedzący na krześle mężczyzna.

Ach, więc to znajdowało się w buteleczce. Woda święcona. Spodziewali się, że wypali mi czoło? Na myśl o tym roześmiałam się jeszcze głośniejsze, a z moich oczu popłynęły łzy. Jednak nie o takie łzy chodziło w tej próbie.

– Co więc sugerujesz? – zwrócił się Robak do mężczyzny.

– Widocznie wciąż znajduje się pod diabelskim wpływem – odrzekł tamten, przypatrując mi się w zamyśleniu. – Pozbądźmy się wszystkiego, co może zawierać jego przymioty.

Po tych słowach, które były dla mnie zupełnie niezrozumiałe, mężczyźni zaczęli szeptać między sobą poruszeni. Proboszcz zaś wyglądał, jakby za chwilę miał paść trupem. Zbladł chorobliwie, a jego oddech przyspieszył.

– Niech Bóg ma cię w swojej opiece, Anno – wyszeptał.

Patrzył na mnie tak, jakbym za chwilę miała rozsypać się w proch.

– Co się dzieje, ojcze? – Niepokój i atmosfera napięcia udzieliły się i mnie.

– Będę się za ciebie modlił, drogie dziecko – rzucił, równocześnie wykonując znak krzyża, po czym uklonił się pozostałym mężczyznom i w pośpiechu opuścił pomieszczenie.

Inkwizytor dyskutował szeptem z nieznanym mi człowiekiem, skryba

notował coś zawzięcie, dwaj pozostali wpatrywali się w podłogę, a ich usta bezdźwięcznie się poruszały. Po chwili niemal równocześnie sięgnęli pod habity i wyciągnęli na wierzch naszyjniki wyglądające jak woskowe pieczęcie⁶¹. Dopiero teraz zauważyłam, że inkwizytor nosił podobny, choć wyciągał go spod ubrania tylko wówczas, gdy prowadził formalne przesłuchanie.

Nagle wszystko zadziało się tak szybko, że nie zdążyłam nawet zareagować. Dwóch strażników pochwytiło mnie jak imadło, jeden z asesorów stanął przede mną i rozpoczął łacińską inkantację, a nieznan mi mężczyzna wyjął skądś nożyce, z którymi podszedł do mnie i jednym ruchem rozciął mi suknię. Usłyszałam swój krzyk i głośne westchnięcie wydobywające się z ust skryby.

– Zdejmijcie jej ubranie! – rozkazał ostrym tonem jezuita.

Strażnicy szarpnęli za rękawy i po chwili stałam przed nimi jedynie w bieliźnie. Poplamiona krwią miesięczną halka wzbudziła obrzydzenie na ich twarzach, wyraźnie to widziałam. Szok i poczucie bezsilności odebrały mi głos. Patrzyłam na nich wzrokiem zaszczutego i złapanego we wnyki zwierzęcia, trzęsłam się z zimna.

– Obszukać ją! – polecił inkwizytor, jednak tym razem nikt nie ruszył się z miejsca.

– Nie godzi się, bracie Joachimie, żeby ktokolwiek z nas niewiasty dotykał... – zaoponował jeden z asesorów.

– Co więc ksiądz proponuje? – zapytał z przekąsem jezuita. – Diabelskie narzędzia mogą być ukryte, czytał ksiądz chyba *Malleus*.

Nie doczekawszy się innej odpowiedzi aniżeli spuszczonej ze wstydu wzrok pytanego, inkwizytor spojrział na nieznanego. On nie wyglądał na skrepowanego, twarz miał nieprzeniknioną, a oczy, czarne niczym smoła, wpatrywały się we mnie bez ustanku.

– Skoro tak... – Robak udał zasmuconego, choć jego mina świadczyła o czymś zgoła innym. – Mus nam, bracia i panowie asesory, działać zgodnie z prawem. A prawo jasno nakazuje, aby pozbawić czarownicę sposobności do ukrycia czarcich przedmiotów.

Pozbawiono mnie więc halki – w ten sam co poprzednio sposób, a następnie...

– Nie! Zostawcie moje włosy! – krzyknęłam rozpaczliwie, gdy wielkie

nożyce szczęknęły nad moją głową. – Błagam, panie!

– Za późno na błagania, więdźmo – odezwał się do mnie wielki jak dąb mężczyzna.

On także nosił na szyi medalion, który teraz uderzał mnie rytmicznie w plecy.

Poczułam, że ktoś chwytą moje gęste loki, unosi je wysoko, a po chwili nożyce wydały ostry, metaliczny dźwięk. Rubinowe pukle opadły tuż przy moich bosych stopach.

– Teraz płaczesz, czarownico? – zaszydził jezuita. – Za późno, słowo stało się ciałem, teraz tylko cud może cię uratować. Wyznaj swe grzechy, a Pan Miłościwy stanie w twej obronie.

Oddychałam szybko, tak szybko, że z trudem nabierałam powietrza w płuca. Po mym nagim ciele rozlewała się fala gorącej jak lawa wściekłości. Wstyd? Nie czułam go ani trochę. Ostatnia tama puściła z chwilą, gdy zrozumiałam, że mam tylko jedno wyjście.

– Pierdol się! – syknęłam i splunęłam wprost w twarz mojemu oprawcy.

Roześmiał się głośno, ocierając brodę rękawem. Nie zdołał jednak zapanować nad oczami, w których pojawiła się ciemność, wściekła, bezlitosna i pełna okrucieństwa.

– Dokończcie to, a potem zamknijcie ją w celi – rzucił niemal szeptem. – Przygotujcie salę do ordaliów⁶².

Zanim straciłam przytomność, czy to wskutek stresu, czy wycieńczenia, poczułam jeszcze, jak chwycono mnie pod pachy, a gdy się przebudziłam, nie byłam już Anną Arciszewską. Głowę ogolono mi do skóry, a za odzienie miałam zakonną szatę. Nie było żadnego paska, czemu akurat zupełnie się nie dziwiłam. Mówi się, że czarownice często się wieszają, gdy opuści je Diabeł, którego się wyrzekły w trakcie przesłuchania. Nikt nie chciał ryzykować, że targnę się na swoje życie.

ROZDZIAŁ 37

Prokurator Pieprzyca mógłby zakrzyknąć: „To być nie może!”. Albo: „Pan chyba żartuje?!”. Czy też: „Szanowny komendancie, bądź pan dorosły i przestań bredzić!”. Mógłby. A jednak powiedział coś zupełnie innego.

– August Arciszewski był czarownikiem i zobowiązał księdza Antoniego do ukrycia prawdziwego miejsca jego pochówku, żeby nie narazić się na to, że jakiś współczesny łowca czarownic odetnie mu głowę i skuje nogi. Rozumiem.

Hajnowski sobowtór Onufrego Zagłoby skinął głową z powagą.

– Ni mniej, ni więcej, tylko dokładnie tak właśnie było – potwierdził. – Swoją drogą, przyznam panu, że Antoni musiał się mocno wysilić, żeby cały plan nie wydał się przed Anką Arciszewską. Zresztą, co ja będę panu tłumaczył, pan ją zna lepiej niż ja.

– Tym większy podziw czuję dla wykonawców tego planu – wyznał szczerze Patrycjusz, wszak Anna Arciszewska, secundo voto Malwina Maślankiewicz, nie należała do osób, przed którymi łatwo zachować tajemnicę. – I właściwie bardzo mnie zaintrygowało, co wandal lub wandale znaleźli w zbezczeszczonym grobie, skoro Augusta już tam nie było – mruknął zaintrygowany.

Komendant zachichotał. Spodziewał się tego pytania i najwidoczniej niecierpliwie czekał, żeby móc na nie odpowiedzieć.

– Jeśli wytrzyma pan jeszcze chwilę, to ja z radością panu pokażę – powiedział z zagadkową miną. – I tak musimy zajrzeć na plebanie, chciałbym porozmawiać z siostrą księdza, może trzeba jej załatwić jakąś opiekę.

Patrycjusz nie należał do ludzi niecierpliwych, a przy okazji sam miał sprawę do omówienia na plebanii, co prawda sąsiedniej, ale kierunek właściwy. Dopił więc kawę i ruszył wraz z policjantem do samochodu. Pani Róży na stanowisku nie było, co mogło oznaczać tylko jedno: jak zwykle podsłuchiwała pod drzwiami, a teraz streszcza Malwinie wszystko, co zdołała zrozumieć. No trudno, niech Szelest się z tym mierzy.

Domysły prokuratora potwierdził po chwili dobiegający z piwnicy wrzask.

– To ja mu nieba uchylić chciałam, a on się po śmierci przede mną ukrywa?! Zabiję! Posiekam i rzucę świniom na pożarcie! A potem jeszcze raz zabiję!!!

Pieprzyca dał znak komendantowi, że nie ma czym się przejmować, i po cichu opuścili posterunek. W sprawy małżeńskie naprawdę nie warto się mieszać, one muszą rozwiązać się między małżonkami.

*

Maciejka Murawski mieszkał po niewłaściwej stronie Babiboru, co dość często wymawiał rodzicom, ale nie przynosiło to skutku. Niewłaściwość zaś polegała na tym, że jeśli we wsi działo się coś ciekawego, to tylko po drugiej stronie. Gdzie upiór zaatakował? U Szymczakowej i Nadworskiej. Gdzie zaciukał księdza Antoniego? Na plebanii, daleko, że hej. A tutaj? Jedyne w siedlisku coś się czasem działo, ale ostatnio jakoś cicho, bo remont robią. Nuda.

Dopiero co skończył brać antybiotyki, więc mama pozwoliła mu przebumelować ten tydzień, żeby na święta się nie rozłożył, zatem radośnie korzystał z wolności. Jego siostra, Matylda, musiała chodzić do szkoły, więc Maciejka był teraz w domu sam, nie licząc babci, która i tak już ledwo trzymała się życia, a kontaktu z rzeczywistością nie miała wcale.

Podgrzał sobie chleb w opiekaczu, schrupał go, zagryzając jabłkiem, popił wielką szklanką soku pomarańczowego i poszedł się ubrać. Wpadł na genialny pomysł, że pójdzie do kościoła, może ksiądz znajdzie mu jakieś fajne zajęcie albo pogadają o piłce. W ostatniej chwili przypomniał sobie, że musi jeszcze umyć zęby, wrócił więc do łazienki, wyszorował klawiaturę i był gotów do drogi. Co prawda spodnie od ocieplacza nie wyglądały super, ale przynajmniej nie przemakały, a śniegu napadało, że ho, ho!

Zupełnie nieświadom, że po drugiej stronie Babiboru odbywa się właśnie sensacyjna scena odkrycia i zabezpieczenia martwych zwłok, podśpiewując i lepiąc kulki ze śniegu, Maciejka wędrował wzdłuż lewej odnogi kamertonowatej ulicówki, pełen nadziei na miły dzień. Gdy mijali siedlisko, odniósł wrażenie, że zamajaczyła mu dziecięca sylwetka, ale stało się to tak szybko, że mogło mu się przewidzieć.

Nie przewidziały mu się jednak sylwetki dwojga posterunkowych opuszczających dom księdza Robaka, ani radiowóz, do którego wsiedli.

Schowany za drzewem chłopiec odprowadził wzrokiem odjeżdżający samochód policyjny, a po chwili ruszył do kościoła. Wiedział, że boczne drzwi prowadzące do zakrystii są otwarte, bo sam zapomniał je zamknąć poprzedniego wieczora. Gdy uświadomił to sobie wczoraj w połowie drogi do domu, trochę się zdenerwował, ale szybko uznał, że nikt tam nie wejdzie, bo i po co? Komża i stuła nikomu raczej nie są potrzebne.

W kościele panowała cisza, a przecież ksiądz Robak lubił posłuchać radia, gdy zajmował się papierami. Dziwne. Maciejka wszedł do zakrystii z nieco mieszanymi uczuciami. Czyżby ksiądz zapomniał, że się z nim umówił? Na to wyglądało, gdyż w zakrystii nikogo nie było – ani śladu obecności kapłana. Nawet książka wciąż leżała na parapecie.

Chłopiec postanowił, że chwilę zaczeka, w końcu każdemu zdarzyło się choć raz w życiu zaspać, normalna sprawa. Rozpiął kurtkę i sięgnął po książkę. Znów dostał zawrotów głowy na widok mikroskopijnego druku, ale nie miał nic lepszego do roboty, więc przebiegł wzrokiem kilka linijek. Niewiele zrozumiał: obco brzmiące imiona, jakieś nieznanne mu słowa, a w dodatku wszystko o religii albo filozofii. Bleh. Z ciekawości zajrzał na stronę tytułową i odkrył, że książka nie należy do księdza Robaka, a pochodzi z biblioteki. Może już przeterminowana? Leży tu od kilku dni, więc kto wie, czy księdzu nie zapomniało się jej oddać.

Postanowił, że jeśli Robak nie zjawi się w ciągu najbliższych pięciu minut, odniesie znalezisko do biblioteki. I tak planował wypożyczenie jakichś komiksów, żeby nie nudzić się w ciągu najbliższych dni, więc przynajmniej zapunktuje u pani Sierżant za zwrócenie zguby.

Robak się nie zjawił, choć chłopiec dał mu nawet kwadrans. Maciejka opuścił kościół i już chciał ruszyć do biblioteki, gdy wydało mu się, że słyszy rozmowę na plebanii batiuszki Mikołaja. Może ksiądz Robak zasiedział się u kolegi? Warto sprawdzić.

Zaledwie po kilku krokach okazało się, że księdza Robaka na plebanii Mielnickich nie znajdzie, za to znów natknął się na organy ścigania. Prokurator Pieprzyca i gruby wąsaty facet, którego chłopiec kilka razy widział z Szelestem, stali na dworze razem z batiuszką i rozmawiali o czymś. Że im zimno nie było na tym śniegu i mrozie... Maciejka

przynajmniej miał spodnie od ocieplacza.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo... – doleciało do uszu chłopca, a batuszka wyglądał, jakby właśnie się dowiedział, że Pan Jezus nie istnieje. – Jeśli Antoni złożył przysięgę, to z całą pewnością nie pisał nikomu ani słowa. Taki już był: kamień w wodę.

– Księgi pogrzebowe jednak musiał wypełnić. Masz klucz do zakrystii? – dopytywał Patrycjusz.

Maciejka trochę bał się tego wielkiego prokuratora. Nie dlatego, że był niemiły, bo właściwie to nigdy nie zachowywał się nieuprzejmie, lecz sama jego ogromna sylwetka budziła respekt.

– Gdzieś mam. Trzymałem klucze do wszystkich drzwi, na wypadek gdyby Antoniemu się zawieruszyły. Pójdę poszukać. Możecie wejść, ale tylko do sieni, nie chcę straszyć tej biednej dziewczyny.

– Z dziewczyną też musimy pogadać – odezwał się wąsaty grubasek. – Ale może ma ksiądz rację, niech chwilę ochłonie. Melania pewnie coś zaradzi na szok?

– A wiadomo, że zaradzi! Nalewki z melisą mamy pod dostatkiem.

Mężczyźni weszli do domu, co zasmuciło Maciejkę, liczył bowiem na podsłuchanie czegoś jeszcze. No trudno, i tak się dowie, co tu się dzieje. O, może uda mu się coś wyciągnąć z listonosza. On zawsze wie, co się we wsi święci.

Ledwo chłopak zniknął za zakrętem prowadzącym na polanę obok chatki Soni Iwaszuk, drzwi plebanii się otworzyły i trzech mężczyzn wyszło ze środka, kierując kroki do sąsiedniego kościoła. Zamarznięty śnieg skrzypiał pod ich butami, a wschodzące słońce roziskrzyło biały dywan. Idący twarze mieli ściągnięte i poważne, jakby zupełnie nie doceniali piękna podlaskiej zimy.

– Nie mogę w to uwierzyć – odezwał się w końcu Mikołaj. – Wczoraj wieczorem piliśmy bruderszafty, a dzisiaj już nie ma z kim pić.

Ani policjant, ani prokurator nie skomentowali, jedynie pokiwali głowami ze smutkiem.

– Szymczakowa mówi, że to ten sam, co otruł Melską – kontynuował batuszka.

– Ludzie zawsze plotą, co im ślina na język przyniesie – skwitował Patrycjusz. – Na razie nie wiemy, co się stało. Może ksiądz zasłabł i się

wyzięblił.

– No może... – powątpiewał Kola. – Ale jakoś to mi się nie widzi. Wydawał się porządnym człowiekiem.

Patrycjusz nagle przystanął i spojrzał na batuszkę z dziwnym wyrazem twarzy.

– A ty nie za dużo tych bruderszaftów wczoraj wychyliłeś? – zapytał cierpko.

– Tak po prawdzie to może faktycznie ciut przesadziłem – wyznał ze skruchą Mikołaj. – Ale nie w tym sensie, Patrycjuszu! Okazało się, że on grał. Taką rolę sobie wymyślił, żeby pomóc policji.

– Pomóc policji? – zdumiał się hajnowski komendant.

Batuszka westchnął głośno i streścił zasłyszana poprzedniego wieczora opowieść o przewrotnym sposobie ustalenia zbrodniarza w patagońskiej wiosce.

– A skąd on właściwie wiedział, że policji należy pomóc? – zastanawiał się na głos Pieprzyca. – Zaskakująco dużo wiedział o mieszkańcach Babiboru jak na kogoś, kto mieszkał tu od niedawna.

– No właśnie dzisiaj zamierzałem go o to zapytać – westchnął Mikołaj. – O, patrzcie, drzwi są otwarte.

Klamka w bocznych drzwiach ustąpiła i weszli do pogrążonego w mroku krużganka, którym przeszli do zakrystii.

Pop bez trudu odnalazł księgi pogrzebowe, poszukał właściwego roku i podał tomiszczę prokuratorowi. Ten położył je na stole, przeczytał kilka słów z interesującego go wpisu, po czym wybuchnął śmiechem tak głośnym, że rozszedł się echem po wnętrzu kościoła.

– Co? – burknął komendant, dotychczas przeglądający zawartość pozostałych szaf i szafek.

– Niech pan sam przeczyta – odparł Pieprzyca, wciąż się śmiejąc.

Batuszka także zbliżył się do stołu i powiódł wzrokiem po słowach, które policjant czytał na głos:

– „Dzisiejszej nocy w obecności mojej, proboszcza parafii, oraz kościelnego pochowany został zmarły w Bogu August Arciszewski, bartnik i gospodarz w Babiborze, stosownie do ostatecznej woli swojej wyrażonej w testamencie tymi słowy: *Zobowiązuję świadków, w szczególności zaś księdza Antoniego Aleksandrowicza, proboszcza tutejszej parafii, ażeby gdy*

umrę, moje ciało doczesne pod osłoną nocy złożą w nieoznaczonej mogile, którą następnie zrównają z ziemią i zasadzą na niej kwiatki będące pod ochroną dla lepszego ubezpieczenia. Szczególnie zaś obliguję ich do zatajenia miejsca mojego pochówku przed żoną moją, Anną Arciszewską, która w trakcie najgorszych małżeńskich kłótni wielokrotnie mi złorzeczyła i groziła, że po mojej śmierci w ramach zemsty za moje wobec niej przewiny (które sobie, rzecz jasna, uroiła) będzie z radością skakać po moim grobie”.

Gęste jak szczotka wąsy policjanta drgały rytmicznie, a okazałych rozmiarów brzuch trząsał się od hamowanego śmiechu. Mikołaj zaś sam nie wiedział, czy powinien zacząć radośnie rechotać, czy zastanawiać się nad stanem świata. Ostatecznie rozbawienie chwyciło go w szpony i śmiali się już wszyscy trzej, aż im łzy z oczu pociekły.

– Faktycznie nici z ekshumacji, teraz to nawet tych kwiatków pod ochroną nie znajdziemy – stwierdził Patrycjusz, gdy odrobinę się uspokoił.

– Wielkie nieba! Jakie to szczęście, że Malwina nie ma o tym pojęcia – wydyszał Mikołaj.

– Chyba już ma – zaśmiał się prokurator. – Zdaje się, że pani Róża co nieco podsłuchiwała i doniosła kuzynce.

– Trzeba będzie pilnować cmentarza, gdy rośliny zakwitną – stwierdził komendant. – A właśnie, pytał mnie pan, co było w pustym grobie. Myślałem, że znajdę to tutaj, ale niestety nie ma.

Mikołaj nie chciał dopytywać o pusty grób, wystarczająco kręciło mu się w głowie po odkryciach dzisiejszego poranka. Zainteresowała go jednak informacja, że komendant nie wygrzebał wśród dokumentów czegoś, co powinien był znaleźć.

– Wnikał nie będę, bo jeszcze dowiem się czegoś, o czym nie chcę wiedzieć – zastrzegł – ale czego pan szuka?

– Tutaj gdzieś powinien być brulion. Taki raczej większy, o ile dobrze pamiętam, rozmiaru A cztery – wyjaśniał komendant, marszcząc czoło i gładząc wąsy. – Antoni na pewno gdzieś miał go schować, bo istniało zbyt duże ryzyko, że przekazanie go do archiwum w bibliotece nie zabezpieczy go właściwie.

– No ale co to było? – indagował prokurator.

– Nie mam pojęcia, nie zaglądałem do niego. Antoni wiedział, ale... W każdym razie na okładce miało symbol tej jego barci.

Pieprzycę nagle olśniło.

– W domu Melskiej znaleźliśmy kilka książek należących do Arciszewskiego. Może jest wśród nich?

– Może – odpowiedział nieprzekonany komendant. – Ale to na pewno nie była książka, raczej kronika czy dziennik. Pamiętam, że to miał być żart dla tych, co go odkopią: chcieliście czarownika? To macie jego czary. No, wicie, coś w tym stylu.

Batiuszka przez chwilę nic nie mówił, udając, że nie dosłyszał słów na „cz”, jednak podświadomość działała znakomicie.

– Mam pewien pomysł – odezwał się wreszcie cicho. – Jeśli Antoni chciał ukryć ten... brulion, to z całą pewnością nie oddał go do archiwum, gdzie ktoś mógłby przypadkiem na niego trafić. Nie sądzę też, żeby przekazał go Monice Melskiej. Ale jest, to znaczy była jedna osoba, której Antoni ufał bezgranicznie. Więc jeśli cokolwiek chciał ukryć, mógł to jej przekazać.

– Masz na myśli Olę Olszewską? – Pieprzyca w lot zrozumiał, że Mikołaj ma rację. – Warto spróbować.

– Szkoda wielka, że nie mogę dotrzymać panom dłużej towarzystwa, ale służba wzywa – oświadczył komendant ze szczerym zawodem. Chyba spodobała mu się zabawa w Indianę Jonesa. – Pójdę porozmawiać z tą dziewczyną, a później zadzwonię po Staszka, żeby mnie odebrał. Idźcie, nie traćcie czasu.

Rozstali się pod kościołem, skąd batiuszka z prokuratorem wyruszyli w dół, w stronę wsi, komendant zaś udał się na sąsiednią plebanię, znajdującą się na prawo.

*

Sebastian Sierżant coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że powinien wyjechać z Babiboru i znaleźć sobie jakąś spokojną pracę w dużym mieście. Co z tego, że od zawsze chciał być policjantem, skoro zaczynał się tutaj dusić? Rozmowa z dziewczyną, która właśnie straciła brata, była dla niego wielkim wyzwaniem. Miał ochotę ją przytulić, pogłaskać po tej czarnej czuprynie, powąchać włosy... Wróć! Jakie powąchać?!

Otrząsnął się z tego przedziwnego zamyślenia i spojrzał na prowadzącą samochód Antkowiak. Była skupiona, minę miała poważną, wyglądała

wręcz groźnie: jak rasowa policjantka, postrach złoczyńców, bandziorasów i zbrodni.

– O czym myślisz? – zapytał ją rudzielec.

– O miłości.

Tego na pewno się nie spodziewał.

– A możesz jaśniej? Okoliczności mamy mało romantyczne, stąd moja konfuzja, rozumiesz...

– Powiem, ale w zamian ty też musisz powiedzieć, co cię gnębi – odparła, zerkając na przyjaciela kątem oka.

– Zgoda – odrzekł po chwili. – Wal z tą miłością.

Agnieszka Antkowiak nie należała do osób szczególnie wylewnych, raczej znajdowała się na przeciwnym biegunie i mówienie o emocjach kosztowało ją tychże kilotony. Niemniej to właśnie z Sebkim od zawsze mogła rozmawiać o wszystkim, on jako jedyny znał jej sekret. Chociaż nie, przecież zdradziła go też Pieprzycy. Poza nimi dwoma nikt nie miał pojęcia. Jej bracia, zakute wojskowe łby, zrobiliby jej piekło na ziemi, gdyby się dowiedzieli, a ojciec pewnie posłał na egzorcyzmy. Co za parszywy los...

– Zastanawiam się, czy gdybym zebrała się na odwagę i zrobiła to, co ty, to czy potem musiałabym utopić się w Narwi, czy jednak byłabym taka dzielna jak mój najlepszy przyjaciel.

Sebastian zamrugał kilka razy, jakby potrzebował chwili na zrozumienie, co poeta miał na myśli.

– Yyy... Zastanawiasz się, czy... Czekaj, mów wprost, bo to zbyt skomplikowane zdanie jest.

– Taki czytany, a taki baran... Zastanawiam się, ośle, co by się stało, gdybym powiedziała Lilce, że lubię ją trochę za bardzo – wyrzuciła z siebie.

– Nie da się lubić kogoś za bardzo, można jedynie lubić niewłaściwą osobę – pouczył ją Sebek z powagą w głosie. – I jeśli chcesz znać moje zdanie, to właśnie powiedzenie o swoich uczuciach wprost jest drogą do ustalenia, czy to jest właściwa osoba.

Antkowiak znów spojrzała z ukosa, tym razem z wyraźnym podziwem.

– Kiedyś ty tak zmądrzał, rudzielcu? No, no... Może powinieneś zmienić profesję i doradzać w sprawach sercowych. – Przygryzła wargę. Pytać czy nie? A, do diabła! – A jak twoje sprawy sercowe?

– Nijak. – Wzruszył ramionami. – Nic z tego nie będzie. To nie była właściwa osoba, więc nie ma o czym mówić. Przejdzie mi, prędzej czy później.

– Ta siostra Robaka jest urocza, co? – wtrąciła ni stąd, ni zowąd Agnieszka.

– Urocza. Okropnie mi jej szkoda. Biedna dziewczyna.

– I śliczna – naciskała posterunkowa.

– A ty co? Przed chwilą chciałaś Lilce miłość wyznawać.

– I wciąż się nad tym zastanawiam – odparła z grymasem. – Wiem, że ta Ludka nie wygląda jak rusałka z warkoczem w kolorze pszenicy, ale czarnowłose dziewczyny też są piękne, wiesz? Twoja mama ma czarne włosy.

– Farbowane – mruknął Sebek.

– Bo siwieje. A taka piękna. Zapytaj Szelesta.

To już była jawna prowokacja, za którą Antkowiak dostała solidnego kukuśnia. Mimo to Sebastian uśmiechnął się na myśl o tym, ile razy jego piękna matka dała kosza niewydarzonemu Szelestowi, a ten wciąż się nie poddawał. Skubany, trzeba się od niego uczyć wytrwałości!

Dojechali pod posterunek w nieco lepszych humorach, ale ledwo przekroczyli próg, miny im zrzędyły.

*

Po załatwieniu wszystkiego na miejscu znalezienia zwłok, innymi słowy: po oddelegowaniu zadań i upewnieniu się, że nikt nie poleci na skargę do komendanta, Szelest poczuł, że powinien wypełnić swój obywatelski obowiązek i powiadomić Sylwię Sierżant o śmierci księdza. Wiedział, że piękna niewiasta przeżyje wstrząs, więc ktoś musiał nad nią czuwać, na wypadek gdyby zemdląca. Wrócił więc szybko do domu, przebrał się w galantny strój wyjściowy zarezerwowany na ważne okazje i udał do domu oblubienicy.

I pocałował klamkę.

W domu nikogo nie było, panowała w nim całkowita cisza, a na dodatek drzwi były zamknięte.

Zaskoczony Szelest przez chwilę się zastanawiał, czy jechać do biblioteki, gdzie z całą pewnością przebywała Sylwia Sierżant – w końcu

był dzień roboczy, a on powinien był pomyśleć o tym wcześniej – lecz coś go podkusiło i wszedł do ogrodu.

Ogródek Sierżantów miał kształt litery L, a dłuższa część znajdowała się na tyłach domu. Tam również Sylwia od lat miała niewielką szklarnię, w której hodowała różne dziwne rośliny. Szelest potrafił rozpoznać ogórki, pomidory i szczypior, a cała reszta go w zasadzie nie interesowała. Chabazie jak chabazie, zielsko i tyle.

Rozejrzał się po rozległej przestrzeni, lecz nie zauważył nic poza licznymi śladami butów odcisniętymi w śniegu. Większość prowadziła do oraz ze szklarni. Było to zrozumiałe, w końcu pod śniegiem nic nie rośnie. Podeszedł bliżej i zajrzał przez szybkę – Sylwii tam nie było. Wzruszył ramionami i postanowił jednak wybrać się do biblioteki. Odruchowo patrzył pod nogi, przyglądając się śladom. Większość była płytka, natomiast kilka dość głębokich, w dodatku niewątpliwie zostawiły je męskie buty w dużym rozmiarze. Jego na pewno nie, on przecież ważył tyle co średni kurczak i obuwie nosił w rozmiarze czterdzieści jeden. Czyżby ktoś tu się kręcił? A może Sylwia miała jakiegoś absztyfikanta?!

Rozsierdzony myślą o konkurencji Szelest wskoczył do samochodu i pognął do biblioteki.

ROZDZIAŁ 38

Maciejka nie przepadał za zimą, zwłaszcza kiedy przynosiła opady śniegu – wtedy nie mógł oddawać się ulubionej czynności. Choćby nie wiadomo jak się starał, w śniegu nie dało się grać w piłkę. Na domiar złego łażenie po zaspach groziło nieplanowanymi przygodami, takimi jak teraz.

Musiał się nad czymś zamyślić, bo zupełnie zapomniał, że na łące obok domu Olszewskich znajdowały się liczne dziury wydrążone przez krety i nornice, w niektórych miejscach były też naturalne zagłębienia. Gdy prawa noga zapadła się głęboko, lewa nie zdążyła złapać równowagi i Maciejka runął jak długi, z prawą stopą ugrzęźniętą w jakimś imadle. No pięknie. I co teraz? Na domiar złego książka wypadła mu z rąk i poleciała gdzieś do przodu; pewnie zaraz rozmoczy się w śniegu, a pani Sierżantowa da mu paternoster, jak się patrzy.

Przez dłuższą chwilę miotał się, wykorzystując całą siłę piłkarza, ale nic mu to nie dało. Nawet płakać nie mógł, stracił za wiele energii. Zresztą co by mu to dało? Mróz był tak duży, że lzy pewnie by zamarzły. Mama się wścieknie, bo jak nic Maciejka zaraz znowu się rozchoruje. Co za pech!

Spróbował krzyknąć, ale z nerwów w gardle mu zaschło i wydobyło się z niego ledwie skrzeczenie. O rany... Jak tu zamarznie, to mama w końcu spełni swoją groźbę i go udusi. Na bank. Zrezygnowany i pełen lęku o to, czy ktoś go znajdzie, zanim zamieni się w szkielet i trudno będzie go rozpoznać (chyba że po spodniach od ocieplacza), leżał bez ruchu zapewne osiem godzin. Zimno mu było głównie w twarz i dłonie, ale postanowił przyjąć śmierć jak mężczyzna – z honorem i pokorą. Nie pamiętał żadnych modlitw na okoliczność umierania, więc powtarzał w kółko wszystkie, jakich uczył się do pierwszej komunii, kiedy nagle wydarzył się cud.

– Proszę pana, babciu, popatrzcie, tam ktoś leży! – Usłyszał głos, niewątpliwie dziecięcy.

Po chwili dotarł do niego dźwięk chrzęszczącego śniegu i zobaczył nogi. Najpierw jedną parę, a zaraz potem dwie kolejne.

– Rany boskie, chłopcze, nic ci nie jest?! – Jakies ręce chwyciły go pod

pachy i pociągnęły w górę.

– Au! – zawył Maciejka. – Noga!

– Babciu, chyba noga mu się zaklinowała! – domyślił się chłopiec.

Maciejka nie znał tego głosu, ale z całą pewnością nie należał do dziewczyny.

Ktoś chwycił go za prawą nogę i delikatnie pociągnął. Zabolało.

– Au, au, auuuu! – jęczał. – Tam jest dziura i but mi utknął.

Nieznajomy chłopiec padł na kolana obok uwięzionego Maciejki i zabrał się do odkopywania śniegu. Osoba nazywana przez niego babcią też rozgrzebywała biały puch, pryskając nim wszędzie dookoła.

– Tomuś, trzymaj go za kostkę, a ja spróbuję poluzować but i wyciągniemy z niego stopę – poleciła kobieta po chwili.

Maciejce było już wszystko jedno, właściwie gotów był zostawić w tej dziurze nawet but ze stopą, byleby móc się stąd ruszyć. Potrzebował teraz, natychmiast, iść do toalety. Nagle poczuł, że imadło zwalnia uścisk, a stopa wysuwa się z usztywnionego buta jak korek z wina. Brakowało tylko głośnego „plum!”.

– Już, gotowe – westchnął nieznajomy chłopiec. – Możesz ruszać stopą? Mógł. W lewo, w prawo, w górę.

– Panie Hirku, weźmie go pan na ręce, żeby boso po śniegu nie szedł, a poza tym może noga jest skrzyżowana – rozkazała kobieta. – Chodź, Tomuś, wracamy do domu, trzeba chłopaka ogrzać.

Silne męskie ramiona podniosły Maciejkę i ten wreszcie mógł przyjrzeć się swoim wybawcom.

– To ciebie widziałem rano w siedlisku? – spytał, patrząc na Tomka.

– Chyba mnie... Ale wciąż jest rano – odparł odrobinę zdziwiony syn Basi.

– Serio? Myślałem, że leżę tu cały dzień... Maciejka jestem. – Wyciągnął dłoń w rękawiczce, a Tomek ją uściskał.

– Tomek. Tomek Bilski. Moja mama mieszka w siedlisku.

– To ta z czarnymi włosami? – domyślił się Maciejka. – Fajnie masz.

– Pogadacie w domu, bo ten dżentelmen trochę waży – stęknął ojciec Alicji. Z wysiłku zrobił się czerwony, a do siedliska mieli co najmniej pół kilometra.

Ruszyli po swoich śladach, dzięki czemu szło się nieco łatwiej, gdy wtem Maciejka przypomniał sobie o książce.

– Stać! *Halt!* Książka!

Wszyscy zatrzymali się jak wryci. Ojciec Ali dyszał niczym zasłużony parowóz.

– Jaka książka? – zapytał Tomek, który do literatury miał ogromny szacunek.

– Wypadła mi, może jeszcze nie rozmokła.

Tomek bez wahania ruszył z powrotem, rozglądając się uważnie po śniegu. W końcu dostrzegł zgubę i wyłowił ją z zasy.

– *Imię róży*, to ta? – Pomachał przemokniętym woluminem.

Maciejka wypuścił powietrze i pokiwał głową.

– Pani Sierżantowa mnie zaciuka... Będę musiał zapłacić karę, a to nawet nie moja książka.

– To mi ulżyło, bo to raczej nie jest lektura dla dzieci – stwierdziła z niesmakiem babcia Tomka.

– Możemy iść? Bo mi zaraz ręce omdleją – jęknął ojciec Alicji.

Ruszyli z werwą, a Tomek z zainteresowaniem przyglądał się książce, którą postanowił niezwłocznie przeczytać. Jeśli babcia twierdzi, że nie jest dla dzieci, to tym bardziej go zainteresowała. Zwłaszcza ta okładka z manuskryptami. Kogo by nie ciekawiły średniowieczne manuskrypty?

Gdy dotarli do siedliska, Julka właśnie kończyła opowiadać o swoim śnie.

*

Batiuszka wciąż nie mógł uwierzyć w to, co się działo od rana. Miał wrażenie, jakby wcale się nie obudził i cały czas śnił koszmar. Był ksiądz i go nie ma. Był grób bartnika, jest pusta dziura w ziemi, a czarownik wąża kwiatki nie wiadomo gdzie. Przez lata zdążył przywyknąć do dziwactw, jakie wydarzały się w Babiborze, ale na Boga! Każde szaleństwo ma granice.

– Pamiętam, że Antoni opowiadał mi o jakimś schowku, który pomagał urządzić Oldze – oznajmił nagle. – Dawno to było, jeszcze wtedy miał chyba nadzieję, że coś z tego wyjdzie. Szukali tego zaklęcia odwracającego klątwę.

To znaczy ja wtedy nie wiedziałem, czego szukali, ale teraz już rozumiem – doprecyzował. – Olga wyjeżdżała, Antoni rozpytywał o różne szeptuchy i żerców. Gdybym ja wtedy mądrzejszy był... – westchnął ciężko pop i pokręcił głową.

– Nie rób sobie wyrzutów, Mikołaju – pocieszał go Pieprzyca. – Dobrze wiesz, że Antoni nigdy nie ujawniłby cudzej tajemnicy, a zwłaszcza sekretu Olgi. Tak widocznie musiało być.

Batiuszka ze smutkiem przytaknęła. Taka prawda, Antoni nigdy nie nadużyłby niczyjego zaufania.

Do domku należącego ongiś do Olgi Olszewskiej, obecnie zamieszkiwanego przez jej krewną Sonię Iwaszuk, prowadziła ścieżka utworzona przez jedną parę butów. Najwyraźniej młoda aktorka miała gościa, co jednak nie stanowiło przeszkody, żeby odwiedziło ją dwóch kolejnych.

Pieprzyca zapukał delikatnie w drewniane drzwi, ze środka rozległo się głośne: „Otwarte”, i dwaj panowie w wieku więcej niż średnim weszli do chatki. Od razu otuliły ich ciepło i przyjemny zapach wanilii, który – jak się okazało – wydobywał się z piekarnika.

– Dzień dobry – przywitał się prokurator z właściwą sobie kindersztubą.
– Nie przeszkadzamy?

Dwoje ludzi obojga płci siedzących przy stole nad planszą do gry patrzyło na przybyszów z zaciekawieniem i sympatią.

– Skądże! Świetnie panowie trafili, ciasteczka kończą się piec – oznajmiła radośnie Sonia.

Na potwierdzenie jej słów piekarnik zaczął pisać, oznajmiając upływ wyznaczonego czasu.

– Panie Karolu, dawno się nie widzieliśmy. – Pieprzyca uściśnął dłoń Książka i poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

Batiuszka również przywitał się z dziennikarzem, uprzednio ucałowawszy dłoń gospodyni, która odwdzięczyła się promiennym uśmiechem.

– A panowie to do nas czy w drodze do siedliska? – zapytał Karol bez żadnych złośliwości.

Utarło się już, że właśnie w siedlisku odbywały się nieformalne spotkania babiborskiej elity.

– Tak konkretnie to my do pani Soni – odrzekł Patrycjusz. – Chociaż nie wiem, czy będzie pani w stanie nam pomóc – zwrócił się do aktorki. – Chodzi o pewną delikatną kwestię...

– O, skoro o delikatną, to ja zaparzę najpierw herbatę – rzuciła ze śmiechem dziewczyna. – I zaproponuję do niej wkładkę w postaci nalewki. Zalazłam w końcu tajny schowek, w którym ciocia trzymała te wszystkie skarby.

Prokurator z batiuszką wymienili porozumiewawcze spojrzenia, co nie uszło uwadze Książka.

– Oho, a cóż to za spiskowanie? – zapytał z zadziornym uśmiechem. – Bardzo panowie tajemniczy, ale chyba pora wyłożyć karty na stół.

Sonia wyjęła blachę z piekarnika i anielski zapach natychmiast rozszedł się po całym domu. Pieprzycy przemknęło przez głowę, że to mogłaby być dobra metoda wzmacniania przesłuchań, taki szantażyk: gadaj albo na wężaniu tych delicji się skończy!

Kola nic już nie myślał, bo dostał takiego ślinotoku, że nie mógł się skupić. Wodził maślanym wzrokiem za rękami dziewczyny.

– Panie Patrycjuszu, słyszał pan, co mówiłem? – upewnił się Książek.

– Co takiego? Przepraszam, chyba się wyłączyłem na moment. Karty na stół, ach tak – odchrząknął prokurator i usiadł naprzeciwko dziennikarza, czyli plecami do kuchni. Na wszelki wypadek, żeby choć odrobinę uspić odruch Pawłowa. – Pomyśleliśmy z Mikołajem, a właściwie to on pomyślał, a ja się z tym pomysłem zgadzam, że być może pani Sonia pozwoliłaby nam poszukać czegoś, co Antoni mógł przekazać pani Oldze na przechowanie.

Sonia wyłożyła ciastka na elegancki talerz i zabrała się do parzenia herbaty. Słuchała przy tym uważnie słów Pieprzycy.

– Ależ oczywiście, proszę się rozglądać do woli – rzuciła wesoło. – Wiedzą panowie, jak ten tajemniczy depozyt wygląda?

– To taki brulion formatu A cztery – pośpieszył z odpowiedzią batiuszka, który usiadł obok Książka i nie odrywał wzroku od gospodyni.

– To może jest w bibliotece, na piętrze? – zasugerowała Sonia.

– Myśleliśmy, że może pani Olga miała tu jakieś miejsce, powiedzmy... mniej na widoku – odparł dyplomatycznie prokurator. – Podobno Antoni pomagał jej przygotować coś takiego.

Iwazuk spojrzała na Książka, który uśmiechnął się do niej nieznacznie

i skinął głową.

– Zdaje się, że chodzi panom o tę kryptę pod kuchnią, w której odkryliśmy pamiątki historycznego Robaka – oznajmił z nonszalancją.

Informacje zawarte w tym jednym zdaniu poraziły przybyszów. Obaj zamilkli na chwilę, nie wiedząc, od którego pytania powinni zacząć. W sukurs przyszła im gospodyni.

– No tak, to chyba lepsze miejsce do ukrycia czegoś, co powinno zostać ukryte – zgodziła się z Karolem. – Jasne, zaraz możemy tam zajrzeć, mamy wciąż drabinę.

– Pod tym domem jest... krypta? – wydusił w końcu z siebie batuszka.

– Nie, to raczej rodzaj schronu albo tajnego pomieszczenia. Świetnie sprawdza się jako spiżarka, tylko trochę tam ciemno – wyjaśniła Sonia.

– Co pan miał na myśli, mówiąc o „historycznym Robaku”? – zwrócił się Pieprzyca do Książka.

– Myślałem, że wiecie – odparł zdziwiony. – Pierwsze widzę, żeby w Babiborze coś zostało tajemnicą, zwłaszcza jeśli przeszło przez siedlisko.

– Nie wiem jak ty, Patrycjuszu, ale ja chyba się zgubiłem – bąknął Mikołaj, po raz pierwszy odrywając wzrok od Soni. – Co znowu przeszło przez siedlisko?

– Pewnie kolejne tornado, cóż innego... – mruknął z sarkazmem Patrycjusz. – Chyba musi nam pan powiedzieć wszystko jak chłop krowie na miedzy, bo faktycznie ciężko zrozumieć.

Sonia pojawiła się przy stole z talerzem ciastek, który stanął na samym środku planszy do gry. Pieprzyca pomógł przynieść kubki i dzbanek z herbatą, a za chwilę obok ciastek zmaterializowała się także butelka ozdobiona znaną wszystkim etykietą Kornelii Konarskiej.

– Piernikówka? – upewnił się prokurator.

– Tak, ale mam też inne – pospieszyła z wyjaśnieniem Sonia, gotowa ruszyć z powrotem do kuchni.

– Nie, nie, niech pani siedzi. – Batuszka położył dłoń na jej ręce. – To nasza ulubiona, tylko od pewnego czasu trochę jej... nie ufamy.

– A nie, ta jest bezpieczna, pochodzi jeszcze z czasów cioci Olgi – odparła z ulgą dziewczyna, zrozumiałwszy w lot aluzję. – Zresztą popijamy ją od kilku dni i nikt nie umarł.

Na te słowa Mikołaj i Patrycjusz drgnęli mimowolnie, jednak czułe oko

dziennikarza to wylapało.

– Co jest, panowie? – zapytał poważnie. – Czegoś nie wiemy?

W tym momencie rozdzwonił się telefon prokuratora, zaskakując tym najbardziej właściciela.

– Nie wiedziałem, że tu jest zasięg! – stwierdził ze zdumieniem. – Przepraszam, to z Białegostoku, muszę odebrać.

Wyszedł na ganek, zostawiając pozostałych w stanie zawieszenia. Sonia rozlała herbatę do kubków i wszyscy troje chrupali ciepłe ciasteczka, które okazały się znakomite mimo delikatnego przypalenia spodu. Od odrobiny węgla jeszcze nic nikomu się nie stało. Czekać na powrót prokuratora, rozmawiali o sprawach błahych, choć wszyscy troje niecierpliwie oczekiwali możliwości powrócenia do otwartych tematów. Wydawało im się, że trwało to wieki, choć w rzeczywistości Patrycjusz wrócił do środka po niespełna pięciu minutach, bez wstępów ogłaszając:

– No to klops, Robaka otruto tojadem.

Przeżuwające ciastka szczęki znieruchomiały, a batiuszka omal się nie zakrztusił. Książek rąbnął go zdrowo w plecy, a Sonia podsunęła popowi kubek.

– Mam przecucie, że nie mówi pan o owadzie – odezwał się głucho Karol.

Pieprzyca zamachał rękami w geście bezradności.

– Dzwonił patolog. Z sekcji nic nie wyszło poza nagłym zatrzymaniem serca – oznajmił. – Toksykologię zrobili na cito, a poza tym badali z tezą, to wyszło im na pniu.

Książek i Sonia spojrzeli na siebie, niewiele rozumiejąc.

– Książdz Robak został otruty? – upewniła się dziewczyna.

– Wszystko na to wskazuje – odparł prokurator.

– Kiedy? – Książek poczuł mrowienie w karku.

Jako dziennikarz powinien o tym wiedzieć, a tymczasem dowiaduje się chyba ostatni. Co prawda ma wolne, ale w niektórych zawodach zawsze jest się na służbie.

– W nocy, tak dokładniej między północą a piątą rano.

– Co z Malwiną? – pytał dalej dziennikarz.

– Siedzi. Nosa nie wyściubiła z aresztu, więc albo nie ma z tą sprawą nic

wspólnego, albo ma współnika.

– Przecież to nonsens! – zaproponowała Sonia. – Wszyscy wiemy, że pani Maślankiewiczowa nie jest morderczynią.

– Ktoś jednak tego księdza zabił – stwierdził prokurator, który doskonale wiedział, że w areszcie siedzi niewinna osoba, a tymczasem po wsi gania nawiedzony truciciel.

– No, jeśliby szukać w życiorysie ofiary, to kandydatów mamy aż nadto – skwitował cierpko Książek. – Raczej nie zdobył sympatii we wsi.

– Szelest też nie, ale jakoś nikt mu życia nie odebrał – zauważył batuszka.

– No to może ktoś się pomylił – snuła domysły Sonia. – Albo wcale nie chciał go zamordować, tylko tak przypadkiem wyszło.

– Toksykolog wyklucza przypadek, stężenie trucizny było za duże. Co się, do diaska, w tej wsi wyprawia?! – Pieprzyca chwycił się za głowę.

W tym momencie jego telefon znów zadzwonił. Henryk Grabski.

Tym razem Patrycjusz postanowił nie wychodzić na ziąb, w końcu i tak wszystko by przekazał, więc co za różnica. Odebrał połączenie, włączył tryb głośnomówiący i z głośniczka popłynął przyjemny głos emerytowanego agenta:

– Czołem, przyjacielu! Mam dla ciebie informacje.

– Czołem, jesteś w towarzystwie. Są ze mną Mikołaj, pan Książek i pani Iwaszuk.

Grabski zdążył poznać wszystkich troje przy okazji ostatniej sprawy, w którą był zaangażowany poniekąd prywatnie. Przywitał się grzecznie i przeszedł do rzeczy:

– Otóż udało mi się dotrzeć do jednego z misjonarzy, z którymi brat Robak pracował w Patagonii. Opowiedział mi bardzo ciekawą historię i może ona mieć związek z jego nagłym powrotem do kraju.

– Intrygujesz – stwierdził Pieprzyca. – Słuchamy w napięciu.

– Wyobraźcie sobie, drodzy państwo, że nasz redemptorysta ogromnie lubił spotykać się z autochtonami poza parafią. Taki był z niego nietypowy misjonarz, rodem z siedemnastego wieku. Jeździł po wioskach ukrytych w puszczy, przedzierał się przez rzeki, niestraszne mu były opowieści o kanibalistycznych zapędach rdzennych ludów Ameryki Południowej. Pewnego razu trafił do społeczności, w której niezwykle szanowano

miejscowego czarownika, czyli szamana – ciągnął Grabski. – Robak, chłopak bardzo pojętny i utalentowany w kierunku języków, nauczył się dość sprawnie posługiwać tamtejszymi narzeczeniami i od czasu do czasu zasiadał z autochtonami do wieczornej herbatki przy ognisku, przyglądał się miejscowym zwyczajom, obserwował rytuały. Taki z niego trochę etnograf był, jak moja wnuczka Edyta – doprecyzował. – Z opowieści mojego źródła wynika, że w trakcie któregoś zagryzaniego grzybkami posiedzenia szaman dotknął Robaka i doznał objawienia.

– Po grzybkach to i ja bym doznał – wyrwało się Książkowi.

– Pełna zgoda, panie Karolu, ale to jego było innego rodzaju – odrzekł nieurażony Henryk. – Mój informator nie wie, co dokładnie powiedział Robakowi ów szaman, ale według tego, co udało mu się zrozumieć, to starzec miał powiedzieć księdzu, że w jego żyłach płynie krew czarownicy. Po tym zdarzeniu Robak napisał do wierchuszki prośbę o natychmiastowe odwołanie go z misji i wrócił do Polski. A potem to już wiecie.

– A potem go zabili... – mruknął Książek, wyciągając telefon z kieszeni. – To świetny materiał, panie Henryku, mogę go opisać?

– Może pan. Kogo zabili?

Pieprzycą spojrział na dziennikarza jak na najbrzydsze zwierzę świata. Karol przyjął to spojrzenie z pokorą i żalem za grzechy. Głupi był, należy mu się.

– Dziś rano znaleźliśmy zwłoki księdza – poinformował przyjaciela Patrycjusz. – Właśnie dostałem potwierdzenie, że został otruty tojadem.

– Jak Monika Melska? – Nie bez powodu Henryk Grabski swego czasu był najważniejszym człowiekiem w polskim wywiadzie. Jego zdolność zapamiętywania szczegółów obrosła legendą.

– Na to wygląda. Nie ma jeszcze oficjalnych raportów, ale już samo to wystarczy, żeby postawić w gotowości wszystkie służby w województwie. Nie chcę nawet myśleć o tym, co tu się będzie działo. A jeszcze ten cholerny Arciszewski!

Tak oto toczyła się ta przedziwna rozmowa przy ciastkach waniliowych i herbacie z nalewką piernikową: jedna odpowiedź rodziła kilka kolejnych pytań niczym hydra, której nijak nie można uśmiercić. Cóż było robić? Batuszka z prokuratorem opowiedzieli o ostatniej woli Augusta, która doprowadziła ich do domu Olgi Olszewskiej, co znów zmusiło Sonię do

zreferowania odkrycia pod podłogą, a następnie do ujawnienia tajemniczych dzienników jeszcze bardziej tajemniczego inkwizytora o tym samym nazwisku, jakie nosiła najświeższa ofiara pierwszego w historii Babiboru seryjnego truciciela.

Analityczny i ostry niczym nóż santoku pewnej restauratorki-celebrytki umysł Henryka Grabskiego jako pierwszy dokonał dekonstrukcji, a następnie ustrukturalizował zdobyte informacje.

– Znaleźliście w skrytce, w której prawdopodobnie zostały schowane tajne zapiski czarownika, dzienniki inkwizytora nazywającego się Joachim Robak? I ów Joachim Robak zajmował się w Babiborze procesem domniemanej czarownicy, którą miała być Anna Arciszewska, babka Augusta, czarownika?

– Jak ci to brzmi? – zapytał Patrycjusz, który już sam nie wiedział, co ma myśleć.

– Jak historia z baśni braci Grimm. Z tą różnicą, że jak na razie posługujemy się jedynie faktami. A skoro przy faktach jesteśmy, to udało mi się ustalić jeszcze jedną rzecz odnośnie do Robaka – dodał Grabski.

– Którego? – zapytali unisono wszyscy zgromadzeni przy stole.

– Racja – roześmiał się Henryk. – Tego współczesnego, a raczej jego antenatów. Nitka kończy się na Jonatanie, sierocie wychowanym w przyklasztornym sierocińcu, co w tamtych czasach właściwie nie było tak wyjątkowe. Dotarłem jednak do annałów, z których wynika, co prawda nie wprost, że Jonatan mógł mieć siostrę, z którą go rozdzielono. Dziewczynka została adoptowana, danych rodziców nie ma, więc raczej niczego więcej nie uda nam się ustalić.

– A dlaczego chłopca nie adoptowano? – zapytała Sonia, która wciąż oplakiwała własną siostrę cioteczną, z którą była bardzo zżyta.

– Jeśli powód jest prawdziwy, to dlatego, że był... rudy. Dziewczynka miała czarne włosy.

– Mój Boże, to dopiero nieszczęście – wyszeptał batiuszka. – Pamiętam, jak moja babka na widok rudych ludzi żegnała się w panice. Taki zabobon.

– August Arciszewski był rudy – zauważył Pieprzyca.

– I Sierżant jest rudy – dodał Książek.

– I Anne z Zielonych Szczytów też była – prychnęła ze złością Iwaszuk. – A jakie to ma za znaczenie? Dajcie spokój. Współczesny Robak i Monika

Melska nie byli płomiennowłosi, a zginęli. Może powinniśmy się na tym skupić?

Słuszna uwaga Soni odrobinę zawstydziła mężczyzn. Rzeczywiście, powinni dążyć kwestie istotne.

– Pozornie nic ich nie łączy – zaczął ostrożnie Pieprzyca. – Nie mamy nawet punktu zaczepienia poza tą samą trucizną.

– Niezupełnie, przyjacielu – wpadł mu w słowo Henryk. – Punktów wspólnych jest więcej, choćby to, że jednak oboje w jakiś sposób są związani z Babiborem. Druga rzecz jest taka, że w obu przypadkach pojawia się pierwiastek, nazwijmy go: nadprzyrodzony. Monika Melska uprawiała białą magię, a Robak miał mieć w sobie krew czarownicy.

– Chyba nie sugerujesz, żebym to wpisał do oficjalnych akt? – zdenerwował się Patrycjusz.

– Sugeruję jedynie, że z pustego i Salomon nie należy, a niekiedy najbardziej fantastyczne hipotezy mogą prowadzić do odkrycia istotnych tropów. Co ci szkodzi założyć, że jednak tych dwoje łączyło coś więcej niż miejsce śmierci?

– Oni się znali – odezwał się nagle Książek, blady jak ściana. – Jestem pewien, że spotkali się wcześniej. Monika mi o nim mówiła, ale nigdy nie wspomniała, że chodzi o księdza, więc dopiero teraz zaczynam co nieco kojarzyć.

– No proszę, a nie mówiłem? – skomentował Henryk z triumfem. – Wybaczcie, muszę kończyć, bo zaraz Krysia mi wypali dziurę w plecach swoim morderczym wzrokiem. Odezwij się, Patrycjuszu, gdy coś ustalisz. Bywajcie!

Połączenie zostało przerwane, ale właściwie nikt nie zwrócił na to uwagi. Wszyscy wpatrywali się w Książka, który z powodzeniem mógłby udawać wampira lub osobę cierpiącą na hemofilię.

– Jezu, ja naprawdę nie wiedziałem! – tłumaczył się rozpaczliwie. – Wiecie, że ona była trochę... – Narysował palcem kółko na czole. – Wierzyła w te całe gusła, czary, demony i inne bzdety. Opowiadała mi o jakichś grupach na Facebooku, o konwentach słowiańskich czarownic czy czym tam. Słuchałem tych jej opowieści piąte przez dziesiąte. I kiedyś, może z pół roku temu, jeszcze chyba ciocia Kornelia żyła – doprecyzował – Monika zaczęła gadać o pewnym typie. Zaczepił ją na którejś z tych grup, zaczął

wypytywać o Podlasie, o Babibór, o Ksantypę. Podobno jego daleka krewna pochodziła z tych stron i gdy tylko się o tym dowiedział, to szukał kogoś, kto by mu pomógł odszukać rodzinę. Ona oczywiście chciała, żebym ja się tym zajął, bo wiedziała, że szperam w życiu Olgi Olszewskiej, ale nie miałem na to ani czasu, ani ochoty. No i teraz tak sobie myślę, że to mógł być on – zakończył zasepiony Książek.

– Jeżeli to jest prawda – odezwał się Patrycjusz – to mogłoby tłumaczyć, skąd tak wiele wiedział o wsi i jej mieszkańcach. Warto to sprawdzić. Przeszukamy media społecznościowe Moniki Melskiej. To może być spora pomoc, Karolu, dziękuję.

– Nie ma za co – bąknął wciąż zawstydzony chłopak. Niby taki bystry, dziennikarzem śledczym chciał być, a takie rzeczy przegapił. Dureń. – Szkoda, że nie wiem nic o mordercy.

– Dowiemy się – stwierdziła z niezachwianą pewnością Sonia. – Kto wie, może w tej krypcie znajdziemy coś, co nam w tym pomoże.

I znów przytomność umysłu gospodyni przypomniała mężczyznom o powodzie ich wizyty. Dopili herbatę i wszyscy trzej zajęli się przeszukiwaniem schowka, niestety, tym razem bez skutku. Poza kilkoma zielnikami i przepiśnikami oraz starymi książkami, które nie nadawały się już do niczego, tak przesiąkły wilgocią, nie znaleźli ani brulionu Augusta Arciszewskiego, ani niczego, co mogłoby mieć związek ze sprawą tajemniczych śmierci. Przegląd biblioteczeki na pierwszym piętrze także nie przyniósł owoców.

– Czyli co? Siedlisko? – zapytał Książek, gdy zabrakło im pomysłów.

– Wszystkie drogi prowadzą do siedliska – westchnął Patrycjusz i ruszył do sieni, żeby włożyć buty.

ROZDZIAŁ 39

Marlena Maślankiewicz siedziała przy stole w kuchni głęboko pogrążona we własnych myślach. Były to myśli raczej czarne, nieprzyjemne, a w dodatku budzące olbrzymi niepokój. O ile nigdy nie wierzyła w winę żony wnuka, o tyle teraz musiała przyznać, że sytuacja przerosła wszystkich. Otrucie Melskiej mogło być wypadkiem, w końcu dziewczyna igrała z siłami, nad którymi nie potrafiła panować. Wystarczyło, że sięgnęła po niewłaściwe zioło i tragedia gotowa. Tak, to było możliwe. Jednak kolejna śmierć świadczyła o tym, że to nie był przypadek.

No i jeszcze ten nieszczęsny August... Złośliwy dziad, dworujący sobie ze wszystkiego i wszystkich, ale ona wiedziała, że to była jedynie gra pozorów, maska, którą przywdziewał, by chronić swoją wrażliwość. Nawet Malwina nie знаła go naprawdę, choć pewnie czuła, że jest w nim coś wyjątkowego. I nie chodziło tylko o dobroć, jaką okazywał wszystkim żyjącym istotom. Krew czarownicy krążyła w jego żyłach, tak samo jak w żyłach wszystkich Maślankiewiczów.

No właśnie... Chyba najwyższa pora na rozmowę z Mietkiem.

Jakby ściągnięty intensywnymi myślami babki Mieczysław Maślankiewicz, lat niespełna trzydzieści sześć, sołtys Babiboru Podlaskiego, mężczyzna świątły i inteligentny, o nieprzeciętnej urodzie, przyczłapał do kuchni, wyglądając jak osiem nieszczęść. Siedem było ustawowych, ósme stanowiła fryzura, która z powodzeniem mogła ilustrować spotkanie człowieka z piorunem.

– Dooooobry – przywitał się, ziewając tak szeroko, że laryngolog nie potrzebowałby pomocy medycznych do obejrzenia trzeciego migdała.

– No nie wiem – burknęła Marlena. – Moim zdaniem dobrze to już było, teraz będzie jedynie ciekawiej.

Mietek kłapnął dziobem i zamrugnął energicznie.

– A babci co się stało? Od rana taki humor wisielczy? Czyżby ekspres się popsuł?

– Musimy pogadać – odparła ostro.

- To propozycja? Wobec tego odmawiam, nie jestem w nastroju.
- Radziłabym jednak się nastroić, bo sprawa jest poważna.
- Nie jestem ubrany na poważne sprawy – upierał się Mietek.

Jego pasiasta flanelowa pizama zdawała się potwierdzać stan niegotowości do podejmowania poważnych tematów.

Marlena musiała być w wybitnie podłym nastroju, co wcale nie zdarzało jej się często, jako bowiem kobieta obyta z wszelkimi sprawami tego świata, a nawet – czy może przede wszystkim – ze sprawami pozostałych światów, potrafiła zachowywać dystans do siebie i doczesnych problemów, które przecież są niczym w porównaniu do wieczności. Za życia Mietka zdarzyło jej się zachować w ten sposób zaledwie dwa razy: gdy w tragicznym wypadku zmarli rodzice jej wnuka oraz gdy ona sama otarła się o śmierć i właściwie cudowne ozdrowienie nastąpiło wbrew przewidywaniom wszystkich, biskupa i onkologa włączając.

– Czy tobie cokolwiek wiadomo na temat związków Sylwii Sierzant z byłym mężem twojej żony? – zapytała bez ogródek, żeby uciąć pajacowanie wnuka.

– Raczej niewiele. Od plotek są Tarnaccy i Szymczakowa – odparł z niesmakiem.

– Ja ciebie nie o plotki pytam, tylko o fakty. Chodziłeś ze mną do Arciszewskich, rozmawiałeś z Augustem, może coś ci wspominał?

– Jedyne, o czym mi wspominał, to czasy, gdy uwodził wszystko, co na drzewo przed nim nie uciekało, ale trudno mi było uwierzyć, że w ogóle ktoś taki się znalazł.

– Przypominam, że ożeniłeś się z jego żoną, której raczej za kudły do ołtarza nie zaciągnął.

– Miłość jest ślepa – odparował urażony Mietek.

– I głupia, jak widać. To mówił ci coś o Sylwii Sierzant czy nie mówił?

– Nie mówił. A może mówił, a ja nie słuchałem, zajęty byłem.

Marlena przewróciła oczami, przypomniawszy sobie idiotyczny wyraz twarzy wnuka, kiedy ten znajdował się w towarzystwie Anki Arciszewskiej. Wypisz wymaluj: oszołomione ciele.

– Mietek, skup się, synu. To sprawa najwyższej wagi. Morderca swobodnie płąsa po wsi, a ja chyba wiem, kto nim jest.

– Jeszcze wczoraj wiedziała babcia, że to Malwina – wyrzucił.

– Oj, głupi ty jesteś jednak, po matce musiałeś pójść. Jakbym ja myślała, że to Malwina, tobym tu wcale nie przyjeżdżała i nie przyzywała żadnych duchów, tylko w spokoju szykowała się do trumny.

Mietek z wrażenia usiadł na krześle, bo nogi zamieniły mu się w dwie galaretki, a do tego pobladł gwałtownie i wyglądał teraz, jakby sam był duchem.

– Czy ja chcę znać szczegóły tego, co babcia zrobiła?

– Niekoniecznie. Ale to, czego się dowiedziałam, już powinieneś wiedzieć. Według Arciszewskiego truły go cztery osoby: ja, ty, Malwina i Sylwia Sierzant. Załóżmy, że ja i ty truliśmy go w dobrej wierze, Malwina... kto ją tam wie, ale też zakładam, że niechcący. Tylko co w tej układance robi Sylwia Sierzant?

– Może miała mu coś za złe? – zasugerował wciąż oszołomiony sołtys.

– O, zapewne niejedno, ale jeśli miałyby to być zemsta prywatna, to mogła to zrobić dużo wcześniej – zastanawiała się na głos staruszka. – Tyle że podobno mu wybaczyła i nie chciała przyjąć od niego żadnej pomocy, taka honorna niby. No i Sebka sama wychowała, na ludzi wyszedł, trzeba jej to przyznać.

Mieczysław Maślankiewicz rozumiał coraz mniej, choć wydawałoby się, że powinno być odwrotnie. Co ma do tego Sebek? I honor?

– Babciu, po co ty mnie pytasz o związki Augusta z Sylwią, skoro najwyraźniej wiesz o nich dużo więcej niż ja? – zapytał najdelikatniej, jak potrafił. – Czy ty właśnie wyjawiałaś najlepiej strzeżoną tajemnicę Babiboru?

– Przecież do grobu jej nie zabiorę! – fuknęła babka. – I co mi po tej wiedzy, skoro nie ja powinnam ojca chłopaka znać, tylko Sebek?

– No ale mówisz, że nie dlatego podejrzewasz Sylwię Sierzant...

– A po co miałyby tak długo czekać? Chyba że coś innego się stało, ale nic mi o tym nie wiadomo.

– Niestety, nie pomogę – stwierdził Mietek, ale żalu w jego głosie nie było słychać.

Dzwonek telefonu wystraszył oboje, a Marlenie serce na moment stanęło. Miała przeczucie, że to nie będą dobre wieści. Mina Mietka, który w ciszy wysłuchał rozmówcy, jedynie potwierdziła jej obawy.

– Książdz nie żyje. Chyba mamy nową świecko-kościelną tradycję w

Babiborze i od teraz każdy proboszcz będzie musiał tutaj walczyć o przeżycie – oznajmił pobielającymi ustami.

Babka Maślankiewiczowa nie wyglądała na wstrząśniętą, może odrobinę zaniepokojoną.

– Akurat ten stanął w tej drugiej kolejce i był w niej pierwszy... – mruknęła. – Czy on mógł znać Sylwię?

– Babciu, czy ty aby nie przesadzasz? – zdenerwował się sołtys. – Nawet jeszcze nie wiadomo, czy to nie był wypadek. A może dosięgła go kara boska za bycie bezdennym cymbałem? Uczepiłaś się tej Sierżantowej, jakby latała z siekierą po wsi i odcinała głowy wszystkim facetom. Poza tym ona w księdza Robaka była zapatrzona jak obrazek.

Marlena przestała słuchać wnuka po słowie „aby”. Intuicja podpowiadała jej, że Robaka Pan Bóg wcale nie wezwał na dywanik, ale ktoś przyśpieszył jego wycieczkę w jedną stronę. Czy to możliwe, że on znał się z Sylwią wcześniej? Może to ona była jego informatorem, dzięki któremu mógł zgromić wzrokiem każdego, kogo rozpoznał w kościele?

– Babciu? Słuchasz mnie? – Mietek machał dłonią przed oczami staruszki.

– Nie, bo głupoty gadasz. Naiwny ty jesteś i nic o życiu nie wiesz. Synku, ludzie kłamią. A niektórzy potrafią kłamać tak dobrze, że trudno ich na kłamstwie złapać. Ubieraj się, jedziemy na posterunek! – rozkazała, podnosząc się gwałtownie.

– Co takiego?

– Myślałam, że chcesz uwolnić Malwinę – mruknęła babka niby od niechcienia.

Piętnaście minut później sołtys Maślankiewicz odśnieżał samochód, a jego fryzura była doskonale ułożona, podobnie jak kołnierzyk bielutkiej koszuli.

ROZDZIAŁ 40

Cknięty przecuciem prokurator Pieprzyca wydał polecenie przejrzenia wszystkich profili społecznościowych księdza Robaka, przetrzebień jego korespondencji i zorganizowania billingów telefonicznych. Nie pokładał w tym wielkich nadziei, ale wolał nie znaleźć nic, niż później pluć sobie w brodę za przeoczenie czegoś istotnego. Ku jego wielkiemu zaskoczeniu już po kilku minutach dostał wiadomość od jednego z techników zajmujących się komputerem Moniki Melskiej. Wiadomość brzmiała: „Potwierdzone, wymieniali korespondencję przez Messengera, zgrywamy”. Czyli Książek miał rację.

Drzwi do domu w siedlisku okazały się otwarte, wobec czego Patrycjusz, Karol i Mikołaj weszli do środka, zdjęli mokre buty, a następnie grzecznie odstawili je na wycieraczkę, odwiesili okrycia wierzchnie i podążyli wprost do kuchni, skąd dochodziły głosy. Spodziewali się standardowego zestawu gości, więc na widok nieznanymi twarzy nieco ich zastopowało.

– O, dzień dobry, chyba przeszkadzamy... – odezwał się Pieprzyca.

– Ależ skądże, miło pana widzieć! – przywitała go uśmiechnięta Julka. – Ale pana już nie – syknęła na widok Karola.

– I ksiądz Mikołaj! – ucieszyła się Alicja. – Tylko krzeseł nam zabrakło...

– Nic nie szkodzi, możemy postać, zresztą my tylko na chwilę.

– Ale chyba w czymś państwu przeszkodziliśmy? – zapytał Mikołaj z wyraźną nadzieją, że usłyszy zaprzeczenie.

– Jeśli nie mają panowie nic przeciwko słuchaniu o czarownicach, to zapraszamy – zaczęła matka Julki.

Przybysze wymienili spojrzenia, nie wierząc w swoje szczęście. Zbiegów okoliczności zaczynało być za dużo. Przycupnęli pod parapetem okiennym, zostawiając kurtuazję na później.

– Teraz moja kolej? – zapytała Basia. – Rany, no dobra...

*

Obudzili mnie z głębokiego snu, a gdy wyciągnięto mnie z posłania, nie od razu pojęłam, co się dzieje. Strażnicy pochwycili mnie za ręce i nogi i

zanieśli ciemnym korytarzem do – jak mi się wydawało – nieznannej mi sali, która w istocie okazała się dziedzińcem.

Na zewnątrz panował całkowity mrok, rozświetlany jedynie lampami i pochodniami trzymanymi przez kilkanaście osób. Czekali na gościa specjalnego. Na mnie.

Zakuto mi nogi kajdanami połączonymi łańcuchem, to samo zrobiono z rękami. Zgromadzony tłumek szeptał między sobą, a ja czułam każde spojrzenie niczym rozpaloną igłę, wbijającą się w moje ciało. Tym razem poza sędziami, skrybą i pozostałymi asesorami publiczność miała być liczniejsza. Kątem oka wyłowiłam sylwetkę mojej siostry, która kryła się w cieniu. Tuż obok niej stał proboszcz, choć usiłował na mnie nie patrzeć. Serce mi zadrżało, jednak nie dałam po sobie niczego poznać.

Ten sam nieznanomy mężczyzna, który pozbawił mnie włosów z całego ciała, zbliżył się. Górował nade mną wzrostem, a jego ręce wydawały mi się grube i wielkie jak u niedźwiedzia. Chwycił łańcuch spinający kajdanki na nadgarstkach i pociągnął.

– Idziemy, wszystko gotowe – rozkazał basem, który rozszedł się po dziedzińcu głuchym echem.

Strażnicy stanęli po obu moich stronach i po chwili stawiałam niezdarne kroki na zimnych i śliskich kamieniach, co chwilę się potykając. Na przedzie, kilkadziesiąt kroków przede mną, szedł inkwizytor, ściskając krzyż w jednej ręce, lampę w drugiej. Tuż za nim podążali pozostali sędziowie i asesorzy. Za plecami słyszałam odgłosy rozmów mieszkańców wioski.

Po kilkuminutowym marszu, który opóźniałam, wciąż ślizgając się lub potykając, znaleźliśmy się nad brzegiem stawu. Wiedziałam już, co mnie czeka, znałam z opowieści barbarzyńskie metody pławienia czarownic, do niedawna jednak uznawałam je za bajki. Za straszne opowiastki z tragicznym finałem.

Zaprowadzono mnie na mostek, gdzie mężczyzna – w którym już domyśliłam się kata – rozpiął mi kajdany, lecz moja wolność nie trwała długo. Kat związał mi ręce konopnym sznurkiem, a następnie takim samym obwiązał mnie pod pachami. Zdążyłam jedynie wezwać Matkę, gdy jakaś wielka siła zepchnęła mnie z mostu. Poczułam, że tracę przytomność. Ostatnie, co pamiętam, to przenikliwe zimno, jakie rozeszło się po moim

ciele od stóp.

Ocknęłam się na trawie. Nade mną stali ludzie, a ktoś łkał, przyciskając głowę do mojej piersi. Wiesia!

– Anno, Anno! Nie umarłaś, wszystko będzie dobrze! – szeptała, słysząc bicie mego serca.

– Może lepiej by było, gdyby umarła, przynajmniej wstydu by nie było. – Usłyszałam gdzieś z ciemności.

– A juści, lepiej mieć siostrę martwą niż wiedźmę! – poparł ktoś inny.

Z trudem uniosłam głowę i spojrzałam siostrze w oczy.

– Wypłynęłam? – zapytałam z nadzieją na odpowiedź odmowną.

Wieśka nieznacznie skinęła głową.

To niemożliwe, to nie mogło się dzieć. Przecież nie umiałam pływać, straciłam przytomność, powinnam tonąć jak kamień.

Po chwili szepty ucichły i zrobiło się jaśniej. Usłyszałam ciężkie kroki, które zatrzymały się tuż przy mnie.

– Oto i dowód, jakiego potrzebowałam – zakomunikował Robak, pochylając się nade mną. – Już koniec tych kłamstw, pora się przyznać.

Znów spojrzałam na twarz Wiesi – bladą, zmęczoną i zniekształconą ze strachu. Wiedziałam, że mnie nie wyda, że mój sekret jest bezpieczny. Tak samo jak mój syn,

– Masz rację, inkwizytorze – wychrypiałam. – Pora się przyznać. Jednak czar, jakim mnie związano, nie pozwala mi mówić. Muszę ci to pokazać.

Przez tłumek przeszła fala głośnych westchnień. Rozległy się szepty, z czasem coraz głośniejsze, a po chwili zamieniły się w okrzyki pełne nienawiści. Wyrok zapadł, czarownica się przyznała. A przecież Pan Bóg nakazał odebrać czarownicy życie.

– Co chcesz mi pokazać? – Głos Robaka zadrżał.

Z ekscytacji? Ze strachu? A może z obu tych powodów?

– Chyba słyszałeś, skąd czerpię swą moc. Nie sądzisz, że spalenie dwóch czarownic, w tym jednej żyjącej od stuleci, przyniesie ci większe splendory, Wielki Inkwizytorze?

– Anka! – Wieśka złapała się za pierś, a jej wielkie oczy zajęły niemal pół twarzy.

– Ciii, siostrzyczko – wyszeptałam z uśmiechem. – Przecież już wszystko

się wydało.

– Właśnie – zaśmiał się pogardliwie kat. – Dowód już mamy, przyznanie się mamy.

– Twierdziłaś, że nie pamiętasz, co się stało w puszczy – stwierdził jezuita twardo.

– Kłamałam, czyż to nie oczywiste? Któż lepiej niż ty, mości sędzio, wie, że usta wiedźmy stworzone są jedynie do łgarstwa i rzucania zaklęć?

Przez twarz Robaka przemknął cień, choć mogło mi się tylko zdawać w świetle lampy. Dookoła panowała przenikliwa ciemność, a wyobraźnia igrała z rozumem.

– Dobrze. Ruszymy o świcie – rzucił po namyśle. – Gdyby próbowała jakichś sztuczek, zabijcie – zwrócił się do kata i stojących obok niego strażników. – Bogu już wszystko jedno, w jaki sposób wiedźma zginie.

Odwrócił się na pięcie i skierował z powrotem ku budynkowi. Strażnicy podnieśli mnie i znów skuli. Służąca mi za ubranie zakonna suknia oklejała moje ciało niczym lodowaty całun. Nasiąknięta wodą tkanina zrobiła się ciężka i długa, utrudniając każdy ruch. Nikogo to jednak nie obchodziło i co chwilę ktoś mnie szarpał lub popychał. Nie zwracałam na to uwagi, pochłonięta rozmyślaniami o planie, który miał uratować mi życie. Oby tylko Matka go zrozumiała!

Obudziły mnie głosy i zgrzyt zawiasów. Zerwałam się z siennika, starając zakryć żdźbłami słomy nagość. Mokre okrycie schło obok.

– Na co czekacie? – rozległ się głos Robaka.

Dwóch strażników zatrzymało się w progu i odwróciło na mój widok.

– Panie, ona jest... naga – wyszeptał jeden z nich, ten najmłodszy.

Jezuita wszedł do celi, a jego chmurne oblicze na moment przeciął uśmiech.

– Nie poddajesz się, co? – zakpił jadowitym tonem. – Nawet w obliczu śmierci chcesz użyć swoich mocy?

Milczałam, spuściwszy wzrok. Nie zamierzałam dać się sprowokować, nie teraz.

– Przynieście jej odzienie! – ryknął inkwizytor i strażnicy wystrzelili jak z procy, o mało nie łamiąc sobie nóg. – Nie udało ci się kuszenie, córo Szatana. A tylko spróbuj tych swoich sztuczek w puszczy. Wrócimy tu z tą drugą albo bez ciebie.

Otóż to, drogi księżu, otóż to – myślałam. Ja nie zamierzałam wracać, a co do ciebie, niech zdecyduje Matka.

Po chwili strażnicy pojawili się z ubraniem, które włożyłam na siebie, odwróciwszy się tyłem do niespuszczającego ze mnie wzroku inkwizytora. Wciąż czułam na sobie jego spojrzenie: intensywne, pełne nienawiści i pożądania. Doskonale widziałam ten błysk w jego oczach, gdy tylko wszedł do celi – lubieżny, nachalny i zwierzęcy.

Nie miałam pojęcia, dokąd ich prowadzę, nie czułam jednak lęku. Im dalej zapuszczaliśmy się w las, tym większy ogarniał mnie spokój. Była ze mną, czuwała, pilnowała mnie. Szliśmy przed siebie w całkowitej ciszy, a z każdą chwilą puszcza gęstniała i wędrówka stawała się trudniejsza. Co jakiś czas krzewy szeleściły, gdzieś mignął dzik lub jelen. Ptaki latały w koronach drzew, a dziecięcy wystukiwały nieznane ludziom rytmy.

Bez trudu wyczuwałam strach mojej straży, tymczasem ja czułam się coraz pewniej. Miałam wrażenie, jakby wracały do mnie siły, zupełnie jakbym była częścią tego lasu, a on mnie uzdrawiał.

Istnieją legendy mówiące o chatce stojącej pośrodku kniei tak gęstej, że żaden człowiek nigdy tam nie dotarł. Znałam je – jak każdy mieszkaniec tych stron, także moi strażnicy.

– Panie, zawróćmy... – odezwał się w końcu jeden z nich. – Ona chce nas zgubić.

Inkwizytor nie zareagował.

– Wielebny, daruj, tu nie ma żadnej wiedźmy, zakpiła sobie z nas – jęknął drugi, a w jego głosie znać było przerażenie.

– Jak jesteście tchórze, to wracajcie – odparł dziwnym głosem jezuita.

Dwa razy nie musiał powtarzać. W jednej chwili zostałam sama z sędzią i katem.

– Bracie Joachimie, jesteś pewien, że to dobry pomysł? – Najwyraźniej i katu udzielił się strach tamtych.

– Czuję, że jesteśmy blisko – rzucił inkwizytor. Brzmiał jak dziecko podniecone na myśl o otrzymaniu nowej zabawki.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Oj tak, byliśmy blisko.

Nagle nad nami rozległ się głośny krzyk ptaka, a po chwili stado gawronów załopotało dziesiątkami skrzydeł i jęło kołować. Leciały tak

nisko, że ich skrzydła rozwiewały włosy inkwizytora i wprawiały w ruch fałdy naszych sukien. Zatrzymałam się i patrzyłam na nie z zachwytem.

– Uciekajmy! – wydarł się kat i rzucił się do ucieczki, z powrotem ku brzegowi puszczy.

Robak zadarł głowę i patrzył na ptaki bez namniejszego strachu. Po jego twarzy błąkał się dziwny uśmiech, a w oczach zobaczyłam szaleństwo.

– Prawdę mówiłaś, ślicznotko, jesteś wiedźmą! – wykrzyczał.

Przeniósł wzrok na mnie, a było w tym spojrzeniu coś takiego, że cała zadrżałam.

– Zostaw mnie tu, a nic ci się nie stanie – zawołałam do niego.

Nawet nie mrugnął, tylko jego uśmiech zrobił się jeszcze szerszy. Obliznął wargi i postąpił krok w moją stronę.

– Jestem pod ochroną Ksantypy. Zostaw mnie tu, wracaj bezpiecznie i wyjedź jak najprędzej! – krzyknęłam jeszcze głośniejszym głosem, z trudem panując nad ścisnąjącym moje gardło strachem.

– Jakoś jej tu nie widzę. Widzę za to samotną kobietę. Gdzie się podziała ta kusicielka? – Zrobił kolejny krok.

Ja nie mogłam się ruszyć, sparaliżowana z przerażenia. Jego twarz ani trochę nie przypominała ludzkiej. Był wstrętny, wyglądał jak demon. Chciałam wrzasnąć, lecz nie potrafiłam wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

Jednym susem znalazł się przy mnie, chwycił materiał sukni i zadarł do góry, nim zdążyłam zareagować. Zresztą nie dałabym mu rady – był silny, a ja osłabiona. W jego oczach płonął żar, jakiego nigdy dotąd nie widziałam. Otworzyłam usta i włożyłam całą siłę w krzyk. Po chwili osunęłam się w ciemność.

*

Tykanie zegara brzmiało w ciszy panującej w siedlisku jak dźwięk młota kowalskiego uderzającego o metal. Basia zasłoniła twarz rękami, spod których spływały łzy. Pani Wandzia trzymała się za serce, Aneta zasłaniała usta dłonią, Alicja zgięła się jak paragraf, tak ją rozboleł brzuch ze stresu. Mężczyźni wyglądali, jakby zamienili się w słupy soli.

– Przepraszam, ale dalej nie dam rady – wyszeptwała Basia. – To jest nie do opowiedzenia.

– Chyba będę miała stres pourazowy – bąknęła Lilka, nie mniej

przerażona niż jej przyjaciółki.

Jedynie Julka siedziała wyprostowana, jakby połknęła kij od miotły, i wpatrywała się w szafki kuchenne.

– Chciałabym zauważyć, że ja to widziałam od drugiej strony – przypomniała głosem brzmiącym tak, jakby wychodził ze studni artezyjskiej – i też wcale nie chcę opowiadać.

– Dziewczyno, czy on ją... czy ten Robak Annę...? – Aneta nie mogła się wysłowić, czemu zresztą trudno się dziwić.

Basia i Julka pokiwały głowami, co wywołało głośne westchnięcia pozostałych.

– Mam nadzieję, że zginął w tej puszczy, skurczybyk jeden! – zawołała pani Wandzia, zaskakując zwłaszcza własną córkę. – Na nic innego nie zasłużył!

– Świat jest pełen ludzi, którzy zasłużyli na karę, lecz wywinęli się sprawiedliwości – stwierdził gorzko Krzysztof. – A w więzieniach siedzą niewinni.

Na te słowa prokurator ocknął się ze stuporu, wziął dwa głębokie wdechy i odchrząknął.

– Bardzo przepraszam, bo my raczej nie w temacie, ale czy panie może opowiadały o jakimś scenariuszu, który planują napisać? – zapytał grzecznie.

– Opowiadałyśmy sen, który przyśnił nam się tej nocy – wyjaśniła Julka, wciąż nieswoim głosem. Była wstrząśnięta.

– Wszystkim razem? – zdumiał się Patrycjusz.

– Jeśli to pana dziwi, to niech pan wyjrzy za okno – mruknęła Lilka.

Oczywiście obaj – prokurator i batuszka – jak na zawołanie obrócili się do okna i niemal natychmiast szczęki im opadły.

– Wielkie nieba! – wychrypiął Mikołaj. – Co tu się wydarzyło?

– Trudno powiedzieć i zależy, w co kto wierzy – odparła Aneta. – Ja obstawiam, że to sprawka więdźmy. Tu kwiatki w grudniu, tam horrory senne, dziwny zbieg okoliczności.

Kolejny, pomyślał Pieprzyca i poczuł znajome mrowienie w karku. *Za dużo ich, za dużo.*

Nikt nie zwrócił uwagi na Karola Książka, na którym opowiedziana przez Basię historia zrobiła absolutnie piorunujące wrażenie. Kłątwa

wisząca nad rodziną Olgi Olszewskiej to już było dla niego wyzwanie, ale czarownice? I inkwizytorzy? No ludzie kochani! Dziennikarz poczuł się słabo, potrzebował powietrza, przestrzeni! Bez słowa wyjaśnienia ruszył w stronę wyjścia, po czym opadł bez sił na rattanową sofę stojącą na werandzie, postanawiając zostać na niej, aż nie odzyska zdolności myślenia.

Tymczasem w domu zapanował harmider. Wszyscy chcieli o coś zapytać, każdy miał jakąś teorię, ktoś czegoś nie wiedział, inny musiał dopowiedzieć. Istne pandemonium, nikt by tego nie wytrzymał. Z pewnością nie wytrzymał przyzwyczajony do porządku i spokoju ojciec Basi, który wykorzystał zamieszanie i wymknął się na dymka.

– O, widzę, że nie ja jeden potrzebowałem azylu – odezwał się do Książka z uśmiechem. – Herman Polot, miło mi.

– Karol Książek, nawzajem. Pan jest od Basi?

– Nie da się ukryć – odparł były policjant z dumą. – A pan to pewnie ten dziennikarz?

– Winny.

– Pali pan?

– Nie, nie, dziękuję, ja tylko palę żarty. Co było do udowodnienia.

Herman uniósł kącik ust i wypuścił chmurkę dymu.

– Ciekawe życie prowadzicie w tym Babiborze – zauważył. – Morderstw więcej niż w całym Łódzkiem, czarownice po lasach biegają, ziemia krwią przesiąknięta. Niezły raj.

– No wie pan, z taką historią to tu nie może być normalnie. Mieszkańcy magię mają w genach, tu wszyscy kiedyś byli spokrewnieni albo spowinowaceni.

– No to nie dziw, że i tego księdza tu przywiodło – skwitował Polot. – Pewnie go geny wezwały, tak jak pana.

Książek pokiwał głową w zadumie. Jego też wezwały geny. I również trafił w sam środek afery kryminalnej. Na całe szczęście w charakterze podejrzanego, a nie trupa.

– Słyszałem, że pan był policjantem – przypomniał sobie dziennikarz.

– To prawda, już od lat na emeryturze. Ale przyznam się panu, że czasem tęsknię za firmą.

– Doskonale pana rozumiem. Mnie się marzy dziennikarstwo śledcze,

takie wie pan, z prawdziwego zdarzenia: jakaś bestia, wampir z Zagłębia albo taki tłusciuch jak Kolanowski. No może teraz trafił się seryjniak, ale czy ta łajza Szelest go znajdzie?

Policyjny instynkt Hermana uruchomił czerwoną żarówkę w jego potylicy.

– Przepraszam, powiedział pan: seryjniak? Macie tu seryjnego mordercę?

– Nieoficjalnie, ale idę o zakład, że Melską i księdza otruła ta sama osoba – brnął Książek, zanim zdał sobie sprawę z popełnionej gafy.

A zdał ją sobie, kiedy zerknął na Hermana, który nagle zamilkł i patrzył na Karola, jakby to on był bohaterem niedawno opowiedzianego przez Basię snu.

– O-o... Chyba coś mi się wymknęło. Mógłby pan zapomnieć, że to powiedziałem?

Ojciec Basi pokręcił głową. Powoli. Bardzo powoli.

– To niech pan chociaż nikomu nie powtarza, pewnie się rozejdzie, ale na razie sza. Dobrze?

Tym razem Herman pokiwał głową, równie powoli jak przed chwilą jego rozmówca, po czym powiedział:

– W Babiborze Podlaskim, wsi, którą nawet ciężko znaleźć na mapie, gdzie psy tyłkami szczekają, a ludzie wchodzą do domów sąsiadów jak do siebie, grasuje seryjny truciciel, polujący na księży i czarownice. Albo ja oszalałem, albo tu się odbywa jakieś zbiorowe szaleństwo, albo...

– Chyba trzeciego „albo” nie ma – podpowiedział Książek.

– Nie, nie, jest. Albo zamarzyło wam się przenieść *Imię róży* na polski grunt.

Dokładnie po tych słowach furtka prowadząca do siedliska skrzypnęła upiornie, aż odrobinę zmarzniętych rozmówców przeszły dreszcze. Od bramki w stronę domu zmierzała małżonka Hermana Polota, a za nią ojciec Alicji z ludzką istotą na rękach. Obok zaś dreptał Tomek i pomachał dziadkowi czymś, co wyglądało jak książka.

ROZDZIAŁ 41

Malwina Maślankiewicz siedziała wyprostowana jak struna i niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w przeciwległą ścianę. Na jej twarzy malował się wyraz oszołomienia, niedowierzania i strachu. Blade wargi zaciskała tak mocno, że niemal nie było ich widać, a dłonie, ułożone na kolanach, drżały. Siedziała tak od kwadransa i żadną siłą nie była w stanie zmusić się do wykonania choćby najmniejszego ruchu.

Odkąd sięgała pamięcią, zawsze miała niezwykle bujne życie wewnętrzne, a już jako kilkuletnia dziewczynka potrafiła komunikować się z duchami zmarłych. Na początku zupełnie jej to nie przerażało, a wręcz sprawiało frajdę, kiedy jakaś ciotka lub wujek zjawiali się z zaświatów, żeby zapewnić, że mają się dobrze, i prosili o pozdrowienie rodziny. Malwina – wówczas jeszcze Ania – była dzieckiem grzecznym, choć żywiołowym, i nikomu żadnej krzywdy nie zrobiła, zatem nie miała czego się obawiać ze strony duchów.

Wszyscy byli przekonani, że z wiekiem jej dar osłabnie, bo i wiara przejdzie transformację, ale tak się nie stało. Anna rosła i dojrzewała, a zmarli jak ją odwiedzali, tak nie zamierzali przestawać.

Już jako żona Augusta poprosiła Marlenę Maślankiewiczową o pomoc w osłabieniu swej medialnej mocy, co udało się częściowo – duchy rzadziej się z nią komunikowały, ale jak trafiło na wyjątkowego uparciucha, to ostatecznie dopiął swego, strasząc kobietę niemal na śmierć.

Tymczasem senna mara dotycząca zdarzeń przeszłych zdarzyła jej się po raz pierwszy w życiu, a owa wizja była tak realistyczna, że wstrząsnęła biedną Malwiną do szpiku kości. Długo po przebudzeniu wciąż miała przed oczami gęstą knieję w środku puszczy, a w niej kamienną chatkę zarosniętą mchem i otuloną gałęziami wierzby.

Gdy jej kuzynka Róża zbiegła na bosaka do piwnicy, w której mieścił się areszt, Malwina nawet nie drgnęła.

– Anka! Anka, słuchaj! – dyszała Róża, przyciskając policzek do kraty. – Anka? Co z tobą?

– Hm? – mruknęła sołtysowa, nie odrywając wzroku od ściany.

– Dobrze się czujesz? – zaniepokoiła się policyjna recepcjonistka.

– Mhm.

– Tak? Jakoś ci nie wierzę. Boli cię coś?

– Mhm.

– A co? Przynieść ci proszek?

– Serce – szepnęła Malwina.

– O masz, to może naleweczki. Mam taką miksturę w biurku, zaraz ci pomoże.

– Nie! – krzyknęła Maślankiewiczowa i wreszcie się poruszyła. Spojrzała na kuzynkę nieprzytomnym wzrokiem. – Żadnych nalewek, żadnych mikstur, a kysz!

– To chyba jednak głowa, a nie serce – bąknęła pod nosem Róża.

Od kiedy to Malwina odmawiała nalewki? Oj, źle się dzieje w państwie babiborskim, źle bardzo.

– Widziałam Ksantypę – odezwała się podejrzana o podwójne morderstwo.

– Coś ty?! Przyszła tu?

– Nie wiem, możliwe, ale widziałam ją we śnie. I Rokita tam był.

– Serio?! – Na twarz Róży wypłynął dziwnie rozanielony uśmiech. – Widziałam go kiedyś, jeden jedyny raz, ale przysięgam, że poszłabym za nim do piekła.

– Głupia jesteś? – oburzyła się Malwina. – Do jakiego piekła, przecież to bóg. Ale rzeczywiście jest piękny. Prawie jak mój Miecio.

Róża nie skomentowała porównania Mietka Maślankiewicza do Rokity, szczególnie z wynikiem oznaczającym zwycięstwo męża kuzynki. Spojrzała na Malwinę wyczekująco i rzuciła:

– Opowiadaj, co ci się śniło, bo zaraz pęknę z ciekawości.

Malwina, jak to ona, opowiadać lubiła, tak samo jak wszystko, co stawiało ją w świetle reflektorów, dlatego też z przyjemnością, zaangażowaniem i niekłamany sznytem oratorskim przedstawiła kuzynce scenę, od której zaczął się cały ten galimatias...

Anna Arciszewska wiedziała, że zabłądziła, ale nie czuła z tego powodu strachu. Od dzieciństwa błąkała się po puszczy, licząc na to, że któregoś razu uda się jej spotkać Ksantypę albo odnaleźć jej chatkę. Co prawda nikt nigdy tego nie dokonał, a przynajmniej ona o nikim takim nie słyszała, ale też śmiazków zbyt wielu nie było. Co tu dużo mówić: ludzie to tchórze i konformiści, wolą spuścić głowę i potakiwać jak baranki, zamiast walczyć o swoje. A ona chciała walczyć.

Rozejrzała się wokół, przyjrzała mchowi na drzewach. Powinna iść na wschód. Ruszyła dalej, z coraz większym trudem przedzierając się przez gęstniejącą warstwę podszytu. Gałązki krzewów raniły ją dotkliwie, ale ona nie zamierzała rezygnować. O nie.

Wędrowała i wędrowała, a słońce powoli gasło za jej plecami. Ciemność zamknęła się wokół niej raptownie i niezapowiedzianie, jakby dziewczyna minęła jakąś niewidzialną granicę. Drzewa rosły tu tak gęsto, że ich splatające się korony tworzyły jedność.

Poczuła zmęczenie. Usiadła pod rozłożystą olszą o niemalże czarnej korze i zamknęła oczy. Odpocząć, tylko odpocząć, na chwilę. Musiała zasnąć, bo gdy znów otworzyła oczy, wokół panowała atramentowa ciemność, a zewsząd słychać było rozmawiające ze sobą puszczyki i puchacze. Do tego miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje.

– Jest tu kto? – zapytała raczej z ciekawością niż lękiem.

Odpowiedziało jej pohukiwanie.

– Nie boję się ciebie! – zawołała. – Ty mnie też się nie bój!

– Odważna z ciebie dziewczyna – rozległ się głęboki męski głos.

Anna poruszyła się i jęła gorączkowo rozglądać.

– Ktoś ty?

– Różnie o mnie mówią, przeważnie źle – odparł głos ze śmiechem.

– I chyba słusznie, skoro nie masz odwagi pokazać twarzy – prychnęła dziewczyna.

– Może nie chcę cię przerazić?

– Wstydzilibyś się, mężu, takie bzdury wygadywać! – Kobięcy głos o barwie niemal aksamitnej zabrzmiał tuż obok Anny.

Coś zaszumiało, zaszleściło i nagle wokół drzewa pojawiła się delikatna poświata, a w niej stała kobieta tak piękna, że na jej widok Annie zabrakło tchu. Długie, kruczoczarne włosy wiły się wokół jej ramion i

opadały ciężką kaskadą aż do pasa.

– Ksantypa... – wyszeptła oszołomiona dziewczyna.

Czarownica uniosła kącik ust i ukłoniła się.

– Rokito, wyłaź z tej ciemności, dosyć już żartów – rozkazała mężczyźnie, którego Anna nie widziała, ale wiedźma zdawała się patrzeć wprost na niego.

W kręgu światła pojawił się wysoki i nieładzko przystojny mężczyzna z filuternym uśmiechem. Jego oczy błyszczały niczym rozgwieżdżone niebo.

– Znalazłam was! – wyrwało się dziewczynie, gdy uświadomiła sobie, że właśnie dotarła do celu podróży.

– Właściwie to my znaleźliśmy ciebie, młoda damo – odparł Rokita. – I jeszcze nie wiemy, co z tego wyniknie.

– Dlaczego nas szukałaś? – zaciekawiała się Ksantypa. – Musisz mieć ważny powód, żeby zapuszczać się aż tutaj.

– Potrzebuję twojej pomocy, Matko. – W głosie Anny brzmiały błaganie i determinacja. – Od lat bezskutecznie staram się o dziecko, próbowałam już wszystkiego. Jesteś moją jedyną szansą.

Czarownica patrzyła na dziewczynę z powagą, jednak nie wydawała się zaskoczona jej prośbą. Plotki mówiły, że doskonale wiedziała, co dzieje się na terenach podlegających jej opiece. Drzewa i ptaki były jej informatorami.

– Nie da się począć dziecka poprzez czary – odrzekła po namyśle.

Przez twarz Anny przemknął wyraz zawodu. Poczowała, że pieką ją oczy, a serce tłucze się w piersiach.

– Myślałam... Myślałam, że ty wszystko potrafisz... – szepnęła, hamując łzy. – A więc wszystko to na nic.

Rokita podszedł do żony i dotknął jej ramienia, jakby mówiąc: „Zobacz, jak bardzo jej na tym zależy, czego dokonała”.

– Nie powiedziałaś, że ci nie pomogę, córko – stwierdziła Ksantypa. – Chodź z nami.

Poprowadzili ją jeszcze głębiej w las, bez trudu omijając zaskakujące przeszkody tworzone przez gęste krzewy. Okazało się, że Anna dotarła niemal do celu, kiedy po kilkuset krokach z mroku wyłoniła się kamienna chatka.

Wewnątrz panowało przyjemne ciepło, pachniało ziołami i palącym się

drewnem. Dopiero teraz Anna poczuła, jak bardzo wyczerpała ją wędrownka.

Ksantypa posadziła dziewczynę przy stole, sama zajęła się szykowaniem ciepłego napitku, a Rokita... Cóż, jak to mężczyzna – usiadł w kącie i strugał coś z kawałka drzewa.

– Wypij to, córko – poprosiła czarownica, podając Annie gliniany kubek, znad którego unosił się zapach rumianku, szaławii i krwawnika.

Arciszewska bez słowa przyjęła naczynie i skosztowała naparu. Był mocny i gorzki, ale ufała czarownicy bezgranicznie. Po chwili poczuła, jak ziołowa mieszanka rozgrzewa ją i usypia. Dopięła do końca, po czym oparła głowę na dłoniach i odpłynęła.

Trzy kolejne dni zamieniły się w mglisty sen przerywany pobudkami na wypicie kolejnych ziołowych mieszanek. Anna się pociła, jej ciało gorączkowało, wymiotowała i traciła przytomność. Ksantypa i Rokita doglądali jej na zmianę, zmieniali jej bieliznę, robili okłady. Gorączka ustała czwartego dnia tak samo nagle, jak się pojawiła.

– Co się ze mną dzieje? – zapytała dziewczyna, gdy w końcu odzyskała świadomość.

Była osłabiona, ale, o dziwo, czuła się całkiem dobrze.

– Twoje ciało pozbywa się trucizn, córko – wyjaśniła czarownica, siadając u wezglowia. – Najgorsze już minęło, teraz musisz się wzmocnić.

– Trucizn? – zdumiała się Anna. – Ktoś chciał mi zrobić krzywdę?

Ksantypa się uśmiechnęła, choć jej oczy pozostały poważne i pełne troski.

– Ludzie czasem bezwiednie sami robią sobie krzywdę – odrzekła. – Czy wiesz, dlaczego zwierzęta nie piją już wody z waszych jezior?

Anna nie wiedziała, ale też nie zastanawiała się nad tym wcześniej.

– Natura wie, jak zadbać o swoje plony, nie potrzebuje w tym celu pomocy od ludzi, którzy zazwyczaj są niecierpliwi i nie myślą o konsekwencjach – westchnęła głośno wiedźma i podała Annie kubek z ziołową herbatą. – Wasi rolnicy od lat truli ziemię i wodę, a to w końcu musiało odbić się na waszym zdrowiu. Dopóki będziecie ją pili, jedli skażone rośliny, dopóty natura nie uwolni was od chorób.

– Czy... czy to dlatego nie mogłam mieć dziecka? – zapytała, wciąż nie do końca pojmując sens wypowiedzi czarownicy.

– Dlatego chorujecie, dlatego wasze dzieci umierają i dlatego coraz trudniej będzie wam się rozmnażać – odpowiedział tym razem Rokita.

Dziewczynę znów ogarnęła senność. Była zbyt słaba, żeby wrócić do domu, choć w tej chwili pragnęła tylko tego. Regeneracja zajęła jej kolejne trzy dni, a z każdym coraz mocniej odczuwała uzdrawiające moce podawanych jej przez Ksantypę ziół. Jadła tylko owoce i warzywa – czarownica nie uznawała zabijania zwierząt – a mimo to wracały jej siły i chęć do życia.

Siódmego dnia obudziła się wraz ze świtem. Ksantypa krzątała się wokół paleniska, Rokita rąbał drewno na zewnątrz. Podeszła do czarownicy i przytuliła się do jej pleców. Czarne włosy laskotały policzek. Pachniały ziołami i miodem.

– Już na mnie pora, Matko – wyszeptała.

Serce biło jej jak szalone, nie nadążając za emocjami. Czuła jednocześnie radość i żal.

– Tak, już pora. – Ksantypa pogłaskała ją po dłoni, która zajarzyła się złotym blaskiem. Małeńka iskierka przeskoczyła między rękami kobiet i wchłonęła w skórę Anny jak kropla wody. – Jesteś gotowa, a twój mąż bardzo tęskni. Dzielną z siebie dziewczyną.

Przebrana w suknię, w której zjawiła się w puszczy, i odprowadzana troskliwym wzrokiem Ksantypy Anna wyruszyła w drogę powrotną. Tymczasem Rokita, przyjąwszy postać ptaka, leciał wysoko. Chciał być pewien, że Arciszewska bezpiecznie opuści las

*

– Słyszałam kiedyś legendę o dziewczynie, która odnalazła Ksantypę – skomentowała pani Róża, gdy jej kuzynka zakończyła swą opowieść.

– Wszyscy ją słyszeli, tylko po kiego grzyba ona mi się przyśniła? – prychnęła Malwina. – Ta dziewczyna była ruda, wiesz? Miała piękne włosy... – Sięgnęła pod poduszkę, skąd wyjęła kompaktowe lustro. Otworzyła je i obejrzała swoje odbicie, kręcąc głową. – Piękne włosy, nie to co moje.

Nad głowami kobiet rozległo się trzaśnięcie drzwiami, następnie szybkie i głośnie kroki, po czym do piwnicy wpadli jak dwie torpedy Mieczysław i Marlena Maślankiewiczowie.

– Mieciu! Kochany mój! – Malwina zeskoczyła z pryczy i rzuciła się do krat.

Mietek też się rzucił, z tym że nieco zbyt raptownie, i uderzył czołem w metal. Nie przeszkodziło mu to jednak w ucałowaniu ukochanych ust.

– Malwinko! – Cmok. – Słońce mojego życia! – Cmok, cmok. – Miłości jedyna i najcudowniejsza!

Tutaj nastąpiła seria cmoków i mlasków – możecie sobie wyobrazić.

– Przestańcie obrzydzać ludziom poranek – mruknęła Marlena z odrazą.
– Różo, niech pani otwiera, trzeba ją uwolnić.

– No wreszcie! – wykrzyknęła sołtysowa z taką ulgą, że wszyscy ją odczuli. – To twoja robota, Mieciu, prawda? Koteczku ty mój, pieseczku, daj dzióbka.

Miecio się zawahał, chociaż chętnie dałby tego dzióbka, jednak honor nie pozwalał mu przypisać sobie cudzych zasług.

– Yyy... No... w zasadzie to babci zasługa, a raczej prawdziwego mordercy – mruknął, spuszczać wzrok.

– Czy ja nie utrzymywałam, że jestem niewinna? – zachnęła się Malwina, kierując te słowa do babki. – Od początku mówiłam, że trzeba szukać zwyrodnialca, to nie! Pewnie, najlepiej wsadzić Malwinę za kraty, niech pocierpi, pozna życie od najciemniejszej strony.

– Że też nie ugryziesz się w język, tylko wygadujesz takie brednie – syknęła Marlena. – Siedzisz tu sobie jak kura na grzędzie, ciepło, sucho, żarcie dowożą z restauracji, co chcesz, to masz, a ty to nazywasz najciemniejszą stroną życia? Bezwstydne babsko!

– To mam iść po ten klucz czy nie? – przerwała im pani Róża.

– Iść!!! – krzyknęły trzy głosy.

Kiedy Malwina została uwolniona, w tym także z uścisku stęsknionego małżonka, cała piątka ruszyła na górę. Ekspres buczał i skrzeczał, szykując poranną kawę, a Marlena wprowadzała wszystkich w najnowsze rewelacje. Ta dotycząca pilnie strzeżonej tajemnicy ojcostwa Augusta nie zrobiła na Malwinie wielkiego wrażenia – albo sołtysowa doskonale ukryła swoje uczucia.

– I podejrzewa babcia Sylwię Sierżant? – upewniła się, porządkując w głowie informacje. – Tylko... dlaczego?

– No tu jest mały kłopot, bo nie mam pojęcia. – Staruszka rozłożyła ręce.

– Taki ryzyk-fizyk.

– Mogła zabić Augusta, w to nawet uwierzę – rozmyślała głośno Róża. – Ale Melską? I tego księdza? Trzeba by znaleźć jakiś motyw, coś, co ich łączyło.

– Melską i Augusta łączyło praktykowanie magii – zauważył przytomnie Mietek, na co Marlena pokiwała głową.

– Robak raczej nie praktykował, a wręcz nie wierzył w magię.

– No to by się nie odnalazł w moim śnie – skomentowała Malwina i natychmiast musiała wyjaśnić: – Przyśniła mi się Ksantypa i ta dziewczyna z legendy.

– Anna Arciszewska? – podjęła Marlena. – To dość dziwny zbieg okoliczności, że akurat teraz przyśniła ci się najsłynniejsza babiborska ofiara polowań na czarownice.

– W dodatku babka twojego nieżyjącego męża – dodała Róża.

Kiedy pięcioro detektywów amatorów rozprawiało o zbiegach okoliczności, ewentualnych motywach zbrodni, możliwych powiązaniach między ludźmi, popijając przy tym kawę z ekspresu kupionego za pieniądze podatników, drzwi się otworzyły i do środka wmaszerowali posterunkowi Sierżant i Antkowiak. Na widok towarzyskiej posiadówki z oskarżoną Malwiną zamurowało ich, ale tylko na moment.

– Przepraszam, czy ja mam zwidy? – zapytał Sebastian, wpatrując się w ani trochę niez mieszane twarze.

– To możliwe, sądząc po twoich genach – palnęła Róża.

– A co to niby ma znaczyć? – zirytował się rudzielec.

Antkowiak położyła rękę na ramieniu przyjaciela, chcąc go uspokoić. Niestety, tym razem jej gest nie pomógł, do czego w dużej mierze przyczyniły się nadszarpnięte nerwy posterunkowego.

– Skoro pani zaczęła, to proszę skończyć – zażądał. – Co takiego jest w moich genach? Wygląda na to, że wszyscy wiedzą coś, czego ja nie wiem, a chyba powinienem?

– Może lepiej by było, gdybyś porozmawiał ze swoją matką – zasugerowała Marlena.

– Owszem, zamierzam, ale nie wiem o czym.

Zrobiło się cicho jak w trakcie lekcji, gdy nauczyciel pyta o ochotników do odpowiedzi. Coraz bardziej wściekły Sierżant ani myślał odpuszczać.

– No? Gadać! Co takiego przede mną ukrywacie?!

– Twój ojciec był czarownikiem – odezwała się cicho Malwina, której żal się zrobiło tego chłopca wychowywanego bez męskiego wzorca.

– Co proszę? To jakiś żart? Kpicie sobie ze mnie?

– Brońcie bogowie – zapewniła Marlena. – Mówimy prawdę.

– To dlatego mama nigdy nie chciała o nim mówić? Kto to jest? Znaciego? Ja go znam?

– Znałeś, on już nie żyje – wyszeptała Antkowiak z powagą. – To August Arciszewski, prawda?

Odpowiedziały jej kiwnięcia głowami. Co tu można było więcej mówić? Czasem prawda spada na nas jak grom z jasnego nieba.

Sebastian Sierżant wyglądał, jakby właśnie ów grom trafił go w samo serce. Nogi się pod nim ugięły, na szczęście Antkowiak podtrzymała go i podsunęła krzesło.

– Dlaczego nie domyśliłem się wcześniej? Te rude włosy, ten wzrost... Przecież to takie oczywiste.

– A co to zmienia? – zdenerwowała się Marlena. – Jesteś tym samym Sebkim, którym byłeś, nie wiedząc, po kim masz rudą czuprynę. Przestań się mazgać i bierz do roboty. Mordercę trzeba znaleźć!

– Rozumiem, że bezprawne wypuszczenie oskarżonej z celi ma coś wspólnego z szukaniem mordercy? – W tonie Antkowiak pobrzmiwało rozbawienie.

– Księżda zamordować nie mogła, a więc Melskiej raczej też nie – rzuciła Róża, jakby była to najoczywistsza oczywistość.

Niewtajemniczeni w wyniki toksykologii policjanci spojrzeli na siebie i wzruszyli ramionami. Zdążyli już przywyknąć do tego, że o wszystkim dowiadawali się ostatni.

Sierżant podniósł się z krzesła, ale nie zdążył nawet zrobić kroku, kiedy Marlena zwróciła się do niego:

– Lepiej usiądź z powrotem, Sebek bo to jeszcze nie wszystko, co chcieliśmy ci przekazać. Możliwe, że teraz będzie gorsze.

Przeczuwając zbliżający się kataklizm, Antkowiak przyjęła strategiczną pozycję za krzesłem przyjaciela. W razie draki przytrzyma go przynajmniej przez chwilę, może Maślankiewiczowa zdąży uciec.

ROZDZIAŁ 42

— Ciekawe lektury czytają dzisiejsi dziesięciolatkowie – ocenił dziadek Tomka, wyjmując książkę z ręki wnuka.

Ojciec Alicji sapał, jakby walczył o życie, postawiwszy Maciejkę na podłodze werandy.

– To nie moje, to księdza – odparł Tomek. – Maciejka znalazł ją w zakrystii i chciał oddać do biblioteki, ale utknął w dziurze.

– To wiele by tłumaczyło... – mruknął Herman.

Kartkował *Imię róży*, co jakiś czas marszcząc brwi nad jakimś fragmentem. Szczególnie zaintrygowały go notatki wykonane długopisem na marginesach.

– O czym jest ta książka, dziadku?

– O nienawiści, zaślepieniu i złych ludziach, którzy dla idei zabijają innych – odpowiedział chłopcu Książek.

Akurat w tym temacie mógł się popisać, bo była to jedna z jego ulubionych lektur.

– Dla idei? – zainteresował się Maciejka, który to słowo kojarzył jedynie z salonem luksusowych samochodów w Białymstoku.

– Pan Karol miał na myśli pogląd, jakąś wspólną postawę przyjmowaną przez grupę ludzi – wyjaśnił Herman.

– Jak religia? – domyślił się Tomek.

– Znakomity przykład, Tomciu, dokładnie jak religia. I właśnie o tym traktuje ta wyjątkowa książka. O tym, jak pewne idee potrafią sprowadzić człowieka na złą drogę.

– I o truciznach też jest – zauważył Maciejka. – Trochę przeczytałem, tam, gdzie zaznaczone...

Temat trucizn, zwłaszcza uzyskiwanych z roślin, od jakiegoś czasu bardzo interesował Tomka. Zgłosił się nawet do wygłoszenia referatu na ten temat po powrocie z przerwy świątecznej.

– A o jakich? – zapytał nowego kolegę z błyszczącymi oczami. – Może mi się przyda do referatu.

– Niestety, w tej książce nie ma na ten temat wyraźnej informacji – zasmucił go Książek. – Ale jak chcesz, to możemy poszukać w internecie, z całą pewnością ktoś to już odkrył.

Chłopiec przyjął propozycję z wyraźną radością, a nawet Maciejka wydawał się zainteresowany. W końcu nieczęsto miał możliwość sprawdzać coś w internecie.

Niezauważeni przez pochłonięte dyskusją towarzystwo pobiegli na górę, do sypialni Tomka. Tymczasem Herman skończył palić i wraz ze swoją małżonką oraz ojcem Alicji powrócili do kuchni, jednak nikt nie zwrócił na nich uwagi. Dziesięć osób siedzących przy stole zajmowało się wertowaniem znalezionej pod podłogą kuchni Soni Iwaszuk dziennika. Wszyscy chcieli wiedzieć, jak zakończyła się historia wyprowadzenia Joachima Robaka do puszczy, jednak na ten temat w dzienniku nie było ani słowa. Wyglądało na to, że na jakiś czas inkwizytor porzucił notowanie szczegółów prowadzonego przez siebie procesu i wrócił do niego po długiej przerwie.

– Hej, patrzcie na daty – odezwała się Julka. – On tam siedział tak długo?

Pomiędzy jednym a drugim wpisem minęło – jeśli wierzyć zapiskom – dziewięć miesięcy. Było to zaskakujące, zwłaszcza w świetle wydania wyroku na Annę Arciszewską.

Jednak o wiele bardziej zaskakujące było to, co stało się dwunastego maja tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku. Bynajmniej nie mamy na myśli przewrotu majowego, ale mieszkańcy Babiboru Podlaskiego również wstrzymali oddech.

*

Po trzech dobach rozrywającego bólu Anna Arciszewska wydała na świat bliźnięta: chłopca i dziewczynkę. Do pomocy rodzącej wezwano dwie miejscowe baby, dopuszczono również siostrę Anny, Wiesławę. Dzieci były zdrowe, choć małe, co jednak przypisano temu, że dzieliły jedno łono.

Joachim Robak czekał na wieści w swoim pokoju, nerwowo obgryzając skórki wokół paznokci. Nie modlił się, od dawna bowiem nie wierzył w Boga, a po ostatnim roku sam już nie wiedział, w co powinien wierzyć. Codziennie wracał myślami do wydarzeń w puszczy i codziennie mierzył się z tymi samymi wyrzutami. Nie potrafił sobie przypomnieć, jak do tego

doszło, zupełnie jakby kto inny przejął jego ciało i rzucił się na tę kobietę. Jak zwierzę. Oczywiście, że go pociągała, przecież nie był ślepy ani wykastrowany. Potrafił jednak panować nad chucią. Co więc się wtedy stało?

– Panie, urodziła! – Młody chłopak wpadł do pokoju inkwizytora bez pukania.

– Żyje?

– Wszyscy troje żyją, ona i dzieci.

– Tro...? Bliźnięta? – Jezuita zamknął oczy i przygryzł wargę.

Wszystko jasne, przecież on także ma siostrę bliźniaczkę, podobnie jak jego ojciec i dziadek.

– Jakie rozkazy, panie?

– Zabrać dzieci i wywieźć do klasztoru. Bez matki sobie nie poradzą.

– Panie, jej siostra... powiedziała, że je wychowa.

– Wykluczone! – krzyknął odrobinę za głośno, czym wystraszył chłopca.

– Ta decyzja nie należy do nikogo poza mną. Dzieci muszą znaleźć się z dala od tego miejsca.

Młodzieniec uklonił się i zamknął drzwi. Jezuita westchnął głośno, obrócił się i spojrzał na wiszący na ścianie krzyż.

– Miejmy nadzieję, że istnieje, bo będziemy musieli poważnie porozmawiać – przemówił do rzeźby ukrzyżowanego Chrystusa.

Poprawił ubranie, obwiązał się pasem i wyszedł z pokoju.

Anna spała. Na jej bladym czole perlił się pot, oczy były podkrążone. Włosy, ogolone do skóry, zdążyły odrosnąć i rozsypały się po poduszce jak płomienie. Jezuita spojrzał na nią z czułością, podniósł jej dłoń do ust i złożył na niej pocałunek.

– Przepraszam. Obiecuję, że zajmę się nimi. Nie spotka ich żadna krzywda.

Gdy opuszczał izbę, wydało mu się, że usłyszał szmer za kotarą przy oknie, jednak nie miał czasu, by to sprawdzić. Wozy zostały już zapakowane, musieli jechać.

Wiesia wyszła zza kotary zupełnie oszołomiona. Co to miało znaczyć?

– Wiesiu? – Anna usiłowała otworzyć oczy. – Jesteś tu?

– Jestem, jestem. Czego ci potrzeba?

– Gdzie dzieci?

– Zabrali – zachlipała dziewczyna. – Chciałam je przygarnąć, wychować razem z Auguścikiem. Nie chcieli mnie słuchać.

– To nic, to nic, tak jest lepiej – wyszeptała Anna, a łzy potoczyły się po jej bladych policzkach. Podźwignęła głowę i spojrzała siostrze w oczy. – Opiekuj się Augustem, Wiesiu. I pilnuj mojego sekretu.

*

W imieniu Wielkiego Inkwizytora Kościoła katolickiego, działającego na polecenie oraz z błogosławieństwem jego świętobliwości papieża Piusa XI, niniejszym zawiadamiamy, iż wyrok w sprawie Anny Arciszewskiej, Teodory Tarnackiej, Zofii Zimnoch i Marianny Macios zostanie ogłoszony dnia dwunastego maja roku pańskiego tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego w samo południe.

*

My, Inkwizytor i poddani Sędziowie z ramienia Wiary, zasiadając jako Sędziowie na tym trybunale, mając przed sobą złożone Święte Ewangelie, aby nasz sąd mógł odbyć się przy Bożej aprobacie, a nasze oczy spoglądały sprawiedliwie, oraz mając przed oczyma tylko Boga i chwałę i cześć Świętej Wiary, osądzamy, orzekamy i ogłaszamy wyrokiem, iż ty (Anno Arciszewska, Teodoro Tarnacka, Zofio Zimoch i Marianno Macios), stojąc tutaj w naszej obecności w dniu i o godzinie naznaczonej tobie na wysłuchanie wyroku ostatecznego, jesteś zatwardziałym heretykiem i jako taki zostaniesz przekazany i poddany świeckiemu ramieniu sprawiedliwości. I jako zawziętego i nieskruszonego heretyka usuwamy cię tymże wyrokiem z Sądu Kościelnego i przekazujemy i poddajemy władzy Sądu Kościelnego. I modlimy się, by wspomniany Sąd Świecki powstrzymał swój wyrok śmierci na ciebie⁶³.

*

– I co dalej?! – Aneta Jędrzejak trzymała lewą rękę na obfitych piersiach, prawą ścisnęła dłoń Krzysztofa.

– Dalej nic nie ma, to koniec – odrzekła Julka.

– No ale jak to? Co się dalej stało? Co ten sąd świecki zdecydował? – dociekała pani Wandzia, zaaferowana, jakby chodziło o nią samą.

– Sądy świeckie nie miały w zwyczaju podważać wyroków sądów kościelnych – oznajmił głucho batiuszka. – Te kobiety zostały spalone na stosach na tej samej łące, gdzie teraz mój szwagier pasie swoje krowy. Nazywało się to „sprawą czterech” i jest jedynym potwierdzonym przypadkiem spalenia za czary na naszym terenie.

– Matko przenajświętsza, co za barbarzyństwo! – Alicja złapała się za głowę. – A bliźnięta? Co z dziećmi?

– To samo co z większością sierot z tamtych czasów. Wpadły w sidła systemu – bąknęła Lilka.

– Ekhm, niezupełnie – odezwał się Patrycjusz. – Z informacji, które udało się uzyskać mojemu dobrze poinformowanemu przyjacielowi...

– Panu Henrykowi? – ucieszyła się Julka.

– Tak, ale to tajne... – stropił się prokurator. – Udało nam się ustalić, że ksiądz Radosław Robak swoje nazwisko zawdzięcza Joachimowi Robakowi, który wychował jego dziadka.

– No łaski nie zrobił, skoro był jego ojcem! – prychnęła Julia. – Znaczący dziadka ojcem. Chociaż to raczej kiepski powód do dumy: być prawnikiem gwałciciela...

No tak, z tym zgadzali się wszyscy. Ale dzieci nie są winne grzechów ojców ani pradziadków, należy im jedynie współczuć.

– A co się stało z dziewczynką? – przypomniała Basia.

Pieprzyca rozłożył ręce.

– Ślad urywa się na sierocińcu, dziewczynka została adoptowana, ale nie wiadomo przez kogo.

– No to niech pan dzwoni do tego Henryka! – zniecierpliwiła się Aneta.

– Nawet Henryk Grabski nie potrafi robić cudów – odparł Patrycjusz i dokładnie w tej chwili poczuł wibrowanie telefonu w kieszeni.

– Niech pan odbiera, bo to rzadko się zdarza, żeby tu był zasięg – poradziła mu Basia, która zdążyła stać się persona non grata u wszystkich operatorów telekomunikacyjnych i dostawców internetu.

Prokurator nacisnął zieloną słuchawkę i przyłożył aparat do ucha. Postanowił nie wychodzić na zewnątrz, żeby, nie daj Bóg, nie zgubić zasięgu.

– Słucham cię uważnie – rzucił z powagą.

Rzeczywiście, słuchał pilnie, marszczył czoło, wciągał powietrze, drapał się po brodzie. Na koniec zadał rozmówcy tylko jedno pytanie:

– To potwierdzone?

Gdy się rozłączył, powiódł wzrokiem po twarzach pozostałych.

– Pani chyba też powinna przejrzeć swoje drzewo genealogiczne – oznajmił, patrząc na Anetę. – Henryk ustalił, że adoptowana dziewczynka miała syna, ten syn także miał syna, a on miał córkę.

– No, powiem panu, że jeśli tak działa nasz wywiad, to życzę powodzenia – prychnęła Aneta.

– Ależ Anetko – odezwał się do niej miękko Krzysztof – pan Patrycjusz właśnie nam powiedział, że nazwisko przetrwało przez trzy pokolenia.

– Aaaaaa! – Matka Julki uśmiechnęła się szeroko. – A jakie to nazwisko?

– Melska. Adoptowana dziewczynka nazywała się Maria Melska.

ROZDZIAŁ 43

S tarszy aspirant Stanisław Szelest wszedł do biblioteki krokiem defiladowym i zakończył wejście niemal telemarkiem, z tym że nie zrobił na nikim wrażenia. Kontuar był pusty. Policjant postął przez chwilę, podreptał w miejscu, porozglądał, a w końcu ruszył w głąb biblioteki. Kluczył między regałami, rozglądając się za kobietą swego życia, jednak wyglądało na to, że jej tam nie ma.

– Czego tu szuka? – ryknęła tuż przed nim stara Marczakowa.

– Ładnie to tak się zakradać i funkcjonariusza na służbie napadać? – odkrzyknął wystraszony Staszek.

– Kto napada, ten napada, ja tu robię. A on?!

– A on przyszedł do Sylwii. Gdzie jest?

– A skąd mnie to wiedzieć? Ja onej nie pilnuję.

Szelest zgrzytnął uzębieniem, ale zmitygował się w myślach i postanowił podejść staruchę inaczej.

– Pani Marczakowa, niech się pani nie gniewa, że ja panią wystraszyłem, najmocniej przepraszam. – Chwycił pomarszczoną dłoń i udawał, że ją obcałowuje, a naprawdę łaskotał wąsami. – Ja to pani wynagrodzę, słowo policjanta, ale najpierw muszę z kierowniczką się zobaczyć w pilnej sprawie służbowej.

– No niech już przestanie, bo nie wypada – chichotała staruszka zaczerwieniona aż po czubek uszu. – Kierowniczka w piwnicy, pudła porządkuje i zakazała wchodzić. Ale skoro służbowo, to pewnie może wejść.

Wskazała głową kierunek, a Szelest natychmiast puścił jej rękę i ruszył korytarzem w stronę schodów. Już na półpiętrze poczuł charakterystyczny zapach piwnic, który skojarzył mu się z aresztem, gdzie siedziała Malwina Maślankiewicz. Ta myśl zakłuła go w mostku, bo czas na udowodnienie winy sołtysowej już mu się kończył, wuj nie krył zniecierpliwienia, a Pieprzyca w ogóle już w winę aresztowanej nie wierzył. A na dodatek doszła sprawa księdza. Jeśli się okaże, że ktoś go sprzątnął z tego świata, to będzie gorąco. Zaraz tu przysłą jakichś nadętych buców z Hajnówki, a on,

Szelest, o awansie może zapomnieć. A co ta Sylwia właściwie tam robi? Niby porządki w archiwum, a tymczasem siedzi nad jakimś tomiszczem i kawkę popija. Oj, jak już zostanie jego żoną, to na lenistwo czasu nie będzie!

Usłyszawszy kroki, Sylwia Sierżant zatrzasnęła księgę i natychmiast schowała ją do szafki, którą szybko zamknęła na klucz. Szelest doskonale wiedział, że ów klucz wisiał na łańcuszku, ale teraz już był ukryty pod swetrem.

– Staszek? A co ty tu robisz?

– Sprawdzam, czy wszystko w porządku – oznajmił z beztrząsą.

– W porządku, trochę jestem zajęta, archiwum trzeba posprzątać.

– Mhm, właśnie widziałem. Przerwa na kawkę?

– Można tak powiedzieć – burknęła ze złością. – Już sprawdziłeś, że w porządku, więc możesz iść dalej.

– Słuchaj, Sylwia. – Szelest nie był dobry w niczym, a już na pewno w uwodzeniu kobiet. – Ostatni raz cię pytam, zanim awans dostanę i wyjadę z tego zadupia. Wyjdiesz za mnie czy nie?

Kobieta spojrzała na niego jak na wariata, czemu zresztą nie można się wcale dziwić, nieprawdaż?

– No, gratuluję tego awansu. To za Malwinę?

– Może tak, a może nie. Sprawa jest w toku, ale już widziałem papiery. – Wyciągnął przed siebie rękę i oglądał paznokcie. – To jak będzie?

– Nie mam teraz czasu – burknęła. – Przyjdź do mnie na kawę wieczorem, to pogadamy.

– A teraz nie możemy? – naciskał policjant. Trzeba kuć żelazo póki gorące.

– Mówiłam już: zajęta jestem. A ty chyba masz kolejne zwłoki, więc do roboty!

Połowicznie usatysfakcjonowany Szelest posłał Sylwii buziaczka i pomknął w górę schodów. Wieczorem już mu się nie wywinie.

Ledwo wyszedł z budynku biblioteki, kiedy rozległ się sygnał krótkofalówki, wzywający go na plebanię Mikołajka. Cóż, wujowi się nie odmawia, nawet jeśli ma się ochotę kopnąć go w tłusty tyłek. Ale to kiedy indziej, po awansie. Na razie trzeba się pilnować.

Kiedy wsiadał do samochodu zaparkowanego kilkaset metrów dalej,

zauważył Sylwię w pośpiechu opuszczając bibliotekę. Wyglądała na zdenerwowaną, jakby coś się stało, i gnała na złamanie karku.

– Pewnie leci się przygotować na wieczorną randkę – szepnął do siebie z zadowoleniem, po czym ruszył w przeciwnym kierunku.

*

Marlena Maślankiewicz była nieugięta. Mimo błagań Mietka, przekleństw Malwiny, krzyków pani Róży i zakazów posterunkowych podjęła decyzję i niczym nie dawała się przekonać.

– Macie lepszy plan? – zapytała z kpiną w głosie.

Nie mieli. W ogóle żadnego nie mieli.

– No to siedźcie cicho, bo beze mnie byście zginęli. Przynajmniej wyświadczyć światu ostatnią przysługę.

– Pani Marleno, tak pani mówi, jakby to już było przesądzone – zachnął się Sebastian.

Było oczywiste, że nie przyjmie ze spokojem podejrzenia wobec własnej matki, ale i tak trzymał się dzielnie. Wcześniejsze rozmyślenia na ten temat przygotowały grunt, na którym powoli kiełkowało zasiane ziarno.

– Jeśli się mylę, to nic mi nie grozi – oznajmiła staruszka. – Tak czy inaczej, coś ustalimy, bo jak na razie mamy tylko mgliste podejrzenia.

– Które mają sens – dopowiedziała Antkowiak i natychmiast przeprosiła Sebastiana oczami. – Trzeba się tylko zastanowić, jak chce pani sprowokować winną do ujawnienia prawdy. Nie mamy pojęcia, co było motywem, o ile w ogóle był jakiś motyw.

– No nie, bez przesady! – uniósł się Sebastian. – Jeśli moja matka jest morderczynią, to niech chociaż działa z jakąś logiką.

– Będę improwizować – oznajmiła twardo Marlena. – Skoro mogę gadać z duchami, to i z morderczynią sobie poradzę.

– Hipotetyczną! – poprawił ją Sebek.

Marlena uśmiechnęła się z wyrozumiałością i podniosła z krzesła.

– No, to w drogę. Kto nie ryzykuje, ten nie łapie morderców.

Po chwili orszak sześciorga opatulonych zimowymi szalami osób wymaszerował z posterunku, pod który właśnie podjechał samochód Szelesta.

– Czy z nimi nie szła Malwina Maślankiewicz? – zapytał siostrzeńca hajnowski komendant.

– A gdzie tam, wujku, u nas co druga tak wygląda – pospieszył z zapewnieniem Szelest.

Począł, aż wuj przesiądzie się do swojego samochodu, i dopiero wtedy opuścił pojazd. W tej chwili znów był wierzący i gorąco ufał w to, że Pan Bóg mu wybaczy zamordowanie rudego idioty, przyszłego pasierba, który radośnie, w świetle dnia, prowadził podejrzaną o zbrodnię na spacer.

*

Ledwo spadła jedna bomba, telefon Pieprzycy znów zadzwonił. Tym razem prokurator postanowił przełączyć rozmowę na tryb głośnomówiący, żeby nie musieć powtarzać wszystkiego audytorium. Kto wie, może dostanie zawału, a tak przynajmniej będą świadkowie.

– Mów! – rzucił do technika, który sprawdzał dla niego media społecznościowe ofiar.

– Panie prorok, jak pan stoisz, to usiądź, bo mam dla ciebie taką petardę, że światełko do nieba to przy tym marny kapiszon – oznajmił przyjemny i niewątpliwie uśmiechnięty głos.

Patrycjusz nie miał na czym usiąść, ale na wszelki wypadek oparł się o szafkę.

– Gotów – zameldował.

– No to tak: księżulo prowadził bloga, na którym uczył dzieciaki chemii. Trudno go było znaleźć, bo nigdzie oficjalnie się nie pojawia jego nazwisko, ale miałem kilka trafień po IP, więc sprawdziłem. Większość subskrybentów tego bloga to szkoły albo jakieś organizacje edukacyjne. Znalazłem jedno trafienie u nas, w Babiborze. – Technik zawiesił głos, czekając na reakcję prokuratora.

– Biblioteka? – strzelił Pieprzyca, przypominając sobie, że poza siedliskiem jest tylko jedno miejsce, w którym można cokolwiek sprawdzić w internecie.

– Bingo! Widzisz, prawdziwy z ciebie prorok.

– Szkoda tylko, że to niczego nie dowodzi...

– Czekaj, czekaj, nie galopuj, bo cię kobyła zrzuci. Ence, pence, chcesz najpierw niusa z lewego czy z prawego okna?

– Dawaj lewe. Jak mam dostać zawału, to przynajmniej niech się strony zgadzają.

– No to lewe, bum! Monika Melska i Radosław Robak korespondowali ze sobą na Messengerze i z tej korespondencji wynika, że byli spokrewnieni.

– Dobra, dawaj prawe, bo to już wiedziałem.

Technik wydał z siebie głośne prychnięcie.

– No nie, to nie fair, masz kilka konkurencyjnych źródeł informacji? Czuję się urażony. No dobra, a ciekawe, czy to też wiedziałeś: Kilka minut po drugiej w nocy ksiądz Robak wysłał esemesa do Sylwii Sierzant.

– Jasna cholera! – syknął Patrycjusz. – Czy znaleźliśmy jego telefon komórkowy?

Na to pytanie nikt z obecnych nie znał odpowiedzi. Pieprzyca podziękował technikowi za informacje i rozłączył się. Następnie w pośpiechu wybrał numer posterunku, ale nikt nie odebrał.

– Przepraszam państwa, czy ktoś ma samochód i mógłby mnie podrzucić na posterunek? – zapytał ze wstydliwym uśmiechem.

Ojciec Lilki chciał zgłosić gotowość, ale Aneta przyszpiliła mu obie ręce do stołu i pokręciła głową. Któż by się sprzeciwił takiej kobiecie?

– Ja pojedę – odezwał się Herman. – Przyda mi się wyjście z domu.

Gdy mężczyźni się ubierali, ze schodów zbiegł Tomek i wykrzyknął:

– Dziadku, dziadku, zgadłem! W *Imieniu róży* bibliotekarz zabijał tojadem!

*

Sylwia wpadła do domu i sprawdziła, czy nikogo w nim nie było. Wyglądało na to, że zdążyła. Telefon księdza leżał tam, gdzie go schowała. Wyjęła aparat spomiędzy bielizny i wsunęła do kieszeni. Będzie musiała w nocy wyjść na spacer, ale na szczęście rzeka niedaleko. Byleby tylko mróz trochę odpuścił.

Nie miała czasu posprzątać, ale Sebek nie wróci zbyt szybko, zresztą on nie zaglądał do szklarni. To było jej królestwo, a syn i tak znał się na roślinach jak kura na pieprzu. Tak samo jak jego ojciec. Rzodkiewki od rzeżuchy by nie odróżnił, tylko te kryminały czyta. I co mu z tego?

Przebrała się w strój roboczy, czyli polarowe dresy, na nogi włożyła

gumofilce i wyszła do ogrodu. Ledwo zniknęła za domem, gdy usłyszała dzwonek do drzwi. Kogo tam znowu niesie?

– Z tyłu, w ogrodzie! – krzyknęła i na wszelki wypadek przytknęła drzwi szklarni. Pewnie Tarnacki przyniósł listy.

Zdziwiła się na widok Marleny, lecz szybko przywołała się do porządku. Stara szeptucha pewnie przyłazła, żeby wyciągnąć z niej coś o śledztwie. A ona nic nie wie.

– Dzień dobry, Sylwio. Dziwna pora na prace ogrodnicze.

Jak zwykle złośliwa.

– A dzień dobry, pani Maślankiewiczowa. Pora dobra jak każda inna, po to mam szklarnię.

Małeńka staruszka zbliżała się do niej z dziwnym wyrazem twarzy.

– Myślałam, że chociaż herbaty się napijemy, pogadamy. Dawno nie miałyśmy okazji, a stare czasy warto by wspominać – ćwierkała jak nie ona.

– A co tam wspominać, pani Maślankiewiczowa, było, minęło. Trzeba żyć dniem dzisiejszym.

– Łatwo ci mówić, bo masz przed sobą wiele dni, a dla mnie każdy może być ostatnim. – Babcia machnęła ręką. – To jak będzie z tą herbatą?

Sylwia się zawahała.

– No dobrze, skoro już się pani pofatygowała – odrzekła z westchnieniem. – Niech pani poczeka, zaraz pójdziemy do domu.

Otworzyła drzwi szklarni i weszła do środka. Marlena nie zamierzała marznąć, a poza tym bardzo ją ciekawiło, co znajduje się wewnątrz. Cichutko, na paluszkach, podeszła do szklanej budowli i pociągnęła klamkę, a drzwi z hukiem uderzyły o ściankę. Sylwia podskoczyła, wypuszczając z dłoni buteleczkę. Szkło się rozprysnęło, a znajdujący się w naczyniu płyn rozlał po stole.

– Co pani robi?! – wrzasnęła Sylwia. – Miała pani zaczekać na zewnątrz! – Oparła się o stół i natychmiast zabrała rękę. – Jasna cholera!

– Pomogę ci to wytrzeć. – Marlena już zrobiła krok do środka, ale powstrzymał ją ostry głos Sierżantowej:

– Nie! Niech pani się nie rusza! Poradzę sobie. – Po tych słowach podniosła rękę do czoła, do którego przykleił się czarny pukiel. Ledwo dotknęła skóry nad okiem, wydała z siebie krzyk, jakiego w Babiborze

jeszcze nie słyszano. – Ratunku!!! Oślepiłam!!! Wody!!! Wody!!!

Marlena schyliła się i zebrała garść śniegu, po czym przyskoczyła do wrzeszczącej kobiety. Przyłożyła śnieg do jej twarzy, uważając, by nie znaleźć się w zasięgu jej dłoni.

– Oj, Sylwio, Sylwio. Nigdy nie dotykamy twarzy, gdy bawimy się truciznami – wyszeptała.

Oszołomiona kobieta nie zdążyła zareagować. W otwartych drzwiach szklarni pojawiła się ruda głowa jej syna. Usłyszała też głos Antkowiak, wzywający pogotowie ratunkowe.

– Mamo? – Głos Sebastiana drżał, a twarz wyrażała ogromny ból. – Co to wszystko znaczy?

Chwilę później Sylwia osunęła się bezwładnie, tracąc przytomność. Chłopak jednym susem znalazł się przy matce, choć musiał się schylać, by nie zawadzić głową o dach szklarni. Bez słowa wyniósł ją i zaniósł do domu, odprowadzany wzrokiem pozostałych. Podrażnione trującym wyciągiem oko zniknęło pod opuchlizną, która zajęła już połowę twarzy kobiety.

*

Szelest zastygł z ręką na klamce. Zaraz, moment... Co ona powiedziała? Skąd Sylwia wiedziała o śmierci księdza, skoro zaczęła pracę, nim go znaleziono? Czego by nie mówić o jej synu, paszczą przed matką nie kłapał. A zatem?

I taka była zajęta, a tu fajrant sobie w środku dnia robi?

No i te ślady na śniegu. Męskie, bez wątplenia.

Puścił klamkę i ruszył do domu Sierżantów.

*

Zbliżając się do posterunku, Pieprzyca zauważył Szelesta maszerującego po śniegu. Dziwne, jego samochód stał na parkingu.

– Halo, aspirancie, dokąd pan zmierza? – zawołał, gdy Herman zrównał samochód z piechurem.

– Do Sierżantów, sprawę mam – burknął Staszek.

– Podwieźć pana?

– Nie, dziękuję, dziesięć tysięcy kroków muszę wyrobić.

– A ile pan już ma? – zaciekał się Herman, wielki zwolennik pieszych wędrówek.

– Nie pana interes!

Polot wzruszył ramionami – nie z takimi miał do czynienia w łódzkich komendach – i zamknął okno.

– Skoro on tam idzie, to my też pojedźmy – rzucił Pieprzyca.

Kilka chwil później do ich uszu doleciał przeraźliwy krzyk.

EPILOG

Dzień był przepiękny, słoneczny i mroźny. Biały jak mleko śnieg chrupał pod stopami przy każdym kroku. *Takie zimy to tylko na Podlasiu!*, myślała Julka, z radością krocząc ku kamiennemu domkowi. Otrzeпаła buty na niewielkim ganku i bez wahania nacisnęła klamkę.

– Puk, puk, to ja! – zaświergotała wesoło.

Sonia podniosła głowę znad gazety i pomachała.

– Dzień dobry! Niech pani wchodzi, śmiało. Herbata już czeka.

Julka w pośpiechu zdjęła puchowy płaszcz, buty odstawiła na przygotowaną w tym celu matę i ruszyła do stołu.

– Niestety, nie oddali mi dziennika. Podobno trzymają go jako dowód, a później ma trafić do muzeum – oznajmiła z niezadowoleniem.

– Nic nie szkodzi. Nie mogłabym trzymać tego w domu, na samą myśl mam dreszcze. – Na dowód Sonia otrząsnęła się jak osika zrzucająca liście.

– Słusznie, szkoda jedynie, że nie da się wyciągnąć z głowy tych snów. Brrrr, trauma do końca życia!

Julka chwyciła kubek i nalała do niego herbaty. Sądząc po kolorze, była ona suto zaprawiona miodem i cytryną.

– No, niech pani opowiada! Siedzę tu jak pustelnik, Karol od kilku dni nie zagłąda, bo zajął się badaniem tych dzienników, więc wiem tylko tyle, ile wyczytałam z gazet.

– Niezły numer, co? – Julka uśmiechała się szeroko.

Nagłówek czytanego przez Sonię artykułu brzmiał: „W Babiborze o gusłach się nie dyskutuje. Historia współczesnych polowań na czarownice, czyli o zbyt mocnej inspiracji *Imieniem róży*”.

– Nie wiem nawet, od czego zacząć, bo już sama idea w głowie mi się nie mieści. Ale dobra, spróbuję... – Julia upiła łyk herbaty, uśmiechnęła się do własnych myśli i rozpoczęła opowieść: – Sylwia Sierżant na początku wcale nie chciała mówić. Kiedy odzyskała przytomność, a lekarze uznali, że jej stan jest stabilny, wpadła w stupor. Pan posterunkowy siedział u niej dzień i noc, a ona milczała, jakby ją ktoś zaklął. Pardon, proszę tego nie brać do

siebie. W końcu pan Patrycjusz nie wytrzymał, wyciągnął Sebastiana za fraki na zewnątrz i zabarykadował się z Sylwią w tym pokoju. Wreszcie pękła. Nie wiem, jakich użył metod i argumentów, i chyba wolę nie wiedzieć...

– Przyznała się do wszystkiego? – Sonia sięgnęła po ciasteczko waniliowe.

To samo zrobiła Julka.

– Przyznała się do otrucia Robaka i Melskiej. Na temat Augusta Arciszewskiego ani słoweczka, bo wie, że niczego jej nie udowodnią.

– Jak to? – zdumiała się aktorka.

– Ano nikt nie wie, gdzie został pochowany, a rozkopywanie cmentarza jest wbrew prawu. Ale – Julia spojrzała na Sonię i uśmiechnęła się diabolicznie – w tym archiwum znaleźli coś, co zostało pochowane z panem Arciszewskim i raczej samo nie trafiło spod ziemi do biblioteki.

– Ha!

– Prawda? No więc pewnie poszlakowo jej to podciągną. A jeśli nie, to i tak dwa morderstwa odsuną ją od społeczeństwa na resztę życia. Szelest jest niepokieszony.

– Wcale mu się nie dziwię. Kochać morderczynię to niemal szekspirowska tragedia.

– Ja bym powiedziała nawet, że antyczna. A wie pani, co jest najgorsze? To on znalazł dowód, który pozwolił zebrać to wszystko do kupy! Można by rzec, że wbił ostatni gwóźdź do trumny ukochanej.

Sonia uniosła wysoko brwi, przez co jej oczy w kolorze niezapominajki stały się jeszcze większe.

– Otóż – kontynuowała Julka z zadowoleniem – kiedy zobaczył, co się dzieje w ogrodzie Sierżantów i pani Malwina mu powiedziała, że to Sylwia jest morderczynią, przypomniał sobie, że widział, jak pani Sierżant chowała coś przed nim w archiwum biblioteki. Kluczyk do tego schowka miała na szyi, więc Szelest kazał Sebastianowi natychmiast go zdjąć. Oczywiście pan Sebastian ogłuchł na rozkazy karakana, ale akurat wtedy zjawił się pan Patrycjusz z tatą Basi i sam wziął ten klucz – relacjonowała. – Pojechali do biblioteki we trzech: karakan, pan Pieprzyca i pan Herman, znaleźli szafkę, otworzyli kluczykiem i – spojrzała z uśmiechem na zasłuchaną aktorkę – niech pani teraz się skupi, trafili na starą księgę w

skórzanej oprawie. A ta księga, miła pani Soniu, to nic innego jak grymuar Anny Arciszewskiej, który ta nieszczęsna przekazała swojej siostrze i przed śmiercią nakazała pilnować jak oka w głowie.

– O matko...

– Prawda? Historia, że można dostać gęziej skórki. Najlepsze jest to, że Wiesia, czyli siostra Anny, która wychowała ojca pana Augusta Arciszewskiego, postanowiła opisać losy swojej siostry w tymże grymuarze, a nawet poszła dalej: przez całe życie szukała śladów dzieci zrodzonych z czynu przestępczego. Udało jej się, ale nie całkiem: chłopca znalazła, co do dziewczynki miała kilka tropów, w tym właściwy, jednak nie zdążyła tego potwierdzić. Zostawiła to zadanie swoim potomkom, tak samo jak pilnowanie księgi przed oczami niepowołanych.

– Czyli Augustowi seniorowi? – upewniła się Sonia.

– I teraz jest niespodzianka *level master*, gdyż albowiem nie Augustowi. Po tym, jak Wiesia poznała historię cudownego uzdrowienia Anny z bezpłodności, sama także oczyściła swój organizm i zaczęła unikać wszystkiego, co zawierało metale ciężkie z pestycydów. Po dwóch latach czy coś koło tego wyszła za mąż i z tego małżeństwa narodziły się dzieci. Oczywiście we wsi natychmiast stwierdzono, że przejęła moc siostry i trzeba by ją zgłosić do inkwizycji, ale Wiesia, nauczona doświadczeniem, od razu ucięła wszelkie idiotyczne spekulacje i przeprowadziła szkolenie ze zdrowego odżywiania. Kazała też zawołać speców od środowiska. Ci zbadali wodę, potwierdzili wysokie stężenie pestycydów i zaczęto tę wodę uzdatniać, a na rolników nałożono ostre kary za zanieczyszczanie natury. I nagle Babibór zapełnił się dziećmi.

– O mój Boże, biedna Anna... To straszne!

– Taaaa... Kościół katolicki słynie z ciekawych metod radzenia sobie z tym, czego nie ma w Biblii. Ale to temat na kiedy indziej. O czym to ja...?

– O potomkach Wiesi – podpowiedziała gospodyni.

– A, tak. Wiesia miała dwóch synów i córkę. Córce przekazała wiedzę tajemną i pieczę nad książką. Ta córka też miała córkę, ale ona wiedzy już nie dostała, za to księgi miała pilnować jak własnego wianka. No i wyszło na to, że wianka pilnowała średnio, za to za księgę zamordowała trzy osoby. Taka z niej była pilna strażniczka.

– Pani Sierżant jest wnuczką Wiesi? – Sonia wytrzeszczyła oczy.

– Nie inaczej. Ale właściwie nie powinno nas to dziwić, bo przecież od dawna wiadomo, że tu wszyscy są ze sobą jakoś spokrewnieni. I z Mickiewiczem.

– Czyli August Arciszewski był spokrewniony zarówno z księdzem Robakiem, Moniką Melską, jak i z Sylwią Sierżant?

– Dokładnie tak. Gdybyśmy wiedzieli o tym wcześniej, być może udałoby się uratować chociaż księdza. Bo wychodzi na to, że to jednak żadna swołocz, tylko wybrał sobie kiepski sposób na sprowokowanie morderczyń. Zginął, bidulek, bo się domyślił...

– Jak to? – Sonia zamrugła kilka razy. Zaczęła myśleć, że nigdy nie pojmie istoty tej sprawy.

– Ta historia o szamanie, który naszemu księdzu powiedział, że ma w sobie krew czarownicy, okazała się prawdą. Potwierdziła to Ludka, siostra Robaka. On się ponoć tak zafiksował na tym temacie, że zapisał się do wszystkich możliwych stowarzyszeń skupionych wokół czarów i magii w Polsce, aż trafił na zapiski o „sprawie czterech”. A kto o tym wspomniał? Sylwia Sierżant, zgadła pani. – Julka upiła łyk herbaty i pokiwała smutno głową. – No więc niewiele myśląc, skontaktował się z księdzem Antonim, przyjechał do niego i chciał obejrzeć księgi kościelne, licząc na to, że znajdzie coś na temat swojego pradziadka. Ponieważ Antoni kilka lat wcześniej przeniósł wszystkie archiwalne tomiszczą do biblioteki, udali się tam i ksiądz poznał osobiście Sylwią Sierżant, która miała mu pomóc w odszukaniu właściwych ksiąg. Od tamtej pory byli w stałym kontakcie, dzięki czemu ksiądz się dowiedział, że potrzebujemy proboszcza. I tym sposobem Radosław Robak redemptorysta zawitał do naszego uroczyska.

– Rany Julek, to się w głowie nie mieści. I co ta Sylwia? Postanowiła wykończyć wszystkich swoich krewnych?

– Jak już zaczęła mówić, to wyszło na to, że zarówno Arciszewski, jak i Melska grzebali w swoich genealogiach, kiedy odkryli, że mają moc. Niech się pani nie krzywi, ja tylko przekazuję, co słyszałam. I gdy zaczęli grzebać, najpierw August, to się zaczęło to samo co u Wiesi: szukali tych zaginionych dzieci. Arciszewski jakimś cudem doszedł do tego, że Monika jest jego którąś tam kuzynką i ją wtajemniczył, powiedział też, że muszą odnaleźć księgę, żeby się dowiedzieć, co naprawdę się stało z Anną. O księdze wiedział od swojego dziadka, którego, przypominam – tu Julka

podniosła palec wskazujący – wychowała Wiesia. On podobno był bardzo łośki, więc sobie wszystko pięć razy sprawdził, przemyślał i doszedł do wniosku, że Sylwia Sierżant jest jedyną prawdopodobną spadkobierczynią jego ciotecznej babki. No i zaczął się interesować księgą, więc Sylwia pożegnała go z tym światem. Znaczą: tak się domyślamy, bo przecież ona się wyparła.

– Z Moniką było tak samo?

– Identyko. Dostała od Augusta jego dzienniki, a w nich wskazówki. W końcu i ona doszła do tego, że Sylwia musiała księgę odziedziczyć, poszła się skonfrontować, Sylwia zaprosiła ją do siebie „na rozmowę” i podała dziewczynie zatrutą nalewkę.

– A ksiądz połączył kropki...

– Tak, gdy tylko zdał sobie sprawę, że Sylwia jest tą samą osobą, która poprzez jego chemicznego bloga swego czasu wypytywała go o silne trucizny, sposób ich działania, jak je uzyskać z roślin i tak dalej. No i kiedyś odwiedziła go w zakrystii, zostawiła mu książkę. *Imię róży*. Jak już był pewien, że to ona stoi za zabójstwem Moniki, napisał do niej wiadomość i podzielił los Melskiej. Tyle że – zachichotała Julka – zabrała mu telefon, żeby nikt przypadkiem nie zajrzał do wiadomości. I wie pani co? Miała ten telefon w kieszeni, kiedy zabierało ją pogotowie!

Sonia oparła łokcie na stole i patrzyła na twarz Julii, która beztrosko chrupała ciasteczka i popijała herbatę. Co za historia...

– Wie pani co? Ja chyba jednak wrócę do Łodzi... – wyznała z zadumą.

– No co pani? W Łodzi nudy, mordobicia albo pospolite włamania. A tutaj? Proszę uprzejmie: klątwy, czarownice, trucizny jak z książek!

– I ślepe bibliotekarki morderczynie.

– No, to dopiero ironia losu, co? Znalazła się Sylwia-Jorge od siedmiu boleści! Wie pani, jak to mówią: jaki kraj, tacy mordercy.

Sonia wyprostowała się nagle, a jej twarz spoważniała.

– Dopiero teraz o tym pomyślałam: co z naszym biednym posterunkowym? Jak on to zniósł?

– Szczerze mówiąc, nie widziałam go od tamtej pory, ale ptaszki ćwierkają, że bardzo mocno zaangażował się w podtrzymywanie na duchu Ludki Robak – oznajmiła Julka i puściła oczko do swojej gospodyni.

– Naprawdę? To znakomicie! Powiem pani, że mimo wielkich chęci nie

potrafiłabym się z nim związać. No... po prostu nie ma „tego czegoś”.

Julka pokiwała głową ze zrozumieniem. Nie można nikogo zmusić do miłości, choćby bardzo się chciało.

– No, to już chyba wszystko. Kiedy może pani wyjść z domu?

– Jeszcze trzy dni – odparła ze smutkiem Sonia. – Pan Piotr kategorycznie zakazał mi wychodzenia, dopóki nie nabiorę odporności. Dlatego bardzo się cieszę, że mnie pani odwiedza.

– E tam, drobiazg. I poza tym: Julka jestem, dość już tego paniowania.

– Sonia! – Dziewczyna wyciągnęła dłoń z uśmiechem. – Szkoda tylko, że znów nie mamy księdza, a święta tuż-tuż.

– Chwała bogom, że nasz batuszka taki wyrozumiały. A to mi przypomina, że muszę lecieć, bo rodzice stwierdzili, że nie będą czekać dwóch tygodni do prawosławnych świąt, więc jutro wieczorem odbędzie się cyrk pod tytułem „udawana kolacja wigilijna”. – Julia przewróciła oczami i westchnęła ciężko.

– Czyli co? Święta po polsku? – zachichotała Sonia.

– Nie inaczej, nie inaczej...

Udawana kolacja wigilijna była udawana tylko z nazwy, bo wszystko inne zgadzało się z tradycją. Były choinka, sianko pod obrusem, talerz dla wędrowca, talerze dla zmarłych, jabłka pod powałą, snop zboża w kącie, dwanaście potraw i, rzecz jasna, świąteczna, rodzinna atmosfera.

Zaczęło się już przy łamaniu opłatkiem, kiedy matka Julki wypowiedziała na głos życzenia wszystkich obecnych rodziców:

– Żebyście jednak zmadrzały, dziewczęta, i wróciły do domu, zanim stracie życie w tej krainie zbrodni.

– Mamo! – oburzyła się Julia. – Teraz tutaj jest nasz dom i ani myślę wracać do Łodzi.

– Na waszym miejscu sprzedałbym tę chałupę w diabły, bo za chwilę zawali wam się na głowy albo któraś straci życie na schodach – zawyrokował ojciec Alicji, architekt.

– Gdybyś nam pomógł, tak jak obiecałeś, a nie wychodził na spacer, to może byłoby bezpieczniej – dopiekła mu Alutka. – Nie ma mowy, ja tu zostaję, a niedługo dołączy do mnie Artur.

– Ja nie będę cię tu odwiedzać. W obawie o swoje życie – zastrzegła kategorycznie pani Wandzia.

– Ale obiecujesz? – rzuciła Ala, tracąc panowanie nad nerwami.

– I jak to tak bez księdza, takie bezbożne życie chcecie prowadzić? – lamentowała mama Basi, na co jej mąż przewracał oczami.

– Z całym szacunkiem, mamó, ale w kościele to ty bywasz na ślubach i pogrzebach. Nagle taka święta się zrobiłaś?

– Rozumiem, tato, że skoro pani Aneta nie aprobuje naszego nowego domu, to ty też? – zaatakowała ojca Lilka.

– Co? No... – Krzysztof poczuł, jak Aneta mocniej ściska pod stołem jego dłoń. – No nie jest tu zbyt bezpiecznie...

– To chyba jakaś kpina! – uniosła się Julka. – Dlaczego wy zawsze musicie wszystko krytykować?

Rozpętała się kłótnia na dziewięć głosów, jedynie Tomek siedział niewzruszony przy choince i metodycznie rozpakowywał swoje prezenty. On czuł się jak w domu: ani gorzej, ani lepiej. Wigilia jak wigilia, ważne, że clou się zgadza.

KONIEC TOMU TRZECIEGO

OD AUTORKI

9 września 2022 roku. Nie wiem, jak się nazywam. Od ponad trzech miesięcy żyję w świecie średniowiecznych procesów czarownic i śnieżnej zimy w Babiborze Podlaskim. Po drodze przydarzył mi się COVID, wpadły dwie ważne redakcje, rozpoczęła się promocja *Cynamonowych gwiazd*. Powinnam teraz skakać z radości, gdyż skończyłam najtrudniejszą i najbardziej wymagającą książkę w mojej dotychczasowej karierze, ale – piszę to całkiem szczerze – nie mam siły. Marzę jedynie o tym, by położyć się w swojej sypialni (gdy odgruzuję ją z książek) i patrzeć w sufit. A później przeczytać wszystko, co zgromadziłam przez ostatnie pół roku.

Oddaję w Państwa ręce opowieść wyjątkową, rodzącą się długo, obmyślaną i szeroko omawianą, osadzoną w realiach, których dogłębne poznanie wymagało ode mnie wiele pracy. Zawsze jednak chciałam zanurzyć się w magii, poczuć trochę dreszczy niedopowiedzenia, zawiesić niewiarę na kołku i wędrować nieznanymi ścieżkami. Mam nadzieję, że i Państwo to poczują.

Niniejsza książka nie powstałaby na pewno bez wsparcia wielu osób. Kibicowali mi, pocieszali, podnosili na duchu i opierniczali, kiedy było to konieczne. Moje przyjaciółki: Patinka, Dominika, Marzenka, Basia. Moja menedżerka Dagmara, zaprzyjaźnieni Autorzy: Marta Kisiel, Mietek Gorzka, Michał Śmielak. Nie mogę także zapomnieć o Czytelnikach, których niecierpliwe wyczekiwanie na trzeci tom cyklu „W siedlisku” było dla mnie największą motywacją.

Basi Kaszubowskiej jak zawsze winna jestem wdzięczność za mrówczą pracę nad redakcją, Natalii Jargieło – za piękną oprawę graficzną, Robertowi Ratajczakowi – za lawinę wiary, wsparcia i dowodów sympatii. Bez Was nie byłoby Starosty autorki. Bądźcie zawsze.

Szczególne podziękowania składam na ręce Danusi Chodkowskiej, mojej wiernej czytelniczki, fanki, przyjaciółki i niezwykle empatycznego człowieka. Danusia napisała dla Państwa streszczenia dwóch pierwszych tomów, które z dumą prezentujemy na początku niniejszej części.

No i cóż – stało się. Historia skończona, morderca złapany, a mnie wzywa już kolejna opowieść. Dziękuję, że wciąż ze mną jesteście, bo bez Was, kochani Czytelnicy, ta robota nie miałaby najmniejszego sensu.

Małgorzata
Stenoste

PRZEPISY

Kibiny podlaskie

(przepis pochodzi ze strony: www.radiobialystok.pl)

Składniki na ciasto

500 g mąki pszennej

200 g masła

2 jajka

szklanka (250 ml) śmietany 36%

odrobina soli

Składniki na farsz

1 kg karkówki wieprzowej

3 ząbki czosnku

2 cebule

sól do smaku, pieprz, majeranek

Przygotowanie

Mięso mielimy przez grube oczka jak na kielbasę. Siekamy czosnek, który uciskamy z solą i dodajemy do mięsa. Pokrojoną cebulę podsmażamy, dodajemy ją do mięsa po ostudzeniu. Przyprawiamy farsz solą, pieprzem i majerankiem. Dość długo wyrabiamy mięso, dodając też ponad szklankę przegotowanej lub mineralnej wody. Tak przygotowane mięso odstawiamy na kilkanaście minut do lodówki.

Na stolnicy siekamy mąkę z masłem (w temperaturze pokojowej, by było miękkie). W śmietanie rozbijamy jajka i dodajemy do ciasta, które odrobinę solimy. Dobrze wyrobione ciasto odstawiamy na kilkanaście minut do lodówki. Potem rozwałkowujemy je jak na makaron, wykrawamy większe krążki (odciskamy na przykład pucharek na lody). Nadziewamy

krążki farszem i sklejemy w warkocz. Układamy na blasze wyłożonej papierem do pieczenia. Pierogi ustawiamy warkoczem do góry i obficie smarujemy je roztrzepanym jajkiem. Pieczemy około godziny w 180 stopniach Celsjusza.

Miodownik Soni

(przepis pochodzi z rodziny Popławskich, a podzieliła się nim ze mną i z Państwem Justyna Grzegorczyk)

Składniki

4 łyżki miodu
1 łyżeczka sody oczyszczonej
1 szklanka cukru
3 jajka
100 g masła lub margaryny
2 szklanki mąki pszennej
300 ml śmietany 18%

Przygotowanie

Miód rozgrzewamy z sodą, aż się spieni. Jajka ubijamy z cukrem. Roztapiamy tłuszcz, a następnie łączymy z ubitymi jajkami i miodem z sodą. Dodajemy mąkę. Z powstałej masy formujemy kulę i dzielimy ją na 3 równe części. Z każdej części na dnie formy tworzymy placek i pieczemy go przez 6–7 minut w temperaturze 180 stopni Celsjusza. Ciepłe blaty przekładamy śmietaną (jak w torcie), a górny ozdabiamy według uznania: czekoladą, orzechami, toffi.

Przypisy

- 1 Bałak (gwarowo) – rozmowa.
- 2 Czuchrać (gwarowo) – drapać.
- 3 Nudny (gwarowo) – smutny, markotny.
- 4 Michał Śmielak, *Znachor*, wyd. Innitium, Kraków 2021, s. 166.
- 5 Ciurma (gwarowo) – areszt, więzienie.
- 6 Art. 2 § 1 ust. 1) k.p.k.
- 7 Zgodnie z Rozporządzeniem Ministra Zdrowia z dnia 7 grudnia 2001 roku w sprawie postępowania ze zwłokami i szczątkami ludzkimi ekshumacji można dokonywać w okresie od 16 października do 15 kwietnia.
- 8 W odróżnieniu od Kościoła katolickiego w prawosławnym komunii przyjmuje się pod dwiema postaciami: chleba i wina.
- 9 Bajstruk (gwarowo) – bękart.
- 10 Brynzal (gwarowo) – głupek, idiota.
- 11 Szpuk (gwarowo) – gołąb pospolity.
- 12 Ambaras (gwarowo) – kłopot.
- 13 Nadomnik (gwarowo) – mąż przychodzący na gospodarstwo żony, wżenający się.
- 14 Reszelucha (gwarowo) – gruba, postawna kobieta.
- 15 Badzina (gwarowo) – babiarz, mężczyzna prowadzący rozwiązły tryb życia.
- 16 Przypominamy, że przed małżeństwem z Mieczysławem Maślankiewiczem Malwina nazywała się Anna Arciszewska.
- 17 Bajdeła (gwarowo) – młokos, nierób.
- 18 Adam Mickiewicz, *Lilije* (fragm.).
- 19 Brynzal (gwarowo) – idiota, głupek.
- 20 Kajdany (gwarowo) – ciężkie obuwie zimowe.
- 21 Biblia Kruszyńskiego, 2 Księga Mojżeszowa, 22,18.
- 22 Tamże, 22,20.
- 23 Tamże.

24 Tamże, 3 Księga Mojżeszowa, 19,27.

25 Tamże, 19,31.

26 Heinrich Kramer, Jacob Sprenger, *Młot na czarownice*, tłum. Tomasz Specyał, Wydawnictwo Replika, Poznań 2021, s. 58.

27 Miodownik – obrzędowe ciasto Słowian, przygotowywane na specjalne okazje i tradycyjnie długo leżakujące. Współcześnie wykonuje się go w formie wielowarstwowego, przekładanego budyniem kruchego ciasta miodowego. Przepis na miodownik Soni znajduje się na końcu niniejszej książki.

28 Księża kryjówka (ang. *priest hole*) – określenie kryjówek budowanych w XVI i XVII wieku w angielskich domach należących do rodzin, które nie przyjęły religii anglikańskiej. Kryjówki służyły działającym w podziemiu księżom katolickim za schronienie (niekiedy prowadziły tunelami do tajnych wyjść z domu) na wypadek rewizji dokonywanej przez królewskich śledczych. W czasie panowania Henryka VIII i Elżbiety I działalność księży katolickich uznawana była za zdradę stanu i groziła najwyższym wymiarem kary, czyli śmiercią.

29 Angielka (regionalnie) – bagietka, długa bułka pszenna.

30 Migawka (regionalnie) – bilet okresowy.

31 Siaja (regionalnie) – coś podłej jakości, byle co.

32 Zawitka to rodzaj kukielki uwitej (stąd nazwa) z kłosów zboża zerwanych z pola osoby, której miała ona zaszkodzić. Zaplatało się ją nocą, wymawiając zaklęcia. Uznawana za narzędzie czarnej, czyli złej, magii.

33 Tomás de Torquemada – jeden z najbardziej znanych przywódców inkwizycji Kościoła katolickiego, uznawany za zagorzałego zwolennika walki z judaizmem. Przypisuje mu się tysiące ofiar skazanych na śmierć wskutek oskarżenia o czarostwo.

34 *Quod erat demonstrandum* (łac.) – Czego należało dowieść; co było do udowodnienia.

35 Kibiny lub kybyny – tradycyjna potrawa Karaimów, popularna także w kuchni litewskiej. Kibiny są rodzajem pierogów z ciasta drożdżowego lub kruchego, najczęściej z farszem mięsny (tradycyjnie z baraniny) lub warzywnym. Przepis na kibiny przygotowane przez Alutkę znajduje się na końcu książki.

36 Generałem określa się najwyższych, czyli generalnych, przełożonych zakonów katolickich.

37 Włodzimierz Dionizy Halka-Ledóchowski – hrabia, jezuita. W latach 1915–1942 pełnił funkcję generała zakonu.

38 *Papa nero* – czarny papież, generalny przełożony zakonu Towarzystwa Jezusowego (joannitów). Określenie pochodzi od koloru stroju zakonnego i ma związek z wysoką pozycją joannitów wśród pozostałych zakonów.

39 Heinrich Kramer, Jacob Sprenger, *Młot na czarownice. Pars tertia*, przeł.

Tomasz Nowak, Wydawnictwo Replika, Poznań 2022, s. 54.

[40](#) Bernard Gui (znany także jako Bernardo Gui) to żyjący na przełomie XIII i XIV wieku dominikanin i słynący z okrutnych wyroków bezlitosny inkwizytor, przedstawiony m.in. w *Imieniu róży* Umberto Eco. Jest autorem podręcznika dla inkwizytorów pt. *Księga inkwizycji*.

[41](#) Biblia Tysiąclecia, Kpł 20,6.

[42](#) Tekst niniejszej ewokacji został stworzony na podstawie *Rytuału ewokacji ducha* będącego fragmentem książki *Magija współczesna. Dwanaście lekcji Wysokiej Sztuki Magicznej* Donalda Michaela Kraiga w tłumaczeniu Macieja Lorenca i Adama Kościuka, Wydawnictwo Kobiectwo, Warszawa 2020, s. 424–426.

[43](#) Tamże.

[44](#) Biblia Tysiąclecia, Wj 22,17.

[45](#) Adam Stower, *Wielka księga nalewek i toastów*, Wydawnictwo Benkowski, Białystok 1996, s. 63.

[46](#) Bałakać (gwarowo) – mówić, rozmawiać.

[47](#) Budny (gwarowo) – powszechny, zwykły.

[48](#) Szwarny (gwarowo) – piękny.

[49](#) Halaburda (gwarowo) – awantura.

[50](#) Dziaंगाć (gwarowo) – marudzić, gadać androny.

[51](#) Heinrich Kramer, Jacob Sprenger, *Młot na czarownice. Pars tertia, op. cit.*, s. 61.

[52](#) Tekst z drobnymi modyfikacjami został zacytowany za: Heinrich Kramer, Jacob Sprenger, *Młot na czarownice. Pars tertia, op. cit.*, s. 119.

[53](#) Heinrich Kramer, Jacob Sprenger, *Młot na czarownice. Malleus Maleficarum, op. cit.*, s. 58.

[54](#) Joachim Robak ma na myśli podręcznik Świętej Inkwizycji, czyli *Malleus Maleficarum*, w którego części trzeciej w Dziale drugim, Pytaniu XIV znajduje się wskazanie dotyczące źródeł mocy pozwalającej czarownicy milczeć nawet w trakcie najcięższych tortur.

[55](#) Buńdziurzyć się (gwarowo) – dąsać się.

[56](#) Rajwach (gwarowo) – hałas, harmider, zamieszanie.

[57](#) Babicha (gwarowo) – niesympatyczna, złośliwa kobieta.

[58](#) Tysiąclist – ludowa nazwa krwawnika pospolitego, ziela o właściwościach antyseptycznych i obniżających ciśnienie krwi.

[59](#) Biblia w przekładzie Jakuba Wujka, Wj 22,17.

[60](#) Heinrich Kramer, Jacob Sprenger, *Młot na czarownice. Pars tertia, op. cit.*, s. 126.

61 Mowa o *agnuskach*, czyli woskowych medalionach *Agnus Dei*. Były to poświęcone przez papieża niewielkie medaliony z odcisniętym na awersie wizerunkiem Baranka Paschalnego. Agnuski traktowane były jako amulety pozwalające zwalczać choroby ciała i ducha, chroniące przed wpływami złych mocy, czarów, przeciwdziałające urokom. Ostatni raz poświęcił i rozdał agnuski papież Paweł VI w 1964 roku. Według autorów *Młota na czarownice* inkwizytorzy winni wzmacniać siłę papieskiego błogosławieństwa poprzez zatopienie w medalionie soli poświęconej w Niedzielę Palmową i pobłogosławionych ziół.

62 Ordalia, inaczej sądy boże, były jednym ze środków dowodowych w średniowiecznych procesach karnych i cywilnych. Do ordaliów inkwizycyjnych należały jednostronne próby, jakim poddawano oskarżonych, m.in. próba wody, próba żelaza czy choćby wspomniana już próba łez. Do ordaliów zalicza się także pojedynek sądowy, który stał się później częścią etosu rycerskiego. Nazwa „sąd boży” zakładała, że Bóg wstawi się za niewinnym, dzięki czemu przejdzie on próbę bez szwanku.

63 Heinrich Kramer, Jacob Sprenger, *Młot na czarownice. Pars tertia, op. cit.*, s. 239.

czy w przypisie tytuł nie jest niepełny? Prawdopodobnie powinno tam być: *Młot na czarownice. Malleus Maleficarum*. Sprawdzisz?

Spis treści

Strona tytułowa	2
Karta redakcyjna	3
Od tego się zaczęło	6
A później było jeszcze lepiej	8
ROZDZIAŁ 1	12
ROZDZIAŁ 2	17
ROZDZIAŁ 3	20
ROZDZIAŁ 4	26
ROZDZIAŁ 5	32
ROZDZIAŁ 6	37
ROZDZIAŁ 7	40
ROZDZIAŁ 8	46
ROZDZIAŁ 9	53
ROZDZIAŁ 10	64
ROZDZIAŁ 11	75
ROZDZIAŁ 12	80
ROZDZIAŁ 13	87
ROZDZIAŁ 14	94
ROZDZIAŁ 15	104
ROZDZIAŁ 16	112
ROZDZIAŁ 17	118
ROZDZIAŁ 18	122
ROZDZIAŁ 19	125
ROZDZIAŁ 20	131

ROZDZIAŁ 21	140
ROZDZIAŁ 22	148
ROZDZIAŁ 23	153
ROZDZIAŁ 24	158
ROZDZIAŁ 25	164
ROZDZIAŁ 26	172
ROZDZIAŁ 27	184
ROZDZIAŁ 28	194
ROZDZIAŁ 29	198
ROZDZIAŁ 30	201
ROZDZIAŁ 31	203
ROZDZIAŁ 32	212
ROZDZIAŁ 33	225
ROZDZIAŁ 34	233
ROZDZIAŁ 35	244
ROZDZIAŁ 36	251
ROZDZIAŁ 37	258
ROZDZIAŁ 38	268
ROZDZIAŁ 39	280
ROZDZIAŁ 40	284
ROZDZIAŁ 41	293
ROZDZIAŁ 42	302
ROZDZIAŁ 43	308
EPILOG	316
OD AUTORKI	323
PRZEPISY	325

